

ALFRED SZKLARSKI

# TAJEMNICZA WYPRAWA TOMKA





ALFRED SZKLARSKI

# TAJEMNICZA WYPRAWA TOMKA



Alfred Szklarski

# Tajemnicza wyprawa Tomka

Konwersja do formatu Epub:



## W TAJDZE

Gwiazdy gasły nad południowo-wschodnim obszarem Rosyjskiego Dalekiego Wschodu[1]. Poranna szarość wkradała się w nocny mrok. Wkrótce blaski wschodzącego słońca musnęły kopulaste szczyty gór i po zalesionych stokach spłynęły na równinę, bezkresną tajgę.

Wzmagająca się jasność powoli rozpraszała opary otulające dziewiczą puszcę. Z mgieł wyłaniały się zadziwiające szczegóły krajobrazu. Flora właściwa północnej tajdze krzewiła się tutaj obok południowej roślinności wschodnioazjatyckich mieszanych lasów Chin i Indii. Winorośl oplatała świerki ajańskie, a korkowce ussuryjskie, orzechy mandżurskie i krzewy skarłowaciałej aralii rosły obok białych brzóz i limb syberyjskich. Jak okiem sięgnąć, pięły się ku niebu wierzchołki stuletnich cedrów, złotawozielonych modrzewi daurskich, jodeł o białej korze, a wśród nich odcinały się jaśniejszą zielenią lipy amurskie, wiązy, graby, dęby i klony. Promienie słoneczne coraz głębiej przenikały w mgliste ostępy nadamurskiej tajgi, w której ścieżki wydeptane przez renifery krzyżowały się z tropami tygrysów, a podczas parnego lata jakuckie motyle o skromnym ubarwieniu ustępowały miejsca wielkim, pięknym motyłom podzwrotnikowym[2].

W tej okolicy o wschodzie słońca tygrysy powracały z nocnych łowów do swych legowisk. Wtedy jedynie ptactwo, zadomowione na drzewach, wysoko nad ziemią, odważało się krzykiem zdradzać swoją obecność. Tego jednak poranka nawet ptaki za lada szelestem podrywały się do lotu, a dziki zwierz chyłkiem przemykał przez gęstwinę, albowiem odwieczne prawa tajgi zostały naruszone przez najgroźniejszego jej wroga – człowieka.

Oto grupa tropicieli i łowców zwierząt wtargnęła do ostępu i w pobliżu południowego krańca Gór Burejskich[3] rozłożyła się obozem.

Gdy mrok ustąpił, z mgły ścielącej się na leśnej polanie wyłoniły się sylwetki kilku namiotów półkuliście osłoniętych taborem wozów. Pod wozami, przywiązane do szprych kół, spały kudłate psy. Wewnątrz półkola stały szeregiem podłużne skrzynie-klatki, zamykane drzwiczkami z żelaznych prętów. Nie opodal obozowiska pasły się spętane konie.

Z jednego namiotu wysunął się niski, barczysty mężczyzna ubrany w spodnie i kurtkę z jeleniej skóry. Baczenie zlustrował wzrokiem okolicę, ukazując śniadą, skośnooką twarz o małym nosie i wydatnych kościach policzkowych. Z zadowoleniem stwierdził, że mgła opada na ziemię. Spojrzał w górę. Zachmurzone prawie od dwóch tygodni niebo nareszcie wypogadzało się i jaśniało w promieniach wschodzącego słońca. Pogodny, niemal bezwietrzny świt zwiastował przerwę w letnich deszczach monsunowych[4] przynoszonych przez południowo-wschodni wiatr znad oceanu. Uśmiech pojawił się na twarzy mężczyzny. Był on przewodnikiem i tropicielem w wyprawie urządzonej przez białych łowców dzikich zwierząt, przybyłych z dalekiego zamorskiego kraju. Od dawna niecierpliwie oczekiwał na taki właśnie dzień, by zakończyć polowanie na tygrysy. Potem wyprawa łowiecka miała przenieść swój obóz dalej na zachód od Gór Burejskich, poza



bezpośredni zasięg letnich deszczów monsunowych, zatrzymywanych przez pasmo górskie.

Mężczyzna powrócił do namiotu, skąd znów wyszedł na polanę uzbrojony w starą berdanę[5]. Obuty w miękkie unty z jeleniej skóry, ruszył ku gęstwinie. W tej właśnie chwili z sąsiedniego namiotu wyjrzał rosły młodzieniec.

Był to łowca zwierząt, Tomek Wilmowski, który z ojcem i kilkoma przyjaciółmi przebywał na polowaniu w tajdze amurskiej. Spostrzegł oddalającego się mężczyznę, więc na pół ubrany zaraz pobiegł za nim.

– Nuczi[6], dokąd to się tak wczesnie wybierasz? Jeśli idziesz na poszukiwanie wytropionych wczoraj tygrysów, to chętnie poszedłbym z tobą – zawołał po rosyjsku, dogoniwszy tropiciela pochodzącego z tubylczego plemienia Goldów[7].

Nuczi przystanął, odwrócił się do młodzieńca i odparł w łamanym rosyjskim, przeplatając go słowami ojczystego języka:

– Moja sprawdzi, czy amby[8] są i wróci po wasza.

– Wiesz przecież, że potrafię podchodzić zwierzynę. Nie spłoszę tygrysów, weź mnie ze sobą – prosił Tomek.

Nuczi zadarł głowę, by spojrzeć w oczy wysokiemu młodzieńcowi.

– Twoja tak dobry łowca jak stary Gold, ale amby mieszkają za sopką, daleko! Twoja męczy się tropić, a potem nie może szybko łapać – odparł.

– No tak, niby masz rację, Nuczi, ale przy okazji mógłbym upolować coś dla naszych tygrysów. Resztkę dzika rozdzielę im teraz. Muszę je dobrze nakarmić, aby nie hałasowały cały dzień. Sam mówiłeś, że to przeszkadza w łowach – kusił Tomek, mając ogromną ochotę na wypad ze znakomitym tropicielem zwierząt.

– Teraz nasza nie może strzelać – stanowczo odpowiedział Nuczi. – Nasza musi złapać amby, a potem polować. Twoja niech nakarmi amby w klatkach, bo inaczej one złe i głośno krzyczą do innych braci w tajdze. Wtedy nic z łowów.

– Dobrze, Nuczi, zajmę się tygrysami.

Gold porozumiewawczo mrugnął okiem do zmarkotniałego młodzieńca, przewiesił strzelbę na pasie przez ramię i z wawym krokiem zaszył się w leśną głuszę. Tomek z nieukrywanym żalem spoglądał za nim, wszakże w duchu przyznawał mu słuszność. Tutaj, w tajdze nadamurskiej, chwytanie żywych tygrysów odbywało się starym sposobem syberyjskich łowców, to znaczy bez udziału licznej nagonki pomagającej osaczyć zwierzynę. Pogoń tylko kilku myśliwych z psami za tygrysem była bardzo uciążliwa, szczególnie w okolicy sopek, czyli charakterystycznych wzgórz syberyjskich, często pochodzenia wulkanicznego. Kilkutygodniowe tropienie drapieżników w tajdze uwiecznione wprawdzie zostało złowieniem trzech młodych okazów, lecz zmęczenie mocno dawało się myśliwym we znaki. Deszczowe lato nie było dobrą porą do polowania. Rozmiękła od nadmiaru wody ziemia utrudniała nużące pościgi. Toteż doświadczony

Nuczi radził odłożyć łowy do bliskiej już jesieni, najlepszej na tym obszarze pory roku. Tłumaczył, że po okresie deszczów monsunowych bardzo szybko nieraz ustala się słoneczna i ciepła pogoda, trwająca do końca września lub nawet do początków października. Pod koniec jesieni, gdy ziemia zaczyna przesycać i przemarzać, łatwiej podróżować z taborem wozów. Niestety, biali łowcy nie chcieli skorzystać z dobrej rady. Utknęli w przesyconej wilgocią tajdze i krążyli po niej jak duchy.

Nuczi zniknął w gąszczu. Tomek po cichu powrócił do namiotu. Nie budząc towarzyszy, zabrał resztę ubrania, ręcznik i mydło, po czym podążył do pobliskiego strumienia. Wkrótce umyty i ubrany przysiadł na zwalonym przez wichurę pniu drzewa. Przez chwilę nasłuchiwał podejrzliwie rozglądając się wokoło. W obozie w dalszym ciągu panowała niczym nie zmacona cisza. Wszyscy dłużej wypoczywali przed zapowiedzianym przez Nucziego nowym polowaniem.

Tomek ostrożnie rozchylił podwójną skórę pasa i wydobyl zwitek papieru. Wygladził go na kolanie. Był to list od jego ciotecznej siostry, Ireny Karskiej, u której rodziców przez dłuższy czas przebywał w Warszawie po ucieczce ojca za granicę i śmierci matki.

Tomek zaczął czytać:

*Warszawa, 10 maja 1907 r.*

*Kochany Braciszku!*

*Prawie rok nie odpisywałam na Twoje listy, z takim utęsknieniem przez nas oczekiwane. Ze względu na cenzurę, w korespondencji wysyłanej pocztą nie mogłam powiadomić Cię o pewnym tragicznym wydarzeniu. Dopiero teraz nadarzyła się okazja wysłania listu inną drogą. Przyjaciel Ojca wyjeżdża w sprawach handlowych za granicę i podjął się przemycić mój list. Wyśle go z Niemiec.*

*Kochany Tomku, przede wszystkim muszę wyjaśnić przyczynę mej ostrożności. Otóż Zbyszek został aresztowany i zesłany na Sybir[9]. Ty, Braciszku, najlepiej zrozumiesz, jak strasznym ciosem było to dla nas wszystkich, a szczególnie dla Matki. Pamiętasz przecież – zawsze bardzo się obawiała wszelkich spisków politycznych. Gdy Pan Smuga zabrał Cię od nas do Twego Ojca, myślała, biedaczka, że skończyły się dla Niej utrapienia. Jakże cieszyła się potem, że jesteś bezpieczny z dala od Kraju w czasie rewolucji w Rosji i u nas w Królestwie Polskim[10]. Mawiała wtedy, że Ty masz we krwi rewolucyjnego ducha Twego Ojca i nie usiedziałybyś spokojnie podczas zamieszek. Mój Ojciec potakiwał. Stale nazywa Cię polskim patriotą.*

*Oczywiście Zbyszek, Witek i ja pragnęliśmy Ciebie naśladować. Po zawierusze 1905 roku wiele nadarzyło się ku temu okazji. Studenci, a za ich przykładem i uczniowie szkół średnich rozpoczęli strajki szkolne, domagając się nauczycieli Polaków i nauczania w języku polskim.*

*Zbyszek z grupą przyjaciół urządzili strajk w swojej szkole. Dyrektor przestraszony buntem wezwał żandarmów. Aresztowali wielu uczniów, a wśród nich Zbyszka. Przyznał się do zorganizowania strajku, aby w ten sposób osłonić przyjaciół przed*

*represjami. Nawet go nie sądzono. Po prostu w trybie administracyjnym zesłano na Sybir. Tylko jeden jedyny raz napisał do nas z Nerczyńska, przeznaczonego mu na miejsce zesłania. Podobno otrzymał zajęcie w składzie futer u kupca Naszkina, lecz z listu była bezgraniczna tęsknota za domem i Krajem. Biedny chłopiec! Zapewne potrzebuje pomocy. Kto wie, czy go jeszcze kiedyś ujrzemy...*

*Agenci policyjni często kręcą się koło naszego domu, wypytyują dozorcę, śledzą nas wszędzie...*

Tomek nie dokończył czytania listu, przecież i tak już znał na pamięć każde zawarte w nim słowo. Złożył go starannie, wsunął do schowka w pasie. Zasepiony rozmyślał o niezwykłym splocie wydarzeń, które rzuciły ich w tajgę syberyjską.

Po powrocie z niefortunnej wyprawy do Tybetu otrzymał w Alwarze [\[11\]](#) list Irki razem z korespondencją z Londynu od swej przyjaciółki – Australijki Sally. Tomek i jego ojciec bardzo się zmartwili smutną wiadomością z Warszawy. Obydwaj czuli się dłużnikami wujostwa Karskich. Oni to właśnie zastępowali Tomkowi rodziców. Pomagali mu w najcięższych chwilach życia, opiekowali się jak własnym dzieckiem.

Nie mniej od Wilmowskich przejęli się tragicznym wydarzeniem ich przyjaciele – Jan Smuga i bosman Tadeusz Nowicki. Przecież każdy z nich poniósł jakąś ofiarę w walce z zaborczym rosyjskim caratem. Wilmowski i bosman musieli uciekać z kraju zagrożeni aresztowaniem. Przyrodni brat Smugi został zesłany na Sybir. Cóż z tego, że dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zdołał umknąć z zesłania? I tak przecież przyplącił to życiem. Spełniając jego ostatnią wolę, udali się do dalekich gór Ałtyn-tag, aby zabrać ukryte przez niego przypadkowo znalezione złoto. Połowa skarbu miała być przeznaczona na pomoc dla polskich zesłańców na Syberii. Cała wyprawa, pełna trudów i niebezpieczeństw, zakończyła się niepowodzeniem. Rumowisko skalne pochłonęło złoto. Zaledwie wrócili pokonani przez przeciwności losu, znów się dowiedzieli o nowym aresztowaniu i zsyłce. Na wspólnej naradzie z przyjazną im księżną Alwaru i jej bratem Panditem Davasarmanem, który brał udział w wyprawie do gór Ałtyn-tag, postanowili pomóc Zbyszkowi w ucieczce z Syberii. Los Polaków wydał się księżnej podobny do historii Indusów rządzonych przez Anglików. Rozumiejąc ich położenie, zaofiarowała Wilmowskiem swój jacht dalekomorski, aby w ten sposób ułatwić uprowadzenie zesłańca. Natomiast Pandit Davasarman zaproponował swój udział w wyprawie. Była to niezwykle cenna pomoc, ponieważ jako pundyta, czyli specjalnie wyszkolony przez Anglików do odbywania ekspedycji geograficznych do nieznanych krajów Azji, miał olbrzymie doświadczenie podróżnicze. Ponadto dysponowanie statkiem umożliwiało im swobodne poruszanie się po morzu i uniezależniało od powszechnie używanych wówczas środków komunikacyjnych, będących pod nadzorem władz.

Smuga i Wilmowski utrzymywali stosunki handlowe ze znanym w całym świecie Hagenbeckiem, właścicielem przedsiębiorstwa sprowadzającego z różnych krajów świata dzikie zwierzęta do ogrodów zoologicznych i cyrków. Dzięki temu udało im się uzyskać jego poparcie urzędnika wyprawy łowieckiej na Syberię. Mimo to Wilmowski i bosman, jako poszukiwani przez policję carską, nie mogli się udać na tereny rosyjskie pod

własnymi nazwiskami. Toteż Davasarman, wykorzystując swe wpływy u władz angielskich w Indiach, postarał się o dokumenty, w których Wilmowski figurował jako “obywatel angielski Brown, preparator skór zwierzęcych”, a bosman jako “Niemiec Brol, pogromca zwierząt”. Tak więc pod pretekstem łowienia okazów fauny syberyjskiej wyprawa uzyskała zezwolenie władz rosyjskich na polowanie w tajdze Dalekiego Wschodu. Obecnie około dwóch miesięcy tropili tygrysy i głowili się, w jaki sposób mają upozorować konieczność dotarcia do Nerczyńska, leżącego w Kraju Zabajkalskim. Nie tylko bezkresna i często zupełnie bezdrożna kraina utrudniała im wykonanie niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Davasarman nie brał udziału w łowach. Przebywał na statku zakotwiczonym w zatoce portowej Żłotego Rogu we Władywostoku[12], gotów w każdej chwili do wyruszenia w morze, i oczekiwał na dalsze instrukcje. Łącznikiem między dowódcą statku a wyprawą “łowiecką” był Udadżalaka – zaufany towarzysz Pandita Davasarmana w wielu ekspedycjach badawczych do różnych krajów Azji.

Tomek siedział pogrążony w rozmyślaniach. Czy zdołają dotrzeć do Nerczyńska? Czy zastaną tam Zbyszka i czy go uwolnią? Z kieszeni kurtki wydobyl mapę. Wzrokiem odszukał potężną rzekę Amur, utworzoną z połączenia rzek Szyłka i Arguń, biorących początek u brzegu pustyni Gobi. Po zlaniu się tych dwóch rzek w jedno koryto Amur zataczał szeroki łuk ku południowi i dopiero w pobliżu miejsca, gdzie Sungari – prawy dopływ – wpadał doń, zawracał na północo-wschód. Właśnie w najdalej wysuniętym na południe zakolu Amuru, pomiędzy lewym dopływem – Bureją i prawym – Sungari, widniał na mapie grubo zakreślony ołówkiem czarny krzyżyk. Oznaczał on obozowisko rozłożone w pobliżu lewego brzegu rzeki.

Młodzieniec zafrasowany spoglądał na mapę. Pierwszy i najłatwiejszy etap wyprawy z portu we Władywostoku do Chabarowska przebyli koleją, zbudowaną na terytorium rosyjskim wzdłuż rzeki Ussuri. W Chabarowsku kończył się tor kolejowy; dalej w kierunku na zachód, na przestrzeni około tysiąca dwustu kilometrów wzdłuż lewego brzegu Amuru aż do Ruchłowa ciągnął się jedynie stary, przeważnie wyboisty trakt syberyjski. Dopiero od Ruchłowa rozpoczynał się znów tor kolejowy do Nerczyńska i Czyty w Kraju Zabajkalskim.

W owym czasie najdłuższa na świecie kolej trans-syberyjska przebiegała z Moskwy przez Ural, południową Syberię do Czyty, a stamtąd, jako kolej Wschodnio-Chińska, przecinała Mandżurię i kończyła się we Władywostoku nad Oceanem Spokojnym.

W wyniku wojny rosyjsko-japońskiej Rosja musiała opuścić Mandżurię, zachowując jedynie w swoich rękach kolej Wschodnio-Chińską, na wyłączonym pasie ziemi wzdłuż toru, z szeregiem osad rozrzuconych po kraju, w których skupiała się rosyjska administracja kolei. Rząd carski, chcąc uniezależnić się na wypadek utracenia kolei w Mandżurii, postanowił zbudować połączenie kolejowe między Ruchłowem i Chabarowskiem wzdłuż lewego brzegu Amura. W ten sposób kolej trans-syberyjska miała otrzymać nowy odcinek, biegnący od Czyty przez Ruchłowo, Chabarowsk do Władywostoku. Wówczas Tomek i jego towarzysze po opuszczeniu Chabarowska znaleźli się w dziewiczej tajdze, która oddzielała ich od Kraju Zabajkalskiego. Tomek, zamyślony,



nie usłyszał cichych kroków, toteż zmieszał się poczuwszy czyjąś dłoń na swym ramieniu. Szybko odwrócił głowę. Odetchnął z ulgą ujrawszy Smugę.

– Przestraszyłem się, że ktoś obcy przydybał mnie na studiowaniu mapy.

– Musisz być ostrożniejszy, Tomku. Lepiej, aby nikt nie spostrzegł, że tak bardzo interesuje nas topografia kraju – odparł Smuga. – Poza tym źle reagujesz na zaskoczenie. Staraj się panować nad sobą. Stałeś się nerwowy, mój chłopcze! Na innych wyprawach byłeś bardziej opanowany.

Usiadł obok Tomka, ten zaś pochylił się ku przyjacielowi i ściszonego głosem wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Od czasu, gdy isprawnik [13] w Chabarowsku narzucił nam swego agenta na “opiekuna” wyprawy, nie mogę wprost zapanować nad sobą. Czy w tych warunkach uda nam się dotrzeć do Zbyszka?! Poza tym boję się o ojca i bosmana.

– Niepotrzebnie się denerwujesz. Obydwaj mają dokumenty wystawione na obce nazwiska i doskonale grają swoje role. Jeśli sami zachowamy dostateczną ostrożność, nikt ich nie zdemaskuje.

– Codziennie powtarzam to sobie chyba z tysiąc razy, ale te świdrujące, podejrzliwe oczy szpicla wyprowadzają mnie z równowagi.

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują – odpowiedział Smuga. – On pilnuje nas, a my jego. Udadzałaka nie spuszcza go z oka. Gdyby zaczął bruździć, po cichu zgasimy go jak świeczkę.

– To tak niesamowicie przebywać z kimś, kto czyha na nas, a my na niego.

– Każdy przyzwoity człowiek brzydzi się krecią robotą, lecz dobrowolnie wleźliśmy w paszczę niedźwiedziowi i nie możemy dopuścić do tego, aby nieopatrzne kłapięcie kłami odcięło nam odwrót.

– To prawda, proszę pana – przyznał Tomek. – Przecież tu chodzi nie tylko o nas, ale i o Zbyszka.

– Słuchaj, Tomku! Znajdujemy się na wojennej wyprawie. Ty, jako honorowy członek szczepu Apaczów [14], powinieneś pamiętać, że najważniejsze cechy wojownika to cierpliwość, rozwaga oraz milczenie.

– Widocznie kiepski ze mnie wojownik...

– Nie gadaj głupstw! – skarcił go Smuga. – Po prostu jesteś w gorącej wodzie kąpany. Niecierpliwi cię długie polowanie, chciałbyś już być w Nerczyńsku. Odzyskasz pewność siebie, gdy przystąpimy do właściwej akcji.

– Oby tak było!

– Możesz na mnie polegać, znam cię dobrze. Obraliście mnie dowódcą wyprawy, wszyscy więc musicie mi ufać. Zwłoka jest konieczna. Mamy zezwolenie na polowanie w Kraju Nadamurskim. Stąd daleko do Nerczyńska. Dlatego też siedzimy w tajdze mimo

niedogodnej pory na łowy. Musimy jakoś wyprowadzić w pole władze rosyjskie.

– Czy pan już obmyślił plan działania?

– Tak. Przesuniemy się za Błagowieszczęnsk. Tam znów rozłożymy obóz, w którym pozostanie twój ojciec, jako najbardziej zagrożony. Tymczasem my dwaj, bosman i Udadżalaka spróbujemy dotrzeć do Nerczyńska. Rzecz oczywista, że Pawłowa musimy nakłonić do pozostania z twoim ojcem, w tym jednak moja głowa. Najbardziej kłopotę się, w jaki sposób moglibyśmy ukryć Zbyszka w obozie, aby szpicel niczego nie wypatrzył. Mówię ci o tym, gdyż sam nie mogę niczego wymyślić. Liczę na twój spryt. Zastanów się nad tym[15]. Czas zaczyna naglić, nadchodzi tak oczekiwana przez nas pora roku, najdogodniejsza do podróżowania końmi.

– Wiem, proszę pana. Postaram się coś wykombinować.

– Tylko nie rozmawiaj z nikim na ten temat. Tak bezpieczniej dla nas wszystkich.

Nie opodal zaszczekały głośno psy. Smuga powstał z pnia.

– Zanosi się na pogodę – powiedział po chwili, spoglądając w niebo. – Jeśli Nuczi odnajdzie tropy tygrysów, będziemy mieli pracowity dzień. Nasi już się przebudzili, chodźmy na śniadanie.

Tomek patrzył na Smugę niemal z uwielbieniem. Bezmierna odwaga, uczciwość i wyrozumiałość wszędzie zjednywały mu przyjaciół. Wszyscy szanowali go i słuchali rozkazów, jakby było rzeczą zupełnie naturalną, że tam gdzie on przebywał, nikt inny nie mógł przewodzić. Toteż teraz Tomek czuł się niezwykle dumny, że Smuga zwrócił się właśnie do niego z prośbą o radę.

W obozie zastali krzątających się towarzyszy. Olbrzymi bosman Nowicki, pełniący między innymi funkcję rusznikarza, siedział z podwiniętymi nogami na rozłożonym na ziemi kocu. Pośpiesznie czyścił broń. Od razu można było dostrzec, że nie jest w zbyt dobrym humorze.

Podczas tej wyprawy łowieckiej, szczególnie w obecności Rosjan i krajowców, Tomek oraz jego towarzysze rozmawiali po rosyjsku. Nie sprawiało im to specjalnej trudności, ponieważ uczęszczali swego czasu do szkół w Królestwie Polskim, w których wówczas obowiązującym językiem wykładowym był właśnie język rosyjski. Udadżalaka natomiast nauczył się wielu słów podczas poprzednich wypraw z Panditem Dawasarmanem do krajów Azji Środkowej.

Bosman, zaledwie ujrzał Tomka, natychmiast dał upust złemu nastrojowi, głośno odzywając się po rosyjsku:

– W tym piekielnym kraju robactwo już za życia konsumuje człowieka. Zamiast kryć się w krzakach, lepiej, brachu, przygotuj siatki ochronne na łby, bo skóra swędzi mnie nawet na samą myśl o bezwietrznej pogodzie!

Tomek ze współczuciem spojrział na przyjaciela. Jego zapuchniętą twarz i kark pokrywały krwawiące strupy. Wprawdzie meszki[16], będące plagą syberyjskiej tajgi,

mocno dokuczały wszystkim łowcom, lecz pocziwy marynarz ucierpiał od nich więcej niż inni. Szczególnie w bezwietrzne, słoneczne dni bądź też przed deszczem oraz o zmroku olbrzymie chmary tych najdrobniejszych muchówek komarowatych pojawiały się w tajdze, natrętnie napastując ludzi i zwierzęta.

Wszędzie ich było pełno: tworzyły odrażający kożuch na wodzie w wiadrze, pływały w zupie w garnku czy talerzu, zaczepiały się o tkaninę ubrania, wchodziły w oczy, uszy, nosy, przenikały za koszulę, a ukłucia żarłocznych, krwiożerczych samiczek powodowały na ludzkim ciele swędzące ranki. Po pewnym czasie organizm człowieka sam się uodporniał i opuchlizna znikła, ale nieszczęsny bosman, w przeciwieństwie do towarzyszy, w dalszym ciągu nie doznawał ulgi.

Tomek zbliżył się do nachmurzonego marynarza.

– Zaraz przyniosę siatki, chociaż niewygodnie jest biegać po lesie z osłoniętą głową – odezwał się. – Nazbieram też smolnych szczap, żebyśmy mogli po zmierzchu dymem odganiać meszki. Prawdę mówiąc, dziwne to, że właśnie do pana tak się przyczepiły te dokuczliwe owady. My prawie już nie odczuwamy ukłuć.

– Ha, diabelski to pomiot, nie można wszakże powiedzieć, że niewybredny – odparł bosman i wymownie spoglądając zapuchniętymi oczami w kierunku Pawłowa, dodał: – Mówił mi jeden uczonek, że meszka nie ukąsi ani ciężko chorego, ani obłudnego drania. W jednym i drugim widzi facetów wybierających się na tamten świat, a truposzów nie kąsa.

Tomek z trudem stłumił wesołość, słysząc przymówkę wyraźnie skierowaną do Pawłowa, uodpornionego już na ukąszenia meszek. Natomiast trzej synowie Nuczego, obdarzeni jak wszyscy Goldowie poczuciem humoru, roześmiali się głośno.

– Dobrze twoja mówi, zwierz od razu pozna zły człowiek – wtrącił jeden z nich.

– Was również nie gryzą meszki – powiedział Tomek, dając nieznacznie znak bosmanowi, aby niepotrzebnie nie drażnił agenta.

– Gnus mądry, on wie, że Gold dziecko tajgi. Gnus i Gold swój człowiek. Swój swego nie gryzie – odpowiedział Nanaj i domyślnie mrugnął okiem.

– Zamiast żartować, lepiej przygotujcie się do łowów – polecił Smuga. – Tylko patrzeć powrotu Nuczego. Sprawdźcie liny, zajmijcie się psami. Pan Pawłow nie lubi się uganiać za tygrysami, więc chyba jak zwykle zostanie w obozie na straży?

– Wy tu naczalstwo[17], więc wasza wola! Już ja dobrze przypilnuję obozu – zgodził się Pawłow.

– A przy okazji poszperam w jukach – mruknął bosman do Tomka.

– Zamknij buzię na kłódkę, panie Brol – szepnął Tomek. – Czy koniecznie chcesz zwrócić na siebie jego uwagę?

Pan Brol, czyli bosman Nowicki, zaklął pod nosem, lecz zostawił agenta w spokoju, zwłaszcza że Wilmowski zawołał wszystkich na poranny posiłek.



## SYBERYJSKIE POLOWANIE

Nuczi wrócił, nim skończyli śniadanie. Według jego relacji tygrysica z dwoma małymi znajdowała się w odległości około trzech kilometrów od obozu. Szybko uzgodnili plan polowania. Bosman z Udadżalaką mieli strzałami odpędzić tygrysię od potomstwa, natomiast Nuczi, jego trzech synowie, Tomek, Smuga oraz Wilmowski powinni osaczyć kociaki. Pawłow, jak uprzednio ustalono, podjął się roli strażnika obozu.

Wkrótce ruszyli w tajgę. Na przedzie kroczył Nuczi, za nim jego synowie z trzema psami na smyczy, a potem reszta łowców z czterema ogarami. Tomek zamykał pochód, szedł tuż za bosmanem.

Im dalej zagłębiali się w ostęp, tym wędrówka stawała się bardziej uciążliwa. Ledwie widoczny kręty ślad ścieżyny często ginał w gąszczu krzewów głogu, cierni i jałowca, oplatanych goścem-powojnicą, zwaną przez Jakutów[18] "sieciami diabła". Czasem musieli nakładać drogi, by obejść zwalone przez wiatr drzewa. W cienkiej warstwie gleby leśne olbrzymy nie mogły zbyt głęboko zapuszczać korzeni, toteż kładły się pokotem pod podmuchem wichury i tworzyły trudne do przebycia zapory. Niekiedy stanowiły je wiekowe drzewa. Nadzarte próchnicą same padały na ziemię jakby w bałwochwalczym pokłonie przed wszechwładnym czasem.

Ogrom dziewiczej tajgi budził w sercach ludzkich lęk przed czymś nieznanym, kryjącym się w jej głębi. Na pozór wydawała się ponura i milcząca, lecz bacny wzrok łowców co chwila odczytywał jakąś nową tajemnicę. Tuż przy ścieżce pod spróchniałym zwalonym pniem znajdował się barłóg niedźwiedzi. Nieco dalej, na małym pagórku, zadomowił się żarłoczny bunduruk[19], jeden z najmniejszych na świecie drapieżników. Właśnie na uschłych gałęziach przewróconego dębu przewietrzał swoje przysmaki: grzybki, korzonki i orzechy, których zapasy gromadził nieraz na dwa lata. Za pagórkiem wiła się ścieżka wydeptana przez jelenie, w rozłożystej lipie wokół sporej dziupli krążyły pszczoły – tam na pewno można znaleźć aromatyczny leśny miód.

Tomek ciekawie rozglądał się po ostępie. W tę stronę tajgi zapuszczali się po raz pierwszy. Nuczi prowadził, niemal się nie zatrzymując. Tomek szedł ostatni. Właśnie mignęła mu w gąszczu krępa postać starego tropiciela, budząc pewne wspomnienia.

Wynajęcie Nuczego oraz jego synów jako tropicieli zwierzyny na tę niebezpieczną wyprawę nie było dziełem przypadku. Wilmowski znał ich z opowiadań byłego zesłańca na Syberię, z którym przed własną ucieczką z kraju stykał się w Warszawie w konspiracyjnej pracy rewolucyjnej. Dzięki temu po przybyciu do Chabarowska, pamiętając relacje polskiego zesłańca, odszukał w puszczy sadybę Nuczego i nakłonił go do wzięcia udziału w łowach.

Wybór starego Golda na przewodnika i tropiciela okazał się bardzo korzystny. Nuczi był prawdziwym synem tajgi. Urodził się w niej, wychował, ona zaś żywiła go i dawała schronienie, nic więc dziwnego, że znał wszystkie jej tajniki i kochał jak własną matkę, czasem nieco zbyt surową, lecz zawsze przygarniającą swoje dzieci.

Pewnego razu podczas polowania, słysząc utyskiwania bosmana na “diabelski kraj”, Gold zapewniał Tomka, że kto bliżej pozna tajgę, ten później tęskni za nią, jeśli zmuszony jest opuścić ją na jakiś czas. Te wywody przypomniały Tomkowi ich przewodnika z wyprawy australijskiej, krajowca Tony’ego. On wtedy również mówił mu o uroku rzuconym na wędrowców przez busz australijski.

Z zamyślenia wyrwał nagle Tomka cichy okrzyk bosmana Nowickiego.

– A niech to wieloryb połknie...! – zaklął marynarz swoim zwyczajem, odskakując od karłowatej kolczastej palmy.

Bosman przelaził przez zwaloną kłodę i dla utrzymania równowagi oparł się o pień stojącego przy ścieżce dębu. Naraz pod naporem jego potężnego cielska skruszyła się kora i ręka aż po łokieć wpadła w spróchniałe drzewo. Marynarz przestraszył się, że sędziwy “staruszek” może runąć lada chwila, wielkim skokiem znalazł się w bezpiecznej odległości od pnia, lecz wtedy właśnie otarł się o skarłowaciałą, kolczastą palmę. Zaklął, szybko cofając pokłutą rękę. Tomek podbiegł do przyjaciela, by pomóc mu wydobyć wbite w dłoń kolce.

– A cóż to za piekielne nasienie?! – burczał marynarz. – Niby to palemka, a szczyry kły jak kaktus!

– W gąszczu tajgi nie można tak skakać na oślep – powiedział Tomek. – To dalekowschodnia aralia[20], swego rodzaju osobliwość w tych stronach...

– Daj mi święty spokój z botaniką – ofuknął go bosman. – Łeb już mamznaczony przez przekłete meszki, a teraz do kompletu napuchnie mi łapa!

Zaraz wszakże ucichli, gdyż przewodnik przystanął, pochylony nad ziemią uważnie rozglądał się wokół. Wszyscy zatrzymali się natychmiast. Tomek podszedł do Nucziemu i przykucnął, by lepiej widzieć.

– Bardzo świeży trop – szepnął, badając duże wgłębienia wyciśnięte w ziemi. – Tygrys, niezawodnie tygrys! Sądząc po rozrzucie śladów oraz ich rozmiarach, musi to być starszy okaz...

– Dobrze mówi, dobrze! – pochwalił Nuczi.

– Dlaczego on tak ciężko stapał? – głośno zastanawiał się Tomek, zachęcony pochwałą wytrawnego tropiciela.

Posunął się kilka kroków wzdłuż tropów.

– Są tu krople krwi, może ktoś go zranił? – monologował. – Nie, nie! Z powodu rany nie stapałby tak ciężko. Już wiem! Dźwigał upolowane zwierzę! Na krzaku cierni zaczepiło się trochę jasnobrunatnej sierści. Przypomina mi ona pewnego jelenia.

Smuga wyprzedził Tomka, również badając ślady. Słyszał wywody młodego przyjaciela i uśmiechał się zadowolony.

– Słuszne wyciągasz wnioski! – przytaknął. – Może uda ci się jeszcze dokładniej

określić zwierzę upolowane przez tygrysa.

Tomek pomyślał chwilę, po czym rzekł:

– Wyłącznie w lasach południowej Syberii żyje odmiana szlachetnego jelenia, zwana maralem[21]. Mógł to również być łoś[22] lub ren[23].

– Nie, mój drogi, to nie był maral ani łoś, ani ren – odpowiedział Smuga. – Pójdź jeszcze nieco dalej!

Tomek wolno posuwał się wzdłuż zbocza starannie badając wyraźne tropy.

– Może to był jeleni Dybowskiego?[24] – rzekł. – Przypominam sobie, że Dybowski na zesłaniu na Syberii odkrył nowy gatunek jelenia, nazwany jego imieniem. Jeleni ten wyglądem przypomina indyjskiego jelenia aksis. Na ciemnej sierści posiada kilka nieregularnych rzędów białych plam.

– Brawo, Tomku, masz doskonałą pamięć – pochwalił Wilmowski.

– Nie zgaduj, chłopcze, szukaj dalej, to nie był jeleni Dybowskiego – ponaglił Smuga. – Jeleni ten żyje bardziej na południu, w Kraju Ussuryjskim.

Tomek przyklęknął. Głowę nisko pochylił ku ziemi. Na zgniecionej trawie widniały jakieś plamy. Urwał jedno złamane źdźbło. Zaledwie przysunął je do nosa, wydał cichy okrzyk triumfu. Trawa splamiona była kleistą, ciemną masą wydającą przejmujący zapach.

– Już wiem, to piżmowiec[25] – zawołał do towarzyszy. – Tygrys ciągnąc go po ziemi rozerwał mu pazurami woreczek na podbrzuszu, wydzielający piżmo.

– No, no, naprawdę jesteś już świetnym tropicielem – przyznał Smuga.

– Gapa ze mnie! Pan szybciej odkrył woń piżma.

– Faktycznie łepetynę nosisz nie od parady – wtrącił bosman. – Niuchasz po ziemi niczym ogar. Pokaż no tę trawkę, ciekaw jestem, jak pachnie piżmo!

Ostrożnie powąchał, skrzywił się i mruknął:

– Tak samo zalatywało w jednej mydłami na Powiślu, dokąd moja staruszka posyłała mnie po bielidło.

– Piżmo jest w cenie. Wykorzystuje się je w produkcji leków oraz wyrobów perfumeryjnych jako środek utrwalający zapach – wyjaśnił Wilmowski.

– Jak widzisz, bosmanie, i Syberia na coś się przydaje – dodał Smuga.

– Dość jednak gadaniny. Tygryś upolowała kabargę. Teraz syta na pewno odpoczywa ze swoimi tygrysiętami. Łatwiej ją zaskoczymy. Daleko jeszcze do legowiska?

– Mnóstwo blisko – odparł Nuczi. – Zaraz za sopką dolina i strumień. Tam amby spać w krzakach. Teraz nasza iść ostrożnie. Nasza wiedzieć: amby blisko, trzeba cicho być.

Ruszyli śladami tygryśicy. Przedtem musieli powściągać arkanami psy rwące się do przodu. Obecnie ogary podtuliwszy ogony samorzutnie trzymały się tuż przy nogach



mężczyzn. Niepewne strzygły uszami i zjeżywszy sierść na karku, co chwila ostrzegawczo spoglądały na swych panów. Był to nieomylny znak, że poczuły bliskość groźnych drapieżników.

Łowcy okrążywszy wzgórze, znaleźli się w dolince przeciętej wzdłuż kamienistym strumieniem. Jak wskazywały ślady, tygrysica zmęczona dźwiganiem łupu odpoczywała nad wodą i gasiła pragnienie. Nuczi poprowadził teraz ku wylotowi dolinki. Niebawem ujrzeni szeroki pas równiny porosłej bujną trawą, wysokości człowieka. Jasny błękit nieba stapał się na horyzoncie z nieruchomym w tej chwili morzem zieleni stepowej.

– Tam daleko jest batuszka Amur[26] – szepnął Nuczi wskazując dłonią ku południowi.

– Chyba znajdujemy się w pobliżu Niziny Zejsko-Burejskiej? – zwrócił się Tomek do ojca.

Wilmowski skinął głową i dodał:

– Na pewno wkrótce tajga cofnie się stąd dalej na północ. To jeden z nielicznych na Dalekim Wschodzie obszarów nadających się pod uprawę rolną[27].

Nuczi przyłożył palec do ust nakazując milczenie. Jego wzrok prześlizgiwał się po kępie wierzbowych łoż, widniejących w odległości około trzystu metrów nad brzegiem strumienia.

– Tam śpią amby – cicho wyjaśnił.

Główna grupa wyznaczona do schwytania młodych tygrysów musiała zatoczyć na stepie półkole, by się zbliżyć do wierzbowych chaszczki z przeciwnej strony. Natomiast bosman i Udadżalaką, których zadaniem było utrzymanie tygrysicy z dala od potomstwa mieli iść wprost ku legowisku.

Zgodnie z planem część myśliwych zaszyła się w step. Dopiero w jakiś czas po nich, już nie kryjąc się, bosman z Udadżalaką ruszyli w kierunku nadrzecznych zarośli. Niebawem rozbrzmiały przeraźliwe krzyki, ujadanie psów i huk strzałów.

Na odgłos wrzawy z traw i krzewów rosnących wokół bajerek poderwały się stada różnorakiego ptactwa. Jarzabki, bażanty, cietrzewie, kuropatwy i dzikie gęsi rozproszyły się na wszystkie strony, łowcy nawet nie zerknęli w ich kierunku. Bo oto z kępy zarośli ostrożnie wychyliła się wielka tygrysica. Najpierw ukazał się duży, kudłaty łeb, a potem pręgowane, potężne, czające się cielsko.

Bosman od razu zauważył wynurzające się z gąszczu zwierzę. Wskazał je towarzyszowi i razem z nim zaszył się w łożynę. Zaraz też rozpoczęli prawdziwie piekielną kanonadę. Tygrysica, ujrawszy napastników, wielkim susem wyskoczyła na step, po czym zatoczywszy mały łuk, usiłowała brzegiem strumienia przedostać się do legowiska. Dwóch łowców znów zagrodziło jej drogę, osłaniając się ogniem rewolwerowym. Zdezorientowana, rzuciła się w strumień. To płynąc, to biegnąc, z uporem dążyła w kierunku kryjówek swego potomstwa. Nagle nowy rozkrzyczany wróg ukazał się tam,

dokąd chciała dotrzeć. Ostra woń prochu uderzyła wprost w jej nozdrza.

Tymczasem w łozinie szalały dwa małe tygrysy. Naciskane przez ludzi i ogary ze wszystkich stron, rozpierzchły się w popłochu. Jeden z nich przerażony wrzawą wpadł pod nogi łowców, prześliznął się pomiędzy nimi i wskoczył do strumienia. Tygrysica od razu ujrzała płynące tygrysiątko. Warknęła przeciągle, zawróciła ku przeciwległemu brzegowi. Wiedziona macierzyńskim instynktem, wskazywała mu drogę ucieczki. Dwaj łowcy dalej płoszyli uciekinierów strzałami karabinowymi.

Drugi młody tygrys wydostał się na step. Łowcy pod dowództwem Nuczego zręcznymi manewrami zmusili go do ucieczki w dolinę, a potem w tajgę. Pobiegli za nim, wciąż jeszcze trzymając psy na smyczach.

Rozpoczął się długi, uciążliwy pościg. Początkowo panicznie przestraszony drapieżnik znacznie oddalił się od pogoni. Nuczi co pewien czas polecał spuszczać ze smyczy jednego psa. Na pierwszy ogień szły najsłabsze, bowiem celem myśliwych było, aby cała sfora jednocześnie dopadła tygrysa. Gdyby najsilniejsze psy były puszczone pierwsze, z całą pewnością wyprzedziłyby słabsze i wtedy, pojedynczo atakując drapieżnika, niezawodnie padłyby jego ofiarą.

W końcu ostatni pies został spuszczonej ze smyczy. Ujadanie sfory oddalało się od łowców. Dopiero po półgodzinnym pościgu naszczekiwania zaczęły się przybliżać. Bieg po gąszczu tajgi nużył jednocześnie drapieżnika i pogoń. Myśliwi przedzierali się przez krzewy, przeskakiwali zwalone pnie drzew i strzałami dodawali psom odwagi.

Pot ściekał strumieniami po twarzach łowców. Mimo że zaczynało już brakować im w piersiach tchu, wciąż przyspieszali biegu, gdyż coraz bliższe szczekanie i skowyt psów zagłuszały groźne warczenie broniącego się zajadłe tygrysa.

Dopadli go!

Oparty zadem o porośniętą mchem i gęstymi pnączami zaporę zwalonych pni, co chwila wyrzucał do przodu pysk uzbrojony w kły bądź też łapą starał się dosięgnąć któregoś z nacierających ogarów. Psy wyglądały nie mniej dziko od drapieżnika. Pokryte ciemną wilczą sierścią napierały to z boków, to z przodu. Ponoszone zapalem myśliwskim zapominały o odniesionych ranach. Ich ruchliwe źrenice paliły się krwawym ogniem. Odkoczywszy przed nagłym ciosem łapy tygrysa, psy natychmiast prężyły się do nowego skoku, wysuwając ostre, szeroko rozwarte pyski.

Gwałtowność psów wzrosła znacznie na widok myśliwych. Nuczi wraz z synami szybko zapanował nad niebezpieczną sytuacją. Głośne rozkazy rzucane w języku nanajskim zgrupowały psy z jednej strony, podczas gdy z drugiej przyczaili się łowcy.

Tygrys, zjeżywszy na karku miękką, gęstą sierść, bronił się rozpaczliwie. Nagle jeden z psów doskoczył do niego z boku. Tygrys natychmiast zamachnął się łapą. Tomek błyskawicznie zarzucił na nią pętlę arkanu. Drapieżnik niemal zwinął się w kabłąk, szarpnął liną, wtedy syn Nuczego uchwycił pętlą tylną nogę. Po chwili Wilmowski uwięził w ten sam sposób drugą przednią. Tygrys usiłował przegryźć sznur, lecz Smuga podszedł

do niego od tyłu i własną skórzaną kurtką nakrył mu łeb. Niebawem drapieźnik leżał na ziemi ze związanymi łapami.

Nuczi przystanął nad nim i odezwał się poważnie:

– Ty mądry, amba, ty rozumiesz, ty żyć długo. Nasza nie zabija! Nasza karmi i uczy. Twój brat też być u nasza. On ci powie, że nasza mówi prawdę.

Biali łowcy starannie ukrywali uśmiechy, przysłuchując się przemowie starego tropiciela. Jak większość Goldów żyjących w prymitywnych warunkach, był animistą, wierzył, że wszystkie rzeczy otaczające go są uduchowione, posiadają własną duszę. Z równą powagą odzywał się do kolącego krzaka cierni, jak do drzewa, które musiał zrąbać na opał, czy też do swej starej berdanki, gdy przygotowywał ją do strzału.

– Ty już nie musisz męczyć się – monologował Nuczi, zarzucając pętlę na pysk tygrysa.  
– Nasza zanieś twoja do obóz. Nasza da jeść. Twoja to rozumie, twoja jest mądra.

– Czy ty naprawdę sądzisz, że on rozumie, co mówisz do niego? – zagadnął Tomek.

– Amba taki sam człowiek jak nasza – odparł Nuczi, ruchem ręki ponaglając synów, którzy przesuwali długą żerdź pomiędzy związanymi łapami tygrysa.

Łowcy parami na zmianę nieśli młodego, ważącego około stu kilogramów “kociaka”. Stary Gold szedł obok usprawiedliwiając się przed nim, dlaczego musiał pozbawić go wolności.



## OKO W OKO Z TYGRYSEM

Wyiskrzone gwiazdami niebo rozpościerało się nad tajgą. Wieczór był ciepły i bezwietrzny. W obozie łowców płonęło kilka ognisk.

Bosman jeszcze przed zapadnięciem zmroku zaszył się w namiocie. Nie zdjął nawet ochronnej siatki. Z okutaną w muślin głową siedział przy dymokurze, to jest trzynożnym koszu uplecionym z drutu, i co pewien czas dorzucał na rozżarzone węgle suchego końskiego nawozu. Łzy ciekły mu z oczu podrażnionych gryzącym dymem, pocił się niepomiernie, lecz z gorliwością rzymskiej westalki czuwał nad ogniskiem. Zapowiedział, że woli utonąć we własnych łzach, niż narażać swe ciało na kąśliwość meszek. Przebywał więc samotnie w zadymionym namiocie i popijał z płaskiej butelki swój ulubiony rum.

Tomek siedział na uboczu pod drzewem. Przymrużonymi oczami spoglądał na obozowisko, nie zwracając uwagi na meszki wprost szalejące w nieruchomym, wilgotnym powietrzu. Konie i psy trwożliwie cisnęły się do dymiących ognisk; przerażało je przeciągłe, żalosne warczenie tygrysicy, dobiegające od czasu do czasu z głębi tajgi.

Tygrysy w klatkach były bardzo niespokojne, coraz to uderzały cielskami o kraty oddzielające je od wolności. Tomek wsłuchiwał się w te odgłosy gniewu i jednocześnie obserwował odpoczywających towarzyszy. Ojciec gawędził z synami Nucziego, Smuga opatrywał psy pokaleczone podczas łowów, a Pawłow, napchawszy waty w uszy, przysiadł z nie odstępującym go Udadżalaką przy ognisku, jak najdalej od klatek z rozdrażnionymi tygrysami. Nuczi natomiast na krok nie odstępował czworonożnych więźniów. Słowami usiłował nakłonić je do spokoju.

Zamyślony Tomek mechanicznie zgarniał dłonią meszki lgnące do spoconej twarzy, wydmuchiwał je z nosa, wypluwał cisnące się do ust i coraz więcej uwagi poświęcał staremu Goldowi. Od porannej poufnej rozmowy ze Smugą wciąż zastanawiał się, w jaki sposób mogliby ukryć Zbyszka w obozie po uprowadzeniu go z miejsca zesłania. Najdziwaczniejsze pomysły przychodziły mu do głowy, lecz na żaden jakoś nie mógł się zdecydować. Naraz spojrzał na Pawłowa. Agent osłaniał dłońmi zapchane watą uszy i spode łba nieufnie spoglądał na siedzącego u jego boku milczącego Udadżalakę. W tej właśnie chwili Tomkowi błysnęła wspianiała myśl. Podniecony podniósł się i podszedł do Golda.

– Słuchaj Nuczi, może by tak rozpalić więcej ognisk wokół klatek? Meszek jest dzisiaj bez liku – zagadnął.

– Nasza dosyć pali ogień. To nie gnus je drażni – odparł Gold. – Mnóstwo blisko krąży matka amby, co nasz łapać dzisiaj.

– Czy orientujesz się, gdzie krąży tygrysica?

Gold skinął głową.

– No tak, skrzywdziliśmy ją, tęskni za swoimi młodymi – rzekł Tomek, spod oka obserwując Nucziego.

– Twoja dobrze mówi – potaknął tropiciel. – Ale nasza kocha małe amby i nie krzywdzi. Nasza da jeść, nasza uczy.

– Gdyby tygrysica to wszystko wiedziała, na pewno zostawiłaby nas w spokoju – powiedział Tomek.

Gold mruknął coś, znów spojrzał w ciemną tajgę.

– Nuczi, pomóż mi odszukać tygrysię – szepnął Tomek.

– Nie, nie, amba gniewa się mnóstwo bardzo. Źle być z nasza – zaproponował Nuczi.

Tomek się zafrasował; niebawem znów powziął jakiś pomysł, gdyż nieznacznie uśmiechnął się i rzekł:

– Jeśli nie powiesz nikomu, to zdradzę ci pewną tajemnicę.

– Stary Gold mówi mnóstwo mało – zapewnił.

– Posiadam ukrytą władzę nad dzikimi zwierzętami. Potrafić wzrokiem zmusić je do posłuszeństwa.

Gold spojrzał zdziwiony; z przekornym błyskiem w oczach odparł:

– To niech twoja mówi oczami ambom w klatkach, żeby było cicho!

Tomek wzruszył ramionami i powiedział:

– Jeśli synowie twoi robią coś na twoje polecenie, czy mogę ich od tego odwozić? A widzisz! Młode tygrysy odpowiadają jedynie na zew matki. To tygrysię należy jakoś przekonać, żeby przestała je przywoływać. Wytlumaczę jej, że będzie im u nas dobrze.

– Czy naprawdę możesz to zrobić? – zdziwił się Gold.

– Zaprowadź mnie do niej, to sam się przekonasz.

Stary tropiciel wahał się jeszcze, ale naiwna ciekawość już brała w nim górę nad przecznością. Badawczym wzrokiem mierzył młodzieńca, jakby widział go po raz pierwszy. Po krótkiej chwili odezwał się:

– Moja zaprowadzi do amby!

– Dobrze, Nuczi, ale to, co ujrzysz, musisz zachować w tajemnicy, dopóki nie wyjedziemy z Syberii. Zgoda? Przyrzeknij!

Gold poważnie skinął głową.

– A więc dobrze! Czekać tu na mnie, powiem panu Smudze, że pójdziemy odegnąć tygrysię.

Tomek nieznacznie odwołał Smugę na ubocze.

– Już wiem, w jaki sposób możemy ukryć Zbyszka w obozie – szepnął przyjacielowi wprost do ucha, przytrzymując go za ramię.

– Oby tylko pomysł był dobry – odpowiedział Smuga. – Cóż takiego wymyśliłeś?

– A więc, niech pan uważnie słucha...

Przez długą chwilę wyjawiał swój plan.

– No i co pan na to? – zakończył.

– Zaskoczyłeś mnie tym pomysłem – odparł Smuga. Strzepnął meszki z twarzy i dodał:

– To wcale nie jest zły fortel, chociaż na pozór wydaje się dość naiwny. Na szczęście dla nas carska policja nie grzeszy zbytnią lotnością umysłu.

– Więc zgadza się pan?

– Do wszystkich diabłów, zgadzam się! I tak już straciliśmy wiele cennego czasu. Musimy wykorzystań najlepszą porę roku do uciezki, gdyż potem nadejście surowej zimy może udaremnić wykonanie naszych zamiarów. Słuchaj, Tomku, trzeba jednak będzie urządzić próbę.

– Zrobimy oczywiście, zrobimy!

Tomek znów się pochylił do ucha Smugi.

– Niech tak będzie, bierz się do dzieła, ale bądź bardzo ostrożny. Tygrysica jest rozdrażniona. Chyba powinienem pójść z tobą – szepnął Smuga.

– Nie, proszę pana. Nuczi by nabrał podejrzeń. Przecież na niego mogą liczyć!

Uściskał dłoń przyjacielowi, po czym zdjął sztucer zawieszony na gałęzi drzewa. Starannie sprawdził działanie spustu i nabił broń.

Tropiciel czekał na niego przy klatkach z tygrysami. Na ramieniu miał przewieszoną swoją starą berdanę.

Gold poprowadził. Otoczyła ich czarna, przepastna tajga. Z wolna wzrok łowców przywykał do ciemności. W mroku zaczęły się zarysowywać pnie potężnych drzew, powalone kłody i krzewy. Stary Gold szedł posuwistym, kocim krokiem. Czasem przystawał i nasłuchiwał, to znów przykłękał przykładając ucho do ziemi, zmieniał kierunek. Tomkowi zdawało się, że wciąż krążą w pobliżu obozowiska. Po jakimś czasie był już tego pewny, albowiem pomruki tygrysów w klatkach oddalały się bądź przybliżały.

Nocne kluczenie po dziewiczej tajdze rychło ich zmęczyło, toteż Tomek ucieszył się, gdy Nuczi przysiadł na pniaku. Spoczął obok niego.

– Nasza czeka na księżyc. Ciemno, nasza amby nie widzi – szepnął Gold.

– Czy uda ci się w nocy odnaleźć trop tygrysicy? – także szeptem zapytał Tomek.

– Nasza nie mówić, amba całkiem blisko nasza.

Tomek od razu zamilkł. Jeśli stary tropiciel się nie mylił, należało zachować jak najdalej idącą ostrożność. Zaczął nasłuchiwać; jednocześnie wodził wzrokiem po chaszczach.

Czas dłużył się Tomkowi. Łowił uchem tajemnicze odgłosy płynące z ciemnych głębin tajgi. Po dziewiczym lesie niosły się jakby głębokie westchnienia, pogwary i pomruki

przerywane jakimś dziwnym szumem. Gdzieś trzasnęło walące się drzewo, plusnęła woda w bajorze, a potem zapanowała cisza. Naraz dłonie Tomka silnie ujęły sztucer leżący na kolanach. W krzewach dokładnie na wprost niego na króciutki moment zamigotały dwie fosforyzujące iskierki. Tomek złożył się do strzału z biodra. Tygrysica więc przysła! Gdy jeszcze raz spojrzy, strzeli pomiędzy płonące ślepia. Lecz co to?! Niebieskie ogniki błyskają bardziej na lewo, inne fosforyzują z prawej strony, teraz jednocześnie zbliżają się bezszelestnie. Serce mocno uderzyło w piersi młodzieńca. Skąd się tu nagle wzięło tyle tygrysów?!

Pochylił się, uniósł lufę sztucera. Dlaczego Nuczi nic nie mówi? Czyżby zasnęła? Zerknął w jego kierunku. Tropiciel siedział spokojnie na kłodzie, opierając się plecami o drzewo. Stara berdanka nieruchomo spoczywała na jego kolanach. Nie spał. Jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie działo, spoglądał w górę na gałęzie drzew.

“On naprawdę czeka, aż ja wzrokiem zmuszę tygrysy do posłuszeństwa” – przemknęło Tomkowi przez myśl. Użył podstępu, aby nakłonić przesadnego Golda do odszukania tygrysy w tajdze, i teraz sam wpadł we własne sidła! W jednej chwili zrozumiał, że nie może liczyć na jego pomoc w tej rozprawie.

Już się sprężył, aby powstać na równe nogi, gdy wtem chmury niebieskawych iskierok rozblysnęły wokół. Świeciły wśród krzewów, na gałęziach drzew, migotały w powietrzu, nawet trawa u jego stóp skrzyła się niby drgający ognikami kobierzec.

Tomek odetchnął głęboko – rozluźnił mięśnie.

“A niech to lichy porwie!” – zaklął w duchu. Omal nie parsknął śmiechem. To maleńkie świetliki[28], zwane robaczkami świętojańskimi, napędziły mu strachu!

Oparł się o drzewo. Dłonią otarł pot z czoła. Zerknął na Golda, czy przypadkiem nie spostrzegł jego pomyłki. Na szczęście Nuczi z zadartą do góry głową wpatrywał się w iskierki tańczące wśród gałęzi drzew.

Świetliki skróciły Tomkowi czas oczekiwania. Wodził za nimi wzrokiem, podziwiał piękną grę miłosną maleńkich chrząszczyków. Samiczki, nie posiadające zazwyczaj zdolności lotu, iskrzyły się siedząc w trawie i tam wabiły swych wielbicieli, krążących w powietrzu ponad nimi. Było to wspaniałe widowisko.

Gdzieś w górze w pobliżu rozbrzmiało naraz potężne hukanie. “Uhu, uhu!” – donośnie rozniosło się po lesie. To puchacz[29], zwany niekiedy w podaniach ludowych królem sów, wyruszył na nocne łowy.

W dali rozległ się głuchy tętent racic: zaraz po nim przetoczył się jękliwy, żaloszny ryk jelenia. Gdzieś, znacznie już bliżej, zaszleściły gałęzie roztrącane przez poroża.

Świetliki zniknęły niemal tak nagle, jak się uprzednio pojawiły. Nuczi drgnął zaniepokojony. Pochylił się i nadstawił ucha.

– Amba idzie... – szepnął po chwili.

Tomek cały zamienił się w słuch. Za nimi szleściły krzewy. Ręką dał znak tropicielowi,



ostrożnie powstał z pnia i przywarł plecami do potężnego drzewa. Nuczi uczynił to samo. Szelest stawał się coraz bliższy. Przytłumiony pomruk rozbrzmiewał w pobliżu, potem zapadła długa, niepokojąca cisza.

Łowcy zatapiali wzrok w czarne chaszczce. Niemal nieuchwytny szelest gałęzi rozległ się znów za ich plecami. Odwrócili się twarzą ku niebezpieczeństwu, stale opierając plecy o drzewo.

– Nie możemy tutaj sterczeć do rana, musimy coś zrobić – po dłuższej chwili szepnął Tomek.

– Teraz robić nic; zaraz będzie księżyc – lakonicznie odparł Gold.

Nuczi dobrze radził. Niebawem pierwsze promienie księżycy nieśmiało wpełzły pomiędzy drzewa. W srebrzystej poświacie pnie i krzewy przybierały dziwaczne kształty. W tej okolicy las nie był gęsty, więc stopniowo robiło się coraz jaśniej. Czas mijał.

– Nasza już może szukać amby – odezwał się Nuczi.

Tomek ze sztucerem gotowym do strzału ruszył za tropicielem, który niemal bezszelestnie zagłębił się w zarośla. Krążył wokół drzewa nisko pochylony. Rękoma ostrożnie rozsuwał gałęzie krzewów, wypatrywał tropów. Trwało to jakiś czas. Tomek już zaczynał powątpiewać w pomyślny wynik nocnych poszukiwań, gdy nagle Nuczi przyklęknął. W skupieniu macał ziemię.

– Tu ruszyła wielka amba, twoja niech dobrze patrzy – cicho oznajmił.

Tomek przykucnął. Dłońmi odszukał wyciśnięte ślady potężnych łap tygryscy. Gold był niezwykle doświadczonym tropicielem. Gdy natrafił nawet w nocy na świeże ślady, nie gubił ich już później ani na chwilę. Czasem trop był mniej wyraźny na twardszym gruncie, wtedy Nuczi głęboko wciągał nosem powietrze, obwąchiwał krzewy, o które mogło się otrzeć zwierzę, i odnajdując węchem charakterystyczną woń jego ciała, nieomylnie dążył za nim.

Tomek był pełen podziwu dla myśliwskich umiejętności starego Golda. Sam przecież także potrafił tropić zwierzyne, lecz odnalezienie śladów w tak trudnych warunkach było niecodziennie spotykanym mistrzostwem.

Nuczi, dążąc śladami, jeszcze raz obszedł dookoła drzewo, pod którym przedtem czatowali. Był to niezbity dowód, że drapieżnik okrążał ich i obserwował. Tomek nie był już teraz pewny, czy tylko fosforyzujące świetliki stały się uprzednio powodem jego przestachu.

Spod drzewa ślady tygryscy zaczęły się oddalać w kierunku obozowiska myśliwych, po pewnym jednak czasie znów zawracały. Obydwaj łowcy idąc za nimi zatoczyli niewielkie koło, a gdy w końcu na własnych, dopiero co pozostawionych śladach odkryli powtórny trop tygryscy, stanęli przerażeni. Nie mogli mieć jakichkolwiek wątpliwości: tygryś wywabiała ich z dogodnego do obrony miejsca i obecnie sama skradała się za nimi.

Znajdowali się w niesamowitej sytuacji. Tygryś mogła się czaić za każdym drzewem

czy krzakami. Tomek przywykły do niebezpieczeństw rychło zapanował nad podstępnie wkradającym się do jego serca strachem. Przecież po to jedynie nakłonił Golda na nocną wyprawę do ostępu, aby stanąć z tygrysem oko w oko. Wsunął kolbę sztucera pod prawą pachę, wskazujący palec oparł na spuście. Był gotów. Teraz spojrzał na Nuczego.

Tropiciel stał lekko pochylony do przodu. Nasłuchiwał, jednocześnie penetrując wzrokiem okoliczne zarośla. Gdzieś w nich czaił się drapieżnik. Nuczi widocznie nie miał zamiaru użyć broni palnej w razie spotkania tygrysa. Nadzarta przez ząb czasu berdanka spokojnie zwisała na pasie na ramieniu. Naiwny jak dziecko krajowiec zapewne wierzył, że Tomek potrafi wzrokiem nakłonić zwierzę do posłuszeństwa. Zaledwie młodzieniec spojrzał na niego, natychmiast zdał sobie sprawę z własnej odpowiedzialności za rozwój dalszych wypadków. Przysunął się do Nuczego.

– Zrobiłeś swoje, teraz mnie pozwól działać! – rozkazał. – Idź tuż za mną, gdybyś ujrzał ambę, trąć mnie w łokieć.

Tyle było stanowczości w słowach Tomka, że Gold, podniecony niezwykłością sytuacji, bez sprzeciwu uległ jego woli.

Tomek ruszył pierwszy... Krok za krokiem obchodził najbliższe zarośla. Lufą sztucera wolniutko rozsuwał gałęzie, przetrząsnął okoliczne krzewy, lecz nie wytropił tygrysa. Nuczi postępował za nim.

Poszukiwania wciąż były bezskuteczne. Tomek z wolna się odprężył; ustępowało napięcie nerwowe. Tygrysa na pewno odeszła stąd, był to więc koniec niesamowitej nocnej przygody. Wprawdzie takie jej zakończenie komplikowało plany Tomka, ale mimo to doznał uczucia ulgi.

Przystanął, rezygnując z dalszego bezcelowego tropienia. Odetchnął pełną piersią i wtem... poczuł nikły odór dzikiego zwierzęcia. W tej właśnie chwili Nuczi dał mu umówiony znak.

Tygrysa wynurzyła się zza wielkiego jałowca. Ujrzawszy tuż przed sobą prześladowców, stanęła jak wryta. Przez chwilę Tomek i bestia spoglądali sobie prosto w oczy. Potem tygrysa pochyliła łeb, wstrząsnęła nim, jakby drażniła ją siła ludzkiego wzroku. Skurczyła grzbiet prężąc się do skoku. Tomek szybkim jak myśl ruchem uniósł sztucer do ramienia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności niebezpieczne spotkanie nastąpiło w małym wiatrołomie, to jest miejscu, gdzie drzewa zostały powalone przez wichurę. Wiatrołom porastały jedynie rzadkie krzewy, a teraz rozjaśniała je poświata księżycowa. Dzięki temu Tomek mógł dość pewnie złożyć się do strzału. Gdy ciemne cielsko poderwało się z ziemi, młody łowca mierzył już pomiędzy fosforyzujące ślepia. Nacisnął spust. Zaraz też odepchnął plecami Nuczego i sam uskoczył w bok.

Tygrysa padła łbem na ziemię. Przez krótką chwilę cielsko jej drgało konwulsyjnie, pazury darły poszycie, potem znieruchomiała.

– Wierny wystrzał[30] – półgłosem odezwał się Nuczi. – Amba nie słucha mowa oczy?

– Nuczi, musiałem zabić – usprawiedliwił się Tomek.

– Amba nie słucha, twoja zabić. Twoja dobrze zabić – przyznał Gold. Usiedli na pniu. Tomek wydobył pudełko papierosów. Zamyślony zerkał na starego tropiciela. Oto pierwsza część planu została pomyślnie wykonana, lecz teraz jakoś nie mógł się zdobyć na to, aby w dalszym ciągu wykorzystywać łatwowierność uczciwego człowieka. Na Syberii, carskiej kolonii, nikt się nie troszczył o szerzenie oświaty i postępu wśród krajowców. Przecież im bardziej byli zacofani, tym łatwiej ulegali bezwzględny rosyjskim zarządom. Goldowie również byli ofiarami zaborczego caryzmu. Z tego względu Tomek coraz więcej nabierał przekonania, że Nucziemu można zaufać. Dawna przyjaźń Golda z polskim zesłańcem oraz jego niemal wrogi stosunek do agenta Pawłowa umacniały go w tym przeświadczeniu. Tomek również zaobserwował, że ustawiczne docinki rubaszego bosmana Nowickiego pod adresem carskiego agenta zjednały im sympatię Goldów.

Po krótkiej chwili rozmyślań przestał się wahać. Zgasił niedopałek papierosa, po czym zagadnął:

– Nuczi, powiedz mi, co sądzisz o Pawłowie?

Gold wzruszył ramionami i odparł lakonicznie:

– Krzywe oko, złe oko. Patrzy tu, patrzy tam, słucha i pisze. Potem naczałstwo mówi: przestępnik w tiuremnyj zamok.[\[31\]](#)

– Czy nie obawiasz się, że mu to powtórzę?

Gold spojrzał Tomkowi prosto w oczy.

– Moja myśli: twoja swój człowiek – odpowiedział.

– Nie mylisz się, Nuczi. Ja i moi towarzysze jesteśmy przeciwnikami caryzmu. Natomiast darzymy przyjaźnią wszystkich pokrzywdzonych przez cara ludzi. Teraz mogę wyznać, że muszę uczynić coś takiego, o czym Pawłow nigdy nie powinien się dowiedzieć. Zapewniam cię jednak, że czyn mój będzie służył dobrej sprawie. Czy zechcesz mi dopomóc?

– Dobry człowiek, dobra sprawa. Twoja powie, moja zrobi.

– Czy przyrzekasz, że nikomu nie powiesz?

– Twoja mówi, Gold zrobi i zaraz zapomni.

– Dziękuję ci, Nuczi. Byłem pewny, że możemy liczyć na ciebie. Wiemy, że jesteś biedny. Ciężko pracujesz na kawałek chleba. Mam tu dla ciebie sto rubli w złocie, przydadzą ci się na pewno.

Tomek odpinał kurtkę, by wydobyć pieniądze. Gold zmarszczył brwi. Przytrzymał jego dłoń.

– Przysługa dla przyjaciela, ruble nie! Matka-tajga karmi swój człowiek.

– Przepraszam, Nuczi. Naprawdę nie chciałem cię obrazić – zawołał Tomek, mocno

ściskając twardą dłoń starego Golda.

– Twoja przyjaciel. Twoja mówi, moja zrobi i zapomni.



## BOSMAN W OPAŁACH

Ranek był mglisty. Południowo-wschodni letni monsun znów niósł z nad morza ciepłe, nasycone wilgocią powietrze. Po tajdze snuły się opary, przez które od czasu do czasu nieśmiało przeświecało słońce.

Zupełnie widoczne pogarszanie się pogody wprawiło w dobry humor bosmana Nowickiego, wiatr bowiem zapewniał zniknięcie dokuczliwych meszek. Tego dnia bosmanowi przypadła w udziale rola kucharza, wstał więc ochotczo o świcie, by nazbierać na odżywczy kompot owoców limonnika. Teraz samotnie szedł przez tajgę, niefrasobliwie wymachując trzymanym w rękę wiaderkiem. Prócz myśliwskiego noża za pasem nie miał przy sobie innej broni – gniewne pomruki tygrysów więzionych w obozie przepłoszyły zwierzynę z najbliższej okolicy i bosmanowi zdawało się, że nie grozi mu żadne niebezpieczne spotkanie.

Wkrótce odnalazł w tajdze krzewy limonnika; zaczął zrywać małe, czerwone niczym jarzębina owoce. Po pewnym czasie miał ich już pół wiaderka. Przerwał pracę, usiadł wygodnie na trawie opierając się plecami o drzewo. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Samotność niebawem znudziła towarzyskiego olbrzyma. Przywykł do częstych pogawędek ze swoim młodszym przyjacielem, Tomkiem Wilmowskim, toteż z pewnym rozgoryczeniem spojrzał w kierunku obozu. Zachowanie Tomka w czasie ostatnich kilku dni było dla niego niezrozumiałe. Młodzieniec nie wdawał się w rozmowy, przebywał na uboczu, a nagabywany przez towarzyszy odpowiadał półsłówkami i tylko od czasu do czasu ukradkiem wymieniał ze Smugą porozumiewawcze spojrzenia. “Co za lichogonagle ugryzło?” – gubił się w domysłach marynarz.

Od lat stanowili parę wypróbowanych przyjaciół. Podczas studiów Tomka w Londynie bosman odwiedzał go niemal co miesiąc. Gawędzili wtedy do późnej nocy. Młody przyjaciel zwierzał mu się ze wszystkich kłopotów, zasięgał rady. Natomiast na wakacyjnych wyprawach łowieckich nie rozstawali się prawie ani na chwilę, ponieważ na prośbę ojca bosman czuwał wtedy nad jego bezpieczeństwem. Nic więc dziwnego, że doskonale poznał słabostki chłopca i przywiązał się nieomal jak do własnego syna.

“Coś musi leżeć mu na wątrobie, to pewne, ale co? – głowił się marynarz. – Może stęsknił się za Sally? Nie, nie, tu nie o spódniczkę chodzi, bo wtedy szukałby u mnie pociechy! Wie, że w sprawach sercowych może na mnie polegać. Jeśli taki roztropny i sprytny chłopak milczy i zasepiony łązi po kątach, to jasne jak słońce, że sprawa jest znacznie poważniejsza.”

Wydobył z kieszeni płaską butelkę ulubionego rumu. Pociągnął z niej spory łyk i ciężko westchnął zafrasowany.

“Co to poczciwe chłopczysko może chować w zanadrzu? – zastanawiał się dalej. – Oho, czuję że coś rozjaśnia mi się w łepetynie? Utknęliśmy w tajdze i niby to łapiemy kociaki, a carski szpicel, którego władze nam narzuciły, wciąż zezuje na nas i we wszystko wtyka nos. Zbyszek jest uwięziony w Nerczyńsku, dokąd nie możemy się dostać bez specjalnego zezwolenia gubernatora. Tfu, do licha! Nie chciałbym znajdować się w skórze Smugi! On

tu dowódcą, na nim spoczywa cała odpowiedzialność. Na szczęście stary to wyga! Jeśli potajemnie oczkuje z Tomkiem, to ani chybi obydwaj coś knują. Ho, ho! Ten nasz szkrab naprawdę mógłby zostać królem cwaniaków. Ile to razy jego cudaczne pomysły wyciągały nas wszystkich z tarapatów! Ha, skoro oni obydwaj tak uparcie milczą, niezawodnie słusznie robią – staruszek mój zawsze mówił: ticho jediesz, dalsze staniesz[32].”

Zadowolony z toku swego rozumowania jeszcze raz wydobył płaską butelkę.

“Nic tak nie rozjaśnia w mózgownicy jak rum” – mruknął, delektując się swoim ulubionym napitkiem. Powtórnie nabił fajkę tytoniem; wkrótce kłęby dymu unosiły się wokół niego. Lekki szum gałęzi zaczął go usypiać. Oparł głowę o drzewo i przymknął oczy.

Naraz wewnątrz pnia drzewa rozległy się jakieś podejrzane szmery. Zaintrygowany czujnie nadstawił ucha. W drzewie niezawodnie coś chrobotало. Otworzył oczy, zadarł do góry głowę.

O jakiś metr ponad nim czernił się mały otwór dziupli, zasnuty jeszcze dymem z fajki.

“Do stu zdechłych wielorybów, czyżbym moją fajką podrażnił w dziupli jakąś gadzinę?” – zaniepokoił się ogromnie.

Zerwał się na równe nogi. Uciął nożem długą gałąź z krzewu jałowca i bez namysłu wepchnął ją w dziuplę w drzewie. Było to przysłowiowym włożeniem kija w mrowisko, albowiem dziupla okazała się gniazdem jakichś bardzo żywotnych zwierzątek. Przestraszone wyskakiwały z dziupli i wymachując kitami ogonów, zwinnie wspinały się wyżej na gałęzie.

W pierwszej chwili bosman oniemiał na widok gromady pięknych wiewiórek, które rozbiegały się na wszystkie strony, przeskakując w panice z drzewa na drzewo. Wkrótce jednak przypomniał sobie, że futra wiewiórek syberyjskich są bardzo poszukiwane, więc niezadowolony mruknął:

“Niech mnie tajfun porwie! Łaskawy los zesłał mi wspaniałe futerka, które mógłbym podarować Sally, a ja przegapiłem taką okazję!”

Teraz widząc na własne oczy kilkanaście gryzoni uciekających z jednego gniazda, uwierzył w przechwałki Nuczego, który kiedyś mówił, że synowie jego potrafią złowić nieraz do pięćdziesięciu “biełek” w trakcie jednego polowania. Wiewiórki przywiodły bosmanowi na myśl starego Nuczego, więc znów usiadł na trawie i zaczął rozmyślać o ostatnich wydarzeniach.

Otóż wieczorem tego dnia, kiedy schwytali już czwartego tygrysa, Tomek i Nuczi wyruszyli potajemnie w tajgę, aby przepłoszyć tygrysicę wałęsającą się w pobliżu. Nocna strzelanina w ostępie zaniepokoiła pozostałych w obozie towarzyszy. Wilmowski skarcił potem obydwóch śmiazków za niepotrzebne narażanie się na niebezpieczeństwo. Wtedy właśnie Smuga oświadczył, że czas już zakończyć łowy na tygrysy i poprowadzić wyprawę w okolice Błagowieszczęńska, gdzie w nadamurskich suchych łągach oraz stepach łąkowych roiło się od wszelakiego ptactwa. Tam bowiem mieli zapolować na duże okazy i preparować ich skórki do wypchania.

Zapowiedź przeniesienia obozu w pobliże jednego z głównych miast Dalekiego Wschodu ucieszyła wszystkich członków wyprawy, aczkolwiek każdego z innego powodu. Dla Tomka oraz jego towarzyszy polowanie na ptactwo było oczywiście jedynie pretekstem przybliżenia się do Nerczyńska. Toteż radowała ich myśl o rychłym rozpoczęciu akcji mającej doprowadzić do uwolnienia nieszczęsnego zesańca. Dla synów Nuciego, spędzających większość życia w tajdze, odwiedzenie miasta było nie lada wydarzeniem, dla agenta Pawłowa stanowiło zaś okazję do złożenia władzom odpowiedniego meldunku i otrzymania dalszych poleceń.

Tylko Nuczi nie okazał zadowolenia; poprosił o krótką zwłokę. Przed wyruszeniem dalej na zachód postanowił odprowadzić do domu psy poranione podczas łowów na tygrysy i zastąpić je innymi. O świcie następnego dnia osiodłał dwa konie, po czym z psiarnią wyruszył w drogę. Obecnie lada chwila można było spodziewać się jego powrotu.

“Za powodzenie naszej wyprawy” – mruknął bosman pociągając rum z butelki. Następnie, oparłszy się wygodnie o drzewo, zasnął prawie natychmiast.

Natarczywe, głucho gruchanie oraz trzepot skrzydeł wschodnio-syberyjskich leśnych synogarlic[33] wyrwały z błogiego snu rozpartego na trawie bosmana. Leniwie otworzył oczy. Płowe synogarlice właśnie znikwały wśród drzew.

Nagle jakieś rozpedzone rudawobrunatne stworzonko przekoziółkowało przez jego pierś. Poderwał się zaskoczony, by ujrzeć zająca bielaka[34] czmychającego w rosnące opadał krzewy limonnika.

“Czyżby klepki pomieszały się w łepetynach tych zwierzaków?! – mruknął zdumiony. – Same pchają mi się dzisiaj w ręce!”.

Mimo woli spojrział w kierunku, z którego musiał przybiec przestraszony zając. Zdumienie bosmana natychmiast ustąpiło miejsca niepokoju; o kilka kroków od siebie ujrzał baraszkuje dwa brunatne niedźwiadki[35].

“O, do diabła! Te niedźwiedzie bachory gotowe jeszcze ściągnąć mi tu na kark swoją matkę” – pomyślał rozglądając się pospiesznie po okolicznych krzewach. Naraz cały znieruchomiał, tylko jego prawa dłoń jak wąż przypełzła do rękonoży tkwiącego za pasem myśliwskiego noża i mocno zacisnęła się na niej. Olbrzymia niedźwiedzica buszowała w krzakach malin. Potężnymi łapami naginała gałęzie bądź stawała na tylnych nogach, by pyskiem dosięgnąć słodkiego owocu.

Bosman powoli oparł się plecami o pień drzewa. Siedział nieruchomo, pocieszając się zapewnieniami Smugi, że nawet najsilniejsze gatunki niedźwiedzi atakują człowieka jedynie wtedy, gdy są przez niego zaczepiane lub zranione. Ewentualna próba ucieczki mogła tylko pogorszyć jego sytuację. Niedźwiedzica, mimo pozornie ociężałego wyglądu, z łatwością by go dogoniła. Stanięcie do walki z nożem w dłoni również nie rokowało nadziei na zwycięstwo. W tej chwili był niemal bezbronny wobec olbrzymiego, słynącego z niezwyklej siły zwierzęcia. Wprawdzie niektórzy syberyjscy myśliwi odważali się polować na niedźwiedzie, podsuwając im pod kły lewe ramię owinięte w grubą skórę, podczas gdy prawą dłoń wbijali w serce bestii długi, ostry nóż, lecz do takich zapasów należało

posiadać nie lada wprawę! Najmniejsza niezręczność oznaczała nieuchronną straszną śmierć! Bosman nie znał uczucia lęku, toteż chociaż uprzytomnił sobie własną bezsilność, nie wypuścił z dłoni rękojeści noża.

Bura niedźwiedzica nie zwracała uwagi na siedzącego bez ruchu człowieka, za to obydwa baraszkujące misie coraz bardziej zbliżały się ku niemu.

Bosman, obserwując niedźwiedzie igraszki, bezdźwięcznie mruknął:

“Żeby je tajfun porwał! Te szczeniaki, jak amen w pacierzu, gotowe wpakować mnie w paskudną kabałę!” Obydwa rozbawione misie oplotły się przednimi łapami jak zapaśnicy i w końcu walczyły już tuż-tuż przy bosmanie. Nagle potoczyły się wprost na jego nogi. Grube krople potu wystąpiły na czoło marynarza, lecz w dalszym ciągu siedział nieruchomo. Naraz jeden miś, szarpnięty przez swego braciszka za ucho, pisnął żałośnie. Olbrzymia niedźwiedzica natychmiast odwróciła ku nim swój kudłaty łeb. Ciężko opadła na cztery łapy i powoli ruszyła ku tarמושącym się niedźwiadkom. Bosman spod przymrużonych powiek obserwował kołyszące się brunatne cielsko.

W końcu niedźwiedzica dostrzegła człowieka. Być może było to jej pierwsze spotkanie z nieznanym stworem, bo zdziwiona przystanęła na chwilę. Potrząsnęła pochyłonym ku ziemi łbem. Rozległo się głucho mruczenie i jakby mamrotanie. Na odgłos gniewu matki misie przerwały zabawę. Szybko i zwinnie podbiegły do niej. Niedźwiedzica obwąchała obydwa niedźwiadki, po czym jednego podrzutem pyska pchnęła w stronę malinowych zarośli, a drugiego pognęła tam uderzeniem łapy w zadek. Już nie spojrzawszy nawet na bosmana, truchtem podążyła za dziećmi.

Przez pewien czas bosman w dalszym ciągu siedział nieruchomo. Potem powolnym ruchem ręki wyciągnął z kieszeni butelkę z rumem. Opróżnił ją do dna. Odetchnął głęboko.

“Tfu, do diabła! Czułem się, jakby mnie tknął paraliż – mruknął. – Widocznie jednak nie jest mi pisane wylądować w niedźwiedzim brzuchu. Upiekło mi się tym razem, ale już więcej nie pójdę w tajgę bez spluwy!”

Dłonią zgarnął pot z czoła. Ocieżale powstał, zabrał wiaderko z owocami limonnika i lekko kołyszącym się krokiem marynarza pospieszył do obozu. Niebawem znalazł się w kręgu namiotów.

– Gdzież to podziało się całe bractwo? – zagadnął Smugę, rozglądając się po opustoszałym obozowisku.

Smuga przerwał skubanie jarząbków[36] z pierza i odparł pytaniem na pytanie.

– A gdzież to szanowny pan bosman włóczył się całe przedpołudnie? Komu to przypadło dzisiaj kucharzowanie?

– Właśnie podskoczyłem po owoc na kompot... – usprawiedliwiał się bosman.

– I przy okazji uciałem sobie drzemkę pod drzewkiem – dodał Smuga.

– Faktycznie tak mi się przydarzyło, ale skąd pan wiesz o tym?



– Sądząc po długiej nieobecności oraz “wspaniałym” łupie nietrudno się tego domyślić – ironicznie odparł Smuga.

– Zacząłem rozmyślać nad tym i owym na osobności, a potem sen mnie trochę zmorzył, nie denerwuj się pan, raz dwa upitraszę obiad. Widzę, że nawet postarałeś się pan o niezłe danie! Riabczyki[37] to prawdziwy przysmak!

– To nie ja upolowałem te jarzabki. Nuczi przywiózł je z drogi – wyjaśnił Smuga.

– Czyżby wrócił w czasie mojej nieobecności? Gdzież to się wszyscy podzieli?

– Nuczi przyjechał przed jakąś godziną. Namówił całe towarzystwo na polowanie na iziubry[38], które wypatrzył niedaleko stąd. Byłbym również chętnie poszedł z nimi, ale ktoś musiał zostać w obozie.

– Ha, wobec tego ruszymy nareszcie ku Nerczyńskowi – ucieszył się bosman.

– Jutro o świcie zaczniemy zwijać manatki – potwierdził Smuga.

– No, to naszemu Tomkowi poprawi się humor. Zmarkotniał ostatnio, nawet wiele nie gada. Jak pan myślisz, czy uda się nam oswobodzić tamtego nieboraka?

– Przecież jedynie w tym celu zapuściliśmy się w syberyjską głuszę. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

– Oby tylko szczęście nam sprzyjało! Serce mi się kraje, gdy widzę Tomka smutnego. Pocziwe to chłopaczysko! Dobrze, że poszedł na polowanie, przynajmniej trochę się rozerwie. No, jeśli raz dostaniemy tego zesłańca w nasze ręce, to już nie damy go sobie odebrać.

– Ciszej mów, bosmanie, wprawdzie jesteście tu sami, lecz nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy – ostrzegł Smuga.

– Racja, święta racja! Trudno jednak rozmawiać szeptem w tym hałasie. Dlaczego te zwierzaki tak się tłuką po klatkach? Wściekły się, czy co?!

Bosman przez chwilę uważnie spoglądał na klatki, w których uwięzione były tygrysy. Zwierzęta pomrukiwały głośno i uderzały cielskami o kraty.

– Ładny z ciebie pogromca, bosmanie. Kiepsko grasz swoją rolę, za mało zajmujesz się tygrysami – zauważył Smuga. – Powinieneś okazywać większe zainteresowanie zwierzętami, aby nie wzbudzać podejrzeń agenta. Pamiętaj, że on nas wszystkich bacznie obserwuje!

– Kiepsko gram swoją rolę, to prawda! Niemniej kiepski też był pomysł robić ze mnie pogromcę – oburzył się marynarz. – Wiesz pan przecież, że nie lubię niańczyć bydła!

– Lubisz czy nie lubisz, to twoja rzecz. Teraz nie wolno ci dla własnych upodobań narażać nas na niebezpieczeństwo. Hałasują, bo Tomek na pewno nie dał im świeżej wody do picia.

– Chyba mylisz się pan, wprawdzie nasze chłopaczysko lubi czasem to i owo zmalować,

lecz tygrysy pielęgnuje troskliwie niczym niańka bachory na spacerze w Ogrodzie Saskim.

– Spieszył się na polowanie, to i mógł zapomnieć – pojednawczo rzekł Smuga. – Sprawdź, bosmanie, czy mają wodę!

Marynarz zaraz podszedł do klatek.

– Faktycznie, garnki puste – mruknął pod nosem; porwał wiadro i pobiegł do strumienia.

Wkrótce napełnił wodą miski w dwóch klatkach, przykucnął przed trzecią.

– No, ty przecież masz jeszcze co pić, po jakiego więc diabła tłuczesz się po klatce jak Marek po piekło? – burczał, zaglądając poprzez pręty.

Obserwował rozdrażnione zwierzę. Tygrys niespokojnie wiercił się w klatce, uderzał bokami o ściany i pomrukiwał gniewnie.

– Wpakowałbym ci kawałek ołowiu w łepetynę, to byś się zaraz uspokoił – rzekł bosman.

W tej właśnie chwili tygrys nagłym skokiem rzucił się na kratę. Bosman błyskawicznie się odsunął.

– Można by pomyśleć, że bestia rozumie ludzką mowę – zdziwił się marynarz. – Odsuń się, bo ci nie naleję wody i będziesz tu siedział z wywieszonym do pasa ozorem!

Tygrys nieco cofnął się od kraty. Bosman znów podszedł do klatki, nachylił wiadro, gdy wtem tygrys przyskoczył do miski i uderzył w nią łapą, wylewając resztkę wody na pogromcę. Bosman upuścił wiaderko. Z mokrą twarzą stał pochylony, nie mogąc wymówić ze zdumienia słowa. Tygrys tymczasem wysunął pomiędzy kratami łapę i zaczął odryglowywać skobel zamykający drzwi klatki.

“Pijany jestem albo klepki pomieszały mi się we łbie” – pomyślał bosman, cofając się krok za krokiem.

Tygrys uporał się ze skoblem, pchnął kratę; drzwi stanęły otworem. Pręgowane cielsko wysunęło się z klatki. Bosman wielkim susem dopadł drzewa, na którego sęku zawieszony był karabin, porwał broń, złożył się do strzału i nacisnął spust. Metaliczny szczęk iglicy uderzającej w próżnię ostrzegł go, że broń nie jest nabita.

– Janie, uważaj! – krzyknął odrzucając bezużyteczny karabin. Zaraz też w jego prawej dłoni błysnęło ostrze myśliwskiego noża.

Tygrys nie kwapił się do zaatakowania szaleńczo odważnego łowcy. Wolno uniósł się na tylne łapy i odezwał się ludzkim, dziwnie znajomym bosmanowi głosem:

– Nie pożrę cię, żeglarzu, chociaż kiszki dobrze mi już marsza grają!

Śniada twarz marynarza aż poszarzała z oburzenia. Wyprostował się, wepchnął nóż w pochwę. Spod tygryziej skóry wynurzyła się twarz Tomka.

Bosman przełknął ślinę, po czym syknął:

– Ha, nieźle zabawiliście się moim kosztem!

– Przepraszamy cię, bosmanie, zapewniamy, że to nie był żart – poważnie powiedział Smuga. – Odbyliśmy generalną próbę, czy będzie można ukryć zesłańca w klatce w tygrysiej skórze.

– Wspaniale! Próba się udała! – wołał Tomek zrzucając przebranie. Podbiegł do zdumionego marynarza, uścisnął go, a potem objął Smugę i zapytał:

– Czy jest pan zadowolony?

– Oczywiście, Tomku! – potwierdził Smuga. – Jeśli taki zuch jak nasz bosman dał się wyprowadzić w pole, to możemy uznać, że twój pomysł zdał egzamin.

– Pawłow nie odważy się zbliżyć do klatek – mówił Tomek. – Co innego pan bosman! Skóra cierpła mi na grzbiecie, gdy porwał karabin, a potem wydobył nóż. Nawet prawdziwy tygrys mógłby się przestraszyć.

Czują na pochlebstwa marynarz rozchmurzył się i mruknął:

– No cóż, skoro tak, nie mogę się na was gniewać. Dla uwolnienia naszego nieboraka chętnie nie raz dałbym się wystawić do wiatru. No, pal was sęk! Faktycznie, sztuczka z tygrysem jest pomysłem pierwszej klasy! Zróbmy taką próbę z tą gadziną Pawłowem, a jak amen w pacierzu, szlag go trafi na miejscu! Przez chwilę myślałem, że wszystkie dzikie bydłota uwzięły się dzisiaj na mnie. Ba, żeby nie te dwa bachory niedźwiedzie, to gotów bym pomyśleć, że i ta niedźwiedzica w tajdze była przebrańcem...

– Czy miał pan jakąś przygodę z niedźwiedziami? – zaciekawiał się Tomek.

– Iiii, nic ważnego, drobnostka! Opowiem przy sposobności. Skąd, u licha, wystraszaście tygrysie przebranie?

– Tomek zabił tygrysicę, która wałęsała się w pobliżu obozu, a Nuczi, niby to odprowadzając poranione psy, zabrał ją do domu i oporządził jak należy – wyjaśnił Smuga.

– To pewno było wtedy, gdy strzelałeś nocą w tajdze, a twój szanowny tatuś potem cię ochrzanił – domyślił się bosman. – Do licha, ale w takim razie musiałeś dopuścić Nucziego do tajemnicy. Co będzie, jeśli nas zdradzi?!

– Niech pan się uspokoi, nie wszystko mu powiedziałem. Poza tym to człowiek pewny,[\[39\]](#) nienawidzi caratu.

– Niewątpliwie musi być godny zaufania, skoro Sieroszewski [\[40\]](#) wspominał o nim twemu ojcu – wtrącił Smuga.

– Chyba masz pan rację, ja również znam Sieroszewskiego – pochwalił się bosman. – W Warszawie jeszcze, jako wyrostek, terminowałem na ślusarza w warsztacie kolei warszawsko-wiedeńskiej. Tam właśnie zetknąłem się z Sieroszewskim i niejakim Waryńskim[\[41\]](#), którzy agitowali robotników za socjalizmem. Obydwaj nie mieli chyba więcej jak po osiemnaście lat, a gadali niczym profesorowie. Tęgie to łepetyny i patrioci!

– Dlatego też carat ich prześladował – dodał Tomek. – No, no, ale nie wiedziałem, że

może pan się poszczycić tak wybitnymi znajomymi! Wacław Sieroszewskiz zesłańca stał się pisarzem i zasłużonym badaczem Azji, a Ludwik Waryński, jako założyciel pierwszej polskiej partii robotniczej, zasądzony był na szubienicę wraz z pięcioma towarzyszami.

Bosman smutno pokiwał głową i rzekł:

– Pamiętam dobrze ów proces Proletariatczyków, na którym skazano Waryńskiego. Chociaż wtedy uniknął śmierci, i tak zginął w więzieniu. Za to Sieroszewskiemu się upiekło! Przetrzymał piętnaście lat na Syberii! Nawet czytałem tę jego książkę o Jakutach, za którą car pozwolił mu wrócić do kraju. Ano, skoro Sieroszewski rekomendował ojcu tego Nuczego, to chyba musimy mu zawierzyć.

– Oczywiście i ja wolałbym nie wtajemniczać nikogo obcego w nasze plany, ale w takiej sytuacji pomoc krajowca może znacznie ułatwić wykonanie zadania – powiedział Smuga.

– Gdybyście słyszeli moją rozmowę z Nuczim, nie żywilibyście żadnych obaw. Ja mu wierzę! – żarliwie zapewnił Tomek.

– Nie przeczę, potrafisz wyniuchać sojuszników – wtórował bosman.

– No, koledzy! Dość tej gadaniny! – przerwał dyskusję Smuga. – Nasi mogą niedługo wrócić. Bierzmy się do roboty! Tomku, dobrze ukryj w jukach skórę tygrysa, a ty, bosmanie, pitraś obiad, bo wszyscy jesteśmy głodni.

Wkrótce z kotła zawieszzonego nad ogniskiem unosił się nęcący zapach. Bosman z warząchwią w dłoni dwoił się i troił, jednocześnie zasypując przyjaciół pytaniami.

– Chytrze to obmyśliliście, nie ma co mówić! – perorował z cicha. – Zbyszek ukryty w klatce może udawać tygrysa, ale przecież nawet taki Pawłow połapie się raz dwa, że przybyło nam jedno dzikie bydlę, którego nie schwytaliśmy. Jak mu to wytłumaczymy?

– Pawłow niczego nie spostrzeże, ponieważ po kryjomu wypuścimy na wolność jednego tygrysa – wyjaśnił Tomek.

– Dobra nasza, boję się tylko, czy nieborak wytrzyma w tej skórze. Gotów się udusić w przebraniu.

– Przez jakiś czas musi się pomęczyć – odpowiedział Tomek. – Gdy ukryjemy Zbyszka w klatce, natychmiast zwiniemy obóz i wyruszmy do Chabarowska, tam zaś wynajmiemy dla zwierząt oddzielny wagon towarowy, w którym na zmianę będziemy pełnili dyżury. Nikt obcy do niego nie wejdzie, a tym samym Zbyszek odzyska nieco swobody.

– Prawda, prawda, nie przyszło mi to do głowy – ucieszył się bosman.

– Gdyby zaś w czasie postoju na stacji jakiś ciekawski wtykał nos do nas, to patyczkiem poszturcham prawdziwe tygrysy, żeby się zezłościły, a wtedy na pewno zaraz weźmie nogi za pas.

Czas szybko mijał im na snuciu coraz to fantastyczniejszych pomysłów. W końcu bosman uderzył warząchwią w patelnię i oznajmił, że posiłek jest już przygotowany.

– Coś nasi długo nie wracają – rzekł Tomek, niecierpliwie zerkając na dymiący kocioł.

– Jestem głodny, czy będziemy na nich czekali?

– Twój ojciec i Udadžalaka na pewno umyślnie przeciągają nieobecność w obozie, aby pozostawić nam dosyć czasu na próbę z przebraniem się za tygrysa. Dawaj obiad bosmanie, bo i mnie kiszki marsza grają– odpowiedział Smuga.

– Jedzmy, i to prędko, bo coś mi się wydaje, że wkrótce deszcz zaleje ognisko – przytaknął bosman, niespokojnie spoglądając w niebo. – Oby nasi tylko zdążyli wrócić przed nawałnicą!

– Czy pan wróży burzę? – zaniepokoił się Tomek, rozstawiając blaszane naczynia. – Według mnie nic nie zapowiada zmiany pogody.

– Cóż by tam taki szczur lądowy jak ty mógł wyniuchać? – odparł bosman protekcyjnym tonem. – Zapamiętaj, brachu, że oko i nos majtka potrafią zastąpić najlepszy barometr. Wyczuwam gwałtowną zmianę ciśnienia powietrza. Las zasłania nam widnokrąg i dlatego nie widzimy czarnych chmur gromadzących się szybko na południowym horyzoncie. Nadciąga burza, i to nie byle jaka!

Pospiesznie zjedli fasolową zupę oraz potrawkę z jarząbków z żytnimi sucharami i słoniną, po czym zaczęli sprawdzać liny przytrzymujące płachty namiotów oraz umacniać węzły zaciśnięte na żelaznych kołkach wbitych w ziemię. Potem spędzili konie z łąki, przywiązali je arkanami do wozów, a kotły z jedzeniem wkopali w ziemię w największym namiocie.

Nim minęła godzina, ostry podmuch wiatru uderzył w tajgę i zakołysał wierzchołkami drzew. Trójka przyjaciół co chwila z niepokojem spoglądała w kierunku południowym, skąd powinni nadejść towarzysze. Czy zdążą wrócić przed burzą? W tej części kontynentu azjatyckiego pod koniec lata spotykają się nieraz potężne, ciepłe morskie prądy powietrzne ze słabymi prądami lądowymi, chłodnymi. Wtedy to tworzy się ognisko niskiego ciśnienia, zwane inaczej cyklonem, do którego środka wiatry wieją ze wszystkich stron, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Szczególnie cyklony nadchodzące z południa wywołują gwałtowne ulewy i porywiste wiatry, które wyrządzają wielkie spustoszenia. Niebezpiecznie jest w takim czasie znajdować się w tajdze, ponieważ nieraz pod naporem wichury drzewa padają pokotem na ziemię.

Nagle pociemniało na dworze, chociaż daleko jeszcze było do zachodu słońca. Czarne jak smoła chmury pokryły niebo. Wiatr przybierał na sile.

– Panie Smuga! Przywiążmy klatki z tygrysami do drzew! – zawołał bosman.

– Dlaczego oni tak długo nie wracają? – denerwował się Tomek przygotowując powrozy. – Żeby tylko nie przydarzyło im się coś złego w tajdze podczas burzy!

– Nie obawiaj się, Nuczi jest z nimi, on zaradzi złu – pocieszył go Smuga.

Zaledwie zdążyli umocować klatki, wiatr przyniósł z głębi tajgi odgłosy strzałów.

– To nasi! Uciekają przed nawałnicą, wskażmy im kierunek! – krzyknął Tomek.

Pobiegli donamiotów po karabiny. Po chwili rozbrzmiały trzy salwy jedna po drugiej.



Odpowiedziały im, znacznie już bliższe, strzały w tajdze.

Błyskawica przecięła czerni chmur na nieboskłonie. W blasku jej trzej przyjaciele ujrzeli sforę psów i gromadę jeźdźców wynurzających się z lasu na polanę.

– Gdyby nie Nuczi, nie odnaleźlibyśmy obozu – wołał Wilmowski zeskakując z wierzchowca.

– Nareszcie jesteście, denerwowaliśmy się, że długo nie wracacie – mówił Tomek, pomagając ojcu rozkulbaczyć konia.

Wilmowski ogarnął syna ramieniem, przyłożywszy usta do jego ucha zapytał:

– No, jak wypadła próba z tygrysem?

– Doskonale, tatusiu – odpowiedział chłopiec ściskając ojca. Pierwsze grube krople deszczu spadły na polanę. Głuchy grzmot przetoczył się z południa na północ. Wicher powiał z huraganową mocą. Targnął konarami drzew, chwycił się za bary ze stuletnimi pniami. Naginał je ku ziemi, świszcząc i dysząc z wysiłku; czasem ustawał na chwilę, jakby dla nabrania głębokiego oddechu, by ze wzmożoną furią znów uderzyć na oślep. Dziewicza tajga mężnie stawiała czoło. Korzeniami drzew kurczowo wpijała się w ziemię, a smukłymi, giętkimi wierzchołkami na odlew smagała wicher. Bór napełniły przeciągłe grzmoty, jęklive poświsty, zagłuszane od czasu do czasu triumfalnym wyciem nawałnicy, gdy z dzikim łomotem powalała przeciwnika na ziemię.

Trzy groźne żywioły chyba się sprzysięgły, by zniszczyć tajgę. Wicher rwał ją pazurami, przyginał do poddańczego pokłonu, gwałtowne strumienie deszczu wrywały jej ziemię spod stóp, a pioruny przypiekały żywym ogniem. Tajga drżała pod straszliwymi ciosami, niemal padała na ziemię, lecz po każdym morderczym uderzeniu wciąż dźwigała się z kolan i niezliczonymi ramionami urągliwie wystrzelała w górę ku zagniewanemu niebu.

Była to dla łowców bardzo ciężka, denerwująca noc. Na szczęście puszcza okalająca obóz nieco łagodziła siłę uderzeń wicheru. Mimo to musieli do świtu walczyć o ocalenie swego dobytku, wiatr bowiem rwał namioty, wywracał wozy, porywał sprzęty i rozpraszał zwierzęta.

Dopiero nad samym ranem burza trochę ucichła: wiatr zelżał, a ulewny deszcz przemienił się w kapuśniaczek. Utrudzeni łowcy najpierw doprowadzili do jakiego takiego porządku obóz, potem dopiero udali się na zasłużony odpoczynek.

## KAPITAN NIEKRASOW

Po trzech dniach uciążliwego przedzierania się przez rozmięklą po ulewie tajgę karawana łowiecka dotarła do lewego brzegu Amuru [42], największej rzeki na Rosyjskim Dalekim Wschodzie. Smuga zarządził postój przy małej przystani rzecznej, gdzie statki zatrzymywały się w celu uzupełnienia zapasu drewna opałowego, którym wówczas palono w piecach pod kotłami.

Podróżowanie statkiem było dla łowców dogodniejsze niż jazda wozami złym traktem. Przede wszystkim Umożliwiało rozejrzenie się po okolicy i wybranie nad brzegiem rzeki odpowiedniego miejsca na rozłożenie obozu. Nie nastęczało również trudności w zdobywaniu tygrysom pożywienia oraz paszy dla koni, ponieważ specjalnie wynajęty dla wyprawy statek mógł się zatrzymywać w dowolnym miejscu na żądanie podróżnych.

Przystań rzeczna stanowiła, ułożona na trzech starych łodziach, mała platforma sklecona z desek. Na brzegu obok niej stało kilka nędznych szałasów zbudowanych z płatów cedrowej kory, w których koczowali chińscy robotnicy, trudniący się przygotowaniem oraz, załadunkiem drewna na statki. Przedsiębiorstwa żeglugi rzecznej często musiały sprowadzać z sąsiedniej Mandżurii Chińczyków do wyrębu lasu, gdyż zamieszkali nad Amurem Kozacy szyłkińscy, amurscy i ussurujscy byli bardzo niesumiennymi dostawcami.

Nasi łowcy dowiedzieli się od Chińczyków, że w ciągu następnego dnia spodziewają się przejazdu dwóch statków: w dół rzeki pasażersko-holowniczego i w górę rzeki pocztowo-pasażerskiego. Nie była to zbyt pomyślna wiadomość. Dla celów wyprawy najbardziej nadawał się zwykły parostatek holowniczy, dążący w górę rzeki bez ładunku i pasażerów. Wobec tego postanowili czekać w pobliżu przystani na lepszą okazję.

Nuczi i jego synowie wraz z Udadżalaką przystąpili do prac obozowych, biali łowcy zaś, korzystając z chwili wytchnienia, wdali się w pogawędkę z chińskimi robotnikami.

Kulisi pracowali ciężko od świtu aż do zmierzchu. Ścinali drzewa w pobliskiej tajdze, przepiłowywali je na kłocę o odpowiednich wymiarach, a te z kolei cięli na szczapy, przynosili na wybrzeże obok przystani i załadowywali na przybijające do niej w tym celu parostatki. Aby ciężka, źle opłacana praca przynosiła im jakieś zyski, musieli na własną rękę zdobywać sobie pożywienie. Z tego powodu krótkie chwile odpoczynku spędzali na łowieniu ryb, których, na szczęście dla nadbrzeżnych mieszkańców, żyje w Amurze i jego dopływach aż dziewięćdziesiąt dziewięć gatunków [43].

Dzięki szczodremu Amurowi strawę biednych Chińczyków stanowiły szeroko rozpowszechnione na Syberii: minogi, tajmeny, lenoki, kipienie amurskie, jak również spotykane w Amurze gatunki indyjskie, przede wszystkim spośród karpiowatych – bambuza oraz z sumowatych – kosatka, a także chiński gatunek podzwrotnikowego węzogłowa [44] i żyjące jedynie w Amurze ryby jesiotrowate: jesiotr amurski i kaługa [45].

Mimo to okres sytości przeżywali biedni kulisi jedynie w czasie, gdy ryby łososiowate [46] przyplływały z żerowisk morskich do rzeki na tarło. Wtedy również niemal wszyscy

nadrzeczni mieszkańcy stawali się rybakami. Z Morza Ochockiego keta, a z Morza Japońskiego gorbusza wdzierały się ogromnymi ławicami pod prąd rzeki na odległość od 500 do 1000 kilometrów do tarłisk, położonych w źródłowych odcinkach drobnych strumieni górskich. Wówczas można było łowić je wprost gołymi rękami. Po odbyciu tarła ginęły prawie wszystkie ryby, które przepłynęły w górę rzek, a woda wyrzucała już nieżywe na mielizny, gdzie pokrywane przez namuły rzeczne, przyczyniały się do użyźniania gleby.

W okresie połowu łososi mieszkańcy nadamurscy przygotowywali na zimę zapasy suszonych ryb dla ludzi i psów, które w tych stronach często służyły jako zwierzęta pociągowe. Wtedy w pobliżu osad, na całym wybrzeżu po obydwóch stronach rzeki, spotykało się długie szeregi specjalnie zbudowanych do suszenia ryb "podmostków", obwieszonych połyskliwymi, żółtoróżowymi płatami łososiowego mięsa.

Chińczycy, ubrani w połatanie szafirowe kurtki i spodnie oraz domowego wyrobu kapelusze z kory brzozonej, uprzejmie udzielali wszelkich wyjaśnień, posługując się żargonem rosyjsko-chińskim.

Następny dzień potwierdził relacje kulisów. Jeszcze przed południem przycumował do przystani, płynący w górę rzeki, pocztowo-pasażerski parostatek "Wiera", należący do Kompanii Amurskiego Parochodstwa. Podczas gdy kulisi ładowali drewno, łowcy, zaproszeni przez kapitana na szklaneczkę herbaty z ogniem, jak nazywał herbatę z dolewką araku, weszli na statek.

Na parowcu przy burcie stłoczyli się pasażerowie pokładowi oraz I i II klasy. Znajdowali się wśród nich zamożni kupcy ze Słreteńska i Nerczyńska, wojskowi udający się na urlopy, prości Kozacy, pop rosyjski o długiej, siwej brodzie, korzystający z okazji, by kwestować na swoją cerkiew, dwie żony oficerów z Władywostoku jadące odwiedzić rodziny w Nerczyńsku, kilku Buriatów oraz gromadka Tunguzów i Udehejców obojga płci.

Wszyscy ciekawie spoglądali na obóz łowców dzikich zwierząt, a potem zaproszonych na pokład otoczyli zwartym kołem. Posypały się słowa powitalne i pytania. Tomek wdał się w rozmowę z jednym kupcem z Nerczyńska, lecz Wilmowski szepnął synowi, aby o nic nie pytał. Agent Pawłow pilnie nadstawiał ucha, każde nieostrożne słowo mogło wzbudzić jego podejrzenie. Kapitan Kramer, Niemiec z pochodzenia, mimo woli wybawił łowców z kłopotu, zapraszając ich do swej kajuty. Zasiedli przy podłużnym stole, na którym wnet pojawiły się dwie butelki araku oraz dymiący parą samowar.

Po grzecznościowych powitaniach Kramer zagadnął Wilmowskiego o powód zatrzymania się w tak nędznej przystani. Zaledwie usłyszał wyjaśnienie, klepnął się dłonią w udo i zawołał:

– Macie szczęście, panowie! Zaraz o świcie wyminąłem holownik "Sungasza", wlokący się z dwiema barkami. Kapitan był w nie najlepszym humorze, ponieważ na zlecenie kupca Naszkina jedzie do Streteńska po transport futer, a w tę stronę trafił mu się tylko drobnicowy ładunek konserw rybnych.

Zaledwie Kramer wspomniał nazwisko Naszkina, nasi łowcy, zaintrygowani, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sprytny bosman, chcąc odwrócić uwagę Pawłowa od

rozmowy, szepnął mu coś do ucha. Pawłow poweselał i kiwnął głową, wtedy bosman napełnił jego i swoją szklankę samym arakiem. Wilmowski spostrzegł to zaraz i gdy obydwoj zajęci sobą stukali się szklankami, rzekł:

– Byłby to dla nas naprawdę korzystny zbieg okoliczności. Oby tylko kapitan “Sungaszy” zechciał nas zabrać na swój holownik.

– Zgodzi się na pewno – potwierdził Kramer, pogardliwie wydymając usta. – Tacy jak on potrafią czekać i nigdy się nie spieszą. To były katorżnik. [47]

– Dziękuję za tę informację – odpowiedział Wilmowski. – Łatwiej dojdziemy z nim do porozumienia.

– Ubijecie interes, nie pogardzi zarobkiem – mówił Kramer. – Nikt na Syberii nie odtrąca ręki podsuwającej państwowe papierki ze stemplem bankowym. To kraj wszelkich możliwości i... łapówek. Posmarujesz, pojedziesz!

Wilmowski zamilkł, a do rozmowy wtrącił się Smuga:

– Słyszałem we Władywostoku o Naszkinie. O ile nie mylę się, handluje futrami. Mówiono mi jednak, że mieszka w Nerczyńsku.

– Istotnie, dobrze panu mówiono, mieszka w Nerczyńsku, i to w najokazalszym pałacu, który odkupił od Butina, gdy ten zaczął bankrutować na swoich kopalniach. To syberyjski potentat – wyjaśnił Kramer. – Faktorie Naszkina rozsiane są po całej Wschodniej Syberii. Ma swoją filię również w Streteńsku, gdzie rozpoczyna się i kończy żegluga na Amurze.

– Czort z nim! Zdrowie pana, panie kapitanie – powiedział Smuga, unosząc szklankę.

– Zdrowie miłych gości – zawołał Kramer.

Niebawem opróżnili obydwie butelki araku. Chińczycy ukończyli załadunek drewna, Kramer z żalem żegnał łowców, tłumacząc się, że służba nie drużba, szczególnie na pocztowym parostatku.

– Co innego taka “Sungasza” – mówił, wylewnie ściskając w progu kajuty dłoń bosmana, którego naprawdę uważał na Niemca. – Jej kapitan może poczekać na was dzień, dwa, a nawet i tydzień, jeśli tylko mu się to opłaci. No, życzę pomyślnych łowów.

Goście zeszli na ląd, “Wiera” przy akompaniamencie ryku syreny odbiła od przystani i, sypiąc z komina rozżarzonymi iskrami, wkrótce zniknęła za zakrętem rzeki. Łowcy, korzystając z tego, że Pawłow zainteresował się Chińczykami, przystanęli na uboczu, by swobodniej porozmawiać.

– Głupie Niemczysko udzieliło nam ważnych informacji – zaczął bosman. – Aż mnie w dołku ścisnęło, gdy wspomniał tego Naszkina.

– Szkoda, że nie mogliśmy więcej go wypytać – wtrącił Tomek.

– Świerzbiał mnie język, prawdę mówiąc...

– Nie ma czego żałować – zauważył Smuga. – Naszkin na pewno zatrudnia wielu

pracowników. Wątpię, czy Kramer zainteresowałaby się zesłańcem, który z całą pewnością nie otrzymał ważniejszego stanowiska.

– Masz rację, Janie – rzekł Wilmowski. – Z jakim lekceważeniem mówił o kapitanie “Sungaszy” jako o byłym katorżniku!

– Może od niego dowiemy się więcej – rzekł Tomek.

– Nie radzę zdradzać naszych zainteresowań – powiedział Smuga.

– Sprawdziliśmy już, że Naszkin naprawdę mieszka w Nerczyńsku. To najważniejsza wiadomość. Wchodzimy coraz głębiej wilkowi w gardło. Jedno nie przemyślane posunięcie może się przyczynić do naszej klęski.

– Całkowicie zgadzam się z tobą, Janie. Jesteś dowódcą wyprawy, reszta niech tylko dobrze słucha i... milczy – stanowczo powiedział Wilmowski.

– Zgoda, szanowni koledzy, zgoda – przytaknął bosman. – Na statku nie wtykałem nosa do rozmowy z Niemczyskiem, a tylko zająłem się agenciakiem, żeby wam nie przeszkadzał.

– Przyznaję, bosmanie, że jak na twój temperament, zachowujesz się prawie wzorowo – pochwalił Smuga. – Gdybyś jeszcze zaprzestał przytyków pod adresem Pawłowa, nie miałbym ci nic do zarzucenia.

– Nieraz sam gryzę się w język, ale to ciężka sprawa, bo swędzi mnie ręka na tego drania. Niejednego z naszych musiał wykończyć! Zabawne to, ale ta jego lisia gęba wciąż wydaje mi się jakoś dziwnie znajoma... Widocznie szpicle wszyscy są podobni do siebie, a już napatrzył się człek na nich.

Wilmowski uważniej spojrział na marynarza, zamyślony zmarszczył czoło, lecz nie odezwał się ani słowem. On również odnosił wrażenie, że skądś zna tego agenta.

W dwie godziny później pasażersko-holowniczy statek “Onon” przybił do przystani.

Chińczycy, tak jak poprzednio, szybko załadowali drewno, po czym “Onon” popłynął w dół rzeki.

Na próżno łowcy wypatrywali zapowiedzianej “Sungaszy”. Zapadł wieczór. Kulisi nałowili ryb, upiekli je na kamieniach w ognisku, zjedli, wykąpali się w rzece i zniknęli na noc w szałasach. Tylko dwaj starcy pozostali na straży.

Krótko po świcie kulisi pilnujący ognisk zbudzili swoich towarzyszy. “Sungasza” zbliżała się do przystani. Łowcy, naprędce narzuciwszy na siebie ubrania, wybiegli na wybrzeże.

Po rzece płynął stary, dwumasztowy holownik typu amerykańskiego, o długiej i wysokiej nadbudówce piętrzącej się nad pokładem, przystosowany do bocznego holowania. Ciągnął na holu dwie barki złączone ze sobą bokami. Dopiero w pobliżu przystani zmniejszył szybkość, by zluzować napięcie liny holowniczej, a następnie uwolnił ją z haka umieszczonego na śródkręciu.



Opuszczone przez holownik barki nieporadnie utknęły na środku rzeki, lecz zanim prąd zaczął je znosić, "Sungasza", prując całą parą, zgrabnie zatoczyła koło i bokiem przysunęła się do nich. Kilku ludzi przeskoczyło przez niską burtę holownika. Po krótkiej chwili "Sungasza" z przymocowanymi do swego boku barkami zaczęła podpływać do brzegu.

Bosman okiem znawcy obserwował zręczne manewry holownika; z uznaniem kiwnął głową.

– Zuch kapitan, jak na byłego katorżnika nieźle sobie radzi! – pochwalił. – No, ale Kramer nie zełgał, bo sądząc po małym zanurzeniu, obydwie barki zapewne świecą pustkami.

– Tym lepiej dla nas – wtrącił Wilmowski. – Janie, ty chyba będziesz pertraktował z kapitanem?

– Dobrze, pogadam z nim – przytaknął Smuga.

Holownik tymczasem wolno dobijał do przystani. Marynarze, półnagie chłopiska, zrzucili cumy na ląd. Kulisi sprawnie umocowali je na palach. W oknie pomostu nawigacyjnego ukazał się mężczyzna o twarzy okolonej złotawym zarostem. Z trudem precyzyjnie swe szerokie bary przez iluminator i oparł się łokciami o parapet.

Kulisi chóralnie pozdrowili go w żargonie rosyjsko-chińskim. Kapitan poważnie skinął głową na powitanie.

– No, jak tam chłopcy, przygotowaliście drewno? Możecie przystąpić do ładowania? – zagadnął po rosyjsku.

– Już ładujemy, kapitanie, już ładujemy! – chóralnie odkrzyknęli kulisi.

– No, to bierzcie się do roboty! – zawołał kapitan, śląc Chińczykom przyjazny uśmiech.

Smuga wszedł na pomost przystani, uchylił skórzanej czapki obszytej futerkiem.

– Dzień dobry kapitanie, czy moglibyśmy z panem porozmawiać w pewnej sprawie? – zapytał.

Kapitan niedbałym ruchem uniósł prawą dłoń do daszka ceratowej czapki; byстрыm spojrzeniem zmierzył Smugę, przyjrzał się grupce mężczyzn stojących nie opodal. Dopiero po dłuższej chwili odparł po rosyjsku:

– Czy tylko pan ma do mnie interes, czy też i ci panowie również?

– Sprawa dotyczy nas wszystkich – wyjaśnił Smuga.

– Dobrze, wobec tego zejść do panów.

Znikł w oknie pomostu, zaraz jednak jego olbrzymia postać pojawiła się na drabince. Wolno zszedł na pokład, a potem niespodziewanie zwinnym skokiem przesadził nadburcie. Stał na pomoście.

– Słucham pana – powiedział.

Smuga poprowadził go ku towarzyszom.

– Oto pan Brown, obywatel agnielski, preparator skór zwierzęcych – mówił wskazując Wilmowskiego. – Nasz młody towarzysz to Tomasz Wilmowski, pochodzi z Warszawy, jest podróżnikiem i łowcą, a to pan Broł z Niemiec, pogromca zwierząt. Jesteśmy na wyprawie łowieckiej zorganizowanej przez przedsiębiorstwo Hagenbecka. Oprócz nas uczestniczy w niej strzelec z Indii, pan Udadžalaka, czterech tropicieli z plemienia Goldów i... jeszcze jeden pan, pan Pawłow, przydzielony nam jako opiekun tej wyprawy przez isprawnika w Chabarowsku.

– Miło mi poznać tak międzynarodowe towarzystwo – odparł kapitan nie wymieniając swego nazwiska. – Czym mogę panom służyć?

– Chcemy zaproponować przewiezienie naszej wyprawy w okolice Błagowieszczęńska, gdzie mamy zamiar zebrać kolekcję ptaków.

– Hm, kłopotliwy ładunek... Tygrysy, konie, psy, wozy, ludzie i... pan Pawłow – głośno mówił kapitan, niby to do siebie, rozglądając się po obozie.

– Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie sprawiać panu zbyt wielu kłopotów – wtrącił Wilmowski.

– Niestety, nie mógłbym wszystkich panów pomieścić w kajutach na “Sungaszy” – powiedział kapitan.

– To nic nie szkodzi, część nas musi przebywać na barkach przy zwierzętach – uprzejmie dodał Smuga.

– Hm, muszę się zastanowić nad tą propozycją – z wyraźną niechęcią w głosie rzekł kapitan.

Bosman, zniecierpliwiony, przysunął się do Smugi i dość głośno mruknął po polsku:

– Gdybym miał takiego pyszałka na swojej krypie, raz dwa wylądowałby za burtą. Zacznij pan gadać o forsie, to mu się zaraz oczy zaświecą!

– Nie wtrącaj się, bosmanie – szepnął Wilmowski.

Kapitan “Sungaszy” stał zamyślony z lekko pochyloną na piersi głową. Nagle spojrzał bosmanowi prosto w oczy, podszedł do niego tak blisko, że własną pierś niemal oparł się o jego pierś.

– Czy w Niemczech panują takie zwyczaje, że bosman wyrzuca za burtę kapitana? – zaczępnie zapytał po polsku. – Nie poszłoby ci ze mną tak łatwo!

– Nie wódź mnie, brachu, na pokuszenie – warknął bosman prosto w twarz kapitanowi.

Ten zaś parsknął śmiechem i zawołał:

– No, nareszcie dogadaliśmy się! Niemiec i Anglik mówią po polsku. Nadzwyczaj ciekawe towarzystwo, nie dziwię się, że isprawnik dodał panom swego szpicla! Skoro

jednak pan Brol, pogromca zwierząt czy też bosman, uparł się wyrzucić mnie za burzę, muszę mu dać ku temu okazję. Ładujcie, panowie, swój tabor na barki. Skoro jesteście Polakami, to jakoś się pomieścimy, a paszporty mnie nie interesują. O zapłacie pomówimy później!

– Dziękujemy panu, panie... przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska... – zauważył Smuga przytrzymując kapitana za ramię.

Kapitan spowaźniał, przymrużył oczy i zaczepnie odparł:

– Anastazy Niekrasow, były marynarz floty bałtyckiej, skazany na piętnaście lat katorgi za przemykanie nielegalnych wydawnictw studentom w Petersburgu. Czy potrzebne dalsze rekomendacje? Na katordze w Karze przebywałem z Konem, Rechniewskim, Mańkowskim, Dulębą i Lurą[48].

– Nie pytaliśmy o rekomendacje, kapitanie! Czy to na katordze nauczył się pan tak dobrze mówić po polsku? – spokojnie powiedział Wilmowski.

– Nie, polski znałem już przedtem – odparł kapitan i jak gdyby nagle zapomniał polskiej mowy, zaczął po rosyjsku omawiać szczegóły załadunku taboru wyprawy na barki.

Do grupy rozmawiających przybliżyli się Goldowie, w końcu jeszcze zaspany wysunął się z namiotu Pawłow. Niekrasow powitał go przyłożeniem dłoni do daszka czapki, widocznie nie dostrzegł wyciągniętej ku sobie ręki, ponieważ odwrócił się na pięcie i zaproponował łowcom obejrzenie statku.

## NA AMURSKIM STATKU

Podczas żeglugi Amurem łowcy nie naprzykrzali się kapitanowi “Sungaszy”. Dnie były pogodne i ciepłe. Dzięki temu mogli spędzać większość czasu pod gołym niebem na barkach przy zwierzętach. Tylko w porze obiadowej wszyscy gromadzili się w mesie [49] na wspólny posiłek, lecz wówczas przeważnie prowadzono grzecznościowe rozmowy w języku rosyjskim.

Niekrasow zachowywał się uprzejmie, trochę wyniośle, nie wciągał pasażerów w pogawędki, o nic nikogo nie pytał. Jedynie w stosunku do Pawłowa okazywał wyraźną niechęć, gdy zaś czasem nie udało mu się go wyminąć, zaraz mroził agenta zimnym spojrzeniem.

Łowcy obserwowali kapitana. Wszystko świadczyło o tym, że był to rewolucjonista zahartowany w walce z caryzmem. Postępowaniem swoim budził zaufanie. Nawet Nuczi, który przecież nienawidził Rosjanina Pawłowa, o Niekrasowie mówił: “Kapitan dobre oko, swój człowiek”.

Powściągliwość Niekrasowa była łowcom bardzo na rękę. W innej sytuacji na pewno nawiązaliby z nim bliższą znajomość, ale na tej ryzykownej wyprawie woleli unikać osób podejrzanych dla policji. Agent Pawłow nieustannie wodził wzrokiem za kapitanem, pilnie nadstawiał ucha. Na polecenie Smugi, wierny Udadzałaka w dalszym ciągu śledził każdy krok agenta, toteż łowcy mogli się nie obawiać, że zostaną zaskoczeni.

“Sungasza” wolno płynęła w górę rzeki. Stan wody był wysoki, jak to zwykle tu bywa w lecie w okresie deszczów monsunowych. Brzegi stawały się coraz bardziej urwiste, aż w końcu skaliste góry przesłoniły horyzont. W tej właśnie okolicy Amur przełamywał się przez pasmo Gór Burejskich, które po prawej stronie rzeki, już w Mandżurii, przybierały nazwę Małego Chinganu. Holownik wpłynął w kręty kanał. Prąd wody stawał się coraz silniejszy.

Groźne, a zarazem malownicze skały czasem wyrastały wprost przed statkiem, ale sterowana wprawną dłonią “Sungasza” odważnie brała ostre zakręty.

Kapitan Niekrasow czuwał przy sterze na pomoście nawigacyjnym. Z wygasłą fajką opuszczoną z ust na brodę, spokojnym wzrokiem spoglądał po urwistych, lesistych wybrzeżach, jakby widział je po raz pierwszy. Biali łowcy również nie opuszczali pokładów barek, urzekał ich ten uroczy syberyjski kraj, którego sama nazwa przedtem wywoływała w nich uczucie grozy.

Za skalistym łańcuchem górskim dolina Amuru była znacznie szersza. Pojedyncze pasma gór odsunęły się od rzeki, a napotykanne od czasu do czasu nadbrzeżne skały przypominały wyglądem ruiny zamczysk. Znacznie już spokojniejszy nurt wody, zazwyczaj przejrzystej, mętniał przy ujściach dopływów, przynoszących dużą ilość zawiesin. Zapewne dlatego też rzekę nazwano Amurem, czyli Czarną wodą.

Czas mijał... Holownik wciąż piał się w górę rzeki. Coraz bardziej jednostajny, równinny step, urozmaicony tu i ówdzie świerkami oraz karłowatymi sosnami, przywodził

na myśl bliskość Błagowieszczeńska. Tam rezydował gubernator Wschodniej Syberii, w którego kancelarii łowcy musieli załatwić formalności policyjne, umożliwiające dalszą podróż po kraju. Z tego powodu, na prośbę Smugi, kapitan Niekrasow zgodził się na dłuższy postój w Błagowieszczeńsku.

O dzień drogi od miasta łowcy postanowili urządzać małe przyjęcie na cześć kapitana. Niekrasow nie tylko wyraził na to zgodę, lecz nawet oddał do ich dyspozycji swego kucharza. Oczywiście bosman, jako znany smakosz, ujął ster przygotowań w swoje fachowe dłonie. Od samego ranka szperał w jukach, a około południa przeniósł się do kuchni z koszem pełnym rozmaitych zapasów. Jedyne Tomek, obdarzony jak zwykle specjalnymi łaskami bosmana, został dopuszczony do nęcących podniebienie przygotowań.

O zmierzchu kapitan zakotwiczył statek w pobliżu wybrzeża, cała załoga oraz pasażerowie zebrali się w mesie. Niekrasow nie szczędził starań, by wytworzyć jak najprzyjemniejszy nastrój, ale wszelkie jego wysiłki nie odnosiły pożądanego skutku. Lisio przebiegła twarz Pawłowa oraz jego niespokojne oczy, spoglądające spode łba na rozmawiających, odbierały wszystkim apetyty i humor. Zniechęcony tym Niekrasow zamilkł w końcu i siedział nachmurzony.

Bosman Nowicki był tego wieczoru bardzo markotny. Przez cały dzień starał się wznieść na najwyższy szczyt sztuki kulinarnej, lecz wszystkie jego trudy nie przyniosły pożądanego rezultatu. Wspólny obiad bardziej przypominał stypę pogrzebową niż wesołą biesiadę. Na domiar złego, dziwnym zrządzeniem losu, Niekrasow posadził go przy stole obok Pawłowa. Wprawdzie z drugiej strony marynarza siedział Tomek, ale i tak przecież nie mogli swobodnie rozmawiać. Zerkali tylko na siebie porozumiewawczo i, jak reszta gości, jedynie od czasu do czasu rzucali jakieś zdawkowe słowo.

Tomek siedział znudzony, aczkolwiek przedtem cieszył się z owego wieczornego spotkania. Miał nadzieję, że mile pogawędzą z Niekrasowem, a tymczasem... Zaledwie obiad dobiegł końca, załoga "Sungaszy", Goldowie i Udadzałaka przenieśli się na pokład holownika.

– Ci przynajmniej teraz będą mogli swobodnie pogadać – mruknął bosman do Tomka.

Tomek kiwnął głową. Rozmyślał nad czymś, aż w końcu nieznacznie szturchnął przyjaciela w łokieć i szepnął:

– Do licha, niech pan częściej napełnia kieliszek Pawłowa!

– Zwariowałeś? Szkoda gorzałki! – oburzył się bosman.

– Niech pan mu dogodzi, wtedy wyniesie się stąd!

– Ba, kiedy on sprytny! Ledwo jęzor macza w kieliszku...

– Trzeba zmusić go do picia; niech pan słucha... – pochylił się ku bosmanowi, ten zaś najpierw poczerwieniał z oburzenia, a potem poweselał. Zgodnie kiwnął głową.

Po chwili chrząknął głośno; wszyscy zaciekawieni spojrzeli w jego stronę.



– Siedzimy z nosami zwieszonymi na kwintę, bo każdy z nas poczuwa się do ciężkiego grzechu – zagał.

Pawłow poruszył się tak gwałtownie, że omal nie zrzucił talerza na podłogę. Wzrokiem przylgnął do ust mówiącego, aby nie uronić ani jednego słowa. Wyraźny niepokój odmalował się na twarzach Smugi i Wilmowskiego, Niekrasow zaś zdumiony spoglądał niepewnie.

– A tak, szanowni panowie, nagrzeszyliśmy, ale lepiej wyznać swe winy i... naprawić błędy – perorował marynarz.

– Upił się po raz pierwszy w życiu – szepnął zdenerwowany Wilmowski.

– Prędzej oszalał – syknął Smuga.

Tylko Tomek spokojnie przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, zerkając na biesiadników. Bosman tymczasem ciągnął dalej:

– Tak, tak, zapomnieliśmy, że co boskie należy oddać Bogu, a co cesarskie cesarzowi! Musimy natychmiast odrobić karygodne zaniedbanie! Wznoszę toast za zdrowie cara Mikołaja II[50].

Gdyby grom niespodziewanie uderzył w statek, nie wywołałby większego wrażenia niż toast wzniesiony przez bosmana. Wilmowski pobladł z gniewu, Niekrasow pogardliwie wzruszył ramionami, natomiast Pawłow przestraszył się nie na żarty, że ten zawałidroga wytknął mu tak poważne niedopatrzenie. Smuga, zgorszony w pierwszej chwili postępkami bosmana, teraz spojrzał na Tomka. Dostrzegł błysk wesołości czający się w jego oczach, natychmiast zrozumiał wszystko.

Bosman powstał, ujął karafkę. Kolejno napełniał kieliszki. Już pochylił się nad stołem przy Pawłowie, gdy naraz wstrzymał rękę w połowie drogi i rzekł:

– Właściwie pan zawiniłeś najwięcej, boś urzędowa osoba.

Pawłow przygarbił się, poszarzał na twarzy, a bosman uradowany jego zmieszaniem ciągnął:

– Bardziej zgrzeszyłeś niż my, cywile, ale nie martw się pan. Nadrobimy karygodne zaniedbanie większym naczyniem.

Mówiąc to odstawił swój i Pawłowa kieliszek, podsuwając na ich miejsce szklaneczki do wody. Napełnił je po brzegi.

– Wszyscy piją do dna! – zawołał.

Pawłow poderwał się gorliwie; stojąc spełnił toast. Zaledwie usiadł, nieubłagany bosman znów przemówił:

– Nie możemy obrażać szanownej małżonki cara. Nalewaj pan, panie Pawłow!

Wkrótce potem przyszła kolej na każde z carskich dzieci, rodziców cara, rodziców carowej, aż Pawłow, stukając się z bosmanem szklaneczkami przy każdym toaście, w

końcu całym ciężarem już bezwładnego ciała ciężko opadł na fotel.

Bosman popatrzył na niego krytycznym wzrokiem, po czym jeszcze raz napełnił szklanki.

– Panie Pawłowie, pijemy zdrowie twojego szefa, ministra spraw wewnętrznych – zawołał.

Pawłowie chwiał się. Coś mamrotał nieprzytomnie. Bosman silnie potrząsnął go za ramiona.

– Zdrowie ministra policji, słyszysz?! – krzyknął.

Pawłowie bezwładnie opadł na oparcie fotela. Głowę zwiesił na piersi, spał w najlepsze. Bosman zarechotał basem:

– Ale go wykończyła carska rodzinka! Nawet swego ministra zlekceważył! Jak amen w pacierzu złożę na niego skargę na ręce gubernatora w Błagowieszczeńsku. Skoro jednak drań już śpi, to pozwolę sobie zmienić toast. Niech żyje rewolucja!

Wszyscy powstali i wypili do dna. Bosman wygodnie rozparł się w fotelu, nabił fajkę tytoniem, po czym zwrócił się do Niekrasowa:

– Dokończ pan mego dzieła i każ ludziom wynieść tego pijaczynę! Do rana mamy spokój!

– A niech cię diabli porwą, niedźwiedziu! – do łez śmiał się Niekrasow. – Pójdź, niech cię uściskam! Zawsze mi się zdawało, że mam mocną głowę do szklanicy, ale tobie nie sprodam!

– Iii, to była tylko drobna zaprawka. Niech Tomek opowie, jak podczas ostatniej wyprawy grałem na pełne kieliszki w Chotanie z jednym Chińczykiem<sup>[51]</sup>. Tamten to miał łepetynę!

– Zaraz spokojnie pogadamy – śmiał się Niekrasow. Wyjrzał przez iluminator i klasnął w dłonie: – Hej, Iwan, chodź tu na chwilę!

Marynarz wsunął się do mesy.

– Zamknij gdzie tego szpicla! Niech śpi do rana i nie odbiera nam humoru – rozkazał kapitan.

Iwan przerzucił sobie przez ramię Pawłowa; znikł z nim tak cicho, jak przyszedł.

Zacząła się miła pogawędka. Niekrasow ciekaw był przygód podróżniczych swoich gości, więc na przemian opowiadali bardziej interesujące przeżycia, a on uważnie słuchał i wciąż zasypywał ich nowymi pytaniami. Bosmanowi wprost nie zamykały się usta. Umiał mówić ciekawie i dowcipnie. Właśnie odstawił do kredensu trzecią opróżnioną z rumu butelkę i biorąc z półki nową, zagadnął Niekrasowa:

– Do stu gnijących na mieliźnie wielorybów! Widać, że kochasz pan prawdziwą przygodę, po jakiego więc diabła po wyjściu z ciupy utknąłeś na tym holowniku, zamiast

ruszyć w świat?

– Nie pierwszy zadałeś mi to pytanie – odparł Niekrasow uśmiechając się melancholijnie.

Napił się rumu, zapalił fajkę, po czym dopiero zaczął mówić jakby do siebie:

– Nie było jeszcze wtedy kolei transsyberyjskiej... Wraz z grupą innych skazańców, skuty kajdanami i z połową głowy ogoloną, pieszo przekroczyłem Ural. Trudno sobie wyobrazić, co działo się w duszach więźniów gnanych na Sybir na widok wielkiego słupa granicznego, na którego jednej stronie widniała tablica z herbem prowincji Permu, a na drugiej – azjatyckiego Tobolska. Niektórzy płakali, inni całowali rodzinną ziemię bądź zabierali jej okruch ze sobą na poniewierkę.

Nie rozczulałem się nad swoim losem. Byłem na wszystko przygotowany. Odczytałem niektóre napisy wryte na granicznym słupie. Były wśród nich znajome nazwiska... Na komendę: “Formować szeregi” podniosłem tułaczy worek, nie obejrzawszy się za siebie, ruszyłem ku przeznaczeniu.

Potem poznałem wiecznie zatłoczone skazańcami więzienia etapowe o drewnianych pryzkach, po których snuło się robactwo. Zmieniali się to przekupni, to znów służbiści żołnierze eskortujący konwój, a my wciąż szliśmy na wschód. Trwało to całe miesiące. Zmęczeni, wyczerpani mijaliśmy wsie i miasteczka...

Czy znacie pieśń błagalną<sup>[52]</sup>, śpiewaną przeważnie przez więźniów pospolitych, gdy przechodzą przez osadę? – zapytał Niekrasow.

Nie czekając na odpowiedź, ni to śpiewał, ni mówił:

*Zlitujcie się nad nami, ojczulkowie!*

*Pamiętajcie o znużonych wędrowcach!*

*Pamiętajcie o biednych więźniach!*

*Nakarmcie nas i pomóżcie nam, ojczulkowie!*

*Miejcie dla nas współczucie, ojczulkowie!*

*Zlitujcie się nad nami, mateczki!*

*Na Chrystusa, miejcie litość*

*Nad uwięzionymi!*

*Poza murami i kratami,*

*Za zamkami żelaznymi*

*Musimy marnieć.*

*Rozłączeni z ojcem i matką,*

*Rozłączeni z bratem i przyjacielem,*

*Jesteśmy więźniami.*

*Zlitujcie się nad nami, ojczulkuwie!*

Przykre wspomnienia pokryły twarz Niekrasowa chmurą zadumy, umilkł na chwilę. Potem znów mówił:

– Nędza życia skazańców niezrozumiała jest dla tych, co nie słyszeli tej pieśni, na wpeł śpiewanej, na wpeł wolno mówionej przez setki głosów przy wtórze złowrogiemu szczękowi kajdan.

Podczas długiej, uciążliwej wędrówki oraz wskutek niezwykle złych warunków na postojach wielu skazańców zapadało na różne choroby i umierało. Szły z nimi również więźniarki i żony niektórych zesłańców, dobrowolnie towarzyszące swoim nieszczęsnym mężom.

W końcu dotarłem do Kary. Wspomniałem już kiedyś, że spotkałem tam kilku Polaków. Zmusili mnie do szczerego podziwu... Od pierwszego dnia zesłania zastanawiali się nad ucieczką i powrotem do swego kraju. Brali udział w protestach, spiskach, buntach, próbowali ucieczki, chociaż za to groziła jeszcze srozsza kara lub śmierć. Moja buntownicza natura wyczuwała w nich bratnią duszę. Wielu z nas szanowało polskich towarzyszy niedoli. Toteż pośród pieśni najrozmaitszych narodowości, śpiewanych przez więźniów, dużo było polskich[53]. Niektóre z nich przetłumaczono nawet na rosyjski.

Niekrasow przerwał, kilka razy pyknął z fajeczki, z czego skorzystał Tomek i zapytał:

– Czy pamięta pan może którąś z tych polskich pieśni?

Kapitan wolno skinął głową.

– Bardzo proszę, niech pan ją nam zanuci – szepnął Tomek, głęboko wzruszony opowiadaniem byłego zesłańca.

Niekrasow zdjął zawieszoną na ścianie bałajkę[54], z powrotem usiadł w fotelu, uderzył w struny...

W cichy, wysrebrzony blaskiem księżycy step nadamurski popłynęła pieśń nierozzerwalnie związana z tragiczną historią polskiego narodu:

*Boże, czto Polszu rodimuju naszu Cholii,*

*lelejal stoi dołgije gody,*

*Nynie k tiebie my woznosim molenije*

*Daj nam swobodu, poszli izbawlenije...*

Długo potem trwało wymowniejsze od słów milczenie...

– To i nasze “Boże, coś Polskę” śpiewaliście w Karze? – szepnął bosman, osuszając oczy chustką.

– Śpiewaliśmy. Szczególnie porywały nas pieśni wyrażające tęsknotę za wolnością i rewolucyjne. Wielu z nas knuło plany ucieczki i buntu, a czy wiecie, kto był dla nas

wzorem? Wasz rodak, Beniowski[55], były konfederat barski!

– Czyż to możliwe?! Nasz Beniowski prysnął stąd przeszło sto lat temu! – zdumiał się bosman.

– Tak, to prawda, ale jego głośna wówczas na cały świat ucieczka znalazła przede wszystkim żywy oddźwięk na Syberii. Wielu skazańców chciało go naśladować. Potem często rodziły się fantastyczne plany buntu.

– Faktycznie, miał on łepetynę nie od parady. Nieźle wystawił do wiatru swoich gnębicieli – z uznaniem wtrącił bosman. – Masz pan rację, że słuchanie takich historii podnosi na duchu...

– Czytałem w Anglii pamiętniki Beniowskiego, ale tak bardzo chciałbym jeszcze raz usłyszeć od pana o jego ucieczce – poprosił Tomek. – Przepadam za takimi opowieściami...

– Przyłączam się do prośby – gorąco poparł Tomka bosman. – Zwilż pan gardło, słuchamy!

Napełnił rumem szklaneczkę Niekrasowa. Kapitan nie dał się długo prosić, zakurzył fajkę i zaczął mówić:

– Beniowski po dostaniu się do niewoli od razu zaczął przemyśliwać o ucieczce. Zaledwie przywieziono go do Kazania, nawiązał kontakt z Tatarami oraz przebywającą tam szlachtą, przy pomocy których chciał wywołać zbrojne powstanie i w ten sposób ułatwić sobie odzyskanie wolności. Spisek wydał ktoś przedwcześnie. Na szczęście Beniowski w porę wyjechał do Petersburga. Tam wkrótce opracował nowy plan ucieczki, tym razem na statku holenderskim. Niestety, jego zamiary znów się pokrzyżowały, zdradził go bowiem kapitan statku. Oberpolicmajster Cziczerin aresztował Beniowskiego. Osadzono go w twierdzy, a potem oddano pod sąd. Jako niebezpieczny przestępca polityczny został skazany na wygnanie do Bolszerecka na Kamczatce.

Po przybyciu na miejsce zesłania był początkowo pilnie strzeżony. Mimo to nie zaniechał planów oswobodzenia się z niewoli. Wkrótce pozyskał zaufanie gubernatora Nilowa. Zaczął uczyć jego córkę, Afanazję. Dzięki temu mógł ponawiać kontakty z wybitniejszymi mieszkańcami półwyspu, którzy zaproponowali mu założenie szkoły. Ale zesłaniec nie o tym myślał. Zawierał znajomości z oficerami i urzędnikami, a szczęśliwą grą w szachy zyskał nawet nieco pieniędzy.

W jego niespokojnym umyśle wnet zrodził się nowy pomysł ucieczki. Zjednął dla swoich planów niejakiego Krustjewa oraz przebywającego od piętnastu lat na zesłaniu Kazimierza Bielskiego, byłego polskiego starostę. Przy ich pomocy zorganizował spisek, który niebawem objął szerokie kręgi. Potajemną działalność ułatwił Beniowskiemu jego zażyły stosunek z domem gubernatora, albowiem młoda Afanazja zakochała się w nim bez pamięci. Beniowski, zmuszony koniecznością, zataił przed nią na jakiś czas, że jest już żonaty. Niełaska gubernatora udaremniłaby jego szeroko zakrojone plany. Zamierzał opanować okręt w porcie, by na nim odpłynąć z Kamczatki. Sprzysiężenie zostało jednak



odkryte. Przedsiębiorczy Beniowski nie dał mimo to za wygraną! Podjął walkę. Gubernator Nilów zginął. Beniowski przy pomocy swoich zaufanych otoczył cerkiew, w której akurat znajdowały się rodziny rosyjskich dostojników zamieszkałych w Bolszerecku, i zagroził im spaleniem, jeśli żołnierze rosyjscy nie złożą broni. W ten sposób zawładnął stolicą Kamczatki.

Z kolei, zajmwszy uprzednio upatrzony okręt, zgromadził na nim zapasy z magazynów Bolszerecka, wywiesił banderę polską i oddawszy dwadzieścia honorowych strażów armatnich, odpłynął z towarzyszami. Razem z Beniowskim uciekła również Afanazja, która nawet wtedy, gdy wyznał jej, że nie może zostać jego żoną, pragnęła towarzyszyć mu jako przybrana córka.

– A cóż się potem stało z tą nieszczęsną dzierlatką? – zagadnął bosman.

– Zmarła podczas podróży na morzu – wyjaśnił Niekrasow, nabijając fajkę tytoniem.

– Hm, naprawdę mi jej żal – zauważył bosman. – Ale nasza Sally również poleciałaby za Tomkiem na koniec świata!

– Czy on mówi o pana narzeczonej? – zaciekał się Niekrasow. – Sądząc po brzmieniu imienia, chyba nie jest Polką?

– Nie jesteśmy narzeczonymi, chociaż... bardzo się lubimy – odparł Tomek z lekkim rumieńcem na twarzy. – To Australijka, studiuje w Anglii. Ale nie wyjaśnił nam pan jeszcze, dlaczego pan pozostał na Syberii...

– Po tym, co usłyszałem, na pewno mnie pan zrozumie – odpowiedział Niekrasow, uśmiechając się do Tomka. – A więc początkowo w Karze wciąż marzyłem, aby na wzór Beniowskiego zdobyć statek i uciec z Rosji carskiej. Później wszakże zaniechałem myśli o ucieczce. Przebywałem z wielu rewolucjonistami. Dzięki nim zrozumiałem, że będę tutaj potrzebny, gdy nadejdzie pora do działania. Po odbyciu kary ożeniłem się ze studentką z Kijowa, skazaną na osiedlenie na Syberii. Mieszkamy w Chabarowsku. Żona stale przebywa tam z dwojgiem dzieci, a ja pozostaję z nimi, gdy zimowe lody skuwają Amur na kilka miesięcy.

– Baba dla marynarza jest jak kotwica dla okrętu – mruknął bosman, a głośno dodał: – Nie martw się pan, i dla nas słońeczko zaświeci. Robotnicy burzą się wszędzie, a brać marynarska im sekunduje. Koleżki z “Potiomkina” już pokazali w Odessie pazury[56].

– W każdym razie nie tak całkowicie zarzucił pan myśl o opanowaniu statku. Przecież dowodzi pan “Sungaszą” – wmieszał się do rozmowy Wilmowski, pragnąc zmienić temat zbyt drażliwej rozmowy.

Kapitan Niekrasow uśmiechnął się i dodał:

– Może panów to zacieka, ten holownik jest własnością kilku Polaków zamieszkałych w Harbinie [57] w Mandżurii. Brali oni udział w pierwszej ekspedycji technicznej, wysłanej przez Rosję w celu wytyczenia linii obecnej kolei Wschodnio-Chińskiej łączącej Czytę w Kraju Zabajkalskim z Władywostokiem nad Oceanem

Spokojnym. Przez jakiś czas również pracowałem przy budowie kolei, wtedy właśnie poznałem moich obecnych współników.

– Rzeczywiście przyjemny to dla nas zbieg okoliczności – przyznał Wilmowski. – Znałem pierwszego wiceprezesa kolei Wschodnio-Chińskiej, inżyniera Stanisława Kierbedzia. To bardzo zdolny budowniczy. Jego dziełem jest pierwszy most stalowy na Newie w Petersburgu oraz most na Wiśle w Warszawie, nazywany mostem Kierbedzia.

– Słyszałem o tym Polaku, natomiast osobiście stykałem się z inżynierem Adamem Szydłowskim, pod którego kierownictwem w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym wyznaczono miejsce na założenie Harbina. Dzisiaj jest to już spore osiedle. Mieszka w nim większość Polaków osiadłych w Mandżurii.

– Z tego co mówicie, szanowni panowie, wynika, że Polacy znacznie przyczynili się do wybudowania tej kolei – mile zdumiał się bosman.

– A czy Polacy nie brali również udziału w badaniu nawet najmniej dostępnych zakątków Syberii? – wtrącił Tomek. – Wiele tu pozostawili po sobie niezatartych pamiątek.

W tej chwili gdzieś w głębi statku rozległo się głucho dudnienie i przenikliwe krzyki.

– Cóż to takiego? Co tam się dzieje? – zaniepokoił się Smuga.

– Do licha, ktoś woła o pomoc! – dodał bosman.

– Iwan, Iwan! Przyjdź tu na chwilę! – krzyknął kapitan nie ruszając się z fotela.

Marynarz przystanął w progu.

– Co zrobiłeś z tym urzniętym szpiclem? – niedbałym głosem zagadnął Niekrasow.

– To, co pan kapitan rozkazał – dobrodusznie odpowiedział Iwan. – Zamknąłem go, żeby się wyspał i nie przeszkadzał. Widocznie wytrzeźwiał już, bo wrzeszczy...

– A gdzie go zamknąłeś? – flegmatycznie pytał Niekrasow.

– W karczerze[58], bo gdzie indziej nie ma kluczy.

Niekrasow parsknął śmiechem.

– To wypuść go teraz! – polecił. – Na pewno szczury okrętowe dały mu się we znaki. Zjedzą go jeszcze i będziemy mieli kłopot.

– Według rozkazu, panie kapitanie, zaraz go oswobodzę – odparł marynarz.

Bosman rozweselił się i zawołał:

– Słuchaj, Iwan, nie musisz zbyt szybko się spieszyć. Drzwi do karczeru na pewno się zacinają!

– Rozumiem, zacinają się – potaknął Iwan.

– Skoro tak, to łyknij szklaneczkę rumu – zaproponował bosman.

## W PUŁAPCE

O świcie "Sungasza" ruszyła w dalszą drogę. Pozostawiła już za sobą chińskie miasteczko Aigun [59] na prawym brzegu Amuru, a obecnie mijała Taheiho [60], oddalone zaledwie o kilkanaście kilometrów od Błagowieszczeńska, założonego na przeciwległym brzegu w 1856 roku.

Łowcy po nocy spędzonej na pogawędce odpoczywali na pokładzie barki. Z zainteresowaniem obserwowali prawy brzeg, albowiem coraz bardziej mętna woda świadczyła, że już zbliżają się do miejsca, w którym Zeja wpada do Amuru. W tych właśnie stronach Pojarkow, jako pierwszy Kozak, ujrzał potężny Amur, znany wówczas w Rosji jedynie z opowiadań. Wilmowski, doskonały geograf, przypomniał towarzyszom to brzemienne w następstwa wydarzenie sprzed około dwustu pięćdziesięciu lat i zaraz nawiązała się interesująca rozmowa na temat historii rosyjskich odkryć we Wschodniej Syberii.

O Amurze usłyszeli Rosjanie po raz pierwszy w 1636 roku. W trzy lata później rozpoczęli penetrację doliny Witimu, na wschód od jeziora Bajkał, po czym podjęli próby znalezienia drogi do Amuru. Na rozkaz wojewody irkuckiego znaczna ekspedycja wyruszyła z Jakucka w kierunku południowo-wschodnim. Źle zorganizowana wyprawa poniosła poważne straty. Tylko jej część pod dowództwem Pojarkowa przedostała się rzeką Aldan do Gór Stanowych, gdzie natrafiła na źródła Zei, a potem płynąc nią dotarła w końcu do brzegów Amuru. Stąd Kozacy pożeglowali w dół rzeki aż do ujścia. Posuwając się wzdłuż wybrzeża Morza Ochockiego przybyli do Ochocka.

Następcy Pojarkowa, zachęceni jego odkryciem, znaleźli dogodniejszą drogę wzdłuż rzek Olekma i Uran. W latach 1650 do 1653 Chabarow na czele małego oddziału przedarł się aż nad dolny Amur.

Chabarow w kilku punktach założył forty i obsadził je Kozakami. Malowniczy widok, roztaczający się ze szczytów górskich w okolicy ujścia rzeki Ussuri do Amuru, zachwycił Chabarowa. Pasma Sichote Alin, biegnące w Kraju Ussuryjskim z południa na północ i oddzielające wybrzeże morskie od dorzecza rzeki Ussuri, w północnej swej partii stopniowo zniżało się ku zachodowi i ostatnią, skalistą wyniosłością dotykało bezpośrednio brzegów Amuru i Ussuri. Wyniosłość ta tarasami zniżała się ku nabrzeżu, otwierając wspaniałą panoramę na doliny obydwóch rzek, W miejscu tym, w dwieście lat później, Murawiew Amurski założył osadę Chabarówkę, przemianowaną na Chabarowsk dla upamiętnienia zdobywcy tego kraju.

Do oddziału Chabarowa przyłączyły się grupy awanturników grasujące nad Zeją i Ussuri. Krajowcy oraz sąsiadujący przez rzekę Mandżurowie stawili zacięty opór żywiołowej brutalności awanturników. Chińczycy zaczęli wnosić skargi na grabieże Kozaków nad dolnym Amurem. Do Nerczyńska przybył poseł chiński. Potem do Chin udały się dwa kolejne poselstwa rosyjskie. Chiny, pod pretekstem, iż otrzymały zezwolenie Rosji, siłą przepędziły Kozaków znad dolnego i środkowego Amuru. Kozacy ustąpili aż nad górny bieg rzeki. Tutaj ufortyfikowali się w Albazynie, który w roku 1685 posiadał już

około 40 domów, cerkiew i klasztor.

Chińczycy, zachęceni dość łatwym zwycięstwem, niebawem uderzyli na Ałbazin. Kozacy zostali wyparci dalej na zachód, lecz gdy wojska chińskie odeszły, znów powrócili do Ałbazu. W roku 1686 Chińczycy po raz drugi obiegli fortecę. Jej mężny obrońca, naczelnik Tołbuzin, długo wytrzymywał ataki, w końcu jednak, z powodu braku amunicji i skorbutu szerzącego się wśród żołnierzy, musiał skapitulować. Chińczycy zniszczyli fort. Rosjanie odeszli znad Amuru.

W dwadzieścia lat później gubernator Wschodniej Syberii, słynny Mikołaj Murawiew Amurski, po raz drugi rozpoczął podbój bogatej, pięknej Krainy Nadamurskiej. W roku 1854 wojna krymska spowodowała konieczność szybkiego zaopatrzenia w żywność i amunicję rosyjskiej floty na Oceanie Spokojnym. Droga wodna – Amurem – była najtańsza i najdogodniejsza, dlatego Murawiew postanowił zdobyć krainy leżące nad rzeką. Przewieziony w częściach parowiec zmontował na Szyłce, kazał zbijać setki promów, na których ruszył z tysiącem Kozaków w dół rzeki. Zbudował liczne stacje, założył Błagowieszczeńsk i Chabarówkę, rozpoczął systematyczną kolonizację. Pierwszymi osadnikami byli zesłańcy-więźniowie obojga płci i żołnierze wcieleni za karę do oddziałów syberyjskich. Murawiew nie tylko przymusowo osiedlał ich nad Amurem oraz w nowo zdobytym Kraju Ussuryjskim, lecz nawet kojarzył tam “przymusowo” małżeństwa. Mianowicie ustawiał więźniów w dwa równoległe szeregi: w jednym mężczyźni, a w drugim kobiety. Na odpowiednią komendę obydwie szeregi odwracały się twarzą do siebie i każdy mężczyzna pojmował za żonę kobietę, którą przypadkowo wybrał mu kapryśny los.

Na tej ciekawostce Wilnowski zakończył opowiadanie. Tomek szturchnął bosmana i śmiejąc się zawołał:

– Szkoda, że pana wtedy tutaj nie było! Na pewno byłby pan już żonaty!

– Tobie tylko żeniaczka w głowie – ofuknął go marynarz. – Mnie to do szczęścia niepotrzebne, lecz ty, choć jeszcze goło masz pod nosem, niedługo zapewne zaprosisz mnie na drużbę! Gdy Sally weźmie cię pod pantofel, raz dwa spokorniejesz!

– Tak pan uważa?! – odparł Tomek urażony. – Poinformuję Sally, co pan o niej opowiada.

– W duchu przyzna mi rację! Ho, ho, miła to i roztropna sikorka! Jak to się kiedyś ucieszyła, gdy powiedziałem, że na starość będę niańczył wasze bachory.

– Ładnie by na tym wyszły! – roześmiał się Tomek. – W takie delikatne rączki można by powierzyć co najmniej kilkuletnie niedźwiadki, a i to jeszcze musiałby pan być ostrożny, żeby nie pogruchotać im kości.

Bosman potraktował te słowa jako komplement. Zarechotał basem. Z zadowoleniem przyjrzał się swoim olbrzymim, sękatym dłoniom.

– Ano, moi staruszkowie nie poskąpili mi krzepy – odparł po chwili. – Ale nie martw się, na starość pewno trochę zesłabnę, a poza tym, przez wzgląd na tę miłą sikorkę i ciebie, będę ostrożny.

Tak wspominając historię odkryć w Kraju Nadamurskim oraz żartując, łowcy ani spostrzegli, gdy przy ujściu Zei na równinnym stepie jak spod ziemi wyrósł Błagowieszczęńsk, rozbudowany z dawnej Ustzejskiej stacji.

W tej chwili agent Pawłow chyłkiem wysunął się na pokład. Ubrany był w czarny surdut, a na głowę włożył również czarny melonik, czyli sztywny kapelusz o okrągłej główce i podgiętym do góry rondzie. Kapelusze tego rodzaju często wówczas nosili agenci tajnej policji.

– Patrzcie tylko, jak to nasz anioł stróż wystroił się dzisiaj – cicho zauważył bosman. – W czarnej gali i dęciaku przypomina kominiarza lub karawaniarza.

– Raczej karawaniarza! Jego widok nikomu szczęścia nie przynosi – dodał Tomek. – W Błagowieszczęńsku na pewno zaraz pobiegnie złożyć raport isprawnikowi.

– Masz rację, będzie miał doskonałą okazję odpłacić nam pięknym za nadobne – niechętnie rzekł Smuga. – Oby nam tylko nie nabruździł.

– Jego ponura mina nie wróży nic dobrego – dodał Wilmowski.

– Miejmy nadzieję, że nasze listy polecające do gubernatora nieco złagodzą w oczach władz donosy Pawłowa.

– Do stu beczek zjełczanego tranu, przestańcie krakać jak te złowróźbne kruki – rozgniewał się bosman. – Z igły robicie widły! Nachmurzony jest, bo wnętrzności palą go po wczorajszej libacji. O co mógłby mieć żal? Przecież ugościliśmy go, jak się patrzy!

– Zapomniałeś już o karcerze i szczurach – odparował Smuga. – To nierozsądnie bawić się zapawkami siedząc na beczce prochu!

– To nie był mój pomysł – bronił się bosman. – Niekrasow zaś nie ma zielonego pojęcia, co my nosimy za kołnierzem!

Przerwali rozmowę. “Sungasza” zwolniła barki z holu, aby przycumować je do swego boku. Po sprawnym manewrze wzięła kurs prosto na przystań.

Przy wybrzeżu było zakotwiczonych kilka barek, a obok pomostu przygotowywał się do odpłynięcia pocztowo-pasażerski parostatek, zwrócony dziobem w kierunku biegu rzeki.

Niekrasow podprowadził “Sungaszę” do brzegu. Zaledwie marynarze holownika przerzucili pomost na ląd, Pawłow podszedł do grupki łowców i oznajmił, że udaje się do swoich władz.

– Czy będzie pan na statku na obiedzie? – uprzejmie zapytał Wilmowski.

– Nie, wolę zjeść w mieście, nie lubię jeździć krypami po wodzie – opryskliwie odparł agent, po czym dodał: – Niech panowie nie zapomną pójść do tutejszego isprawnika. Nie zaszkodziłoby również złożyć oficjalną wizytę jego ekscelencji gubernatorowi. Zapewne spotkamy się w kancelarii policji.

– Dziękujemy za radę, na pewno tam się zobaczymy – odparł Wilmowski. – Mamy nadzieję, że przy pana pomocy szybko załatwimy wszelkie formalności.



– Och, zapewne! Przecież panowie jesteście pod moją opieką – rzekł Pawłowi siląc się na uśmiech. Uchylił melonika i znikł na wybrzeżu.

Zaraz po południu czterej łowcy z Udadżalaką wyruszyli do urzędu policji, aby zgłosić swe przybycie do Błagowieszczenska i uzyskać zgodę na polowanie w górze rzeki.

Miasto składało się z kilkuset drewnianych parterowych domów. Ponad nimi górowała jedynie błyszcząca w słońcu kopuła cerkwi. Na nie wybrukowanych ulicach panował znaczny ruch. Mieszkańcy Błagowieszczenska utrzymywali wymianę handlową z Mandżurami i Chińczykami zza rzeki, którzy przyjeżdżali tutaj łodziami głównie z miasta Ajgun. Każdy poważniejszy kupiec przynajmniej raz w miesiącu wyruszał na kilka dni w celach handlowych do Błagowieszczenska. Ożywione zazwyczaj stosunki handlowe ustawały tylko na początku zimy aż do czasu, gdy gruba pokrywa lodowa skuła rzekę. Wtedy Chińczycy i Mandżurowie znów gromadnie przybywali do Błagowieszczenska; w przenośnych straganach, ustawionych na brzegu rzeki, sprzedawali mąkę, kaszę i wódkę oraz przywożone z południa Mandżurii orzechy i jabłka.

W zimie Błagowieszczensk stawał się głównym ośrodkiem handlowym kraju. Buriaci, Tunguzi, Ostiacy i Jakuci na saniach o psich zaprzęgach ściągali tutaj nawet z najodleglejszych zakątków tajgi, by pęk skórek lisich, sobolich lub bielek wymienić na woreczek mąki, kaszy, trochę tytoniu czy też flaszkę wódki. Był to dla kupców szczególnie korzystny handel, ponieważ dobrodusznymi mieszkańcy tajgi często nie znali prawdziwej wartości przywożonych futer.

Nadziratel, czyli inspektor policji, przyjął łowców nadzwyczaj uprzejmie. Na ich widok powstał zza stołu, wylewnie uściśnął im dłonie i poczęstował herbatą z rumem.

– Kolega Pawłowi zapowiedział mi wizytę panów. Oczekiwałem z prawdziwą niecierpliwością – mówił zacierając dłonie. – Wiele ciekawych rzeczy usłyszałem... To zapewne pan jest owym panem Brolem, pogromcą zwierząt?

Przy tych słowach zwrócił się w kierunku bosmana. “Aha, Pawłowi już uszył mi buty” – pomyślał marynarz, lecz nie okazując jakiegokolwiek zmieszania, spokojnie odparł:

– Faktycznie tak się nazywam.

– Kolega Pawłowi bardzo pana wychwalał – zawołał inspektor. – On mi doradził, aby przygotować rum do herbaty...

– Owszem, lubię rum, to prawdziwie męski napitek – potaknął bosman.

– Wiem o tym, wiem również, że odnosi się pan z szacunkiem do miłośniczego panującego nam cara i jego rodziny. Chwali się to, chwali. Zdrowie panów!

Bosman przymrużonymi oczami wpatrywał się w inspektora policji, jakby chciał odgadnąć, co on naprawdę wie o nim, ale twarz urzędnika nie zdradzała jego myśli. Uśmiechał się uprzejmie, prawil komplementy.

Dopiero po półgodzinnej rozmowie zapytał, dokąd łowcy chcieliby się udać i jak długo zamierzają tam przebywać. Otrzymawszy wyjaśnienia, powiedział:

– Ja nie widzę przeszkód. Pozostaje mi tylko życzyć panom szczęśliwych łowów. Czy mogę prosić o paszporty?

Łowcy zadowoleni z takiego obrotu sprawy wręczyli mu swoje dokumenty. Inspektor przejrzał je tylko pobieżnie, a potem niedbałym ruchem wrzucił wszystkie paszporty do szuflady.

– W porządku, jutro przedstawię sprawę panów isprawnikowi.

– Jak to, więc zatrzymuje pan nasze paszporty? – zdziwił się Smuga.

– Isprawnik razem z jego ekscelencją gubernatorem wyjechał z miasta na inspekcję. Z tego powodu dopiero rano będę mógł zreferować mu panów sprawę. To zwykła formalność.

– Czy możemy bez dokumentów poruszać się po mieście? – zagadnął Wilmowski.

– Przecież w panów towarzystwie przebywa kolega Pawłow. Mogą panowie na nim polegać, to bardzo zdolny człowiek – dwuznacznie odparł inspektor.

– Chcieliśmy również złożyć oficjalną wizytę panu gubernatorowi... – zaczął Smuga, lecz inspektor uśmiechnął się i zaraz wtrącił:

– Wiem o tym, wiem i już prosiłem ekscelencję o łaskawe wyznaczenie audiencji. Jutro o godzinie jedenastej osobiście przyjmie panów.

– Bardzo dziękujemy za uprzejmość, a kiedy otrzymamy z powrotem paszporty? – indagował Smuga.

– Z całą pewnością przed opuszczeniem Błagowieszczęńska – odpowiedział inspektor.

– Dzisiaj będą panowie moimi gośćmi. Chciałbym pokazać panom ciekawostkę. Zapraszam na chińską kolację do restauracji Czang Sena. Ponieważ z powodu nieobecności isprawnika mam jeszcze do załatwienia kilka pilnych spraw, wieczorem zastąpi mnie kolega Pawłow. Już omówiliśmy to między sobą. A teraz żegnam panów. Życzę miłej zabawy.

Łowcy podziękowali za zaproszenie. Wkrótce znaleźli się na ulicy.

– A to zmija! – wybuchnął bosman. – Niby to gnie się w ukłonach, chwali, zaprasza na kolację, a jednocześnie odbiera paszporty...

– Ciekawe, co ten Pawłow na nas nagadał – głowił się Tomek. – Może powiedział też o karczerze i szcurach...

– Nie sędzę, aczkolwiek zdawało mi się, że w tonie inspektora; brzmiała nuta złośliwości, gdy mówił o rzekomym szacunku bosmana do cara i jego rodziny – zauważył Smuga.

– Ja również odniosłem takie wrażenie – dodał Wilmowski. – Szkoda, że nie udało nam się jakoś wykręcić z tego zaproszenia na kolację.

– Chińczycy mają faktycznie bardzo osobliwy smak. Pamiętam, jak ten znajomek

Davasarmana w Chotanie potraktował nas pijawkami w cukrze – powiedział bosman.

W kwaśnych humorach wrócili na “Sungaszę”. Niekrasow powitał ich na pokładzie. Okazało się, że Pawłowa jeszcze nie było na holowniku, więc korzystając z okazji, wstąpili na herbatę do kajuty kapitańskiej. Niekrasow z zainteresowaniem wysłuchał relacji o przebiegu wizyty u inspektora policji. Zamyślony, wolno popijał herbatę z arakiem.

– To zastanawiające, po co on zaprosił was do tej chińskiej spelunki? – odezwał się w końcu.

– Czy pan zna restaurację Czang Sena? – zaciekawiał się Wilmowski.

– Owszem, znam – potwierdził kapitan. – W lokalu tym mieści się tajna palarnia opium.

– W towarzystwie agenta policji chyba nic tam nie będzie nam groziło – powiedział Tomek.

– Być może ma pan rację. W każdym razie powinniście tam pójść, skoro przyjęliście zaproszenie – zakończył Niekrasow.

Tuż przed wieczorem przybiegł zadyszany Pawłow. W imieniu komisarza zaprosił Niekrasowa na kolację do Czang Sena. Kapitan zgodził się przyjść. Łowcy wydobyli z juków odpowiednie stroje. Nim minęła godzina, razem z Pawłowem i Niekrasowem opuścili holownik.

Restauracja Czang Sena zajmowała cały jednopiętrowy dom. Nad wejściem, po obydwóch stronach wąskich drzwi, wisiały oświetlone świecami kolorowe lampiony z papieru. Na parterze, tuż za małą szatnią, znajdowały się dwie obszerne sale, rozdzielone jedynie zasłoną z barwnych, szklanych koralików nanizanych na sznurki. Lampiony zwisające z niskiego, drewnianego pułapu rzucały migotliwe światło na oryginalne chińskie obrazy zdobiąceściany. Wokół obydwóch sal rozmieszczono zaciszne łóże ze stolami i miękkimi taboretami.

Dwóch Chińczyków wybiegło na powitanie przybyłych. W ukłonach prowadzili wprost do drugiej sali, gdzie przy stolikach siedziało już sporo gości. Pawłow pełnił rolę gospodarza domu, poprosił podróżników, aby rozgościli się w zarezerwowanej łóży, a potem bawił ich rozmową o ważniejszych wydarzeniach w mieście.

Niekrasow usiadł w głębi niszy, skąd sam niemal niewidoczny, doskonale mógł obserwować całą salę. Tomek ulokował się obok bosmana; z wielkim zadowoleniem stwierdził, że nakryto do kolacji po europejsku na czystym, białym obrusie. Jedynie na oddzielnej tacce leżały długie pałeczki z kości słoniowej, zastępujące w Chinach widelce.

Obsługa w restauracjach była niezwykle sprawna. Zaledwie goście zdążyli zasiąść przy stole, zaraz pojawiły się na nim zimne zakąski: pokrajane mięso w żółtej galarecie, grzyby, sałata z cebuli i ziół, pędy brzozowe, wędlna w cienkich plasterkach, jaja o kolorze safianu, pieczone szyjki raków, jasnozielona trawa morska. Wszystkie te potrawy należało skrapiać zabarwionym na ciemno octem, podanym w małych czarkach obok każdego

talerza. W pobliżu stołu służba postawiła trójnog z miedzianą misą napełnioną rozżarzonymi węglami; na nich to podgrzewało się niskie, płaskie wiaderko z gorącą wodą, w której z kolei umieszczono srebrne dzbany z wódką majgalo, sporządzoną z ryżu i zaprawioną różanym olejkiem. Po każdym daniu służący obnosił dzban i w malutkie porcelanowe filiżaneczki nalewał ciepłego majgalo.

Po jakiejś godzinie służba uprzątnęła resztki zakąsek. Teraz przyszła kolej na gorące potrawy. Najpierw podano małe kawałki cielęciny w cieście, potem pieczone kluski z mięsa, paszteciki i gotowany drób w gęstym, białym sosie, w którym pływały poczerńiałe w czasie gotowania ślimaki.

Na widok tego przysmaku Tomek pod stołem trącił bosmana kolanem. Ślimaki w sosie przypominały wyglądem upieczone robaki.

Na szczęście filiżaneczka mocnego majgalo ułatwiła im dopełnienie chińskiego zwyczaju, w myśl którego należało skosztować każdej potrawy. Coraz to nowe wyszukane dania pojawiały się na stole. Po pieczonym prosięciu przyniesiono kawałki baraniny pieczone na rożnie, potem kurę krajaną w paski, rosół, gotowany ryż, makaron, główki kurze z szyjkami oraz rozmaite zupy. Tomek dawno już przestał liczyć podawane potrawy, a obdarzony nie lada apetytem bosman westchnął głęboko i dyskretnie popuścił pasa.

Po trzech godzinach służba jeszcze raz uprzątnęła stół i wyniosła trójnog z dzbanem majgalo. Podano cukrzane owoce, różne ciasta, ciasteczka, orzechy, oryginalną, zieloną, gorzką chińską herbatę i białe musujące wino. Był to znak, że obiad nareszcie dobiega końca.

W tej właśnie chwili jakiś mężczyzna w ciemnym, wciętym płaszczu i z melonikiem w dłoni usłużnie zbliżył się do rozochoconego Pawłowa. Pochylił się do jego ucha. Mówił coś osłaniając usta dłonią. Rozbawienie znikło z twarzy agenta. Uważnie wysłuchał krótkiej relacji swego współpracownika, po czym skinął głową. Obcy mężczyzna szybko się oddalił, a wtedy Pawłow powstał i rzekł:

– Bardzo mi przykro, ale muszę panów opuścić na kilkanaście minut. Otrzymałem wiadomość, że isprawnik właśnie wrócił do miasta, lecz jutro rano znów wyjeżdża. Przeprowadza pilne dochodzenie. Skorzystam więc z jego obecności, by załatwić nasze sprawy. Jednocześnie dowiem się, czy termin audiencji wyznaczonej dla panów u ekscelencji nie uległ zmianie.

– Chyba czas już skończyć nasze miłe spotkanie – zauważył WiImowski.

– Broń Boże! To nie potrwa długo, zaraz wrócę. Pokażę panom najciekawszy zakątek tego lokalu – zaproponował Pawłow. – Za kotarą w rogu sali są ukryte kręte schodki. Czy byli panowie już kiedyś w palarni opium?

– Nie wiedziałem, że tutaj wolno utrzymywać takie lokaliki – zdziwił się bosman.

– Ależ skąd, panie Bro! – zaprzeczył Pawłow, domyślnie mrugając okiem. – Palarnia jest nielegalna, a wstęp jedynie dla wtajemniczonych!

Wszyscy roześmiali się, słysząc to wyjaśnienie z ust agenta policji.

– Skoro tak, to poczekamy – powiedział Smuga. – Widziałem kilkakrotnie palarnie opium, ale dla moich towarzyszy będzie to nowością.

– Świetnie! Tymczasem częstujcie się panowie! Postaram się szybko wrócić.

Pawłow minął stojące w przejściu do drugiej sali stoliki. Znikł w szatni.

– Ciekaw jestem, co on nowego wymyślił? – zagadnął kapitan Niekrasow.

– Więc nie wierzy pan w powrót isprawnika? – zapytał bosman.

Niekrasow wzruszył ramionami.

– Czort go wie! Od samego początku dziwi mnie to zaproszenie do spelunki przez inspektora policji. Zastanawiam się, do czego jest mu to potrzebne?

– Czy nie za wiele się pan domyślasz? Na mój rozum wszystkie agenciaki lubią fundować sobie kolacyjki za państwowe pieniądze.

– W każdym razie nie będziemy się nudzili, przybywają nowi goście – zauważył Smuga.

Do sali wkroczyło kilku mężczyzn. Przystanęli w progu rozglądając się ciekawie.

– Cóż to za oryginalne typki! – po cichu zawołał Tomek.

Bosman, jak zwykle zawiadycki, wychylił się z niszy i mruknął:

– Faktycznie niczego sobie goście! Wyglądają jak diabły przebrane w ornaty i na mszę dzwoniące!

Trafność określenia wywołała ogólną wesołość. Kanciaste, brodate twarze nowo przybyłych i ich zachowanie wcale nie pasowały do porządnych ubrań, które na sobie nosili. Poszturchiwali się łokciami, aż w końcu pod przewodem najwyższego ruszyli ku stolikowi w sąsiedniej loży obok łowców. Szurgając butami oraz hałaśliwie rozstawiając taborety, obsiedli stół. Zażądali wódki.

Niekrasow dyskretnie zlustrował dziwnych sąsiadów. Zmarszczył czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Naraz chiński służący, który właśnie przyniósł nową butelkę wina musującego i napełnił nim szklaneczki, nieznacznie wsunął w dłoń Niekrasowa zwiniętą w rulonik kartkę. Kapitan ukradkiem rozprostował papierek; zaledwie nań spojrział, zgniótł w kulkę, wrzucił ją do popielniczki i podpalił zapalką. Tylko Wilmowski spostrzegł dziwne zachowanie Niekrasowa, reszta towarzystwa bowiem z zainteresowaniem słuchała dowcipu opowiedzanego przez bosmana. Wilmowski już miał zamiar poprosić Niekrasowa o wyjaśnienie, gdy nagle jeden z nowo przybyłych gości gwałtownie powstał od swego stolika. Bezceremonialnie wszedł do loży.

Był to niezwykle wysoki mężczyzna. Teraz, gdy stał blisko, od razu rzucało się w oczy, że ubranie, które nosił, nie było nań dopasowane. Marynarka z trudem opinała jego szeroką, wypukłą, włochatą pierś, widoczną przez rozchełstaną, brudną koszulę. Na piersi



miał wytatuowany rysunek ptaka. Za krótkie i mocno obcisłe rękawy marszczyły się w fałdy na niezwykle wyrobionych mięśniach, a nogawki spodni nie sięgały nawet kostek u nóg. Wyglądał jak przebieraniec na zapusty, lecz mimo to jego groźna, ponura twarz mogła w każdym wzbudzić uczucie lęku. Od lewego ucha poprzez policzek, obydwie wargi aż do końca brody jego dawno nie goloną twarz przeorywała szeroka blizna. Poprzez rozwichrzone, krzaczaste brwi przebierały jasne, bezlitosne oczy, spoglądające drapieżnie i zaczepnie. Podszedł do stołu, oparł się o jego brzeg dłońmi zaciśniętymi w kułak.

Łowcy przerwali rozmowę; w tej chwili na całej sali zaległa niepokojąca cisza. Wszyscy goście spoglądali w kierunku łoży, gdzie olbrzymi drab wpatrywał się kolejno w każdą twarz, jakby szukał kogoś znajomego. Łowcy zdziwieni patrzyli na niego, tylko kapitan Niekrasow w dalszym ciągu siedział zadumany z nisko opuszczoną na piersi głową. Drab tymczasem zatrzymał wzrok na bosmanie Nowickim. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Czy przypominasz mnie sobie? – odezwał się w końcu ochryplym głosem. – Długo cię szukałem, carski szpiclu! Nareszcie spotkaliśmy się!

Bosman uniósł głowę. Ponury wygląd awanturnika nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia.

– Jak kto koniecznie szuka guza, to na pewno go znajdzie – odparł flegmatycznie. – Faktycznie jednak to się nie znamy! Pomyliłeś się pan!

– Jak mógłbym cię zapomnieć! Przez ciebie tysiąc kijów spadło na mój grzbiet[61]! – warknął olbrzym. – Zapłacę ci teraz!

Pochylił się ku bosmanowi, jednocześnie podsuwając mu pod nos swój wielki włochaty kułak. Bosman obtarł usta serwetką. Podniósł się, wyszedł z za stołu. Wzrokiem pełnym uznania zmierzył zawadiakę, który przewyższał go co najmniej o połowę głowy.

– Nie znam cię, człowieku, odczep się z łaski swojej – rzekł spokojnie.

– Ha, to mnie zaraz poznasz! – zawołał zawadiaka.

Zwinnym ruchem uderzył bosmana pięścią w podbródek. Głowa marynarza odskoczyła do tyłu, cofnął się o krok lub dwa, ciężko opadł na jedno kolano. Zaraz jednak otrząsnął się jakby po wynurzeniu z wody i powstał. Napastnik po raz drugi zamachnął się potężnie, lecz tym razem zaprawiony w walce wręcz marynarz uchylił głowę, równocześnie prawą pięścią uderzył przeciwnika w żołądek, a lewą w podbródek. Drab zachwiał się oszołomiony, bosman zaś chwycił go w pasie za ubranie, podrzucił do góry nad własną głowę, zakręcił nim młynka i z rozmachem cisnął o podłogę. Zawadiaka, przy akompaniamencie okrzyków przestraszonych biesiadników oraz brzęku szkła, z rozkrzyżowanymi ramionami legł nieruchomo.

Wszyscy goście poderwali się od stolików, umykali pod najdalszą ścianę. Łowcy również powstałi, w sąsiedniej łoży bowiem znów zaszurgwały odtrącone taborety. Kilku drabów wyskoczyło na salę, niepewnie spoglądając spode łbów to na bosmana, to na powalonego swego przywódcę.

Po krótkiej chwili zawadiaka ciężko usiadł na podłodze. Włochate łapsko na moment skryło się w kieszeni, po czym w dłoni błysnęło ostrze sprężynowego noża. Na to hasło pozostali awanturnicy również wydobyli broń. Pochylili się do skoku, uzbrojeni w kastety[62], bagnety wojskowe i noże.

Tomek, Smuga i Udadźalaka zaraz stanęli u boku bosmana. Wilmowski już do nich podążał, gdy kapitan Niekrasow powstrzymał go za ramię. Zmurużywszy oczy spoglądał na obnażoną pierś powstającego z podłogi awanturnika. Widniał na niej tatuaż kukułki ze skrzydłami rozpiętymi do lotu. Niekrasow nareszcie przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka.

– Uspokój pan towarzyszy, to pułapka – szepnął do Wilmowskiego, a sam wysunął się zza stołu; odgrodził bosmana od zgrai łotrów.

Bosman lekko pochylony ruszył do przodu, ale w tej chwili Wilmowski znalazł się tuż przy nim.

– Czekaj, to prowokacja – syknął.

Bosman przystanął; czujnym wzrokiem śledził każdy ruch napastników, gotów do rozpoczęcia walki.

Niekrasow tymczasem pochylił się ku zawadiace.

– Ej, Wasyl, nie poznałeś ty mnie? – zapytał. – Czy sprzykrzył ci się głos generała kukułki, że szukasz śmierci?

Drab właśnie powstał z podłogi, trzymając w ręku otwarty nóż. Przekrzywił łeb o zmierzwionych, długich włosach, nabiegłymi krwią oczyma wpatrywał się w Niekrasowa.

– Przypomnij sobie, kogo to zwałeś swoim ojczulkiem? – ciszej powiedział kapitan.

Zawadiaka wolnym krokiem podszedł do niego. Ostrzem noża dotknął jego piersi. Na ponurej, groźnej twarzy najpierw odmalowała się niepewność, a potem zdumienie.

– Toż to chyba... ojczulek Niekrasow! – szepnął zmieszany. Nagle rzucił nóż na podłogę. Z niezwykłym przejęciem pocałował kapitana w ramię.

– Wybacz, ojczulku... naprawdę nie poznałem... tyle lat... – mówił głęboko wzruszony.

Kapitan uścisnął go, po czym cicho zapytał:

– Dlaczego szukałeś zwady, Wasyl?

– Ja znów w tiumie, ojczulku; namówili nas, wypuścili na tę noc, ubrali, dali broń... obiecali nagrodę...

– Kto was namówił? – indagował Niekrasow.

– Nadziratel, ojczulku, ale to tylko tak między nami...

– Słuchaj, Wasyl, to moi przyjaciele, chyba nie chcesz ze mną zwady?!

– Prędzej odgryzłbym sobie własne łapsko!

– Dziękuję ci, Wasyl! Policja obstawiła dom. Kiedy miała tu wkroczyć?

– Na odgłos strzałów! Wy zostańcie, może uda się nam czmychnąć do lasu! Do zobaczenia, ojczulku!

Wasył podniósł nóż, zamknął go, schował do kieszeni. Przez ramię spojrzął na swoich popleczników.

– Za generałem kukułką, jazda! – rozkazał.

Musiał posiadać mir wśród kamratów, gdyż bez słowa sprzeciwu schowali broń. Pobiegli w kierunku zasłony w kącie sali. Rozległ się tupot nóg na schodach, potem gdzieś trzasnęły drzwi, w głębi budynku ktoś krzyknął przestraszony i było już po wszystkim. Służba szybko uprzątnęła pobojuwisko. Goście, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło, znów zasiedli przy stolikach.

Łowcy pytająco spoglądali na Niekrasowa. Ten zaś najpierw nalał wina, a potem dopiero krótko wyjaśnił:

– Policja nasłała na nas bradiagów[63]. W tej chwili agenci czają się wokół domu, by wtargnąć na odgłos strzałów i aresztować nas. Komisarz przypuszczał, że napadnięci przez uzbrojonych zbirów użyjemy broni palnej. Oczywiście później sprawa by się wyjaśniła i jeśli policja nie znalazłaby nic podejrzanego, na pewno puszczono by nas z przeprosinami.

– W jakim celu policja to uczyniła? – nie dowierzał Tomek.

– To robota tej żmii, Pawłowa – wtrącił bosman. – Oczywiście, teraz macie dowód, że Pawłow nabrał jakichś podejrzeń – potwierdził Niekrasow. – Władze rosyjskie jednak nie lubią ryzykować aresztowaniem niewinnych być może cudzoziemców. Powoduje to przecież interwencje dyplomatyczne. Wobec tego po cichu przygotowały pułapkę, lecz dzięki przypadkowi udaremniliśmy niecne zakusy.

– Panu zawdzięczamy pomyślny obrót sprawy – powiedział Smuga.

– Skąd pan zna tego człowieka?

– Wasyla? To bradiaga, przebywaliśmy razem na katordze w Karze. Jeśli tylko sprzyjały okoliczności, uciekał co roku, by się powłóczyć po tajdze. Raz pomogłem mu rozkuć kajdany, oddałem moją rację żywności. Odtąd zawsze uważał mnie za swego opiekuna.

– To niebezpieczny człowiek – zauważył Smuga.

– A tak, niejedno ma na sumieniu – potwierdził Niekrasow. – No, no, ale pana Broła nie podejrzewałem o tak nadludzką siłę. Wasył uchodzi za Herkulesa, chyba dzisiaj pierwszy raz w życiu został pokonany.

– Niczego sobie osiłek – przyznał bosman. – O jakim to generale kukułce wspomniałeś pan temu gagatkowi? Czyżby to było umówione hasło?

– Skądże znowu, otóż bradiagi uciekają z więzienia na wiosnę, gdy w tajdze można znaleźć jadalne korzonki i jagody. Przyłot z południa kukułek jest niezawodnym znakiem

nastania tak upragnionej pory roku, toteż generałem swoim zwał ptaka, którego głos staje się ogólnym sygnałem do ucieczki.

– W jaki sposób domyślił się pan, że policja urządziła na nas zasadzkę? – zapytał Tomek.

– Mam dobrego znajomego wśród służby Czang Sena. Gdy bradiagi weszli do restauracji, poinformował mnie, że policja czai się wokół domu – wyjaśnił Niekrasow.

– Ach, to on podał tę karteczkę, którą pan zaraz spalił – wtrącił Wilmowski.

– Tak, najlepiej niszczyć wszelkie dowody rzeczowe. Nie cieszę się najlepszą opinią policji, która niepokoiłaby mego informatora.

– Uwaga, Pawłow na horyzoncie! – ostrzegł bosman.

– Nie ma zbyt tęgiej miny – dodał Tomek. – Nic dziwnego, tym razem podstęp mu się nie udał!

Agent szybko zbliżył się do stolika. Z trudem tłumił zdenerwowanie, gdy mówił:

– Przykro mi, że zostawiłem panów samych na tak długo, lecz cóż można począć na służbie! Niestety, już nie będę mógł dzisiaj towarzyszyć panom. Kilku zbrodniarzy zbiegło wieczorem z tutejszego więzienia. Posiadają broń, to niebezpieczni recydywiści! Proszono mnie o pomoc w pościgu...

– Czyż to możliwe, aby z więzienia zbiegli uzbrojeni?! – z głupia frant zapytał bosman.

– Istotnie, to dziwna sprawa – mruknął Tomek.

Agent, rozzłoszczony własną niezręcznością, gniewnie zmierzył marynarza wzrokiem; jękając się odparł:

– No, broń zapewne zdobyli po dokonaniu ucieczki... Isprawnik obawiał się, by nie spotkała panów tutaj jakaś nieprzyjemność, polecił mi uprzedzić...

– Trochę spóźnił się pan – przerwał mu Smuga. – Byli tu już jacyś obwiesie, próbowali nawet wszcząć z nami awanturę, ale dostali należytą odprawę. O nas nie trzeba tak bardzo się obawiać. Jakoś dajemy sobie radę.

– Czy załatwił pan wszystko z isprawnikiem? – zapytał Wilmowski.

– Tak, tak, jutro z rana przyjmie panów – skwapliwie potwierdził Pawłow.

– Jak to, więc już nie wyjeżdża? – ironicznie zauważył Tomek.

– Nie, zmienił zamiar, a więc jutro rano pójdziemy do isprawnika, a potem do jego ekscelencji gubernatora – oświadczył Pawłow i zaraz opuścił salę.

Następny dzień przyniósł pewne wyjaśnienie dwuznacznej sytuacji, w jakiej łowcy znaleźli się po dziwnym wydarzeniu w restauracji Czan Sena. Mianowicie z samego rana Pawłow przybył po nich na statek; był nadzwyczaj ugrzeczny i usłużny. Razem udali się do inspektora, który zwrócił im paszporty, zezwolił na polowanie w całym podległym mu okręgu, a ponadto przykazał agentowi, by otoczył wyprawę staranną opieką.

W godzinę później złożyli wizytę gubernatorowi. Ten przyjął ich w swoim prywatnym domu, w obecności trzech adiutantów. Wypytywał o przebieg łowów, życzył powodzenia oraz zapewnił, że sprawcy wczorajszego napadu będą ujęci łąda chwila i zostaną przykładnie ukarani.

Łowcy w jak najlepszych humorach powrócili na "Sungaszę", było bowiem zupełnie widoczne, że policja, po nieudanej prowokacji, stara się pozorami uprzejmości zatuszować własną niezręczność.

Tego jeszcze popołudnia "Sungasza" odbiła od przystani w Błagowieszczeńsku i pożeglowała dalej w górę rzeki. Na obu brzegach Amuru rysowały się w dali skaliste, jakby o ściętych szczytach góry, porośłe wierzbami i łożą. Bliżej rzeki przestrzenie leśne, zasnuwane w dzień niskimi czarnymi dymami, rozbłyskały w nocy czerwonymi łunami. To krajowcy wzniecali ognie, zwane pałami, którymi niszczyli lasy, zamiast je karczować, lub palili trawę na łąkach dla użyźnienia gleby.

W miarę jak "Sungasza" płynęła na wschód, krajobraz pobraży amurskich stopniowo ulegał zmianie. Pasma górskie przybliżyły się do brzegów, zwęziła się dolina rzeki, w lasach przeważały modrzewie, sosny, białe brzozy i brzozy daurskie.

Czwartego dnia, krótko po świcie, Smuga poprosił kapitana Niekrasowa o płynięcie bliżej lewego brzegu rzeki, a niebawem o zatrzymanie statku. Według obliczeń Wilmowskiego, znajdowali się około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od Błagowieszczeńska. Stąd już tylko jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów dzieliło ich od Ruchłowa, połączonego linią kolejową z Nerczyńskiem.

Pawłow, nieświadom zamiarów łowców, pochwalił wybór miejsca na założenie obozu.

– Niewiele znam się na polowaniu, ale przecież słyszałem nieraz, że okolica ta jest niemal rajem myśliwych – mówił pochlebnie. – Swego czasu polował tutaj nasz sławny podróżnik i niezrównany strzelec Mikołaj Przewalski[64]. . . To były katorżnik wspaniałomyślnie ulaskawiony przez cara. Macie panowie najlepszy dowód, że u nas żadna zasługa nie pozostaje bez nagrody!

– Lepiej już mów pan o polowaniu – przerwał mu poirytowany bosman.

Agent skwapliwie pokiwał głową.

– Jak więc powiedziałem, na brak zwierzyny nie będziecie, panowie, narzekać – zgodnie ciągnął dalej. – Łatwo tu nawet znaleźć Chińczyków, którzy chętnie przeprowadzą na polowanie na drugą stronę rzeki. Ale taka zabawa to raczej dla wielkich ryzykantów.



– Dłaczegóż to, jeśli można zapytać – zaciekawił się bosman.

– Zbyt łatwo tam o spotkanie z chunchuzami[65] – wyjaśnił Pawłow.

– A cóż to znów za czort, szanowny panie? – indagował marynarz.

– To po prostu bandyci! Dla zdobycia byle drobiazgu potrafią człowieka poddać najgorszym torturom lub poderżnąć gardło. Nawet obecnie zdobywają się na napady po naszej stronie rzeki.

– Ha, jak z tego widać, faktycznie ładne wybraliśmy miejsce na obóz – ironicznie powiedział bosman.

– Niech się pan wyzbędzie obaw! Pochwaliłem wybór nie tylko ze względu na obfitość zwierzyny – uspokajał Pawłow. – Gdy płynęliśmy rzeką, spostrzegłem kilka kilometrów stąd stanicę kozacką. Bliskość oddziału regularnego wojska na pewno trzyma chunchuzów w ryzach.

– Skoro tak, to w porządku, aczkolwiek, jak się pan sam przekonałeś, nie tak łatwo nam dmuchać w kaszę, gdy jesteśmy w komplecie – odparł bosman, nieznacznie mrugając do Tomka.

W czasie tej pogawędki “Sungasza” wzięła barki na boczny hol. Teraz ostrożnie przybliżała się do brzegu. W końcu zamilkły maszyny pod pokładem; pierwsza barka niemal dotykała nabrzeża. Szczęknęły łańcuchy zakotwicające statek.

Wyładunek taboru trwał do samego wieczora, toteż kapitan Niekrasow postanowił wyruszyć w dalszą drogę dopiero o świcie. Opłata, jakiej zażądał za przewiezienie całej wyprawy, była bardzo niska w porównaniu z cenami biletów na statkach pasażerskich. Toteż do sumy trzystu rubli Smuga samorzutnie dołożył jeszcze jedną setkę do podziału dla załogi.

O wschodzie słońca łowcy odprowadzili kapitana aż na holownik. Niekrasow najdłużej żegnał się z bosmanem Nowickim. W ostatniej chwili, gdy marynarz zamierzał już schodzić na ląd, przytrzymał go jeszcze za ramię i rzekł:

– Przemięły z ciebie chłop, niedźwiedziu! Zanim lód unieruchomi Amur, odbędę kilka rejsów w górę rzeki. Gdybyście przypadkiem mieli ochotę jeszcze raz zabrać się na pokład, wystrzelcie cztery razy w powietrze. Przeptywając tutaj będę pilnie lustrował brzeg...

– Dobra nasza, nawet po ciemku poznam tę starą krypę – odparł bosman wesoło. – Pan również przypadłeś mi do gustu!

Niekrasow pochylił się do ucha bosmana i dodał cicho:

– Nie dowierzajcie zbyt uprzejmości tego policyjnego szczura. Wprawdzie po tej głupiej hecy w Błagowieszczeńsku wyraźnie zmienił front, ale założyłbym się, że dalej coś knuje!

– Tak pan uważasz?

– Tak, nie lubię, gdy policja naraz staje się zbyt grzeczna.

– Dobra nasza, będą go dobrze miał na oku!

“Sungasza” odpłynęła sypiąc deszczem rozżarzonych iskier. Łowcy zaś zebrali się na naradę, by ustalić program zajęć obozowych. Podział funkcji przedstawiał się następująco: trzech synowie Nuczego – doglądanie tygrysów, koni i przygotowywanie posiłków; Nuczi – doglądanie psów, wyszukiwanie odpowiednich terenów łowieckich; Smuga, Brol i Tomek – polowanie na zwierzynę; Brown i Udadżalaka – preparowanie skórek zabitych okazów fauny; Pawłow – ogólny nadzór nad bezpieczeństwem obozu.

Taki podział ról miał ułatwić Smudze oraz jego dwu towarzyszom upozorowanie konieczności dotarcia do Nerczyńska. W obecności Pawłowa musieli się liczyć z każdym słowem, podczas gdy na polowaniu poza obozem mogli swobodnie omówić szczegółowy plan działania. Zaraz następnego ranka Smuga poprowadził swoją grupkę w górę rzeki; ptactwa było tam w bród. W krótkim czasie upolowali kilka okazów po czym zatrzymali się na odpoczynek obok przystani, gdzie kulisi gromadzili drewno na opał dla parostatków.

Łowcy kupili od Chińczyków świeżo złowionego łososia. Bosman na miejscu oprawił rybę i zaczął piec na kamieniach rozgrzanych w ognisku. Smuga i Tomek gawędzili tymczasem z kulisami.

Wkrótce Smuga zauważył, że jeden kilkunastoletni wyrostek wprost nie odrywa wzroku od opartego o drzewo sztucera zaopatrzonego w lunetkę.

– Widzę, że umiesz ocenić zalety dobrej broni – zagadnął chłopca. – Z mojego sztucera można skutecznie strzelać nawet do celu po drugiej stronie rzeki. Proszę, spójrz!

Mówiąc to uniósł sztucer do ramienia. Chłopak skwapliwie pochylił głowę ku lunecie. Przymknął jedno oko. Z zapiętym tchem spoglądał na odległy łańcuch górski na przeciwległym brzegu Amuru.

– Cudowna broń – szepnął w żargonie rosyjsko-chińskim. – Gdybyśmy mieli taką strzelbę, nawet mój stary ojciec mógłby jeszcze polować, a chunchuzi nie odważyliby się zbliżyć do naszej fanzy[66]...

– Czy bandyci tak często was niepokoją? – zapytał chłopca Smuga.

Chińczyk spłoszonym wzrokiem musnął twarz podróżnika, opuścił głowę.

– Teraz rzadziej przychodzą... Nie mają już co zabierać, bo prawie nic nie posiadamy... – odparł cicho.

Zachęcony przez Tomka, opowiedział smutną historię swej rodziny.

Mieszkali na mandżurskim brzegu Amuru, w wioszczynie u stóp gór porośniętych bujnym lasem. Matka z pomocą dzieci uprawiała małe poletko położone tuż za fanzą, a ojciec polował na antylopy, sobole, lisy i wiewiórki. Ojciec był odważnym myśliwym; nie bał się nawet śnieżnych panter[67], które w zimie schodziły z wyżyn Azji Środkowej. Pewnego dnia w pobliskich górach zagnieździła się banda chunchuzów. Odtąd co jakiś czas najeżdżała wioskę i bezlitośnie łupiła mieszkańców. Pozostawiała im jedynie tyle, by nie pomarli z głodu i mogli dalej pracować.

– Raz, gdy mój ojciec poszedł sprawdzić sidła zastawione na wiewiórki, chunchuzi znów wpadli do wioski – mówił młodzieniec. – Byli bardzo rozgniewani po porażce, jaką ponieśli w walce z Kozakami na rosyjskim brzegu. Zabrali prawie wszystką żywność, a potem zażądali od mieszkańców wioski wyznaczenia dziesięciu młodych mężczyzn, którzy mieli zastąpić poległych członków bandy. Nikt nie chciał do nich przystać, więc zaczęli palić fanzy i mordować. Doprowadzeni do ostateczności mieszkańcy wioski rzucili się na chunchuzów. Niewielu uratowało swe życie.

Młodzieniec zamilkł na chwilę. Potem mówił jeszcze ciszej:

– Miałem wówczas zaledwie siedem lat... Widziałem, jak zabijali moją matkę, braci i siostry... Przerażony zemdlałem; w ten sposób uniknąłem śmierci. Ojciec po powrocie do domu znalazł mnie na wpół przytomnego. Pochował zabitych obok fanzy. Teraz nie może polować tak jak dawniej. Wypłakał oczy, źle widzi. Żyjemy z mojej pracy przy wyrębie drzewa.

– A co się stało z chunchuzami? Czy nie próbowaliście zemścić się na nich? – zapytał Tomek wzburzonym głosem.

– Nie miał kto walczyć, prawie wszyscy mężczyźni wyginęli – odparł Chińczyk. – Potem przyszła inna banda, pobili się między sobą. Jedni odchodzą, drudzy przybywają!

Pochylił się ku Tomkowi i dodał szeptem:

– Odkładam część z każdego zarobku. Gdy palę kadzidło na domowym ołtarzyku, zawsze mówię matce i rodzeństwu, ile już uskładałem na kupno karabinu...

– Dużo ci jeszcze brakuje? – zapytał Smuga.

– Karabin drogi, a ojciec musi jeść. Ale za parę lat kupię karabin!

– Zuch chłopak z ciebie – pochwalił Smuga. – Czy umiesz tropić zwierzynę?

– O, tak! Ojciec mnie uczył!

– Może wobec tego podejmiesz się wytropić dla nas śnieżną panterę? – zaproponował.

– Gdy byłem w domu kilka dni temu, ojciec mówił mi, że w okolicy włóczy się pantera. Porwała naszego prosiaka.

– Czy zechcesz nam pomóc zapolować na nią? – nalegał Smuga.

– Tak, ale musicie pójść ze mną na drugi brzeg. Mieszkamy o dzień drogi w górę rzeki.

– Słuchaj mały, jeśli wytropisz dla nas irbisa, dam ci dobry karabin. Zgoda?

Chłopak niedowierzająco spoglądał na podróżnika.

– No, więc jak? Chcesz otrzymać karabin?

Błysk szalonej radości w oczach małego Chińczyka był dostateczną odpowiedzią. Smuga poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Za dwa dni przyjdź do naszego obozu. Znajdziesz go o godzinę drogi stąd w dół rzeki.

Powiesz, że szukasz łowcy, który chce złapać śnieżną panterę.

– Dobrze, przyjdę i powiem – przytaknął Chińczyk. – Lecz co będzie, jeśli irbis odszedł już z naszych stron?

Smuga zmierzył chłopca badawczym wzrokiem, po czym powiedział:

– Jeśli nie będzie pantery, to i tak dostaniesz karabin. Jednak w obozie musisz zapewniać wszystkich, że niezawodnie doprowadzisz nas do legowiska irbisa. W jaki sposób przeprawisz się na drugą stronę rzeki?

– Przepływam promem – wyjaśnił Chińczyk.

– Czy utrzyma on kilku ludzi i konie?

– O, tak, można na nim przewieźć nawet wóz!

– A więc pamiętaj! Masz przyjść za dwa dni!

Wilmowski ostrożnie wychylił głowę z namiotu i rozejrzał się wokoło. Była jeszcze głucha noc. Nuczi, ćmiąc krótką fajeczkę, czuwał przy żarze ogniska. Obok niego spoczywało na ziemi kilka czarnych psów. W bladym świetle księżyca rysowały się kontury namiotów i wozów. W obozowisku panowała cisza, tylko od strony klatek z tygrysami płynęły urywane, tęskne pomruki, które stapiały się z poszumem wód toczonych przez szeroki Amur.

Lekka mgła słała się po ziemi.

Wilmowski czujnie nasłuchiwał przez dłuższą chwilę; cofnął się w głąb namiotu. Zamyślonym wzrokiem ogarnął swych towarzyszy. Bosman spał już w najlepsze, wygodnie rozciągnięty na polowym łóżku. Jego szeroka, wypukła pierś unosiła się w rytmicznym, spokojnym oddechu; pochrapywał. Tomek chyba także usnął; leżał bez ruchu odwrócony twarzą do ściany. Natomiast Smuga w dalszym ciągu starannie pakował juki. Właśnie odgarnął dłonią kosmyk włosów opadający mu na czoło i przysiadł na związanym worze.

Z kieszeni skórzanej bluzy wydobyl tytoń. Pykając fajeczkę obserwował zafrasowanego Wilmowskiego. Po jakimś czasie odezwał się cicho:

– Andrzeju, mógłbyś jeszcze przespać się przed świtem.

Wilmowski ciężko westchnął i odparł:

– Nie jestem senny, myśli najrozmaitsze kłębią mi się w głowie... Przecież jeśli ów Chińczyk nie zawiedzie, już dzisiaj wyruszymy w drogę... Ciężko mi będzie samemu w niepewności czekać na was!

– Tych kilkanaście dni prędko zleci. Andrzeju! Przyrzekam czuwać nad bezpieczeństwem Tomka...

– Och, przecież nie tylko o niego chodzi! Tomek i ja spłacamy dług Karskim, lecz wy dwaj...?

– Uspokój się, przyjacielu! Bosman dla przeżycia przygody poszedłby nawet do piekła!

I tak nie umrze naturalną śmiercią! Tomek zaś, sam wiesz to zresztą najlepiej, jest jego bratnią duszą. Obecnie denerwuję się tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo.

– Trzymaj ostro ich obydwóch, Janie – poprosił Wilmowski, spoglądając na pogrążonego we śnie syna. – Sam również nie ryzykuj zbyt! Nigdy bym sobie nie darował, gdyby jednemu z was przytrafiło się coś złego!

– W gorszych już bywałem opałach – odpowiedział Smuga. – Jeśli chodzi o mnie, wyruszyłem na tę wyprawę przede wszystkim przez pamięć dla mego przyrodniego brata. Wiesz przecież, jak bardzo chciał nieść pomoc zesłańcom...

Wilmowski usiadł obok Smugi. Zapalił fajkę, a następnie zapytał:

– Czy wszystko już zapakowane?

– Chyba tak, ale zrobimy jeszcze ostateczny przegląd – odpowiedział Smuga. – W tej paczce mam pięć futrzanych worów do spania. W następnej koce, trochę bielizny i podręczną apteczkę. Tutaj zaś ubranie dla naszego zesłańca, a więc: ciepłe spodnie, barani kozuszek, czapka podbita lekkim futrem, rękawice, bielizna, filcowe buty. Pod podszewką kozuszek ukryte są sztuczne wąsy, broda i peruka, które ułatwią mi odpowiednie ucharakteryzowanie się.

– Czy nie zapomniałeś o kleju? – wtrącił Wilmowski.

– Włożyłem go do kieszeni kozuszek. Następny tobolek zawiera namiot, a tamten niezbędny sprzęt obozowy. Trochę zapasów żywności spakujemy przed samym odjazdem w obecności Pawłowa. Broń i amunicja również są przygotowane.

– Ile koni zamierzasz zabrać?

– Sześć, cztery dojazdy wierzchem oraz dwa luzaki do dwukołowego wozu, na który załadujemy klatkę na panterę i juki.

– To wystarczy.

– Słuchaj, Andrzeju, do powrotu Udadźalaki nie odstępuj Pawłowa ani na krok – ostrzegł Smuga. – Szczególnie pilnuj juka, w którym ukryta jest tygrysia skóra.

– Będę o tym pamiętał, Janie, możesz na mnie polegać – zapewnił Wilmowski.

Obydwaj przyjaciele naradzali się aż do samego świtu. Omawiali plan działania poszczególnych grup wyprawy, starając się przewidzieć wszelkie ewentualne przeszkody, na jakie mogli natrafić w decydującej chwili. Najwięcej trudności sprawiała im obecność agenta policji. Smuga doradzał pozbyć się go w ostateczności nie przebijając w środkach, lecz Wilmowski, jak zwykle, kategorycznie sprzeciwił się temu. Uważał, że nikt nie ma prawa pozbawiać życia drugiego człowieka. Długo nie mogli osiągnąć porozumienia.

W końcu przerwali dyskusję widząc, że Tomek i bosman już budzą się ze snu.

Zaledwie wykapali się w rzece i zasiedli do posiłku, młody chiński drwal Fu Czau przybiegł z wiadomością o wytropieniu irbisa. Uzasadnione podniecenie łowców nie wzbudziło żadnych podejrzeń Pawłowa. Krainy, gdzie żył irbis, były wówczas tak samo

mało znane Europejczykom, jak i to zwierzę, bardzo rzadko spotykane w ogrodach zoologicznych. Dlatego choćby tylko skóra śnieżnej pantery mogła stanowić dość cenny łup.

Na krótkiej, ożywionej naradzie łowcy postanowili zapolować na irbisa. Pawłow nie odradzał wyprawy na mandzurski brzeg, ale zalecał jak najdalej posuniętą ostrożność ze względu na grasującą w okolicy bandę chunchuzów, o której istnieniu wiedział Fu Czau. W polowaniu mieli wziąć udział: Smuga, bosman, Udadzałaka i Tomek. Nie tracąc czasu, zaczęli się przygotowywać do drogi.

Wilmowski z Pawłowem odprowadzili towarzyszy aż do miejsca przeprawy przez Amur. Miała się ona odbyć poruszonym przez koło wodne promem, sporządzonym z dwóch łodzi oraz położonej na nich drewnianej platformy. Właściciel promu, Chińczyk o kosmykowatych wusach i brodzie, zwany był przez okolicznych mieszkańców kapitanem Wangiem.

Prymitywny prom nie mógł od razu unieść wozu, sześciu koni i ludzi. Wobec tego Wang zmuszony był dwukrotnie przepływać Amur, aby przewieźć cały tabor wyprawy.

Dopiero w porze popołudniowej prom wyruszył po raz drugi. Tomek niecierpliwie spoglądał na coraz bliższy prawy brzeg. Tam przecież znajdowała się Mandżuria<sup>[68]</sup>, nie mniej groźna od rozległych krain Syberii. Od zachodu okalały ją góry Wielkiego Chinganu, od wschodu zaś nizina nad Ussuri i Góry Północnokoreańskie. Południową granicę Mandżurii stanowiło Morze Żółte, a północną właśnie Amur. Między częściowo zalesionymi górami leżała stepowa Nizina Mandżurska; tylko nad rzekami rosły lasy, w których obok tygrysów, panter, niedźwiedzi, wilków i lisów żyły dziki, sarny, jelenie oraz antylopy górskie.

Prom uporczywie walczył z prądem rzeki. Powoli zdązał ku pasowi nadrzecznego stepu, przechodzącego wąskim przedgórzem w pocięty głębokimi dolinami, piętrzący się wyniosłe Wielki Chingan. Za jego północną krawędzią płynęła rzeka Argun; na zachód od niej, w odległości zaledwie około dwustu pięćdziesięciu kilometrów, leżał Nerczyńsk. Dalej na południe rozciągała się Mongolia, ojczyzna osławionego okrucieństwem Dżyngis-chana, największego zdobywcy w dziejach Azji, który na przełomie XII i XIII wieku założył potężne państwo mongolskie, sięgające od Chin aż po Dunaj w Europie.

U podnóża gór pokrytych lasami zamieszkiwał Fu Czau ze swoim ojcem. Łowcy chcieli dotrzeć do ich fanzy jeszcze tego dnia, a tymczasem prom niezdarnie płynął ukosem pod prąd rzeki. Kapitan Wang, pobrzękując przypiętym do pasa kociołkiem do herbaty, niby to popędzał dwóch półnagich kulisów wprawiających w ruch koło wodne, ale sam nie kwapił się z pomocą. Pokrzykiwał, groził kijem i kręcąc się w pobliżu dwukołowego wozu, wciąż myszkował wzrokiem po umieszczonych na nim jukach.

Prom dobił w końcu do nędznej, skleconej z kilku bali przystani. Łowcy i kulisi namęczyli się porządnie przy wyładowaniu wozu na ląd. Mimo to zaraz zaprzęgli konie. Fu Czau zwinnie wspiał się na juki na wozie, łowcy dosiedli wierzchowców. Ruszyli w drogę. Wypoczęte konie rażno zdążyły na południowy zachód.



O zmierzchu Smuga zarządził postój. Obawiał się zabłądzenia w bezdrożnej krainie. Spętane konie puszczono na popas; ludzie również posilili się zapasami żywności wydobytymi z juków. Gdy zwierzęta nieco wytchnęły, Fu Czau zaproponował wyruszenie w dalszą drogę. Zapewniał, że nawet z zawiązanymi oczami może trafić do swej fanzy. Łowcy po krótkim wahaniu ulegli jego namowom. Zaledwie gwiazdy rozbłysły na niebie, osiodłali konie. Podążyli ku pasmu górskiemu. Jechali stępa, gwarząc i paląc fajki.

## ŚNIEŻNA PANTERA

Księżyc wyjrzał zza gór. Karawana posuwała się teraz wzdłuż linii rzadkiego lasu. Z szeroko rozwartej gardzieli doliny płynął orzeźwiający chłód. Konie widocznie poczuły bliskość ludzkiej sadyby, gdyż same przyspieszały kroku.

– Już niedaleko, nasza fanza znajduje się tuż za lasem – zawołał Fu Czau ku Smudze jadącemu wierzchem.

– Jeśli tak, to podskoczmy prędzej i zbudzimy twego ojca – odparł łowca.

Popędzili wierzchowce; wkrótce wóz pozostał daleko za nimi. Nim minął kwadrans, wjeżdżali w dolinę. Nie opodał zaszczekał pies, zaraz wszakże umilkł i znów zapanowała cisza. Rzadki las urywał się na skraju poletka. W świetle księżyca łowcy ujrzeli charakterystyczną, ulepioną z gliny chińską fanzę z kamiennym kominem zbudowanym na tyłach domostwa. Dwie ściany szczytowe oraz tylna były całkowicie pozbawione otworów, natomiast niemal całą frontową zajmowały dwa wielkie okna, podzielone listwami na małe kwadraty, starannie oklejone papierem. Pomędzy oknami widniały szeroko otwarte drzwi. Fanzę pokrywał dwuspadowy dach z płatów kory.

Łowcy zatrzymali wierzchowce przed domem. Na kilkakrotne wołanie nikt nie odpowiedział, jakby fanza była zupełnie nie zamieszкана. Zeskoczyli z koni i zbliżyli się do stojących otworem drzwi. Tomek ostrożnie przekroczył próg domu. Przy blasku drgającego płomyka zapalki rozejrzał się wokoło.

Tuż z lewej strony drzwi stał niski, kamienny piec, ogrzewający kany[69], czyli prawie dwumetrowej szerokości ławy do spania, zbudowane również z kamienia, które ciągnęły się wzdłuż połowy frontowej oraz jednej szczytowej ściany. Na kanie leżała słomiana mata i odrzucona w nieładzie watowana kołdra upstrzona łatami.

Tomek dotknął ręką kany; była ciepła. W głębi fanzy zwisała z belek podtrzymujących dach, który jednocześnie stanowił sufit, część przepierzenia, dawniej zapewne dzielącego dom na dwie połowy. Tomek zapalił nową zapalkę. Postąpił kilka kroków. Na czysto wymytm stole z heblowanych desek stał świecznik z ogarkiem świecy. Tomek przytknął do niej zapalkę. Teraz ujrział pod szczytową ścianą, naprzeciwko kany, mały domowy ołtarzyk, przypominający wyglądem kapliczkę, ozdobiony błyszczącymi papierkami oraz polnymi kwiatami. Oprócz stołu oraz trzech koślawych stołków w fanzie znajdowała się jeszcze stara chińska skrzynia. Stała z odrzuconym do góry wiekiem, jakby ktoś w pośpiechu porwał jej zawartość.

Młodzieniec nie gasząc świecy, wyszedł z fanzy.

– Nikogo tam nie ma – poinformował przyjaciół. – Ojciec Fu Czau chyba uciekł słysząc tętent koni. Przypuszczał zapewne, że jesteśmy chunchuzami.

– A może ktoś naprawdę napadł go przed naszym przybyciem? – zaniepokoił się bosman.

– Przedtem pies szczekał, a teraz go nie ma – wtrącił Udadzałaka.

– Obudził gospodarza, a potem uciekł razem z nim.

– Nic dziwnego, po nieszczęściu, jakie tych ludzi spotkało, żyją teraz jak zające pod miedzą – zauważył Smuga. – Nasze wołania na nic się nie zdadzą, lepiej poczekamy na Fu Czau.

Zdrożone konie stały spokojnie, łowcy tymczasem przysiedli na ławie stojącej przed fanzą. Opodal budynku mieszkalnego stała drewniana szopa. Za nią widniał warzywny ogródek okolony niskim, ażurowym płotkiem. Łowcy cierpliwie czekali, aż wóz zajechał przed fanzę. Fu Czau zeskoczył na ziemię.

– Drzwi zastaliśmy otwarte, a dom opustoszały – zawołał Tomek.

Fu Czau wbiegł do fanzy. Przy ostatnich błyskach świecy bystrym wzrokiem obrzucił jej wnętrze, po czym wyszedł przed dom i wysokim głosem krzyknął coś po chińsku w ciemność nocy.

Wokół panowała cisza przerywana jedynie parsaniem koni. Fu Czau ponowił wołanie. Z krzaków wynurzył się lekko przygarbiony mężczyzna. Z wycelowaną prosto przed siebie łufą starej flinty wolno podszedł do Fu Czau. Młodzieniec skrzyżował ręce na piersiach; nisko pokłonił się starcowi. Ten zaś dłonią najpierw dotknął ramienia syna, jak gdyby chciał się upewnić, że wzrok go nie myli, a następnie pochyleniem głowy powitał nieznaną przybyszów.

Fu Czau po chińsku wytłumaczył ojcu, kim są jego towarzysze. Starzec kiwnął głową, podreptał ku zaroślom. Powrócił ze sporym zawiniątkiem na plecach i kudłatym psiskiem u nogi. Ruchem dłoni zaprosił gości do fanzy.

Łowcy rozkulbaczyli wierzchowce. Razem z dwoma wyprzęgniętymi z wozu luzakami przywiązali je do poprzecznej żerdki obok szopy. Następnie całą uprzęż oraz wszystkie juki wnieśli do fanzy. Udadzałaka zapalił dwie świecowe latarnie, podczas gdy Smuga i bosman zaczęli wydobywać z juków zapasy żywności.

Stary Chińczyk przykucnął przy piecu. Otworzył drzwiczki i rozdmuchał żar tłący się w popiele. Fu Czau przyniósł naręcze drobno porąbanego drewna. Wkrótce ogień trzaskał w piecu; starzec zbliżył się do stołu, na którym uprzednio położył zawiniątko. Łowcy ujrzeli skarb ukrywany przed chunchuzami. Stanowiły go: niebieska bluza i spodnie, wytarty barani kożuszek, kilka wiewiórczych skórek, jedna lisia oraz dobrze już podniszczony blaszany czajnik. W ten ostatni starzec nalał wody z wiadra. Postawił go na piecu. Resztę rzeczy schował do skrzyni pod ścianą.

Tomek dyskretnie rozglądał się po fanzie. Górne części ścian oraz belki podtrzymujące dach, dawno nie czyszczone, znacznie już pociemniały. Poza tym w izbie panowała czystość, aczkolwiek z każdego kąta wзираła skrajna nędza gospodarzy. Starzec wydobył ze skrytki pod podłogą garnek z odrobiną gotowanego ryżu, lecz bosman natychmiast zaprosił go na posiłek przyrządzony z przywiezionych zapasów.

Obydwaj Chińczycy przysiedli na brzegu kany, olśnieni bogactwem rozpakowanych juków.

Bosman przygotował niemal prawdziwą ucztę. Otworzył puszki konserw mięsnych i rybnych, podał solone masło, ser, suchary, konserwowaną fasolę w sosie pomidorowym, suszone owoce i butelkę rosyjskiej wódki. Wszyscy, porządnie zgłodnieli, ochoczo zasiedli do stołu.

Na zakończenie posiłku Smuga podarował gospodarzowi woreczek tytoniu. Stary Chińczyk natychmiast przytoczył go sobie do paska spodni. Pykając z fajeczki, zafrasowany, potrząsał głową. Niepewnie zerkał na uchylone drzwi. Widoczne było, że jakaś myśl nie daje mu spokoju. Łowcy niebawem zauważyli dziwne zachowanie starca, toteż Smuga zapytał, czy przypadkiem nie jest mu zimno. Chińczyk zaprzeczył ruchem głowy.

– Wóz, dużo koni, broń dobra, worki pełne drogich rzeczy, to niedobrze. Jeśli chunchuzi dowiedzą się, że mamy tak bogatych gości, na pewno tu przyjdą! – wyjaśnił w żargonie rosyjsko-chińskim.

Smuga zmierzył starca przenikliwym wzrokiem. Czyżby ci dwaj Chińczycy byli w zmowie z chunchuzami? Pawłow nieraz mówił, że bandyci posiadają wywiadowców wśród licznych mieszkańców, którzy informują ich, kiedy i na kogo warto dokonać napadu. Dlaczego ten starzec i chłopak pozostali na zgliszczach osady w tak bliskim sąsiedztwie dzikiej bandy? Może historia o wymordowaniu rodziny była zwykłą bajeczką, a irbis jedynie przynętą w celu zwabienia w pułapkę?

– Czy liczna to banda? – zagadnął, obserwując uważnie tajemniczych gospodarzy.

– Wypatrzyłem ich, gdy przeprawiali się na drugi brzeg. Kilkunastu ludzi, może nawet dwudziestu – odparł starzec. – Potem mówiono, że napadli budujących kolej...

– Bagatelka! To wypadaloby najwyżej po pięciu na każdego z nas – niedbale wtrącił bosman.

Smuga również nie wyglądał na zakłopotanego możliwością spotkania z bandytami. Tomek dostrzegł zagadkowy uśmiech na jego ustach, pomyślał więc, że tym razem złe wiadomości musiały mu być bardzo na rękę.

– Ano, zobaczymy jak to będzie! – rzekł Smuga. – Teraz kładźmy się spać, bo nocy zostało nam już niewiele!

– Kto pierwszy stanie na straży? – zapytał Tomek.

– Nie warto dzisiaj czuwać! Tylko patrzeć świtu – głośno odparł Smuga.

Udadźalaka rozścielał właśnie koce na kanach. Bosman ziewnął potężnie; zaczął się rozbierać.

– Skoro nie trzymamy wachty, to kimajmy jak susły – mruknął. – Wprawdzie niejeden już, co zaniedbał obowiązku, ze zdziwieniem budził się w królestwie świętego Piotra, ale pan żeś tu dowódcą!

– Święta racja, bosmanie, wobec tego nie mruż i kładź się spać – szepnął Smuga. – Dzisiaj już nikt by nie zdążył powiadomić chunchuzów...

- Być może, ale zawsze lepiej nikomu zbytnio nie dowierzać!
- Zawsze wierzę tylko sobie – odparował Smuga.
- To mów pan tak od razu! – burknął uspokojony marynarz i domyślnie zmrużył oko.

Upewniwszy się w ten sposób, że Smuga nie zaniedba ostrożności, bosman, zwyczajem Chińczyków, nago legł na kanach zwrócony głową do środka fanzy, a nogami do ściany. Naciągnął koc na głowę. Prawie zaraz zaczął chrapać. Tomek oraz Udadzałaka poszli w jego ślady. Smuga również ułożył się na posłaniu, twarzą zwrócony ku drzwiom. Udając sen, spod przymrużonych powiek obserwował Chińczyków.

Przez jakiś czas Fu Czau szeptem rozmawiał z ojcem. Ten potrząsał głową, co chwila zerkał na śpiących gości. W końcu Fu Czau zdjął z kołka na ścianie starą, powiazaną drutem strzelbę, nabił ją starannie i usiadł na progu w otwartych drzwiach fanzy. Ojciec zdmuchnął świece w latarniach, przykucnął za plecami syna.

Smuga odwrócił się na drugi bok.

Kwik koni przerwał łowcom zasłużony odpoczynek. Jak na komendę zerwali się z posłań. Jednym spojrzeniem upewnili się, czy nikt nie ruszał ich broni. Karabiny stały rzędem oparte o ścianę. Wylegli przed fanzę. Fu Czau właśnie pętał konie i puszczał je na łąkę. Jego ojciec, w słomianym stożkowym kapeluszu na głowie, wyganiał z ogródka warzywnego dwa warchlaki.

Łowcy przystanęli przed zagrodą. Starzec powitał ich pokłonem, a następnie rzekł:

– Syn mówił mi, że czcigodni goście zamierzają schwycić irbisa. Pewno na wyżynach zapowiada się ostra zima, bo jedna pantera zawędrowała już aż tutaj. Niedawno porwała mi najlepszą świnię.

– Czy wiesz może, gdzie urządziła sobie legowisko? – zapytał Smuga.

– Wytropiłem ją kilka dni temu – odparł Chińczyk. – To przebiegła sztuka! Zazwyczaj czatuje nad strumieniem przy wodopoju.

– Wobec tego prosimy cię, dostojny panie, abyś jeszcze dzisiaj wskazał nam to miejsce – wtrącił Tomek.

– Czy naprawdę obiecaliście za to mojemu synowi karabin? – niedowierzająco spytał Chińczyk.

Smuga jakby nie dosłyszał pytania i znów zagadnął:

– Podobno chunchuzi odwiedzają was dość często? Twój syn mówił nam, że przeżyliście przez nich bardzo ciężkie chwile, czy to prawda?

Starzec wyszedł z zagrody. Ręką dał znak, aby goście poszli za nim. Kilkadziesiąt kroków za fanzą ujrzeli niezbyt wysoki płotek upleciony z gałęzi. Okalał on siedem mogił usypanych w jednym rzędzie. Groby były bardzo starannie utrzymane, pokryte kwieciem.

– To moja szlachetna małżonka i dzieci – powiedział starzec, oddając głęboki pokłon

każdej mogile. – Chunchuzi odebrali mi ich wraz z całym dobytkiem.

– Słuchaj, poczciwy człowieku, jeśli kiedykolwiek spotkamy chunchuzów, będziemy o tym pamiętali – powiedział bosman, groźnie marszcząc brwi. – A o ten karabin, przyobiecany twemu chłopakowi, nie kłopotz się więcej! Dostanie go jak amen w pacierzu!

Starzec pokłonił się bosmanowi.

– Czcigodny panie, taka broń drogo kosztuje. Mój dobry syn odłożył już trochę pieniędzy, mówił mi, że wam je odda!

Wsunął się za ogrodzenie. Spod darniny na środkowej mogile wydobył blaszaną puszkę od herbaty, po czym wręczył ją bosmanowi. Marynarz zakłopotany zajrzał do jej wnętrza. Trochę wzruszony spoglądał na garść srebrnych monet. W końcu zanurzył dłoń w kieszeni, wyjął złotą pięciorublowkę, wrzucił ją do “skarbonki” i zamknął wieko.

– Schowaj to na czarną godzinę – mruknął, wciskając puszkę do rąk Chińczyka. – Chodźmy do fanzy, zaraz damy ci ten karabin.

Starzec jeszcze raz pokłonił się marynarzowi do kolan, ten zaś, nie chcąc być mniej uprzejmy, uczynił to samo, naraz jednak stuknęli się głowami jak dwa kozły. Zasmucony Tomek zaraz poweselał. Ujął przyjaciół pod ręce i ochoczo poprowadził ich ku fanzie.

Radość obydwóch Chińczyków nie miała granic. Smuga bowiem wręczył im nowy karabin, a bosman dodał do niego własną lunetkę do zakładania na lufę. Tomek dołożył paczkę naboju. Udadźalaka zaś ofiarował im swój kukri[70], czyli krótki zakrzywiony nóż o szerokim ostrzu.

Po śniadaniu łowcy razem z gospodarzami udali się na poszukiwanie tropów śnieżnej pantery.

Stary Chińczyk tego dnia odmłodził co najmniej o kilka lat. Szedł różnym krokiem. Z dumą zerkał na syna niosącego nowy karabin. Nikt w najbliższej okolicy nie posiadał tak wspaniałej broni! Obecnie razem będą mogli chodzić na polowanie. Gdy uskładają dość pieniędzy na kupno kawałka ziemi, przeniosą się w pobliże większego miasta, gdzie zapomną o strachu przed chunchuzami. Starzec już nie łaknął zemsty.

Z czasem przecież pojął, że śmierć kilku nieznanymi bandytów nie może przywrócić życia jego rodzinie! Teraz pragnął tylko ocalić jedyne dziecko i umrzeć spokojnie, otoczony wnukami. Toteż wdzięczność dla tych obcych ludzi, którzy tak szczerze go obdarowali, wypełniała jego serce. Chciał im to jakoś okazać, więc jak za dawnych lat odważnie prowadził łowców do legowiska śnieżnej pantery.

Wkrótce złowił uchem tak dobrze mu znany szum potoku. Ścieżka wydeptana przez antylopy znajdowała się nieco z boku, ale starzec umyślnie ją omijał, aby nie płoszyć zwierzyny. Gdyby antylopy zmieniły miejsce wodopoju, irbis również by za nimi powędrował.

Okrężną drogą podkradali się nad potok. Chińczyk przykucnął w chaszczach. Ostrożnie



rozchylił gałęzie.

– To tutaj – szepnął. – Spójrzcie, dostojni panowie, na ten rozwidlony pień, którego konar zwisa nad wodopojem! Pantera zazwyczaj czatuje na nim o świcie...

– Ejże, człowieku, przecież nawet najgłupsze bydlę natychmiast ją wypatrzy i czym prędzej da drapaka! – powątpiewał bosman.

– Mylisz się, szlachetny panie – zaprzeczył Chińczyk. – Nawet w dzień trudno ją spostrzec! Wyciąga się wzdłuż na gałęzi, łeb opiera na przednich łapach i czatuje nieruchoma.

– Pantery są bardzo przebiegłe – potwierdził Smuga. – Poczekajcie tu na mnie. Rozejrzę się po okolicy i obmyślę plan zasadzki.

– Dobra nasza, poniuchaj pan trochę, bo musimy tu trafić w nocy – powiedział bosman, po czym wygodnie rozparł się na ziemi pod drzewem.

Tomek usiadł obok niego. Korzystając z okazji, że Chińczycy z Udadzałaką zaszyli się w krzewy malin, zagadnął:

– Czy zauważył pan, że Smuga wcale się nie zmartwił wieścią o chunchuzach?

– Ba, nawet był z niej zadowolony – potwierdził marynarz. – Gdy taki cwaniak zabiera się do rzeczy, to chunchuzi mądrzej by zrobili nie włączając mu w drogę!

– Hm, gdyby bandyci zechcieli nas ścigać w kierunku Nerczyńska...

– Coś mi się wydaje, że jesteś blisko prawdy – potaknął bosman.

– Smuga gotów to tak urządzić...

– A to byłaby heca!

– Jak amen w pacierzu rozerwalibyśmy się trochę – dodał bosman.

– Na szczęście twój szanowny tatuś został w obozie!

Bosman zatarł ręce na samą myśl o spotkaniu z chunchuzami. Dawniej w różnych portach chętnie wdawał się w awantury, jednak od czasu, gdy Wilmowski zwerbował go do wspólnych wypraw łowieckich, nie mógł zbyt często folgować swym upodobaniom. Tomek zauważył to wymowne zatarcie rąk przez przyjaciela. Zaraz też, pomny przestróg ojca, rzekł:

– A co zrobimy, jeśli chunchuzi za mocno przyprą nas do muru?

– Pytasz, co zrobimy? Ano, będziemy celnie mierzyli! – odparł bosman.

– To straszne przelewać krew ludzką!

– Ejże, koleżko, coś mi się wydaje, że masz ochotę wystawić Sally do wiatru!

– Co ma piernik do wiatraka! Po jakie licho zaraz miesza pan Sally do rozmowy o bójkach?!

– Bo gadasz niczym mnich. Nie zamyślasz chyba wstąpić do zakonu?! Zrobiłbyś naszej sikorce paskudny kawał! Gdy jakiś drań skacze ci do oczu, zapomnij, brachu, o Biblii!

– Ładne nauki pan mi daje – z przekąsem rzekł Tomek.

– Ba, nie wszystko złoto, co się świeci! Raz podbiłem kumplowi oko i matka jego przyszła do mego staruszka ze skargą. Za karę cały wieczór musiałem pisać: “Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy!”

– I na pewno wyszło to panu na dobre!

– A jakże, mądralo! Nazajutrz ten z podsiniaczonym ślepiem rąbnął mnie w ucho, a gdy faktycznie usłuchałem przykazania wybił mi boczny ząb. Od staruszka dostałem porządne lanie, że jestem niedorajdą, który pozwala sobie wybijać zdrowe zęby!

Tomek wybuchnął śmiechem. Wkrótce w największej zgodzie gawędzili o różnych przygodach, aż do powrotu Smugi.

Zaraz po obiedzie Smuga zarządził przegląd broni. Uzbrojenie każdego uczestnika wyprawy stanowił pas z dwoma rewolwerami i karabin. Następnie łowcy jeszcze raz przepakowali juki, wóz bowiem oraz część sprzętu zamierzali na jakiś czas ukryć w fanzie.

Oddzielnie odłożyli juki z ubraniem dla zesłańca, śpiwory, namiot i najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz skromny zapas żywności, które były potrzebne w dalszej drodze.

Bosman, zaintrygowany niezmiernie tymi przygotowaniem, na uboczu zagadnął Smugę:

– Wygląda na to, że rychło ruszymy w drogę...

Smuga potwierdził skinieniem głowy, a marynarz dalej indagował:

– Czy spodziewasz się pan chunchuzów?

Smuga znów kiwnął głową.

– A jeśli nie przyjdą?!

– To sami ich poszukamy... – padła lakoniczna odpowiedź.

Bosman zadowolony zarechotał cicho, po czym szepnął:

– Tak też sobie kombinowałem podczas przeprawy na tę stronę rzeki. Chciałbyś pan, żeby bandziory pognały nas na zachód?

– Albo oni nas, albo my ich – odpowiedział Smuga.

Bosman znów zarechotał basem i zapytał:

– Jak pan myślisz, czy szybko dowiedzą się o nas?

– Jeśli nie zjawią się w ciągu dwóch lub trzech dni, to my przystąpimy do działania. Jednak spodziewam się, że wetkną tutaj swój nos!

– A my, jak amen w pacierzu, utrzymamy go im!

Roześmiali się.

– Wilmowski znów rąbnie nam kazanie – zafrasował się bosman. – Szlachetny to mężczyzna, ale taki niepraktyczny...

– Nie mędrkuj, bosmanie! W razie bijatyki ani na chwilę nie spuszczaaj Tomka z oka.

– Możesz pan na mnie polegać. Sally urwałaby mi łeb, gdyby jemu stało się coś złego!

Nadszedł wieczór. Łowcy wcześniej ułożyli się do snu, tej jednak nocy na zmianę czuwali.

Po Tomku przyszła kolej na Smugę. Z rewolwerem u pasa wyszedł przed fanzę.

Noc była bardzo widna. Olbrzymi księżyc w pełni zdawał się dotykać ciemnej linii lasu. Smuga sprawdził, czy wszystkie konie przywiązane są do poprzecznej żerdzi przy szopie, a następnie pomyszkował wśród krzewów wokół fanzy. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc po jakimś czasie wrócił do izby. Po cichu zbudził towarzyszy.

Wkrótce ubrani i uzbrojeni wyszli przed dom. Smuga przyniósł sieć i arkany.

– W trójkę pójdziemy na zwiady do wodopoju – oznajmił, gdy wszyscy zgromadzili się przed fanzą. – Ty zaś, Udadzałaka, zostaniesz tutaj na straży. Gdybyś zauważył coś niezwykłego, wypal z karabinu. Wodopój niedaleko, przybiegniemy w kilka minut. Bądź ostrożny, chunchuzi mogą się kręcić w pobliżu!

– Rozkaz, proszę pana – służbiście odparł Udadzałaka.

– Słuchaj, brachu, najlepiej usiądź sobie za framugą drzwi i tylko dobrze nadstawiaj ucha – doradził bosman. – Węsząc wokół domu stanowiłbyś doskonały cel dla kogoś przyczajonego w krzakach.

– Bosman ma rację – powiedział Smuga. – Stamtąd widać konie jak na dłoni, a właśnie przede wszystkim do nich nie wolno dopuścić nikogo obcego. W razie niebezpieczeństwa natychmiast obudź Chińczyków. Rezerwowy karabin dla starego stoi nabity obok kany.

– Według rozkazu, będę czuwał... – odpowiedział Udadzałaka. Trzej łowcy ostrożnie przedzierali się przez gąszcz pobliskiego lasu, toteż minęło przeszło pół godziny, zanim dotarli do wodopoju. Tomek zadarł do góry głowę. Konar pochylony nad potokiem był prawie niewidoczny na ciemnym tle wyżej rosnących gałęzi.

– Pusto tu i głucho – szeptem zauważył. – Szkoda czasu na bezcelowe tropienie... Możemy wracać do fanzy!

– Nie gadaj głupstw – skarcił go Smuga. – Umyślnie rozgłaszaliśmy o naszej wyprawie na irbisa, więc przynajmniej musimy udawać, że polujemy. Czy już zapomniałeś o Pawłowie?

– Święta racja, on na pewno przeprowadzi śledztwo, gdy my się stąd ulotnimy – dodał bosman. – Dlatego wiele zależy od zeznań obydwóch Chińczyków. Dla nich to urządzamy tę całą szopkę z polowaniem!

– Rozumiem, rozumiem, ale jakoś jestem dzisiaj bardzo niespokojny – usprawiedliwiał się Tomek.

– Nie myśl o chunchuzach, może wcale nie przyjdą – pocieszył go marynarz.

– Dość czezej gadaniny! Bosmanie, wleź na drzewo i umocuj siatkę nad pochyłym konarem – rozkazał Smuga. – Urządź to tak, aby sieć spadła za jednym pociągnięciem sznura.

– Dobra, zaraz zatknę flagę na maszcie! – powiedział bosman. Zarzucił zwój sieci na ramię i zaczął się wspinać na drzewo.

Zniknął na ciemnym konarze, lecz wkrótce rozległ się jego tubalny głos:

– Bycze miejsce na zasadzkę! Włazi się tu jak po schodach...

– Bądź cicho, do licha! – ostrzegł Smuga. – Przepłoszysz zwierzynę!

Było to zupełnie niepotrzebne. Bosman sam zamilkł w pół zdania.

Właśnie dopiero teraz, nie dalej jak o wyciągnięcie ręki, spostrzegł bielejące na konarze cielsko pantery. Wpatrywała się w niego błyszczącymi, zmrużonymi ślepiami. Naraz lekko powstała. Bosman na szczęście nie stracił przytomności umysłu; błyskawicznie zasłonił twarz siecią zerwaną z ramienia. Gwałtowne uderzenie cielska pantery omal nie strąciło go z konaru. Z trudem utrzymując równowagę, prawą dłoń wczepił w puszyste futro na karku zwierzęcia, którego pazury i kły szarpały gruby zwój sieci... Bosman próbował zrzucić z siebie rozjuszoną bestię. Nagle uderzyła go tylnymi łapami w nogi. Stracił równowagę, zachwiał się. Po chwili razem z panterą runął w dół.

Nadziemna cicha walka trwała zaledwie chwilę. Toteż Tomek i Smuga przerazili się nie na żarty, gdy bosman nieoczekiwanie gruchnął z drzewa prawie wprost na ich głowy. Tomek upadł, uderzony w twarz puszystym ogonem. Smuga natomiast od razu połapał się w sytuacji. Całym ciężarem ciała przygniótł grzbiet pantery. Bosman stęknął boleśnie. Tomek pośpieszył im na pomoc. Chwycił panterę za skórę na karku tuż przy samym łbie. Niewiele już brakowało, aby gołymi rękami obezwładnili drapieżnika, gdy naraz od strony fanzy rozbrzmiał strzał karabinowy. Po nim zaraz rozpoczęła się bezładna kanonada.

Bosman podkurczył nogi, sieknąwszy z wysiłku wyprężył się i za jednym zamachem zrzucił z siebie panterę oraz przyjaciół.

Irbis szybko skoczył w krzewy, łowcy zaś natychmiast porwali porzucone na ziemi karabiny i pobiegli ku fanzie.

## WALKA Z MIEDZIANOBRODYMI

Gwałtowna palba przemieniła się wkrótce w pojedyncze strzały. Trzej łowcy nie zważali na gałęzie smagające ich po twarzach, potykali się w wykrotach, czasem któryś padał na ziemię, lecz zaraz wstawał i doganiał towarzyszy. Bosman trochę kulał po upadku z drzewa, porozrywane pazurami pantery spodnie zahaczały o krzewy, ale mimo wszystko nie pozostawał w tyle. Twarz Smugi krwawiła, nie zdążył się bowiem uchylić przed uzbrojoną w ostre pazury łapą irbisa. Teraz uderzenia gałęzi sprawiały mu dotkliwy ból. Jedynie Tomek nie poniósł żadnego szwanku, toteż wyrywał się do przodu.

- Prędeż, jeszcze się bronią! – zawołał, znów przyspieszając biegu.
- Nie wyprzedzaj! – krzyknął Smuga, przytrzymując młodzieńca za ramię.
- Biegnij za mną! – dodał bosman; jednocześnie wysunął się przed Tomka, by nadawać równe tempo.

Marynarz bez trudności odgadywał myśli Smugi. Im mniej zmęczeni przybiegną do fanzy, tym skuteczniej uderzą na wroga. W tej chwili sytuacja nie mogła tam być zbyt groźna. Udadźalaka, doskonały żołnierz, na pewno nie dał się zaskoczyć bandzie pospolitych opryszków. Pojedyncze strzały były najlepszym dowodem, że pierwszy atak został skutecznie odparty.

Las rzedniał... Poprzez drzewa widać już było zabudowania fanzy. Smuga wyprzedził bosmana. Poprowadził towarzyszy ku szopie, obok której przywiązane były wierzchowce. Z lasu przebiegli chyłkiem do pobliskich krzewów. Pod ich osłoną podpełzli o kilkanaście kroków od szopy. Pospiesznie zbadali sytuację.

Chunchuzi, ukryci w zaroślach na wprost fanzy, strzałami trzymali w szachu obrońców znajdujących się w jej wnętrzu. Część napastników zapewne okrążała dom, by pod osłoną ścian pozbawionych okien, podkraść się do drzwi. Słysząc było ich nawoływania na tyłach domu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zaatakują jeszcze przed świtem.

Dwóch chunchuzów, w krótkich kozuszkach i szerokich, stożkowatych kapeluszach na głowach, usiłowało uprowadzić konie przywiązane obok szopy. Nie mogli jednak podejść do nich od przodu żerdzi, ponieważ z szeroko otwartych drzwi fanzy natychmiast padał strzał, gdy tylko któryś z nich wychylał się zza wystraszonych koni. Chunchuzi klęli, ponawiali próby, a tymczasem z jednej strony kule, a z drugiej kopyta wierzgających koni wciąż broniły im dostępu.

Smuga obawiał się, że sytuacja lada chwila może ulec zmianie na korzyść bandy, nie zważając więc na nic, postanowił rozpocząć atak. Trącił bosmana w ramię, wskazując ruchem głowy obydwóm chunchuzów. Bosman skinął głową, po czym na migi poleciał Tomkowi, by w razie potrzeby osłaniał ich ogniem przed napaścią bandytów zgrupowanych na wprost fanzy.

Młodzieniec zaraz skierował lufę sztucera w tamtą stronę, obydwaj zaś jego towarzysze złożyli swe karabiny obok niego. Wydobyli noże. Broń palna była obecnie bezużyteczna –

kule mogłyby poranić konie.

Smuga i bosman jednocześnie poderwali się na nogi i podskoczyli ku chunchuzom. Była to krótka walka. Zaskoczeni bandyci stawiali słaby opór. Smuga od razu pierwszym ciosem powalił jednego z nich, bosman natomiast trafiony w twarz arkanem oślepl na chwilę, ale mimo to chwycił chunchuza za rękę. Krótką szamotaninę zakończył okrzyk bólu i trwogi. Z boku huknęło kilka strzałów. Zaraz odpowiedziały im błyski ognia z fanzy.

Trzej łowcy podpełzli bliżej domu. Teraz znaleźli się między końmi i chunchuzami ostrzeliwującymi obleżonych. Bandyci przerwali ogień. Widocznie naradzali się, zdezorientowani.

Niebo zaróżowiło się na wschodzie.

– Już świta, zaraz uderzą na fanzę... – szepnął bosman.

– Udadźalaka nie próżnował – mruknął Tomek. – Trzech leży na majdanie przed domem...

– Z naszymi dwoma to już pięciu... – dodał marynarz.

– Cicho! Idą! – ostrzegł Smuga.

Brodaty łeb wychylił się zza węgła fanzy. Bandyta wzrokiem mierzył odległość między węglem a szeroko otwartymi drzwiami. Po chwili ostrożnie wynurzył się cały i zaraz przylgnął plecami do ściany. Noga za nogą sunął ku drzwiom. Za nim pokazało się kilku następnych.

Wkrótce byli już przy szerokim oknie. Opadli na czworaki i pełzli dalej...

Niektórzy trzymali w zębach noże, inni uzbrojeni byli w maczugi. Tylko trzech posiadało flinty.

– Dziewięciu... Skoczę między nich, osłaniajcie mnie ogniem! – szepnął bosman.

– Dobrze, nic nie wiedzą o nas... – przyzwolił Smuga.

Łowcy się nie mylili; bandyci zgrupowani na tyłach domu nie byli zorientowani w sytuacji. Rękoma dawali znaki towarzyszom ukrytym w krzewach, by przyłączyli się do ataku. Już tylko dwa lub trzy kroki dzieliły ich od drzwi.

Bosman nie tracił cennego czasu. Położył karabin na ziemi, wyjął rewolwer z pochwy, wepchnął go za pas. Przesunął rękojeść noża, by łatwo mógł trafić do niej dłonią, dźwignął się i skoczył...

– Nie strzelaj, Udadźalaka! – wrzasnął Tomek, ujrawszy lufę wychylającą się zza framugi drzwi.

– Milcz! – syknął Smuga, usiłując dłonią zatkać mu usta, lecz było już za późno.

Chunchuzi o kilka sekund za wcześnie spostrzegli, że to ktoś obcy biegnie do nich. Jak na komendę poderwali się z ziemi. Pierwszy potężnie zamachnął się maczugą; byłby niechybnie roztrzaskał bosmanowi głowę, gdyby ten, tuż przed nim, jak długi nie padł na



ziemię. W tej chwili czujny Udadżalaka rzucił się marynarzowi na pomoc. Wyskoczył z fanzy, uderzeniem kolby powalił chunchuza. Bosman rozzłoszczony niepowodzeniem porwał się z ziemi jak huragan. Chwycił obezwładnionego przez Udadżalakę wroga, uniósł go jak piórko ponad głowę i z rozmachem rzucił w gromadę atakujących chunchuzów. Dwóch czy trzech przewróciło się, a olbrzymi marynarz już wskoczył w czeredę bandytów. Silnym ciosem pięści powalił jednego z nich, drugiego pchnął nożem. Trzech naraz chwyciło go za ramiona, bosman strząsnął ich z siebie; celnymi uderzeniami pięści, z nożem w zębach, siał straszliwe spustoszenie. Udadżalaka wiernie mu sekundował. Kolbą karabinu uderzał na prawo i lewo, osłaniał bosmana, aby nikt nie mógł zdradziecko zaatakować go z tyłu. Naraz Fu Czau i jego stary ojciec włączyli się do walki.

Chunchuzi czatujący w zaroślach byli bezsilni. Nie mogli użyć broni palnej, ponieważ gwałtowna walka wręcz uniemożliwiała rozpoznanie wroga. Widząc, że może ich spotkać sromotna klęska, postanowili wesprzeć swych towarzyszy. Z przeraźliwym wrzaskiem wyskoczyli z zarośli.

Smuga i Tomek tylko na to czekali. Dwukrotnie wypalili z karabinów, a następnie uzbrojeni w rewolwery, z boku dopadli napastników. Gruchnęły strzały. Skurcz bólu przebiegł po twarzy Smugi. Kula ugodziła go w lewe ramię, lecz dwoma celnymi strzałami usunął napastników ze swej drogi. Tomek podstawił nogę jakiemuś chunchuzowi, już miał powstającego ogłuszyć ręką pięścią rewolweru, gdy wtem sam otrzymał cios w głowę. Upadł. Jak przez mgłę ujrzał plecy Smugi, który w porę osłonił go przed ponownym uderzeniem kolbą. dzielny Tomek przemógł własną słabość. Dźwignął się na nogi. Smuga walczył wręcz z jakimś brodaczem. Tomek chwycił chunchuza za kołnierz, uderzył go w tył głowy.

Krótką, lecz nadzwyczaj gwałtowną walką dobiegała końca. Bo oto rozjuszony bosman nadbiegł swoim druhom na pomoc. Reszta chunchuzów nie miała już odwagi stawić mu czoła w otwartej walce. Huknęło parę niecelnych strzałów. Chunchuzi zaczęli czmychać z pola walki.

Smuga znów z karabinem w dłoni siał za nimi strzał za strzałem, czym zmuszał ich do wycofywania się w wylot doliny. Niespokojnym spojrzeniem ogarnął grupkę przyjaciół. Bosman posiniaczony na twarzy naprędce obwiązywał chustką dłoń skaleczoną nożem, wszakże wesoło błyskał oczami. Wołał na Chińczyków, by natychmiast siodłali konie. Uderzenie, które otrzymał Tomek, złagodziła na szczęście futrzana czapka; z walki wyszedł jedynie z dużym guzem. Fu Czau zraniony był nożem w plecy, ale jego rana nie była groźna. Nóż lekko przeciął skórę i osunął się po lewej łopacie.

Tomek przestraszył się ujrzawszy strugę krwi ściekającą po lewej dłoni Smugi. Natychmiast popędził do fanzy po apteczkę. Gdy wrócił, Smuga był już obok szopy przy wierzchowcach. Tomek podbiegł ku niemu, a tymczasem obydwaj Chińczycy wynosili przed dom uprząż i juki.

– Niech pan zrzuci kurtkę! – zawołał Tomek. – Mam opatrunki!

– Później! Bierz konie dla bosmana i Udadżalaki. Pieszo nic nie działają! – odkrzyknął

Smuga. – Dołącz się do pościgu! Pędźcie chunchuzów w górę rzeki! Spiesz się, do licha!

Tomek ujął trzy wierzchowce za arkany i po chwili pospiesznie siodłał je przy pomocy Chińczyków. Niebawem galopował ku wylotowi doliny. Na stepie zaraz wypatrzył towarzyszy, którzy celnymi strzałami zmuszali chunchuzów do ucieczki w kierunku Amuru.

Tymczasem przed domem Smuga osiodłał swego konia. Razem z Chińczykami objuczył obydwu luzaki.

– Szybko utracisz siły, dostojny panie! Trzeba zahamować upływ krwi – powiedział stary Chińczyk, gdy Smuga miał dosiadać wierzchowca.

– Tu jest torba z opatrunkami. To nie potrwa długo – zachęcił Fu Czau.

Smuga nigdy nie lekceważył dobrej rady. Nierozsądny pośpiech mógł zaważyć na wyniku pościgu.

– Pomóżcie mi zdjąć kurtkę – rzekł po krótkiej chwili wahania. Stary Chińczyk przyniósł w wiadrze wodę. Smuga obmywszy się pozalepiał plastrami zadrapania na twarzy. Dopiero na końcu prawą dłonią wprawnie obmacał wciąż krwawiące lewe ramię. W mięśniu tkwiła kula. Chińczycy mocno przewinęli ranę bandażami. Fu Czau przyniósł świeżą koszulę z juków pozostawionych w fanzie.

Smuga dosiadł wierzchowca.

Stary Chińczyk podał mu karabin, który otrzymał od Udadźalaki przed rozpoczęciem walki.

– Dostojny panie, weź swoją broń! – powiedział.

– Dzielnie stanąłeś po naszej stronie, zatrzymaj ją na pamiątkę – odpowiedział Smuga.  
– Wóz i juki przechowajcie aż do naszego powrotu.

– Będziemy ich pilnie strzegli – zapewnił Fu Czau.

– Słuchaj, chłopcze, ruszamy w pogoń za chunchuzami. Muszą ponieść zasłużoną karę. Oddamy ich w ręce władz rosyjskich. Powiadom o tym naszych towarzyszy w obozie po drugiej stronie rzeki.

– Uczynię to natychmiast! – zapewnił Fu Czau.

– Zaraz nie możesz wyruszyć w drogę – zaproponował Smuga. – Dzisiaj musicie pogrzebać zabitych. Jeśli jutro rano pożegnasz swego czcigodnego ojca, przed wieczorem będziesz w obozie. To wystarczy. A więc do zobaczenia!

Ruszył stępą, wiodąc na arkanie dwa juczne luzaki. Podążył stepem na przełaj, wsłuchując się w odgłosy strzałów karabinowych. Nie wątpił w pomyślny wynik pościgu. Bosman i Udadźalaka posiadali zbyt dużo doświadczenia, aby pozwolili chunchuzom na ucieczkę z potrzasku. Toteż uśmiech zadowolenia błąkał się na jego ustach. Rozgromienie bandy chunchuzów i wzięcie niedobitków do niewoli powinno otworzyć im drogę do Nerczyńska.

Pognał konie. Nie zważał na ból w ramieniu, chciał jak najprędzej połączyć się z towarzyszami. Po jakimś czasie wierzchowiec, na którym jechał, gwałtownie rzucił się na bok, parskając z przestachu. Smuga omal nie wyleciał z siodła. Spozstrzegł martwego chunchuza leżącego w trawie. Smagnął konie i pognał dalej. Niebawem ujrzał pościg i uciekających.

“Dobrze się spisują” – pomyślał, obserwując zręczne manewry przyjaciół.

Tomek harcował na koniu na tyłach chunchuzów, nie pozwalając im uciekać na wschód. Natomiast bosman z Udadżalaką naciskali ich z boku i spychali ku rzece. Był dopiero wczesny ranek. Pościg powinien trwać do wieczora. W ten sposób, według obliczeń Smugi, mogli przebyć około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu kilometrów. Wtedy zaledwie pół dnia drogi dzieliliby ich jeszcze od toru kolejowego.

Smuga wystrzelił z rewolweru. Tomek obejrzał się, powstrzymał konia.

– Jak dobrze, że pan już jest z nami! – zawołał, gdy Smuga zrównał się z nimi. – Czy rana nie jest poważna?

– Głupstwo, Tomku! Zajmiemy się nią na wieczornym biwaku – odparł Smuga. – Czy żaden z chunchuzów nie zdołał uciec?

– Jeden próbował, ale bosman go zastrzelił.

– Ilu ich jest teraz?

– Dziesięciu, proszę pana! Co zrobimy?

– Na razie niech uciekają na zachód...

– W nocy na pewno nam umkną!

– Bądź spokojny, przed zmrokiem weźmiemy ich w pęta – odparł Smuga.

Pościg trwał dalej... W ciągu dnia chunchuzi jeszcze raz podjęli rozpaczliwą próbę rozbiegnięcia się po stepie. Znów jeden z nich legł martwy. W kilka godzin później byli niemal całkowicie wyczerpani. Niektórzy ślaniali się na nogach, inni co chwila padali.

Smuga przez lunetę uważnie zlustrował okolicę. O kilkaset metrów dalej urwisty brzeg rzeki znacznie się obniżał. Widoczny jak na dłoni szeroki pas zarośli na pewno utrudniłby tam skuteczny pościg. Wobec tego dał hasło do ataku. Jeźdźcy zwrócili wierzchowce ku Amurowi. Strzałami zepchnęli chunchuzów w kierunku stromego brzegu. Pozbawieni sił bandyci prawie bez oporu zostali obezwładnieni. Wkrótce skrępowani leżeli na ziemi.

Tego dnia dalszy marsz był niemożliwy. Tak ludziom, jak i wierzchowcom należał się odpoczynek, a wieczór był już blisko. Rozłożyli obóz na wysokim brzegu Amuru.

Wkrótce siedzieli przy naprędce przygotowanym posiłku. Smuga prawie nie jadł, niewiele mówił. Z wysiłkiem podnosił dłoń zdrowej ręki do czoła, by zetrzeć krople potu. Pobladał, jakby był bliski omdlenia.

– Co panu jest? – zaniepokoił się Tomek. – Na pewno nie opatrzył pan należycie rany!

Smuga, z trudem pokonując ogarniające go coraz większe osłabienie, odparł:

– Kulę mam w ramieniu... Chciałem poczekać z wyjęciem jej do Nerczyńska, ale chyba przerachowałem swe siły...

– Do stu beczek zjełczanego tranu! Czemuś pan o tym od razu nie powiedział? – zawołał bosman oburzony. – Zdejmuj pan kapotę, znam się co nieco na tym!

Ból musiał być naprawdę bardzo dotkliwy, ponieważ Smuga bez sprzeciwu zdjął przy pomocy przyjaciół kurtkę. Koszula była na ramieniu przesiąknięta krwią. Bosman ostrożnie odbandażował ramię.

– Prawdziwe jatki – mruknął, po czym głośno rozkazał: – Udadźalaka, daj no latarkę i wody! Tomek, przygotuj apteczkę!

Starannie umył dłonie i natychmiast przystąpił do “lekarskich” oględzin. Grubymi łapskami zaczął obmacywać ramię, aż Smuga syknął z bólu.

– Niech to wieloryb połknie, siedzi głęboko – orzekł bosman. – Kulę trzeba było od razu wydobyć, nie straciłbyś pan tyle krwi. Nie martw się jednak, migiem ją wyłuskam!

Tomek przygotował bandaże oraz środki dezynfekcyjne. Bosman ułożył rannego na kocu i oparł jego głowę na swoich kolanach. Wydobył z pochwy myśliwski nóż, oczyścił ostrze chustką, po czym wolno przesunął je nad płomieniem świecy.

– Teraz coś na wzmocnienie ducha, dawaj, brachu, butelkę z rumem – zawołał do Tomka.

Młodzieniec niepewnie spojrzał na Smugę, ale bosman huknął na niego z góry, pospiesznie więc wydobył z torby przy siodle bosmana płaską butelkę. Marynarz najpierw polecił Smudze pociągnąć spory łyk, sam również wypił za jego zdrowie. Pochylił się nad ramieniem. Palcami lewej dłoni coraz mocniej naciskał boki rany, naraz zagłębił w niej ostrze noża. Smuga przygryzł wargi.

– Mam to diabelskie nasienie! – odsapnął bosman, pokazując unurzaną w krwi, spłaszczoną kulkę ołowiu. W milczeniu założył tampon i wprawnie obandażował ramię. Z kolei pozrywał plastry z twarzy Smugi. Pazury pantery pozostawiły na niej bolesne ślady. Mruczał przy tym coś niepochlebnego o Chińczykach, którzy nałożyli pierwsze opatrunki.

– Irbis nieźle pana pogłaskał, mogą pozostać blizny. Jak się pan teraz czuje?

– Do licha, naprawdę trochę mi ulżyło! Zgrabnie mnie oporządziłeś! Daj jeszcze łyk rumu!

– To najlepsza wróżba, że jutro będziesz pan zdrów jak ryba – ucieszył się bosman. – Jamajka skuteczna jest na wszystkie choróbska! Piję tylko rum i dlatego jeszcze się taki nie urodził, co by mnie zaszkodził! Nawet to poranne draśnięcie scyzorykiem w łapę już się na pewno zagoiło pod plasterkiem przyklepionym przez Tomka podczas pościgu!

Smuga zwrócił marynarzowi butelkę.

– Musi pan koniecznie odpocząć – powiedział Tomek, z niepokojem i czułością patrząc

na poblądłego Smugę.

– A jakże – zawtórował bosman. – Teraz kimaj pan do rana. Sami będziemy trzymali wachtę! Ani słowa sprzeciwu, mówię jako doktor!

Noc minęła spokojnie. Smuga wstał o świcie. Chociaż był jeszcze osłabiony, natychmiast poleciał związać obóz. Przyjaciele nie śmieli oponować. Dłuższy pobyt na mandżurskim brzegu groził spotkaniem z okolicznymi mieszkańcami lub, co gorsza, z jakimś oddziałem chińskich żołnierzy. Ci niezawodnie zażądaliby wydania chunchuzów, których łowcy mieli zamiar przekazać w ręce władz rosyjskich. Ponadto na pewno mieliby kłopoty w związku z nielegalnym przekroczeniem granicy.

Podążyli w górę rzeki. Na krótko przed południem ujrzeli płynącą przy brzegu dużą łódź. Rybacy, zachęteni dobrą zapłatą, podjęli się przewieźć łowców na drugą stronę Amuru. Chunchuzów usadowiono w dziobie łodzi, w tyle zaś ulokowano bagaże, uprzęż zdjętą z wierzchowców i juki. Tomek z Udadźalaka wpław popłynęli na koniach.

Nadmiernie obciążona łódź mocno zanurzała się w wodzie, lecz mimo to wciąż płynęła w pobliżu znoszonych przez prąd wierzchowców. Na szczęście konie bez wypadku wylądowały na drugim brzegu. Smuga, zadowolony, sownie wynagrodził rybaków, a ponadto kupił od nich kobiałkę świeżych ryb.

Zaraz dosiedli koni. Otoczywszy jeńców ruszyli w kierunku północno-zachodnim. W falistym terenie rychło stracili z oczu brzeg Amuru.

Trzej przyjaciele z obawą obserwowali Smugę. Z trudem trzymał się w siodle. Widząc to, postanowili rozbić obóz w lesistej dolince. Wyczerpany Smuga legł w namiocie, aczkolwiek zżymał się na nieprzewidzianą przeszkodę.

– Nic mi nie będzie – pocieszał strapionych druhów. – Tor kolejowy powinien być już niedaleko... Jutro na pewno będę czuł się lepiej.

– Nie ma co gadać! Straciłeś pan dużo krwi, musisz odpocząć – kategorycznie odpowiedział bosman. – Na szkapie do reszty opadniesz z sił, a cóż wtedy pocniemy?

– Dużo ludzi do wyżywienia, żywności mamy mało – wtrącił Udadźalaka.

– Najlepiej sporządźmy nosze i niech chunchuzi niosą pana Smugę – doradził pomysłowy Tomek. – W ten sposób będzie pan odpoczywał nawet w drodze.

Smuga chciał oponować, ale bosman nie pozwolił mu dojść do głosu.

– Cała załoga uchwała to jednomyślnie, więc nie masz pan nic do gadania – mówił rubasznie. – No, koleżki, bierzmy się do roboty!

Rada istotnie była dobra. Natychmiast zaczęto przygotowywać wygodną lektykę.

Następnego ranka bosman uwolnił z pęt czterech bandytów, aby nieśli chorego.

Wędrowali przez coraz dzikszą, przeważnie górzystą krainę, która swą malowniczością nie ustępowała okolicom podalpejskim. Ostrożnie zapuszczali się w głębokie, lesiste parowy. Strzeliste cedry i modrzewie królowały wśród karłowatych, białych brzoź oraz

sošen pełnych krzywizn, narodził się i zgrubień – widomych śladów silnych wichrów i długotrwałych, surowych zim. Była to ojczyzna potężnego czarnego niedźwiedzia i zabajkalskiego rysia[71], dorównującego tygrysowi siłą oraz odwagą. Tomek kilkakrotnie spostrzegł na ich szlaku w pobliżu skał bardzo duże, okrągłe ślady. Zwrócił na nie uwagę bosmana. Ryś mógł się tutaj zaszyć na dzień w jakiejś skalnej szczelinie. Może teraz nawet śledził ich, gdyż przed jego doskonałym słuchem i wzrokiem nic w tajdze nie mogło się ukryć. Obfitowała ona w inną zwierzynę. Wskazywały na to ślady jeleni i łosi oraz często spotykane lisie nory. Wokół buszowały szare, puszyste wiewiórki. Nie brak tu było tropów soboli[72], których stalowoszare futra stanowiły cenny łup dla łowieckich plemion syberyjskich.

Z głębi boru ziała wilgoć, surowy zapach butwiejących zwalonych pni i gnijących liści. Karawana wolno omijała zapory, co jakiś czas przystawała na krótki odpoczynek. Wtedy bosman zmieniał chunchuzów niosących lektykę, a Tomek, korzystając z okazji, opowiadał Smudze o poczynionych spostrzeżeniach.

Okolo południa łowcy dotarli poprzez rzadniejący las do doliny wśród pasm niewysokich, kamienistych wzgórz. Dolina miała charakter stepowy. Ludzie i konie przyspieszyli kroku. Tomek jechał na przedzie obok lektyki rannego. Naraz Smuga uniósł głowę.

– Słyszysz? – cicho zapytał Tomka.

Młodzieniec wstrzymał wierzchowca, ręką dał znak, aby wszyscy przystanęli. Zaczął nasłuchiwać. Smuga nie mylił się, z dali płynął jęk dzwonka i tętent koni. Tomek przywołał bosmana.

– Jacyś jeźdźcy nadciągają – krótko go poinformował.

– Hej, Udadżalaka! Wolno podążaj za nami. Dobrze pilnuj tych obwiesiów! Przy próbie ucieczki kula w łeb! – zawołał marynarz.

Uderzył konia arkanem. Tomek podążył za nim. U wylotu doliny ujrzeli wyboistą stepową drogę. Kilku jeźdźców, mężczyzn o szerokich mongolskich twarzach bez zarostu, wyróżniających się wydatnymi kośćmi policzkowymi, niskim czołem oraz płaskim nosem, kłusowało z boków tarantasa [73]zaprzęgniętego w trzy małe, mocne konie. U szczytu kabłąka hołobli[74], ponad głowę biegnącego w środku konia, zawieszony był dzwonek przeraźliwie wtórujący chrapliwym okrzykiem woźnicy, popędzającego swój zaprzęg krótką, rzemienną nahajką. Byli to Buriaci. Wnet spostrzegli dwóch zbrojnych mężczyzn, którzy przystanęli wyczekująco przy trakcie. Woźnica natychmiast ostro ściągnął lejce, by zatrzymać tarantas, a jeźdźcy wysunęli się do przodu. Niektórzy z nich mieli w dłoniach stare strzelby. Zatrzymali się tuż przed dwoma łowcami. Teraz dopiero ujrzeli wychodzącą z doliny małą karawanę. Zmieszali się niepomiernie na widok związanych jeńców. Udadżalaka zaraz podszedł do skonsternowanych jeźdźców.

– Mendu! – powitał ich po buriacku.

– Amor mendu! – zawołał Buriaci. Uczucie ulgi odmalowało się na ich twarzach, gdy



usłyszeli swoją mowę z ust obcych przybyszów.

## WŚRÓD BURIATÓW

Udadzałaka uczestniczył niegdyś w wyprawie Pandita Davasarmana do krajów Azji położonych nad Bajkałem[75]. Zetknął się wówczas z Buriatami, mieszkającymi na wschód i północny wschód od tego najgłębszego na świecie jeziora. Wiedział więc, że Buriaci zachodni trudnią się rolnictwem, a wschodni hodowlą bydła i wiodą na pół koczowniczy tryb życia. Nieobce mu były również ich zwyczaje, a nawet mowa. Toteż zaraz powitał jeźdźców po buriacku, ponieważ w ten sposób najłatwiej pozyskiwało się ich zaufanie. Życzliwsze spojrzenia Buriatów upewniły go, że obrał właściwy sposób. Znowu więc zagadnął ich grzecznościową formułą powitalną:

– Szamaj mał suruk mendu bajnu?[76]

– Gchaju bajna, ju chezi bajna?[77] – odpowiedział najstarszy wiekiem. Udadzałaka krótko wyjaśnił, kim są i w jakiej znajdują się sytuacji.

Jednocześnie zaproponował przejście w dalszej rozmowie na język rosyjski, aby wszyscy mogli brać w niej udział. Buriaci potaknęli głowami. Posypały się pytania w łamanym rosyjskim. Teraz już wszyscy włączyli się do rozmowy. Buriaci spoglądali z wielkim uznaniem na czterech łowców, którzy tak skutecznie stawili czoło licznej bandzie chunchuzów. Zsiedli z koni, przybliżyli się do rannego Smugi, spoczywającego w prymitywnej lektyce. Tomek pilnie obserwował oryginalne ubiory krajowców i uprząż ich małych, silnych wierzchowców. Te ostatnie nosiły na grzbietach drewniane, lakierowane na czerwono siodła, z dwoma dużymi żelaznymi strzemionami. Koń, na którym jechał najstarszy Buriat, posiadał wyraźnie bogatszą od innych uprząż: siodło połyskiwało srebrnymi guzami, a strzemiona były grubo posrebrzone. Od razu można było odgadnąć, że ten jeździec przewodzi całej grupie.

Wierzchnie odzienie jeźdźców składało się z drelichowych szerokich i długich dygele, czyli rodzaju żupanów[78], w kolorze niebieskim, szarym, zielonym bądź czerwonym, rozciętych z boku oraz zapinanych na kilka guzików pod lewą pachą. Przy szyi i na piersiach dygele zdobiły kolorowe taśmy z chińskiego jedwabiu, biodra zaś opinał wełniany, również barwny pas. Pod żupanami nosili ciemnoniebieskie koszule i spodnie z drelichu, których nie zdejmowali nawet na noc. Na głowach o niezbyt długich włosach, splecionych z tyłu w sztywny ghanzik, czyli warkoczek spadający na kark, mieli kolorowe małachaj, to jest spiczaste czapki z czerwonym chwastem na czubie, obszyte z tyłu oraz z boków futerkiem opuszczanym w razie mrozu na uszy i kark. Barankowe unty o długich cholewach, grubych podeszwach i ostrych, w górę zwróconych nosach uzupełniały buriacki strój.

Buriaci kołem otoczyli Smugę. Najstarszy pochylił głowę i złożony dłońmi, uprzejmie prosił:

– Nie gardźcie skromną gościna, jedźcie z nami do ułusu[79]. W pobliskim klasztorze przebywa pewien lama, on jest bogdo[80], każdą chorobę potrafi wygnać z człowieka swoim zamawianiem. Na pewno i ciebie uzdrowi!

– A gdzie jest wasz ułus? – zapytał bosman.

– Niedaleko stąd, chorego przewieziemy w tarantasie, wkrótce będziemy na miejscu – wyjaśnił Buriat.

– Hm, chętnie przyjęlibyśmy zaproszenie, ale cóż pocniemy z jeńcami? – zafrasował się bosman. – Nie tak dawno mieli dokonać napadu na budujących kolej. Dlatego właśnie postanowiliśmy przekazać bandytów Rosjanom, aby ich ukarali.

– Słyszeliśmy, że chunchuzi podczas tego napadu zabili kilku ludzi; to pewnie ci sami – dodał Buriat. – Gubernator z Czyty przysłał nawet oddział Kozaków i wyznaczył nagrodę za schwytanie bandytów.

– Jeśli tak, to właśnie tym Kozakom przekazemy jeńców – wtrącił Smuga. – Podczas pobytu w gościnie mogliby nam uciec.

– Nie obawiaj się, panie. W ułusie będziemy ich pilnowali, a wy tymczasem odpoczniecie – powiedział Buriat. – Potem pomożemy odstawić bandytów, ponieważ prowadzimy handel z budującymi kolej. Kupują od nas bydło. Właśnie od nich wracamy.

– Ha, więc jedziemy do was – rzekł bosman. – Nasz ranny towarzysz potrzebuje pomocy.

Buriaci ochoczo przenieśli Smugę do tarantasu. Ułożyli go wygodnie na miękkich baranicach, po czym kilku konnych uzbrojonych w strzelby otoczyło chunchuzów. Świsnęły rzemienie nahajek.

Bosman i Tomek jechali obok tarantasu. Cicho rozmawiali. Głównym powodem przyjęcia gościny u Buriatów była troska o Smugę. Bosman wprawdzie udzielił mu doraźnej pomocy, ale przecież niewiele znał się na medycynie. Nie wiedział też, w jaki sposób należało go dalej leczyć. Oczywiście owo buriackie “zamawianie choroby” przez “świętego” lamę mocno trąciło szamanizmem[81], głęboko jeszcze zakorzenionym wśród Buriatów.

Bosman powątpiewał w wyniki szarlatańskiego leczenia, a nawet obawiał się trochę, czy przypadkiem nie pogorszy ono stanu zdrowia Smugi. Nie widział jednak na razie innych możliwości pomocy osłabionemu przyjacielowi.

– Niech pan będzie dobrej myśli – pocieszył go Tomek. – Ojciec mówił mi kiedyś, że lamowie znają skuteczne leki na różne choroby.

– To po jakie лихо robią śmieszne sztuczki? – dopytywał bosmani – Któż to dzisiaj wierzy w zamawianie choroby lub wypędzanie jej ducha z ciała człowieka?!

– Lamowie prawdopodobnie czynią to w celu łatwiejszego oddziaływania na wyobraźnię prymitywnych ludów.

– Czort by ich rozumiał! Niewiele znam się na takich religiach!

– Postaram się jakoś to panu wyjaśnić. Otóż według szamanistów cały świat wypełniają duchy dobre, czyli białe, i złe, czarne. Rolą szamanów było odgadywanie woli tych duchów,

zjednywanie ich zyczliwości oraz odwracanie ich złych zamiarów względem ludzi. Czynili to zaklęciami i wróżbami. Duch przywoływany przez szamana miał jakoby wstępować w niego i przemawiał jego ustami. Tym samym wszystko polegało na zręczności oraz fantazji szamana. Wypędzanie ducha choroby odbywało się również za pomocą różnych sztuczek, jak: spalanie odurzających ziół, bicie w bęben pokryty tajemniczymi znakami, tańczenie w odpowiednim stroju i śpiewanie. W końcu szaman sam ulegał podnieceni, padał na ziemię i walczył ze złym duchem. Lamowie, jako krzewiciele nowej religii, musieli liczyć się z głęboko tutaj zakorzenionymi szamańskimi zwyczajami. Toteż niektóre obrządku wcielili do lamaizmu i w ten sposób pozyskali Mongołów dla swej wiary.

– Ależ, brachu, to cała szopka! – roześmiał się marynarz. – Pamiętasz, jak to w Bugandzie czarownicy kabaki leczyli Smugę po pchnięciu zatrutym nożem?! [82] Mówiłeś, że oni także wyczyniali podobne fanaberie.

– A jakże, przecież podglądałem ich przez dziurkę w macie – odpowiedział Tomek z uśmiechem. – Musi pan jednak przyznać, że posiadali dobre odtrutki. Uratowali pana Smugę! Może więc teraz lamowie również mu pomogą.

– Na bezrybiu i rak ryba – rzekł bosman, ciężko wzdychając. – Ciekaw jestem, czy oni z pełnym przekonaniem czy też tylko dla pucu praktykują szamańskie sztuczki.

– Kto ich tam wie? Widzi pan, wierzenia buddyjskie uległy zreformowaniu i jako lamaizm ogarnęły wiele azjatyckich ludów, wchłaniając jednocześnie pozostałości dawnego szamaństwa. W ten sposób lamaizm przyswoił sobie pewne obrządku szamańskie, a szamaństwo z kolei silnie nasiąkło lamaizmem.

– Niby jasno mi to wyłożyłeś, brachu, ale powiedz w końcu, czy buddyzm i lamaizm to jedno i to samo?

– Pierwotny buddyzm uległ przemianom i przekształcił się w lamaizm. Dlatego też jego wyznawców zwie się ogólnie buddystami.

– Myślę, że w głębi tajgi jeszcze i dzisiaj znalazłoby się szamanistów – zauważył bosman.

– Jestem tego pewny, aczkolwiek buddyzm, mahometanizm i chrześcijaństwo już głęboko zapuściły tu korzenie.

– Spójrz, brachu, dobijamy do portu – zawołał bosman.

Na wzgórzu przy trakcie wznosił się kopiec usypany z kamieni. Był to tak zwany obo, czyli święty pagórek. Na jego szczycie tkwiła żerdź obwieszona kolorowymi szmatkami. Buriaci przejeżdżając obok kopca przystawali na chwilę, by na cześć onгона – opiekuńczego ducha ulusu – dorzucić po jednym kamieniu.

Zaraz za wzgórzem ukazało się kilka drewnianych domków, zbudowanych na wysokich, grubych podmurówkach z bali drewnianych bądź kamieni. Tylko w jednej szczytowej ścianie każdego z nich widniało malutkie okno i drzwi, do których prowadziły drewniane schodki. W sąsiedztwie domków stały okrągłe, wykonane z wojłoku czarne

jurty. W nich to właśnie zamieszkiwali w lecie Buriaci, gdy wyruszali z bydłem na odleglejsze pastwiska. Przyzwyczajeni do koczownictwa, przenosili się do drewnianych domków jedynie podczas ostrych zim. Przez szczeliny w dachach jurt przesączały się smugi błękitnego dymu. Nie opodal stały zagrody przeznaczone dla bydła, owiec i koni.

Na odgłos nadjeżdżających gospodarzy i gości na trakt wybiegły duże, czarne psiska o stojących uszach i ostro zakończonych pyskach. Jeźdźcy uspokoili je uderzeniami nahajek, a tymczasem przed jurtami pojawiły się Buriatki, ubrane podobnie jak mężczyźni. Długie włosy miały kunsztownie splecione w dwa warkocze, a każdy z nich opięty był pochwą z czarnej tafty i przerzucony z przodu na piersi. Niektóre, zapewne zamożniejsze, zdobiły swe włosy barwnymi koralami oraz srebrnymi monetami nanizanymi na łańcuszki.

Buriaci przywołali kobiety. Ciekawie zerkały na nie znanych przybyszów skośnymi, wąskimi oczami, z lekka przysłaniając je bezrzęsami i jakby obrzękłymi powiekami.

Buriaci zeskoczyli z wierzchowców. Tomek zwrócił uwagę na ich kaczkowaty chód, bardzo przypominający sposób chodzenia bosmana, charakterystyczny dla ludzi spędzających znaczną część życia w siodle lub na pokładzie statku.

Starszy Buriat, Batujew, który przedtem zaprosił łowców w gościnę, okazał się naczelnikiem ułusu. Na jego polecenie kilku wyrostków rozkulbaczyło konie podróżników, a potem odprowadziło je do zagrody.

Batujew zapytał łowców, czy zechcą zamieszkać w jurcie razem z jego rodziną, czy też wolą rozgościć się w zimowym domku, stojącym obecnie pustką. Była to kłopotliwa propozycja, ponieważ łowcy mieli zamiar rozbić własny namiot. Mieszkania buriackie przeważnie nie grzeszyły czystością i zazwyczaj roiło się w nich od pasożytów. Nie chcąc odmową obrazić gościnnego gospodarza, zgodzili się zamieszkać w zimowym domku.

Batujew musiał być zamożnym człowiekiem, jego chata bowiem składała się aż z dwóch izb. Na środku pierwszej znajdowało się palenisko, zbudowane z luźno ułożonych kamieni. Przy nim leżał obszerny, podłużny wojłok przykryty baraniami skórą, służący za posłanie tak domownikom, jak i przygodnym gościom. Druga izba była podobnie urządzona. Reszta sprzętów zapewne znajdowała się w letnim pomieszczeniu. Łowcy odetchnęli z ulgą stwierdziwszy, że w domu panuje względna czystość. Za radą gospodarza pierwszą izbę przeznaczyli na mieszkanie, podczas gdy w drugiej umieścili swe juki oraz uprzęż.

Batujew polecił zamknąć jeńców chunchuskich w oddzielnej chacie. Przy jej drzwiach stanęła warta uzbrojona w strzelby. Łowcy byli bardzo zmęczeni. Walka z bandytami, a później długi pościg, przeprawa przez Amur i uciążliwy marsz przez tajgę nadwątliły ich siły. Pragnęli jak najszybciej ułożyć się do snu, lecz Batujew udaremnił ich zamiary. Zaledwie zdążyli rozpakować część juków, zostali zaproszeni przez niego do jurty na posiłek. Swoista gościnność Buriatów wykluczała możliwość odmowy. Toteż nawet Smuga postanowił pójść razem z przyjaciółmi. Naprędce odkurzyli ubrania. Tomek przyniósł wodę w wiadrze, by wszyscy mogli się umyć po kilkudniowej wędrówce.

Gościnnie Batujew towarzyszył łowcom przez cały czas. Ciekawie przyglądał się różnym

przedmiotom wydobywanym z juków. Wyraz rozbawienia odmalował się na jego twarzy, gdy obserwował gości myjących starannie swe ciała. Potem zaś wyraźnie był zgorszony, rozrzutną widocznie jego zdaniem, zmianą bielizny. Buriaci bowiem nie myli się i nie kąpali, a bieliznę oraz odzienie przeważnie nosili aż do zupełnego zniszczenia.

Poprzedzani przez gospodarza łowcy wkroczyli do obszernej jurty. Z okazji przybycia obcych podróżników żona i córki Batujewa przywdziały na głowy wysokie kołpaki z sobolich futer i nałożyły na szyje sznury bursztynów i koralu.

Łowcy, znalazłszy się w jurcie, na chwilę przystanęli u wejścia. Uważnie zerkali na Udadżalakę, który najlepiej z nich znał obyczaje Mongołów. W prawym rogu jurty naprzeciw wejścia stał domowy ołtarzyk, urządzony na szafce pomalowanej czerwonym lakierem. W nim umieszczony był w połączanej ramie wizerunek buddyjskiego burchana, czyli bóstwa. Z obydwóch stron obrazu widniały kamienne posąжки, wyobrażające różne wcielenia Buddy, a przed nimi małe miedziane czarki; do nich składano ofiary. Cały ołtarzyk przystrojony był kolorowymi, błyszczącymi papierkami i stepowymi kwiatami.

Udadżalaka wprost od drzwi podszedł do ołtarzyka. Złożone jak do modlitwy dłonie wznosił ponad czoło, nisko pochylił się przed burchanem, dotykając końcami palców skraju ołtarzyka.

Trzej biali łowcy powtórzyli kolejno ten ceremoniał i dopiero teraz przywitali się z gospodarzami.

Uszanowanie przez gości miejscowych obyczajów niezmiernie ujęło Buriatów. Batujew znacząco spojrział na synów, ci zaś zaraz wydobyli ze zdobnej skrzyni kilka ołboków, to jest kwadratowych miękkich poduszek, przeznaczonych do siedzenia dla znamienitszych gości. Pokryte były one, jak przystało w zamożniejszym domu, chińskim żółtym jedwabiem. Batujew, chcąc podkreślić swój wielki szacunek dla gości, położył dla każdego z nich po dwa ołboki pod honorową ścianą jurty, z lewej strony od wejścia. Łowcy usiedli na poduszkach po turecku.

Gospodyni poczęstowała wszystkich popularną wśród Mongołów czułuntse, zaparzaną z chińskiej cegiełkowej herbaty[83], drobno utłuczonej w drewnianym moździerzu, z dodatkiem mleka, masła i soli. Goście otrzymali ją w drewnianych czarkach... wylizanych przez nią do czysta językiem. Buriaci natomiast wydobyli spod żupanów własne czarki i z nich popijali czułuntse. Wkrótce przed gośćmi ustawiono niski stół. Domownicy równie przysiedli się do niego. Dziewczęta podały dużą misę z dymiącymi parą bozo, to jest pierożkami nadziewanymi siekaną baraniną i zalanymi baranym rosołem, gotowane mięsiwa i mączne placuszki zwane csamba, smażone według chińskiego zwyczaju na baranym tłuszczu. Zanim jednak dania te pojawiły się na ogólnym stole, gospodyni rzuciła w ogień kilka tłustych kąsków z każdej miski, aby również chaty i onkony, czyli duchy zmarłych, skazane na dalszą tułaczkę po ziemi, miały czym się pożywić. Gospodarz przyniósł dzban mocnego potrójnego tarasunu, będącego rodzajem wódki trzykrotnie pędzonej z mleka. Uczta trwała już w najlepsze, gdy do jurty wsunął się jakiś biedak w starych, podartych łachmanach. Nisko pokłonił się przed burchanem i pozdrowił biesiadników. Buriaci, nie pytając go nawet, kim jest, zrobili mu miejsce przy stole,



częstowali jak gościa. Nasi podróżnicy z wielkim uznaniem przyjęli ten dowód gościnności Buriatów dla każdego wchodzącego do ich domu.

Ciekawi nowin z obcych krajów Buriaci wciągali podróżników w pogawędkę i jednocześnie wciąż podsuwali im co smakowitsze kąski. Bosman jeszcze raz zabłysnął swym apetytem, nie skąpiąc przy tym wspomnień o przygodach. Gdy Batujew usłyszał, że podróżnicy przebywali w czczonym przez wszystkich buddystów klasztorze w Hemis w Małym Tybecie, wydobyl ze skrzyni butelkę oryginalnej nikołajewki[84]. On i jego domownicy chciwie słuchali ciekawostek z życia nie znanych im ludów. Nie mogli wprost uwierzyć, że poza Syberią istnieje jeszcze tyle wielkich krain. Tomek oczywiście nie omieszkał wspomnieć o smutnym losie Polaków podbitych przez carską Rosję. Buriaci nie kryli swego współczucia dla polskich zesłańców politycznych na Sybir, których niejednokrotnie spotykali przy budowie kolei. Wszak oni sami także kiedyś zacięcie bronili się przed najazdem Rosjan, a później nie przerwali walki o odrębność narodową oraz zachowanie starych obyczajów[85]. Wielu uciekało przed prześladowaniem carskim do sąsiedniej Monglii.

Rozmowy przeciągały się. Tomek z niepokojem spoglądał na pobladłą twarz Smugi. Ten zaś specjalnie nie chciał wcześniej odejść od stołu, ponieważ odmowa w przyjmowaniu poczęstunku była uważana przez Buriatów za obrazę. Tomek nachylił się ku Udadżalace i szeptem zapytał go, w jaki sposób można by, nie obrażając gospodarzy, zakończyć ucztę.

- Musimy im okazać, że jesteśmy już najedzeni – cicho poinformował go Udadżalaka.
- Dawno popuściłem pasa, lecz nikt na to nie zwrócił uwagi, a pan Smuga blednie coraz bardziej – odparł Tomek.
- Pokażę ci, jak to się robi – szepnął Udadżalaka.

Rozparł się wygodnie na ołbokach, po czym udał czkawkę i głośno beknął. Zafrasowany Tomek omal nie parsknął śmiechem, widząc wielkie zadowolenie na twarzach gospodarzy. Nie namyślając się wiele, zawtórował Udadżalace. Bosman natychmiast połapał się w sytuacji, albowiem ten sposób okazywania sytości znany był mu już z poprzedniej wyprawy do krajów Azji Środkowej. Toteż beknął tak potężnie, że omal nie spadł z poduszek. Wywołało to u Buriatów wielkie zadowolenie. Niskimi pokłonami dziękowali gościom za uprzejmość i sami również folgowali przeładowanym żołądkom.

Smuga wsparty na ramionach przyjaciół dobrnął do chaty. Wkrótce leżał na miękkich baranicach opatulony kocem. W ślad za nim wszyscy udali się na zasłużony odpoczynek. Tej nocy tylko Udadżalaka dwukrotnie wstawał, by sprawdzić, czy straż czuwa przed domkiem, w którym więziono chunchuzów.

Tomek postękiwał, przewracając się z boku na bok. Dręczyły go okropne sny... Od pierwszych dni tej niebezpiecznej wyprawy starał się ukrywać przed przyjaciółmi niepokój. Wiedział, że oni również nie zdradzają przed nim wszystkich swych obaw. Szczególnie głęboko utkwiała w jego pamięci noc przed wyruszeniem na mandżurski brzeg. Wtedy właśnie ojciec i Smuga pewni, że wszyscy śpią, poufnie naradzali się aż do świtu. Tomek

jednak nie spał... Odwrócony do nich plecami, słyszał każde słowo... Teraz w podświadomości jego błąkały się dręczące widziadła... Ojciec, uwięziony przez Pawłowa w klatce z tygrysami, wołał do niego, by zawrócił z drogi i nie przekradał się do Nerczyńska. To znów Zbyszek, skuty kajdanami, błagał o jak najszybszą pomoc... Potem bosman gotował jeńców chunchuskich w wielkim kotle i przywoływał Tomka na wspaniałą ucztę; zanim jednak stał się ludożercą, Smuga zastrzelił nieszczęśników i zdierał z nich skalpy. Tomek chciał mu w tym przeszkodzić, ale chunchuzi ożyli nagle. Z dzikim wrzaskiem wyskoczyli z kotłów. Bosman już czekał na nich z nożem w dłoni. Naraz ojciec zasłonił sobą nieszczęśników.

## KORZEŃ ZRODZONY Z PIORUNU

Tomek gwałtownie usiadł na posłaniu. Półprzytomny, ujrzał pochylonego nad sobą bosmana. Otrząsnął się z okropnego snu. Sprzed domu naprawdę dobiegały głosy ludzkie oraz rzenie i kwik koni.

– Zbudziłem cię, boś skakał jak ryba w sieci – powiedział bosman. – Wstawaj, Buriaci już zaprzęgają konie do tarantasu. Zaraz jedziemy do tego buddyjskiego znachora.

– Szkoda, że pan mnie wcześniej nie obudził! – rzekł Tomek, wzdychając z ulgą. – Miałem okropne sny...

– Pewno zmory cię męczyły po przejeździe!

– Być może, nieźle się wystraszyłem.

– Ho, ho, sam wiem coś o tym! Pewnej nocy podczas rejsu do Kapsztadu[86] kumple musieli chlusnąć mi na łeb wiadro zimnej wody, bo myśleli, że szlag mnie trafi we śnie!

– A cóż to takiego przyśniło się panu?

– Jakaś Murzynka zawlokła mnie w celu matrymonialnym przed ołtarz...

Tomek wybuchnął śmiechem. Bosman zawsze się obawiał nawet myśli o ożenku.

– Nie śmiej się bratku z cudzego upadku, bo potem i ciebie nikt nie pożałuje! – burknął marynarz.

– Przecież nic się panu nie stało! Jest pan kawalerem!

– Niby tak, ale kto wie, czy to tylko nie dzięki temu, że na wszelki wypadek nie zlałem w Kapsztadzie na ląd.

– Nie wiedziałem, że jest pan aż tak przesądny!

– Sen mara, Bóg wiara, ale strzeżonego pan Bóg strzeże! Widzisz, w Kapsztadzie jedna dzierlatka naprawdę ogniście robiła do mnie oko! Ile razy zawijałem, już czekała w porcie...

Tomek rozchmurzył się na dobre, usłyszawszy nie znany mu dotąd epizod z bujnego życia przyjaciela. Pospiesznie narzucił ubranie. Wyjrzał przed dom. Smuga gotowy do drogi siedział na stopniach. Wyglądał bardzo mizernie. Synowie Batujewa kończyli zaprzęganie koni do tarantasu.

– Myślałem, że pojedziemy bez ciebie. Spałeś jak suseł – odezwał się Smuga na widok Tomka.

– Na szczęście bosman mnie obudził, zaraz osiodłał konie – odparł młodzieniec.

– Udadzałaka już to zrobił, zjedz coś przed drogą – powiedział Smuga, blade się uśmiechając.

– Wcale nie jestem głodny po wczorajszym obżarstwie. Tylko nałożę kurtkę i będę gotów!

– Tomku, w podręcznej torbie znajdziesz młynek modlitewny, zabierz go ze sobą – polecił Smuga.

– Dobrze, proszę pana.

Niebawem Smuga wygodnie spoczywał w tarantasie. Batujew wskoczył na przód wozu, ujął lejce i syknął na konie. Trzej łowcy dosiedli wierzchowców. Pognali za pojazdem. Szybko mknęli wyboistym traktem. Nie zatrzymując się minęli ukrytą w dolince wioszczynę kozacką. Różniła się ona wyglądem od buriackich ułusów. Poszczególne gospodarstwa ogrodzone były wysokimi płotami, chaty posiadały po kilka okien i małe ganki wsparte na niskich słupach. W obejściach widać było zabudowania gospodarskie, których nie spotykało się w buriackich ułusach. Batujew wciąż ponaglał konie, toteż po krótkiej jeździe znaleźli się na skraju rozległej doliny. Tutaj na małym kopulastym wzgórzu stał wśród drzew buddyjski dacan[87].

Łowcy byli zachwyceni malowniczym widokiem. Dacan zbudowano według wzorów architektury mongolskiej, cechującej się niezwykłą lekkością, oryginalnym kształtem i żywymi barwami. Trzypiętrowy klasztor stopniowo zwał się ku szczytowi. Każda następna kondygnacja świątyni była znacznie mniejsza od poprzedniej oraz oddzielona od niej gankiem i zdobionym rzeźbą dachem, wysuniętym daleko nad ściany niższego piętra. Narożniki dachów były wygięte ku górze. Nad nimi, a także nad wejściem do świątyni, widniały połączone chorła – symboliczne buddyjskie koła wiecznego powrotu, z dwiema sarenkami klęczącymi po obydwóch stronach.

Batujew powstrzymał konie przed bramą w murowanym ogrodzeniu okalającym dacan. Łowcy zsiadli z wierzchowców i przywiązali je do tarantasu. Pomogli Smudze zejść z wozu, a potem poprowadzili go w kierunku klasztoru. Jak zwykle przed buddyjskimi świątyniami, na prawo od bramy stał wielki bęben modlitewny, którego walec pokrywały święte formuły. Wyznawcy buddyzmu przechodząc obok bębna obracali go, wierzyli bowiem, iż jest to równoznaczne z odmówieniem wyrytych na nim modlitw.

W progu klasztoru powitał ich młody mnich ubrany w czerwone szaty. Batujew wyjaśnił mu, że przybyły z dalekich krajów angaszi[88] pragnąłby zasięgnąć porady lekarskiej u świętego lamy. Prośba ta wcale nie zdziwiła mnicha. Podobne odwiedziny zapewne zdarzały się dość często. Pochylił głowę na znak zgody i poprowadził gości w głąb klasztoru. W tej chwili nie było w nim nikogo. Pomiedzy dwoma rzędami drewnianych kolumn podtrzymujących strop, w samym środku świątyni stał olbrzymi posąg siedzącego Buddy. U jego stóp znajdował się ołtarz zastawiony posążkami bóstw oraz czarkami zawierającymi ofiary z prosa, mleka, słodczy i tarasunu. Zapach świeżych kwiatów mieszał się z odurzającym aromatem kadzideł. Ze stropu zwisały długie chorągwie z wizerunkami buddyjskich bóstw i kolorowe szarfy z formułami modlitw. Ściany świątyni pokrywały malowidła, przedstawiające różne wcielenia Buddy i Tsongkhapy, reformatora buddyzmu. Wśród najnowszych wcieleń znajdowali się: dalajlama z Lhasy, najwyższy kapłan w Tybecie, będący wówczas również głową państwa, Chutuchta – zwierzchnik buddyjski w Mongolii oraz Bandido-Chambolama – rezydujący w Kraju Zabajkalskim.

Młody mnich uchylił ciężkiej zasłony. Za nią ukryte były schody łączące świątynię z

wyższym piętrem. Wprowadził podróżników do komnaty obitej jedwabiem. Wokół rozłożone były grube maty do siedzenia, a przy nich stały niskie, lakierowane stoliczki. W rogu mieścił się domowy ołtarzyk ze złożonymi burchanami.

Zaledwie podróżnicy spoczęli na matach, pojawił się święty lama. Trudno było określić jego wiek. Brązowa, lekko lśniąca skóra na twarzy zdradzała zaledwie nikłe ślady zmarszczek pod skośnymi, małymi oczami. Byстрым wzrokiem ogarnął gości, skłonił się przed nimi, pochylając głowę przystrojoną w wysoką, żółtą czapkę, zwężającą się ku górze i trochę wygiętą do przodu. Ubrany był w ciemnoczerwony płaszcz bez rękawów z chińskiego brokatu oraz w jaśniejszy szeroki szal, którego jeden koniec nosił przerzucony przez ramię na plecy. Za jedwabnym pasem zatknięty miał duży różaniec, a w dłoniach trzymał mały młynek modlitewny. Spoglądając na gości jednocześnie wolno obracał walec młynka. Wokół lamy unosił się mdły zapach perfum.

Podróżnicy powstali z mat. Lama zawołał coś cichym, bezbarwnym głosem. Młody mnich znów wsunął się do komnaty. W imieniu swego zwierzchnika kolejno wręczył każdemu gościowi khatę, barwny, cienki, jedwabny szal, zazwyczaj ofiarowywany przez buddystów dostojniejszym przybyszom. Czynił to z nadzwyczaj uroczystą miną, nisko pochylając głowę.

Smuga z kolei podarował świętemu lamie ozdobny młynek modlitewny ze słynnego klasztoru w Hemis, a potem złożył ofiarę pieniężną na klasztor. W ten sposób wymieniono pierwsze uprzejmości. Młodzi klerycy wnieśli kociołek z czułuntse oraz drewniane misy z suchymi ciastkami, słodyczami i suszonymi owocami. Lama wydobyl spod fałd ubrania swą czarękę, wylizał ją dokładnie i podsunął nalewającemu czułuntse. Przed gośćmi ustawiono czarki porcelanowe.

Lama, nie przerywając kręcenia bębenka modlitewnego, bawił gości rozmową. Opowiadał o swoim pobycie w świątyni w Lhasie, wypytywał o klasztor w Hemis. Batujew słuchał go w nabożnym skupieniu, z szacunkiem pochylając głowę na piersi. Lama dobrze mówił po rosyjsku, aczkolwiek jego ruszczyzna brzmiała charkotliwie, jak u większości Mongołów. Żywe, czarne oczy wciąż przenosiły się z jednej twarzy na drugą, w końcu przylgnęły wzrokiem do pobladłego Smugi. Przerwał pogawędkę, wpatrując się w jego twarz. Wszyscy ucichli, a lama nie odrywając wzroku, cicho się odezwał:

– W świątyni buddyjskiej każdy znajdzie to, czego szuka, choć rosyjscy popi [\[89\]](#) uważają nasze klasztory za siedliska diabłów. Dla popów i dla rosyjskich zarządców braccy [\[90\]](#) są po prostu zwierzętami.

– Nie jesteśmy Rosjanami – pospiesznie wtrącił Tomek. – Przybyliśmy do ciebie, dostojny lamo, abyś pomógł naszemu rannemu towarzyszowi.

– Słusznie uczyniliście. Rosyjscy lekarze dbają tylko o mungum [\[91\]](#). Proszę, pójďte za mną, dostojni goście!

Wprowadził ich do oddzielonej zasłoną izby. Był to jego “gabinet” lekarski, a zarazem apteka. Dwie ściany były obudowane półkami pełnymi różnych naczyń, na trzeciej wisały pękate skórzane woreczki, opatrzone tybetańskimi napisami.

Lama pomógł Smudze zdjęć ubranie. Usadził go na macie przy oknie. Odbandażował ranę. Była trochę zaropiała. Lama zdjął z kołków kilka woreczków. Wsypując z nich jakieś zioła do tygielka, mrucał zaklęcia czy też modlitwy. Potem robił rękami tajemnicze znaki nad tygłem i spluwał za siebie.

Bosman trącił Tomka w łokieć.

– U nas znachorki też tak leczą po wsiach głupie baby... – mruknął po polsku.

– Cicho bądź, bosmanie – skarcił go Tomek. – Pal licho śmieszne sztuczki, byle lekarstwo było dobre.

– Święta racja, brachu, ale na wszelki wypadek przygotuj świeże bandaże, bo ten księżulo, chociaż pachnie jak perfumeria, chyba rzadko się myje. Popatrz, jak mu gęba błyszczą.

Tomek zgromił przyjaciela spojrzeniem, lecz wydobyl z torby opatrunki. Położył je na macie przy Smudze. Lama tymczasem przelał wywar ziołowy do miseczki. Zanurzył w niej jedwabną szmatkę, obmył ranę. Smuga cierpliwie znosił te zabiegi. Gdy lama w końcu przyniósł jakąś ciemną maść, podsunął mu własne bandaże. Wkrótce ramię było z powrotem obandażowane.

– W porę przyszedłeś, zły duch chciał się zagnieździć w twoim ramieniu, ale przegnałem go zaklęciami – rzekł lama po zakończeniu zabiegu. Teraz przystąpił do gruntownego badania pacjenta. Jednocześnie bezdźwięcznie poruszał ustami, marszczył czoło, jakby gniewał się na kogoś. Wreszcie odstąpił od Smugi.

– Ciebie leczył już ktoś z naszych świątobliwych łamów – powiedział głośno.

– Nie mylisz się, dostojny mężu – odparł Smuga. – Było to w klasztorze w Hemis. Kiedyś, podczas wyprawy w Afryce, zostałem zraniony...

– Nie musisz mi tego mówić, wiem o tym – przerwał mu lama. – W tobie drzemie straszliwy zły duch... Ktoś za pomocą trucizny pomógł mu zawładnąć twoim ciałem.

Tomek z bosmanem zdumieni spojrzeli na lamę. Skąd on mógł wiedzieć, że Smuga był kiedyś zraniony zatrutym nożem?

– Twoja świeża rana niczym ci już nie grozi. Za dwa dni możesz zdjęć opatrunki – mówił lama. – Niebezpieczeństwo przedstawia innych zły duch. Tylko uśpiono go w tobie. On znów się budzi...

Tomek pobladł przestraszony, a i bosman zaniepokoił się nie na żarty. Czyżby naprawdę coś groziło Smudze? Tomek teraz przypomniał sobie, że lekarze króla Bugandy nie ręczyli za trwałą skuteczność kuracji.

– W porę przyszedłeś do mnie. Wprawdzie złośliwy duch nadal pozostanie w tobie, ale ponownie go uśpię – powiedział lama.

Zdjął z kołków kilka nowych woreczków. Wydobyl z nich zioła potłuczone na miazgi proszek, mieszał je, mrucając zaklęcia i czyniąc rękoma tajemnicze znaki. Następnie



wrzucił część proszku w tygielek z wodą i postawił go na ogniu. Resztę przygotowanego leku wsypał do woreczka. Minęła dłuższa chwila. Lama nalał wywaru w czarkę. Podał ją Smudze mówiąc:

– Wypij ten lek. Sporządziłem go z cudownego korzenia rośliny, która, jak głoszą starodawne chińskie legendy, rodzi się z uderzenia piorunu. On ponownie uśpi ducha choroby.

– Cóż to za ziele, szanowny lamo? – z niedowierzaniem zapytał bosman.

– Jest to żeń-szeń[92], czcigodny panie – odparł lama. – Jako lek znany jest chińskiej medycynie od przeszło trzech tysięcy lat. Niełatwo go znaleźć, rośnie bowiem jedynie nad brzegami źródeł wytryskujących z ziemi po uderzeniu w nią piorunu.

– A czy naprawdę posiada moc uzdrawiania? – indagował bosman.

– Na znak, że jest życiodajny, bogowie nadali mu kształt ludzkiej postaci. Dawni lekarze chińscy potrafili sporządzić z niego lek opóźniający nawet o jakiś czas zgon człowieka leżącego już na łożu śmierci.

Smuga wypił wywar podany mu przez lamę, a bosman, jak zawsze ciekawy i przekorny, znów zagadnął:

– Czy możesz nam, szanowny lamo, zdradzić tajemnicę, skąd się dowiedziałeś o cudownym działaniu tego korzenia?

– Czcigodny cudzoziemcze, kunszt wiedzy lekarskiej poznałem u mędrców w świętej Lhasie, a sama jej nazwa wskazuje, iż jest ona pod specjalną opieką bogów. Lhasa w języku tybetańskim oznacza Ziemię Bogów. Jak głosi nasza starodawna legenda świątynia w Lhasie powstała dzięki niezamierzonej pomocy ociemniałego mędrca. Był to zapewne widomy znak łaski bogów.

– To niezmiernie interesujące. Dostojny lamo, bardzo proszę, opowiedz nam tę legendę – odezwał się Tomek.

Bosman i Smuga poparli jego prośbę.

– Chętnie to uczynię, czcigodni goście, lecz przejdźmy teraz do mego mieszkania, gdzie chory wypocznie na matach.

Powrócili do komnaty. Młodzi mnisi znów przynieśli kociołek z gorącą czułuntse. Gdy wszyscy wygodnie zasiedli, lama zaczął mówić:

– W bardzo dawnych czasach w kraju Ui [93] pasterze chcieli wybudować wielką świątynię. Wybrali miejsce w malowniczej dolinie. Długo zwozili kosztowne, najpiękniejsze materiały, a gdy je zgromadzili, rozpoczęli pracę. Wspólnym wysiłkiem wznieśli wspaniałe mury. Już kończyli budowę, gdy nieoczekiwanie cały gmach rozsypał się w gruzy. Pasterze bardzo się zmartwili, lecz nie zaniechali myśli o zbudowaniu świątyni. Wkrótce znów przystąpili do pracy. I tym razem prawie już ukończona budowla zwała się bez jakiegokolwiek powodu. Taki sam los spotkał nieszczęsnych pasterzy przy trzeciej próbie.

Świątobliwi lamowie nie potrafili zaradzić złu. Wówczas król Ui wezwał swego najślawniejszego wróżbiarza. Ten również nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie można było ukończyć budowy. Powiedział jednak, że tajemnicę zna pewien święty mędrzec przebywający gdzieś na Wschodzie.

Król natychmiast wysłał na poszukiwanie mędrca pewnego odważnego i sprytnego lamę. Ten przemierzył wszystkie krainy Mongołów leżące na wschód od królestwa Ui. Nieznacznie i ostrożnie rozpytywał o sławnych mędrców, lecz nikt nie zdradził mu tajemnicy. Zrezygnowany ruszył w powrotną drogę do Ui. Pewnego dnia pękł mu popręg u siodła. Chcąc go naprawić, zaczął się rozglądać po okolicy. Nad brzegiem jeziora spostrzegł starą jurte. Zastał w niej starca pogrążonego w rozmyślaniach.

– Bracie, niech pokój zawsze gości pod twym dachem – rzekł lama.

– Bracie, usiądź przy ognisku i nie gardź moją skromną gością – odpowiedział starzec.

Lama wkrótce spostrzegł, że biedak jest niewidomy. Podczas rozmowy starzec powiedział mu o swym kalectwie. Sądził, że rozmawia z kimś ze swego ludu, gdyż sprytny wysłaniec króla Ui podał się za lamę ze Wschodu, odwiedzającego święte mongolskie świątynie. Poprosił starca o rzemień do naprawy popręgu. Niewidomy oczywiście sam nie mógł spełnić jego prośby, więc pozwolił mu poszukać odpowiedniego rzemienia.

Gdy lama naprawiał popręg, starzec odezwał się:

– Szczęśliwy jesteś, lamo ze Wschodu, mogąc zwiedzać nasze przepiękne świątynie, jakich pasterze z krainy Ui nigdy nie będą posiadali! Nie zdołają oni zbudować świątyni w swej dolinie. Fale nie znanego im podziemnego morza zawsze podmyją mury. Gdyby poznali tę tajemnicę, podziemne morze odpłynęłoby z kraju Ui i zalałoby nasze pastwiska. Wtedy wszyscy byśmy tutaj zginęli!

Lama domyślił się, że ma przed sobą owego mędrca znającego tajemnicę, którego tak długo i dotąd daremnie poszukiwał. Starzec, mając lamę za swojego, przestrzegł go, aby nie zdradził tajemnicy przed żadnym lamą z Zachodu.

Wtedy odważny lama zawołał:

– Uciekaj, nieszczęsny starcze! Podziemne morze wkrótce zaleje twój kraj, ponieważ jestem lamą z królestwa Ui!

Pospiesznie dosiadł konia. Pomknął ku swoim, a bezsilny ślepiec szalał z rozpacz. Niebawem jego syn powrócił do jurty. Starzec, głośno zawodząc, rozkazał mu pędzić w kierunku zachodnim w pogoń za obcym lamą.

– Dogoń go i zabij! On ukradł mi tajemnicę – zawołał.

W jednym z mongolskich narzeczy wyrazy “tajemnica” i “rzemień” brzmią bardzo podobnie, a łkający z rozpacz starzec mówił bardzo niewyraźnie. Toteż syn mylnie go zrozumiał. Przerażony, iż jego świątobliwy ojciec każe mu zabić obcego lamę za tak błahe przewinienie, zaczął prosić starca, aby się opamiętał.

– Zaklinam cię, synu, jedź natychmiast i zabij go, jeśli nie chcesz zguby dla nas wszystkich! – krzyknął ojciec.

Cóż miał uczynić? Nie chciał martwić starca, więc dosiadł wierzchowca i jeszcze tego samego dnia dogonił lamę. Przywitał go z należąca czcią i rzekł:

– Gościłeś dzisiaj u mego ojca i podobno zabrałeś nasz rzemień. Wybacz, że zatrzymuję cię z powodu takiego drobiazgu, lecz spełniam polecenie ojca, który nawet kazał mi zabić cię dla odzyskania tego rzemienia. Zapewne był zagniewany i nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi, więc po prostu zwróć mi rzemień, abym mógł go zadowolić.

– Rzemień podarował mi twój ojciec, skoro jednak żąda jego zwrotu, obowiązkiem moim jest spełnienie jego woli – odparł lama z królestwa Ui. – Starców należy szanować i nie wolno ich martwić. Oto twój rzemień!

Młodzieniec jak najszybciej powrócił do ojca. Przed jurta ujrzał sąsiadów zwabionych jego płaczem, więc zaraz zwrócił mu odzyskany rzemień.

– Czy wypełniłeś mój rozkaz? – niecierpliwie zapytał starzec.

– Nie mogłem zabić lamy! Wszak nie uczynił nam nic złego – odparł syn. – Odebrałem jedynie rzemień, o który ci tak chodziło.

– A więc biada nam! Lamowie z Zachodu zwyciężyli. Widocznie taka była wola bogów – smutno zawołał starzec. – Mówiłem, że on ukradł mi tajemnicę, a tyś zrozumiał, że rzemień. Uchodźcie stąd wszyscy! Wkrótce morze zaleje cały nasz kraj!

Przepowiednia świątobliwego starca spełniła się już następnego dnia. Podziemne grzmoty wstrząsnęły ziemią. Nagle wezbrana woda w jeziorku wystąpiła z brzegów i pochłonęła świątobliwego mędrca, jego syna i wielu, wielu innych.

Lama z Zachodu wrócił do swojego króla. Uspokoił lamów i pasterzy przestraszonych trzęsieniem ziemi. Gdy zdradził im wielką tajemnicę, ogarnięci radością rozpoczęli budowę nowej wspaniałej świątyni, wokół której wkrótce powstało miasto, stolica królestwa Ui[94].

Przed pożegnaniem lama wręczył Smudze woreczek z ziołami, polecając zażywać je w ciągu trzech najbliższych dni. Potem oprowadził gości po klasztorze i pozwolił im zajrzeć nawet do obszernej sali, gdzie młodzi chłopcy o wygolonych głowach, przypominający wyglądem miniatury dorosłych lamów, siedzieli pochyleni nad stoliczkami. Jedni nabywali wprawy w trudnej sztuce kaligrafowania tuszem, inni zaś uczyli się malować na grubym papierze wizerunki świętych burchanów. Byli to szabi, czyli nowicjusze. Uprzejmie pozdrowili podróżników, po czym niezwłocznie znów zasiedli do przerwanych zajęć. Według wyjaśnień lamy, szabi rozpoczynali nowicjat w dziewiątym roku życia. Przez szereg lat uczyli się mówić po tybetańsku oraz opanowywali trudną sztukę pisania, co wymagało przyswojenia sobie znacznej liczby różnych znaków pisarskich i kaligrafowania ich tuszem. Mowa tybetańska była w religii buddyjskiej językiem obrzędowym, podobnie jak w rzymskokatolickiej łacina. Dzięki temu wspólny język liturgiczny, mimo granic politycznych, łączył wszystkie plemiona mongolskie Azji w jedną olbrzymią rodzinę o

odrębnej cywilizacji. Młodzi szabi ćwiczyli się w malowaniu wizerunków burchanów, wykonywali prace gospodarskie w klasztorze obok jeszcze innych usług, a w chwilach odpoczynku robili czukory, czyli młynki modlitewne, sprzedawane później podczas większych uroczystości licznie przybywającym pielgrzymom.

Z czasem szabi stawali się chugurikami, to jest uczniami uzyskującymi nieco wyższy stopień wtajemniczenia. Wówczas czytali teksty religijne, brali udział w niektórych uroczystych nabożeństwach, uczyli się gry na instrumentach i rytualnego tańca. Niemalą część ich zajęć pochłaniały tajniki leczenia metodą tybetańską oraz rozpoznawanie ziół leczniczych i sporządzanie z nich odpowiednich leków. Dopiero po długich latach byli przyjmowani do grona młodych lamów.

Łowcy z zainteresowaniem słuchali tych wyjaśnień, obchodząc zakamarki klasztoru, aż w końcu dobrnęli do jego bram. Batujew siedział już w tarantasie. Po ceremonialnym pożegnaniu lama długo stał w progu klasztoru i obracał młynek modlitewny, dopóki nie zniknęli w głębi doliny.

## SYBERYJSKI LEGION WOLNYCH POLAKÓW

W lesistym parowie otoczonym pasmami niezbyt wysokich płaskich wzgórz rozbrzmiewał huk siekier i łomot padających drzew. Przy nowo zbudowanym, nasypie kolejowym krzatali się robotnicy: jedni ociosywali pnie oraz przecinali je piłami inni zaś taczkami wwozili na nasyp tłuczeń na podsypkę, na której układano podkłady i szyny. Tor kolejowy wolno wrzynał się w dziewiczą tajgę.

Wśród gromady syberyjskich brodatych chłopów w zatłuszczonych półkożuszkach i w niezgrabnym, plecionym z łyk obuwiu wyraźnie odcinała się grupa robotników, odzianych w jednakowe, zniszczone szare kaftany, koszule, zgrzebne spodnie oraz łapcie przywiązane rzemieniami do nóg. Byli to katorżnicy, czyli zesłańcy, skazani na ciężkie roboty. Na głowach ogolonych do połowy z prawej strony nosili okrągłe czapki bez daszka. Na nogach mieli kajdany, a niektórzy byli ponadto przykuci łańcuchami do tacek.

Robotnicy wolnonajemni i więźniowie oraz żołnierze z eskortą z jednakową ciekawością spoglądali co chwila ku barakowi stojącemu nie opodal, wymieniając uwagi na temat niezwykłego wydarzenia. Przedmiotem ich zainteresowania byli łowcy dzikich zwierząt, którzy stoczyli zacieklą walkę z bandą chunchuzów. Wiadomość rozniosła się po obozie rankiem tego dnia, kiedy to konny Buriat wezwał dowódcę sotni [95] Kozaków do pobliskiego ulusu. W parę godzin później żołnierze przywieźli wziętych w łyka bandytów. Wraz z nimi przybyli czterej obcy podróżnicy. Teraz stonik Tucholski prowadził śledztwo, podejrzewając chunchuzów o udział w niedawnym napadzie na budowniczych kolei.

Podczas gdy robotnicy snuli fantastyczne domysły, czterech bohaterów dnia siedziało w baraku jak na rozżarzonych węglach. W tej właśnie chwili decydowały się dalsze losy całej niebezpiecznej wyprawy. Nawet tak zawsze opanowany Smuga niecierpliwie zerkał na drzwi, za którymi sotnik Tucholski badał więźniów. Kozacy kolejno wprowadzali ich na śledztwo. Razy nahajek i jęki bez przerwy dobiegały zza ściany.

Tomek starał się nie słuchać ponurych odgłosów. Kurczowo zacisnął szczęki i poblady spoglądał przez okno. Nie mógł wprost oderwać wzroku od więźniów pracujących przy budowie toru. Może wśród nich znajdowali się Polacy...? Widok ludzi w kajdanach, przykutych łańcuchami do tacek, był wymownym dowodem katuszy i upokorzenia tysięcy zesłańców, na jakie byli narażeni za bohaterską walkę o wolność swej ojczyzny.

Bosman, na pozór spokojny, pykał z fajeczki, lecz i jego myśli nie musiały być zbyt wesole. Zasepionym wzrokiem śledził Kozaków wprowadzających chunchuzów na badanie, a w końcu mruknął:

- Z naszymi zesłańcami zapewne również nie lepiej się obchodzą...
- Spójrz, bosmanie, przez okno, a zaraz pozbędziesz się jakichkolwiek wątpliwości – szepnął Tomek.

Smuga ciężko westchnął, wspomniawszy swego przyrodniego brata. Tylko Udadżalaka zdawał się niczym nie przejmować. W jego ojczyźnie, jak i w wielu krajach Azji, często wówczas stosowano tortury podczas śledztwa.

Minęło sporo czasu, zanim Kozacy wyprowadzili ostatniego chunchuza. Sotnik Tucholski stanął w progu drzwi. Zamyślony spoglądał na podróżników, jakby się zastanawiał, co ma im powiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili milczenia odezwał się niepewnie:

– Przyznali się do winy... To oni właśnie przed miesiącem napadli na naszych budowniczych kolei. Generał-gubernator wówczas przysłał mnie tutaj w celu zorganizowania pościgu. Niestety, banda uciekła do Mandżurii... A szkoda, awans i nagroda przeszły mi koło nosa...

Tomek i bosman poruszyli się niespokojnie ożywieni jakąś myślą. Smuga wzrokiem nakazał im milczenie. Zapalił fajkę. Oparłszy się na łokciach, rzekł dwuznacznie:

– Przecież obecnie ma pan tych chunchuzów w swoim ręku... Nasz udział w ich ujęciu można pominąć.

Sotnik Tucholski przymrużył oczy i milczał wyczekująco.

– Wyratował nas pan z opresji – mówił Smuga. – Nie w głowie nam teraz chunchuzi, dochodzenia i... nagroda. Stan mego zdrowia budzi obawy. Po postrzale zadany przez chunchuzów dawna dolegliwość dała znać o sobie. Potrzebuję porady dobrego lekarza, aby móc pomyślnie dokończyć łowów.

Wyraz zadowolenia i nadziei odmalował się na twarzy sotnika. Czyżby awans i nagroda nie były jeszcze całkowicie zaprzepaszczone?

– Mało mamy lekarzy na Syberii. Nikt tu nie chce się osiedlać dobrowolnie – wtrącił. – Krajowcy leczą się u swoich mnichów lub szamanów, my zaś, Rosjanie, jesteśmy zdani na łaskę kilku podrzędnych lekarzy europejskich, zatrudnionych w szpitalach w Czycie bądź Nerczyńsku. Nikt z nich nie zgodzi się przyjechać tutaj.

– Czyż nie można znaleźć jakiejś rady? – westchnął Smuga, spod oka obserwując Tucholskiego. – Całą wyprawę weźmie lichy przez tę bandycką kulę...

Oficer zatarł dłonie, po czym rzekł:

– A gdybym tak zawiózł pana do szpitala?

– Duża to strata czasu dla nas – odparł Smuga. – Poza tym sam w takim stanie nie mógłbym jechać. Jestem bardzo osłabiony, a droga daleka.

– Towarzysze by się panem zaopiekowali. Postarałbym się jakoś to urządzić.

– Hm, zastanówmy się nad tą propozycją – z wahaniem odpowiedział Smuga. – W każdym razie jeden z nas musiałby natychmiast wrócić do obozu w pobliżu Błagowieszczęńska, by powiadomić resztę towarzyszy o wypadku. Trudno się zdecydować, czekałaby go bowiem niebezpieczna samotna jazda przez tajgę...

– Można temu zaradzić – rzekł oficer. – Jeszcze nie zdążyłem ujawnić panom całego wyniku śledztwa. Otóż chunchuzi zdradzili swego szpiega, grasującego na naszym brzegu Amuru. Jest nim stary przewoźnik, zwany kapitanem Wangiem. On także doniósł bandzie



o panach.

– A to obłudnik – zawołał Tomek. – Podczas przeprawy promem zwróciłem uwagę na jego natarczywe myszkowanie po jukach!

– Warto założyć mu postronek na szyję – mruknął bosman.

– Niech pan będzie spokojny, spotka go surowa kara – zapewnił oficer. – Już wydałem rozkaz aresztowania. Kilku moich ludzi przygotowuje się do drogi. Przewoźnik kursuje na swoim promie w pobliżu obozu panów, wobec tego jeden z was może zaraz jechać z żołnierzami.

Smuga uśmiechnął się nieznacznie. Sotnik Tucholski poinformował ich o odkryciu bandyckiego szpiega dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że nie mają zamiaru ubiegać się o nagrodę.

Po krótkiej chwili powiedział:

– Skoro tak przedstawia się cała sprawa, pozostaje nam tylko sporządzić formalne zeznanie o napadzie chunchuzów.

Tucholski natychmiast przyniósł przybory do pisania. Smuga podyktował Tomkowi treść oświadczenia, z którego wynikało, że dowódca Kozaków, Tucholski, uratował łowiecką wyprawę przed napaścią chunchuzów.

Czterej podróżnicy podpisali zeznania.

Sotnik nie krył zadowolenia. Starannie schował dokument do kieszeni.

– Zabieram panów do Nerczyńska specjalnym pociągiem – odezwał się wylewnie. – W tamtejszym szpitalu pracuje europejski lekarz. Złożę odpowiedni raport jego ekscelencji generał-gubernatorowi, aby panowie nie mieli kłopotów z policją. No, poza tym Naszkin także na pewno się panami zainteresuje! Szepnę mu kilka ciepłych słówek! To on przecież wyznaczył nagrodę za ujęcie chunchuzów.

Podróżnicy ukradkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Któż to jest ów Naszkin? Czy to ktoś z policji? – obojętnym tonem zagadnął Smuga.

– Zaraz widać, że panowie nietutejsi – odparł oficer. – To syberyjski milioner. Dorobił się na handlu futrami. Nieźle łupi skórę ciemnym krajowcom.

– A dlaczego interesuje się sprawą napadu na budowniczych kolei? – zapytał Tomek.

– Chunchuzi ciężko zranili jego bratanka, inżyniera kierującego robotami – wyjaśnił kapitan.

– Ach, tak – zdziwił się Smuga. – Dziękujemy za obietnicę zaprotegowania nas Naszkinowi. Jego pomoc może nam się przydać w Nerczyńsku.

– Ekscelencja generał-gubernator i Naszkin na pewno nie poskąpią panom opieki za lojalne współdziałanie z rosyjskimi władzami wojskowymi. Przecież panowie ponieśli szkody w walce ze zbrodniczą bandą.

– Przede wszystkim oddajemy się pod pana opiekę – odparł Smuga. Zadowolony mrugnął do przyjaciół. Plan dotarcia do Nerczyńska przybrał realne kształty.

– Który z panów wyruszy z moimi ludźmi w dół rzeki? – zapytał sotnik Tucholski nie mniej zadowolony od podróżników.

Smuga niby to zastanawiał się przez chwilę.

– Niech jedzie Udadźalaka – odparł, a zwracając się do Indusa dodał: – Powiadomisz pana Browna i Pawłowa o wszystkim, co się nam przytrafiło.

– Co zrobimy z końmi? – wtrącił bosman. – Chyba nie będziemy ich wlekli do Nerczyńska?

– Wierzchowcami panów zaopiekuje się komendant obozu przy ostatnim przystanku kolei – zaproponował Tucholski. – Stamtąd jutro rano zastępca naczelnego inżyniera udaje się specjalnym pociągiem do Czyty z raportem o stanie robót. Zabierzemy się razem z nim. Zaraz wydam rozkazy, a pan Udadźalaka niech tymczasem przygotuje się do drogi. Kozacy wyruszą jeszcze dzisiaj.

Oficer wyszedł z baraku. Smuga skorzystał z okazji, by wtajemniczyć Udadźalakę w swe dalsze plany. Zesłaniec miał być wywieziony z Nerczyńska odpowiednio ucharakteryzowany i przebrany, posługując się w razie kontroli fałszywym paszportem. Na przedostatniej stacji przed końcem linii kolejowej powinien wysiąść z pociągu i tam, kryjąc się w pobliżu, poczekać na nich, dopóki nie przybędą z końmi. Następnie razem przekradną się bocznymi ścieżkami w pobliże obozu, w którym uciekinier zostanie ukryty w klatce.

W godzinę później zegnali Udadźalakę. Tomek gawędził z eskortą, podczas gdy bosman przepijał z nią strzemienne przed wyruszeniem w drogę.

Tomek stał przy otwartym oknie. Zasłuchany w takt miarowo wybijany przez koła wagonu, z uwagą obserwował charakterystyczny krajobraz Zabajkala[96]. Wokół rozpościerały się łańcuchy gór, których grzbiety nie miały wyraźnie zaznaczonej grani, lecz stanowiły masywne, szerokie i płaskie działy wodne różnej rozciągłości z kopulastymi wierzchołkami, zaledwie wznoszącymi się nad ich poziomem. Nieliczne stosunkowo wyniosłości zasługiwały na nazwę grzbietów górskich. Od czasu do czasu wśród gęstej sieci długich, lesistych dolin o łagodnych zboczach ukazywały się wyspy stepu. W krainie zabajkalskiej syberyjska tajga stykała się ze stepami mongolskimi, które dolinami otwartymi od południa przenikały tutaj dwoma wielkimi klinami: selengińskim na zachodzie oraz arguńskoonońskim na wschodzie. Krajobrazy stepowe ze zbiorowiskami charakterystycznej roślinności na kamienistych zboczach południowych wciskały się w królestwo tajgi daleko na północ, prawie do granic Jakucji; natomiast w kierunku południowym tajga jako omszały las wybiegała aż do rzeki Ingoda, a nawet sięgała suchych stepów południowego Zabajkala.

Tomek odziedziczył po ojcu zamiłowania przyrodnicze, toteż dokładnie przyglądał się gatunkom roślin i zwierząt, właściwym tajdze syberyjskiej, i równocześnie mongolskim

stepom regionów amursko-ussuryjskich oraz wysokogórskich.

Zainteresowania geograficzne ustąpiły w końcu miejsca w myślach młodzieńca tragicznym dla Polaków wspomnieniem, związanym z południowymi krańcami Bajkału, zwanego przez Buriatów Świętym Morzem. Pod wpływem nagłego wzruszenia odwrócił się do swych przyjaciół.

– Stąd niedaleko już do Miszychy nad Bajkałem – odezwał się po polsku, zaraz jednak umilkł uzmysłowiwszy sobie, że nie są sami.

Oprócz Smugi, wygodnie leżącego na baranicach rozesłanych na ławce, i drzemiącego bosmana, w przedziale znajdował się zastępca naczelnego inżyniera. Jechał do generał-gubernatora do Czyty w sprawach związanych z budową nowej linii kolejowej. Był to starszy mężczyzna o bujnym, siwym zaroście na twarzy. Sotnik Tucholski przedstawił go jako Stanisława Krasuckiego. Tomek zmieszał się, napotkawszy jego badawczy wzrok. Bosman, wyrwany z drzemki słowami przyjaciela, otworzył oczy i zapytał po rosyjsku:

– Co mówiłeś?

– Powiedziałem, że stąd niedaleko już do Bajkału – powtórzył Tomek w tym samym języku, wdzięczny bosmanowi za zachowanie przytomności umysłu.

– Ani mnie to ziębi, ani parzy! – burknął marynarz wzruszając ramionami. – Ważny sobie znalazłeś powód do budzenia człowieka!

– Niech pan się nie oburza na swego młodego towarzysza. Dla Polaków Bajkał jest swego rodzaju narodową pamiątką[97] – naraz odezwał się inżynier Krasucki.

– A to dlaczego? – z głupia frant zapytał bosman.

– Kilkadziesiąt lat temu grupa polskich więźniów wzniciła powstanie nad brzegami tego jeziora. Na tak desperacki krok nigdy nie zdobyli się zesłańcy innych narodowości. Toteż każdy Polak, przebywając w pobliżu Bajkału, choćby w myślach wspomina bohaterów pogrzebanych w tajdze pod Miszychą i tych zabitych w Irkucku!

– Toś pan także Polak? Jakie to licho skłoniło cię do zamieszkania na Syberii? – bezceremonialnie indagował rubaszny bosman.

– Najpierw przebywałem tu szereg lat jako zesłaniec. Potem, po ukończeniu w Petersburgu studiów inżynierskich, przybyłem tutaj w poszukiwaniu lepszego zarobku. Na Syberii spędziłem już niemal czterdzieści lat.

– Czy pan stale pracuje przy budowach linii kolejowych? – zagadnął Tomek.

– A jakże! – przytaknął inżynier. – Ubzdurałem sobie, że dzięki budowie kolei zsyłki stają się nieco lżejsze dla naszych rodaków.

– Nie ulega wątpliwości, że rozumowanie pana nie jest pozbawione pewnych podstaw – wtrącił Smuga. – Czyżby pan tutaj przebywał podczas polskiego powstania nad Bajkałem?

– Nie, na Zabajkalu znalazłem się kilka lat później, lecz mimo to jeszcze wtedy często

się tu wspominało tragedię Polaków.

– W takim razie wiele musiał pan się nasłuchać ciekawych szczegółów o tym powstaniu – zauważył bosman.

– Dla Polaków to raczej bolesne historie, proszę pana – odparł Krasucki.

– Pan Brol od wielu lat odbywa z nami wyprawy łowieckie – pośpiesznie wyjaśnił Smuga. – Chociaż jest Niemcem, sympatyzuje z Polakami. Mówi nawet niezłe po polsku.

– Ha, skoro tak, to przestańmy wykręcać sobie języki ruszczyzną – zaproponował Krasucki.

– Masz pan rację – zawtórował bosman. – Sotnik Tucholski już pewno kima w najlepsze ze swoimi Kozakami, bo chunchuzi w łykach nie mogą dać drapak z pędzącego pociągu. Pogadajmy więc o tym i owym. Ciekaw jestem, kto zaplanował powstanie nad Bajkałem?

– Trudno powiedzieć, kto pierwszy rzucił myśl zbiorowej ucieczki z Sybiru – odpowiedział Krasucki. – Przecież prawie wszyscy polscy zesłańcy zawsze pragnęli odzyskać wolność, naśladując śmiałą ucieczkę Beniowskiego. Po powstaniu styczniowym wśród zesłanych Polaków znajdowało się wielu studentów, artystów, byłych oficerów i dzielnych rzemieślników warszawskiego proletariatu, wziętych do niewoli wprost z pola bitwy. Nawet jeszcze podczas wędrówki na Sybir w uszach ich brzmiał szcęk oręża. Każda iskra mogła spowodować wybuch...

– W pewnych kołach projekt zbiorowej ucieczki z Syberii przypisywano Jarosławowi Dąbrowskiemu, późniejszemu generałowi Komuny Paryskiej[98] – zauważył Smuga.

– Kto wie, może i tak było – potwierdził Krasucki. – Właśnie w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym znajdował się w moskiewskim więzieniu Kałamażnyj Dwór. Wtedy też mówiło się o tym, aby w jednym ustalonym dniu wszystkie partie zesłańców, rozrzucone na długim szlaku od Warszawy po Ural, rozbroiły swe konwoje i gromadnie powracały na ziemie polskie tam, gdzie jeszcze trwały walki powstańcze. Dąbrowski z pomocą polskich i rosyjskich rewolucjonistów [99]zdołał zbiec z łaźni więziennej. Wtedy niektórzy Polacy zaczęli układać znacznie śmielsze plany. Na przykład uwięziony w Krasnojarsku Paweł Lewandowski, były naczelnik powstańczej żandarmerii w Warszawie, zamierzał wraz z rosyjskim rewolucjonistą Mikołajem Serno-Sołowiewiczem wzniecić rewolucję demokratyczną w Rosji, a nawet oderwać od niej Syberię, która miała stanowić samodzielne państwo – Swobodosławię[100].

– To były naprawdę śmiałe plany – zdumiał się Tomek.

– Niestety, władze rosyjskie przechwyciły nici spisku – ciągnął Krasucki. – Sołowiewicz został nagle wywieziony i zmarł w drodze do Jakucka, zabierając do grobu tajemnicę wspólnie z Polakami przygotowywanej rewolucji.

Polacy nie zarzucili planów ucieczki. Teraz głównym ogniskiem spisku stał się Irkuck, gdzie podczas zimowego natłoku w więzieniach zmarło ponad stu więźniów. Rej wodził

tam Narycz Celiński, były uczestnik powstania w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku w Księstwie Poznańskim i w Galicji, a potem kapitan sztabowy inżynierii na Kaukazie oraz powstaniec tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Jego plan zbrojnej ucieczki odrzucał porozumienie z rewolucjonistami rosyjskimi.

Władze, powiadomione o wrzeniu wśród polskich zesłańców, postanowiły wywieźć bardziej niespokojnych do budowy drogi krugobajkalskiej, wytyczonej wzdłuż południowego wybrzeża Bajkału. Początkowo zesłańcy z radością przyjęli ten projekt. Umożliwiał on więźniom pobyt na świeżym powietrzu oraz mógł ułatwić planowaną ucieczkę. Celiński proponował przedrzeć się znad Bajkału przez stepy kirgiskie do Buchary, gdzie w owym czasie wojska rosyjskie walczyły z tamtejszym emirem.

– Wydaje mi się, że projekt nie był niemożliwy do wykonania – wtrącił Smuga.

– Ma pan rację, plan mógł się powieść, gdyby nie zaistniały nieprzewidziane przeszkody. Otóż w końcu maja roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego wysłano pierwszą grupę więźniów do Kułtuku na południowym cyplu jeziora, około stu kilometrów od Irkucka. Drugą, razem z Celińskim, skierowano o siedemdziesiąt kilometrów dalej do Murinu. Wtedy właśnie nieoczekiwanie nadeszła wiadomość o manifeście amnestyjnym cara, który z okazji nieudanego zamachu Karakazowa na jego życie, łagodził więźniom ciężkie kary o połowę, a mniejsze zamieniał na osiedlenie na Syberii. Władze w Irkucku wstrzymały dalsze wysyłki nad Bajkał, aby podzielić zesłańców na grupy według nowych kar. Amnestia znacznie poprawiła nastroje zesłańców, część z nich zaniechała nawet zamiaru ucieczki.

Ostatecznie około siedmiuset zesłańców wysłano do budowy drogi[101]. Panowały tam fatalne warunki. Stałe silne prądy powietrzne nad Bajkałem powodowały częste burze. Wskutek znacznej różnicy temperatur powietrza nad jeziorem i nad lądem, z wąwozów wiały typowe bryzy, zwane tam chołodami, szczególnie odczuwane jesienią. Padały deszcze, a źle odżywiani więźniowie pracowali od piątej rano do szóstej wieczorem i musieli sami budować szałas mieszkalne.

Do jeziora wpadało wiele rzek, oddzielonych od siebie pasmami skalistych gór, przez które trzeba się było przebijać. Dwustumetrowe skalne bloki zwisały wprost nad brzegiem. Na wiosnę, gdy woda zrywała mosty, ustawała wszelka komunikacja. Więźniowie wykuwali w skałach tunele, karczowali pnie, ścinałi drzewa, kopali ziemię oraz przygotowywali materiał do budowy mostów. Czuli się przy tym całkowicie oderwani od cywilizowanego świata. Wprawdzie wolno im było raz na kwartał pisać listy do rodzin, lecz z domów prawie nie otrzymywali korespondencji.

W poszczególnych grupach zesłańców, rozmieszczonych wzdłuż linii wybrzeża, trwała ostra agitacja za ucieczką. Gustaw Szramowicz głosił, że mają do wyboru albo “zdechnąć jak bydło przy ciężkiej pracy”, albo uwolnić się, a w razie niepowodzenia zginąć z honorem, walcząc o swą wolność z bronią w ręku. Niestety, wśród zesłańców nie było jednomyślności. Znaleźli się nawet zdrajcy. Wówczas Celiński, upatrzony na wodza powstania ze względu na swą przeszłość bojową, nie chcąc zaprzepaścić okazji, rzucił w Murinie rozkaz rozpoczęcia walki. Stało się to na początku lipca, w nocy z piątku na



sobotę.

W kilku miejscowościach usłuchano rozkazu. Szramowicz w Listwiennej oraz Arcimowicz w Kułtuku rozbroili strażę. Ruszyli wzdłuż Bajkału, aby się połączyć z Celińskim. Jako straż przednią wysłali Leopolda Eljaszewicza na czele osiemdziesięciu kawalerzy sto w. Jego adiutantem był Edward Wroński, gimnazysta z Wrocławia, który naprawdę nazywał się Skonieczny. Eljaszewicz w drodze do Miszychy napotkał dowódcę strażnicy wojskowej, pułkownika Czerniajewa, i inżyniera Szaca, kierownika robót. Wziął obydwóch do niewoli. W zamian za skonfiskowane rządowe pieniądze dał im kwit z podpisem: Syberyjski Legion Wolnych Polaków, ujawniając tym samym nazwę polskiej organizacji wojskowej.

Eljaszewicz połączył się z naczelnym wodzem, Celińskim, ten zaś, nie mogąc zbyt długo czekać na nadejście Szramowicza z piechotą, polecił mu natychmiast zająć Posolsk. Eljaszewicz natknął się na rosyjski oddział dowodzony przez porucznika Kerna. Paru powstańców padło w starciu, kilkunastu dostało się do niewoli. Eljaszewicz, zaskoczony przybyciem do Poselska majora Rika z posiłkami, cofnął się do Miszychy, dokąd teraz również dotarł Szramowicz z dwustu źle uzbrojonymi piechurami. W takich warunkach przyjęcie decydującej bitwy było bardzo niebezpieczne. Celiński radził powrócić do nie zajętego przez Rosjan Kułtuku, aby stamtąd dojść do najbliższej położonej granicy chińskiej. Plan jego został odrzucony, albowiem sądzono, że Rosjanie już obsadzili południowe brzegi jeziora. Celiński zrzekł się dowództwa, które objął Szramowicz.

Rosyjskie władze w Irkucku szybko zostały powiadomione o wybuchu powstania i energicznie mobilizowały swe siły do przeciwuderzenia. Szerząc fałszywe wieści, że zbuntowani więźniowie zamierzają wymordować tak Rosjan, jak i rdzennych mieszkańców Syberii, podburzały krajowców. Za każdego schwytanego powstańca wyznaczyły nagrodę. W ten sposób, oprócz rosyjskiego wojska, przeciwko garstce zesłanych Polaków ruszyła ludność buriacka, tunguska, mongolska i chińska. Powstańcy zostali otoczeni.

Celiński na czele małego oddziału odłączył się od głównych sił, zamierzając przekroczyć granicę chińską. Szramowicz natomiast, mając tylko stu pięćdziesięciu ludzi, przyjął decydującą bitwę pod Miszychą. Żołnierze jego po wystrzelaniu naboju rzucali się do walki wręcz, by w końcu także ująć w tajgę. Podzieleni na małe grupy usiłovali się przedostać do Chin lub Mongolii. Zmęczeni oraz wyczerpani głodem wpadali w ręce wojska rosyjskiego lub krajowców.

– Biedacy, czyż nie zdawali sobie sprawy, że muszą przegrać nierówną walkę? – wtrącił Tomek, ciężko wzdychając...

– Co uczyniono z wziętymi do niewoli? – rzucił pytanie bosman.

Krasucki zmarszczył krzaczaste brwi, jakby coś sobie przypomniał, po czym rzekł:

– Obydwaj panowie znajdziecie najlepszą odpowiedź w wierszu napisanym przez jednego z poetów ku pamięci polskich powstańców nad Bajkałem[102]. Posłuchajcie, proszę:



*Lepsza nam kula, niżli takie życie!*

*Rzekli, powstali, rozbroili zbirów!*

*A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie*

*Błysnęła ku nim ziemia leż i kirów.*

*Potem pustynia, skąd nie ma wychodu*

*– Bój, gdzie szczęśliwsi giną, męki głodu*

*– I znów dawne pęta. Sąd otwarty...*

*Dla katów spisy żeru... Czy słyszycie?*

*Padł strzał – i drugi – i trzeci – i czwarty!*

Bosman wydobyl z kieszeni kraciatą chustkę. Hałaśliwie zaczął wycierać nos, Tomek natomiast odwrócił twarz do okna, kryjąc w ten sposób łzy cisnące mu się do oczu. Smuga wpił badawczy wzrok w Krasuckiego, jakby chciał przeniknąć jego najskrytsze myśli. Po dłuższej chwili milczenia nabił fajkę tytoniem i rzekł:

– Carat nieraz już stosował metodę szczucia jednych ujarzmionych narodów przeciwko drugim. Czynią to również z niemałym powodzeniem i inne państwa prowadzące zaborczą politykę. Jednak w przypadku polskich powstańców nad Bajkałem kłamstwa carskich urzędników mogły być dość szybko zdemaskowane. Przecież nieszczęśni skazańcy pragnęli jedynie odzyskać własną wolność!

– Niezawodnie ma pan rację! Nawet mieszkańcy Irkucka patrzyli na ich tragedię ze szczerym współczuciem. Podczas rozprawy sądowej wyszła na jaw haniebna rola rządu carskiego, niesłusznie obwiniającego polskich więźniów o zamiar wymordowania Rosjan na Syberii – przyznał Krasucki.

– Z wiersza wynika, że rozstrzelano czterech powstańców – wtrącił bosman. – A co stało się z resztą?

– Z siedmiu skazanych na karę śmierci ostatecznie rozstrzelano czterech przywódców: Szramowicza, Celińskiego, Reintera i Kotkowskiego. Około czterystu zasądzono na wieczną bądź długoletnią katorgę lub nadzór policyjny.

– W jaki sposób wykonano wyroki śmierci? – zapytał Tomek.

– Pamiętna egzekucja odbyła się niedaleko rzeki Angara, u podnóża dzikich gór, na przedmieściu Uszakówka. Mimo że dzień był mroźny i mglisty, za rogatką Jakucką zgromadziło się wielu mieszkańców Irkucka. Brakło tylko Polaków przebywających w mieście. Władze zabroniły im pokazywania się na ulicach przez kilka dni. Gospodarzy domów uczyniono odpowiedzialnymi za swoich lokatorów.

– A to dranie! – oburzył się bosman.

– Znalazł się jednak ktoś, kto naruszył surowy zakaz. Polak, Bolesław Olszewski, w przebraniu syberyjskiego chłopca przekradł się na plac kaźni. On właśnie później

opowiedział mi, jak się to wszystko odbyło – mówił dalej inżynier. – Czterech Polaków szło na śmierć, jak przystało bohaterom. Towarzyszył im ksiądz irkucki, Polak zesłany na Sybir, Krzysztof Szwermicki. Szramowicz widząc, że księdzu drżą dłonie, rzekł: “Ojczy, zamiast nam dodać otuchy, aby śmiało przyjąć śmierć z rąk tych niewolników caryzmu, aby im pokazać, że za wolność Polak umie umierać, ty sam upadasz i pociechy potrzebujesz, bo drży ci ręka, którą masz nas błogosławić! Bądź dobrej myśli, polski kapłanie, módl się nie za nas, ale za przyszłość Polski! Dla nas jest obojętne, czy zginiemy na własnej ziemi za jej wolność czy nas zamordują na wygnaniu! Idea, co nam w życiu przyświecała, nie zginie.” [103]

Szramowicz pożegnał się ze współtowarzyszami niedoli. Stał przy słupie wkopanym w ziemię. Gdy włożono mu śmiertelną koszulę, rzucił czapkę w górę i umarł z okrzykiem: Jeszcze Polska nie zginęła...

Czapka jego upadła w pobliżu rosyjskiego pułkownika. Ten odtrącił ją nogą. Wtedy z tłumu zebranego na placu rozległy się okrzyki: “Padlec!” Przy warkocie bębnow grzmiały salwy egzekucyjne...

Krasucki zamilkł wzruszony.

Smuga pierwszy ocknął się z zadumy. Wytrząsnął popiół z wygasłej fajki. Spojrzał w okno wagonu. Świt różowił się w dali. A więc cała noc minęła na koszmarach wspomnień.

– Już świta, zbliżamy się do Nerczyńska[104] – powiedział.

Słowa Smugi wyrwały Tomka z zamyślenia. Znów spojrział w okno. W jasnoczerwonych odbłaskach poranka wokół rozpościerał się pagórkowaty krajobraz, bardzo przypominający martwą pustynię. W niektórych miejscach monotonię dzikiej krainy zakłócały erozyjne doliny poprzeczne, wąskie i głębokie o wysokich, stromych, kamienistych zboczach, bądź też ponure wąwozy porośnięte skarłowaciałymi krzewami. Od czasu do czasu wśród zawilej sieci suchych wądołów i dolin pojawiały się, okolone lasostepem sosnowym, wyspy stepów trawiasto-zielnych, tworzących mieszaninę roślin stepowych i łąkowych. Krzewiły się na nich: wiechlina, strzępica oraz turzyca stepowa, ostnica włosowata, driakiew Fischera i targanek dauryjski.

Widok wysp stepowych [105]przyprawił Tomka o zupełnie zrozumiałe podniecenie. Zbliżali się do celu wyprawy – Nerczyńska! Niepewność, nadzieja i podstępny strach na przemian wkradały się do serca młodzieńca. Narazili się na tyle trudów i niebezpieczeństw, by dotrzeć do dalekiego miejsca zesłania Zbyszka! Czy uda się im teraz uprowadzić go stamtąd? Jakby szukając odpowiedzi na dręczące go pytanie, Tomek mimo woli spojrział na swych przyjaciół. Smuga pykał z krótkiej fajeczki i wzrokiem leniwie śledził kłęby dymu unoszące się w powietrzu, bosman natomiast opuścił głowę na piersi, drzemiąc w najlepsze. Krasucki, przypadkowy towarzysz podróży, przeglądał jakieś notatki. Tomek rozchmurzył się i odetchnął z ulgą. Ryzykowna wyprawa musi przecież osiągnąć zamierzony cel, skoro przewodzą jej tak rozważni i nieustraszeni ludzie jak Smuga, ojciec i bosman!

## GROŹNE OSTRZEŻENIE

– Do stu beczek zjełczałego tranu, przerwij z łaski swojej to polowanie na karaluchy! – ofuknął bosman Tomka. – Zdrzemnąć się nie mogę, gdy co chwila te wstrętne robaki trzaskają ci pod nogami!

Tomek przystanął przed przyjacielem spoczywającym na sienniku położonym wprost na podłodze i odparł nieco oburzony:

– Jednemu przeszkadzają meszki, a drugiemu karaluchy. Widzę, że pan jakoś dziwnie szybko pokumał się z tą plagą syberyjskich mieszkań. Proszę, robak włazi panu na poduszkę!

– A cóż mi to szkodzi? Pewno wyczuł moje dobre serce. Przecież to też stworzenie boże! – filozoficznie odparł bosman. – Brać marynarska nie może być wrażliwa na takie drobiazgi. Czasem różnie bywa na statku. Wiesz, brachu, raz płynąłem na starym pudle do Chin. Wieźliśmy same rury, ale gdybym tego nie widział na własne oczy, pomyślałbym, że płyniemy z ładunkiem karaluchów i szczurów. Bestie wpadały nawet do kotła z zupą.

– Nie pracowałbym ani jednej godziny na takim statku – zawołał Tomek.

– Tak mówisz? Ha, może taki zuch jak ty zaraz wskoczyłby do morza! Ja zaś wolałem dopłynąć do Kolombo na Cejlonie, i dopiero tam z jednym kolegą przezornie spóźniliśmy się na krypę. Dalej pożeglowała już bez nas.

– Nie do żartów mi teraz – mruknął Tomek. – Gdyby pan Klemensowicz nie odziedziczył tej nory po swoim ojcu, polskim zesłańcu, podpaliłbym ją bez wahania.

– Pomysł niezły, ale wtedy musielibyśmy mieszkać pod gołym niebem, bo to przecież jedyny hotel w Nerczyńsku. No, no, przedsiębiorczy to był człek, skoro założył interes pozbawiony konkurencji!

Tomek zniecierpliwiony kpinami bosmana wzruszył ramionami. Podszedł do okna wychodzącego na ciemny, brudny dziedziniec.

Smuga jakoś długo nie wracał z miasta. Na podwórzu kudłate psisko buszowało koło cuchnącego śmietnika. Młodzieniec, nie doczekawszy się widoku powracającego Smugi, zniechęcony odwrócił się tyłem do okna. Powiódł wzrokiem po nędznym pokoiku. Przypominał on bardziej spelunkę niż pomieszczenie hotelowe. Farba dawno już poodpadała z ram i okien, w wypaczonych deskach brudnej podłogi ziały czernią dziury służące za schronienie robactwu i szczurom, a ze ścian zwisały strzępy tapet, które poruszane wiatrem, powiewały niczym chorągiewki. Jedynym stałym umeblowaniem był chwiejący się na nogach stół, przykryty poplamionym, starym obrusem. Trzy wypchane słomą sienniki oraz miedziana powyginana miska pojawiły się w pokoju dopiero na usilne prośby podróżników, poparte sutym napiwkami. Przyniósł je z prywatnego mieszkania pana Klemensowicza brudny jak wszystko w tym hotelu chłopak, posługacz i kucharz zarazem.

– Oszaleć można, czekając beczynn timerze – mruknął Tomek.

– A cóż innego możemy zrobić, skoro Smuga zakazał nam afiszować się po ulicach? – zapytał bosman. – Nudno tu i jedzenie kiepskie. Nawet drzemać nie mogę, bo już wyspałem się za wszystkie czasy.

– Pan Smuga słusznie postępuje – dodał Tomek. – W takiej kilkutyśnej miejscinie jak Nerczyńsk, każdy obcy człowiek natychmiast zwraca na siebie uwagę. Im mniej nas tu widzą, tym lepiej! Poza tym, cóż tu jeszcze jest do oglądania? Prawie wszystkie domy znam już na pamięć: biblioteka, muzeum, trzy szkoły, bank i jedynie naprawdę wspaniałą pałac Naszkina.

– Pominąłeś szpital, w którym niby to leczy się Smuga – wtrącił bosman.

– Na szczęście pan Smuga szybko odzyskał siły po leku buddyjskiego mnicha. W tym nędznym szpitaliku niewiele by mu mogli pomóc.

– Smuga wszystko to dobrze wykombinował!

– Ma pan rację! Udaje chorego, żeby stworzyć pretekst do przedłużenia pobytu w Nerczyńsku i jednocześnie usiłuje zebrać informacje o Zbyszku.

– Jakoś długo nie wraca – zauważył bosman. – Ciekawe, co mu też dzisiaj powie ten znajomek Pandita Davasarmana? Przecież obiecał nam pomóc!

– Miejmy nadzieję, że nie zawiedzie! Jak to się nisko kłaniał, gdy powiedzieliśmy, z czyjego polecenia przychodzimy do niego – zauważył Tomek.

– Święta racja – potaknął bosman. – Kto by się spodziewał, że Pandit Davasarman ma takie długie ręce!

– To niezwykły człowiek!

– Musi być nie byle jaką szyszką między pundytami. Nawet Anglicy liczą się z jego zdaniem. Mieliśmy tego dowody podczas poprzedniej wyprawy do Tybetu.

Obydwaj przyjaciele pograżyli się w rozmowie na temat wpływów Davasarmana, a potem pochyleni ku sobie roztrząsali plan uprowadzenia zesłańca z Nerczyńska. Karaluchy nie napastowane przez Tomka wspinały się spokojnie nawet na stół...

Skrzypnięcie drzwi przerwało cichą rozmowę. W progu stanął Smuga. Tomek i bosman podskoczyli ku niemu, on zaś najpierw starannie zamknął drzwi, zdjął kurtkę, po czym spoczął na sienniku i zapalił swą ulubioną fajkę. Teraz dopiero spojrzał na przyjaciół. Wzrokiem wskazał im miejsce obok siebie. Usiedli przy nim.

– Czy dowiedział się pan czegoś? – niecierpliwie zapytał Tomek. Bosman chrząknął i zaczął nabijać fajkę tytoniem.

– Przynoszę niepomyślne wiadomości – po dłuższej chwili odezwał się Smuga. – Zbigniew Karski został wywieziony z Nerczyńska osiem miesięcy temu.

Tomek pobladł, zamarł w bezruchu wpatrzony w Smugę. Bosman z rozmachem strzepnął robaka spacerującego po poduszce i powiedział:

– Zaraz mi się wydało, że pańska mina nie wróży nic dobrego... No tak, biedaczysko przepadł jak w paszczy wieloryba...

– A więc wszystko stracone... – drżącym, łamiącym się głosem szepnął Tomek.

– Tego nie powiedziałem! – zaprzeczył Smuga. – Wprawdzie wywiezienie Zbyszka z Nerczyńska znacznie skomplikowało sprawę, lecz tym bardziej należy mu pomóc w odzyskaniu wolności.

– Czy istnieje jeszcze jakaś szansa? – gorączkowo zapytał Tomek, chwytając dłoń przyjaciela.

– Uspokój się, Tomku, wiesz, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by ocalić tego chłopca – odpowiedział Smuga.

– To są prawdziwie męskie słowa! – pochwalił bosman. – Jak amen w pacierzu wskoczę w ogień, jeśli zajdzie potrzeba!

Smuga z uśmiechem spojrzał na olbrzyma i rzekł:

– Cieszy mnie, bosmanie, twoja gotowość, bo wkrótce będzie nam gorąco.

– Wal pan prosto z mostu, jak przedstawia się sprawa. Na mnie możesz liczyć – zapewnił marynarz. – Łepetyna do góry, Tomku! Nie opuścimy w niedoli tamtego nieboraka!

– Wyjmij mapę z mojej torby – rozkazał Smuga.

Po chwili mapa leżała rozłożona na podłodze, a wtedy Smuga wyjaśnił:

– Osiem miesięcy temu Zbyszek został przetransportowany z Nerczyńska do Ałdanu. O, to tutaj, w Jakucji.

– A niech to wieloryb połknie! Przecież z naszego obozu bliżej nam było do Ałdanu niż do Nerczyńska! – zdumiał się bosman.

– Będzie około sześciuset kilometrów – dodał Tomek, wymierzywszy na mapie odległość.

– Cóż, należało się liczyć z przykrymi niespodziankami – ciągnął Smuga. – Teraz zastanówmy się, w jaki sposób moglibyśmy dotrzeć do Ałdanu.

– Ba, a co na to powie policja? Przecież Pawłow siedzi nam na karku – zafrasował się bosman.

– Tyle trudu kosztowało nas przedostanie się z Kraju Nadamurskiego do Zabajkala! Jak teraz upozorujemy konieczność udania się do Jakucji? – zawtórował Tomek. – Będziemy musieli się przedzierać przez dziką tajgę! Czy to jednak pewne, że Zbyszek przebywa w Ałdanie?

– Nasz informator uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, aby udzielić nam jak najpewniejszych wiadomości. Zastałem u niego jego krewnego, który pracuje u Naszkinia. To on właśnie podał mi te dane!

– Czy może osobiście znał Zbyszka – porywczo zawołał Tomek.

Smuga skinął głową.

– Co powiedział? Wal pan prosto z mostu – zachęcił bosman.

– Zbyszek wykazywał duże zainteresowanie handlem futrami. Dzięki temu zyskał sobie dobrą opinię u zwierzchnika. Protekcja syberyjskiego magnata mogła zesłańcowi ułatwić przetrwanie okresu kary. Naszkina łączyły dobre stosunki z gubernatorem i władzami policyjnymi.

– Więc dlaczego Zbyszka stąd wywieźli? – wtrącił bosman. – Nic z tego nie rozumiem...

– Słuchaj cierpliwie, to wszystko pojmiesz – odparł Smuga. – Chłopiec nie przerwał na zesłaniu działalności przeciwko carskiemu rządowi.

– Co pan mówi! A to rogata dusza! Zuch chłopak! – pochwalił marynarz.

– Policja wykryła, że utrzymywał zażyłe stosunki z młodymi rosyjskimi studentami, zesłanymi na Sybir za knowania rewolucyjne. Wszystkich podejrzanych policja powywoziła do innych miejscowości. Naszkin wstawił się za Zbyszkiem, lecz nic nie wskórał. Na domiar złego policja podobno przechwyciła list napisany przez niego do kogoś w Anglii, w którym prosił o jak najszybszą pomoc.

– Mój Boże, to na pewno był list do mnie – szepnęła Tomek.

– I ja tak przypuszczam – powiedział Smuga. – W każdym razie Naszkin postąpił bardzo przyzwoicie. Nie mogąc zatrzymać Zbyszka w Nerczyńsku, wyjednał wysłanie go do swej placówki handlowej w Jakucji, w Ałdanie. Niestety surowy klimat źle wpłynął na zdrowie chłopca. Podobno choruje... Ostatnią wiadomość o nim przyniósł przed trzema miesiącami jakiś agent handlowy.

– A niech to tajfun porwie! Nie mamy chwili do stracenia – stanowczo rzekł bosman.

– Musimy go ratować! – zawołał Tomek, zrywając się z posłania.

– Słuchajcie dalej – powstrzymał ich Smuga. – Nie powiedziałem jeszcze najważniejszego. Agent policji, który wykrył konszachty Zbyszka z rosyjskimi zesłańcami, nazywał się Pawłow.

Bosman i Tomek zaniemówili na chwilę. Zdumionym wzrokiem spoglądali na Smugę. Pierwszy otrząsnął się marynarz.

– Fiu, fiu – gwizdnął przez zęby. – Czy to tylko to samo nazwisko, czy też jest to jeden i ten sam człowiek. Ho, ho, naprawdę robi się gorąco.

– Czy nie dowiedział się pan niczego więcej o tym agencie? – gorączkowo pytał Tomek, z trudem tłumiąc wzburzenie.

– A jakże, dowiedziałem się – potwierdził Smuga. – W jakiś czas później przeniesiono go do Chabarowska.



– Więc to nasz Pawłowie! – syknął bosman. – A to gadzina! Nic dziwnego, że łapska swędziały mnie na sam jego widok!

– Musimy jak najprędzej wracać do ojca – powiedział Tomek. – Wydaje mi się, że nie doceniliśmy przebiegłości tego szpicla!

– Ano faktycznie, ziemia pali się nam pod stopami – przyznał bosman. – Zbierajmy manatki i... wiejmy stąd!

– Zaraz pójde na stację sprawdzić, kiedy odchodzi pociąg – rzekł Tomek powstając z siennika.

– Siadaj – stanowczo rozkazał Smuga i dodał: – Wiedziałem, że ta wiadomość wytrąci was z równowagi, dlatego właśnie oznajmiłem ją wam na końcu. Teraz należy zachować zimną krew i rozwagę. Dzisiaj nie możemy stąd wyjechać, ponieważ Naszkin zaprosił nas na bankiet, jaki wyprawia na naszą cześć. Zakomunikował mi to sotnik Tucholski. Szedł do nas, gdy wracałem do hotelu. Naszkin chce nam podziękować za pomoc w schwytaniu chunchuzów.

– Niech go wieloryb połknie z jego bankietem – zaklął bosman.

– Akurat teraz będziemy tracili czas na zabawę!

– Powinniśmy jak najszybciej uprzedzić ojca o Pawłowie!

– Co nagle, to po diable – studził ich Smuga. – Nie wolno nam nierozważnie postępować, by nie popełnić jakiegoś błędu. Niebezpieczeństwo grozi nie tylko zesłańcowi.

– Prawda, proszę pana, prawda! Ojciec i bosman są szczególnie zagrożeni, lecz gdyby policja odkryła cel ekspedycji, kiepsko by było z nami wszystkimi. Co teraz zrobimy?

– Dzisiaj wieczorem udamy się na przyjęcie – odpowiedział Smuga.

– Już zamówiłem dorożkę, która przyjedzie po nas. Gdy będziemy przejeżdżali koło dworca, powiesz, Tomku, że zapomniałeś kupić papierosów. Zatrzymasz dorożkę i pójdiesz do bufetu na stacji. Przy okazji sprawdzisz, kiedy odjeżdża pociąg na wschód.

– Sprytnie pan to wykombinowałeś! – roześmiał się bosman, który powoli odzyskiwał humor. – Dorożkarz może pozostawać na usługach policji, nie domyśli się więc, że chcemy czmychnąć stąd jak najprędzej.

– Ostrożność nie zawadzi – rzekł Smuga. – W Rosji agenci policyjni zazwyczaj śledzą cudzoziemców. Chociaż dobrze miałem się na baczności, mogli wyniuchać moje odwiedziny u znajomka Pandita Davasarmana.

– Dmuchaemy na zimne, nie sparzemy się na gorącym – zawtórował bosman. – Czy nie obawiasz się pan, że agenciaki mogą poszperać w naszych jukach w hotelu?

Smuga poważnie skinął głową.

– Dlatego właśnie trzymałem was obydwóch tutaj w pokoju – odparł.

– Czemuś pan tego od razu nie powiedział?! – obruszył się marynarz.

– I tak byłem pewny, że ściśle wykonacie moje polecenie.

– Gdy dzisiaj wieczorem wszyscy pójdziemy do Naszkina, policja może skorzystać z okazji – zafrasował się Tomek. – Sąsiednie pokoje są obecnie nie zajęte przez gości, w jednym z nich możemy ukryć juk z ekwipunkiem dla Zbyszka.

– Bardzo dobry pomysł, Tomku – pochwalił Smuga. – Rekwizyty przeznaczone do charakteryzacji zaintrygowałyby policję. Bosmanie, pójdziesz zagadać pana Klemensowicza i jego sługę, a my tymczasem...

– Dobra nasza, załatwię ten drobiazg!

Bosman znikł za drzwiami. Po chwili jego tubalny głos rozbrzmiewał gdzieś w głębi domostwa.

Tomek odwrócił się i czujnym wzrokiem spoglądał na odjeżdżającą dorożkę. Sprzed dworca do pałacu Naszkina było zaledwie kilkaset kroków, toteż chwiejący się na koźle podchmielony dorożkarz wcale nie był zdziwiony, że jeden z pasażerów resztę drogi odbędzie piechotą. Tomek wolnym krokiem wszedł do budynku. Przy kasie podróżni tłoczyli się po bilety.

“Prawdopodobnie jakiś pociąg nadjedzie za chwilę” – pomyślał młodzieniec i udał się do bufetu w sąsiedniej salce. Przystanął przy ladzie. Poprosił o dwa pudełka papierosów i o kwas. Popijając orzeźwiający napój wdał się w pogawędkę z bufetową. Po chwili wiedział już, że wkrótce nadjedzie pociąg z Ruchłowa. Upewniwszy się, że w kierunku północno-wschodnim będą mogli wyjechać dopiero następnego dnia w południe, Tomek poprosił o jeszcze jedną szklankę kwasu. Mimo woli spoglądał w okno na peron. Lokomotywa, sapiąc i buchając parą, wjechała na dworzec. Nieliczni podróżni wysiadali z wagonów.

Tomek kończył właśnie pić kwas. Już miał odejść od lady bufetu, gdy wtem żołnierz w mundurze kozackim wszedł do sali pobrząkując szablą. Nowy gość wydał się Tomkowi dziwnie znajomy. Kozak zamówił kieliszek czystej wódki. Teraz dopiero spojrzał na Tomka stojącego dotąd samotnie przy ladzie. Na widok młodzieńca zdumienie i radość odmalowały się kolejno na jego twarzy. Pospiesznie zsalutował przykładając prawą dłoń do papachy, to jest do wysokiej futrzanej czapki noszonej przez Kozaków, a następnie zawołał:

– Zdrawstwujię wasze wysokobłagorodje[106], jak to dobrze, żeśmy się spotkali, przywożę dobrą nowinę! Aresztowaliśmy kapitana Wanga!

Tomek po chwili dopiero przypomniał sobie, skąd zna tego Kozaka.

Był to dowódca oddziałku, który z rozkazu sotnika Tucholskiego udał się na poszukiwanie przewoźnika-szpiega. Ciekaw wiadomości z obozu, ochoczo przywitał się z żołnierzem.

– Cieszę się, że kapitan Wang nie zdołał wam umknąć – odparł Tomek ściskając dłoń Kozaka. – W jaki sposób schwyciliście tego łajdaka?

– Przyłapaliśmy sobakę [107] na przystani, gdzie statki ładują drewno na opał.

Towarzysz panów, który z nami jechał, natychmiast go rozpoznał.

– To znaczy, że Udadzałaka bez złej przygody dotarł do obozu – niby mimochodem zauważył Tomek, bacznie zerkając na Kozaka.

– Wasze wysokobłagorodje już nie potrzebuje się kłopotać o niego – zapewnił Kozak. – Wszyscy się radowali, słysząc o szczęśliwym zakończeniu przygody z chunchuzami. Bardzo wypytywali o rannego pana.

– Szybko wróciliście z drogi? – badał Tomek.

– Gnaliśmy na złamanie karku, bo barin [108]Pawłow rozkazał jak najprędzej doręczyć list sztabskapitanowi [109]Gołosowowowi.

Serce mocno zabiło w piersi Tomka. Przysłonił oczy powiekami, aby nie zdradzić swego przestרחu, i siłąc się na spokój, zapytał:

– A kto to jest ten Gołosowow?

– To sztabskapitan żandarmerii w Nerczyńsku. Jemu podlegają wszystkie polityczeskie priestupniki[110] w tym rejonie. Gołosowow i Pawłow razem tutaj pracowali.

Tomek wolno popił kwasu. Nie mógł opanować drżenia dłoni trzymającej szklanę. Po chwili zapytał:

– Czy pan specjalnie z tym listem przyjechał? Musi zawierać jakąś ważną wiadomość?

– Barin Pawłow zmartwił się wypadkiem z chunchuzami. Wręczył mi list i rozkazał oddać go natychmiast Gołosowowowi do rąk własnych. Powiedział, że sztabskapitan najlepiej zaopiekuje się rannym. Za ujęcie Wang otrzymałem miesiąc urlopu. Jadę więc pod Irkuck do żony. Urodził mi się syn. Mógłbym jechać dalej tym samym pociągiem. Nie wiem tylko, gdzie będę teraz mógł zastać sztabskapitana Gołosowowa, żeby oddać pismo.

Tomek zmarszczył brwi. Gdyby mógł przejąć ten list! Nie sposób siłą odebrać go Kozakowi. Gdyby jednak oddał dobrowolnie...

– Jak długo trwa postój pociągu w Nerczyńsku? – zapytał.

– Tylko pół godziny... – odparł Kozak ciężko wzdychając. – Nie zdążę. Teraz wieczór, już po służbie... Sztabskapitan na pewno na hulance! Niełatwo znaleźć...

Tomek zastukał w ladę i polecił bufetowej nalać wódki.

– Za zdrowie twego syna! – rzekł do Kozaka, przepijając do niego swoją szklanę kwasu.

Wypili. Kozak lekko poczerwieniał i dziękował Tomkowi, ten zaś wydobyl z kieszeni dwie złote dziesięciorublówki, mówiąc:

– Wyświadczyłeś nam przysługę. Zdrajca Wang poniesie zasłużoną karę. Oto skromny upominek ode mnie dla twego syna.

Tomek znów skinął na bufetową.

– Stęskniłeś się za żoną. Pewno chciałbyś również jak najprędzej zobaczyć syna – mówił unosząc szklanę z kwasem. – Na zdrowie!

Kozak tęsknym wzrokiem spoglądał w kierunku pociągu.

– Jak by ci tu pomóc? – zastanawiał się Tomek, nieznacznie zerkając na towarzysza. – Ano cóż, szkoda, że osobiście musisz oddać pismo. Za godzinę lub dwie będę z przyjaciółmi na balu u pana Naszkina. Sztabskapitan Gołosowow pewno także został zaproszony...

– Jeśli tam jest dzisiaj hulanka, Gołosowow stawi się jak zwykle. To dopiero za godzinę... – markotnie powiedział Kozak. – Cóż robić, nie zdążę... Następny pociąg dopiero jutro...

– Stąd niedaleko do pałacu. Mógłbyś zostawić tam u kogoś ten list – kusił Tomek.

– A jak nie oddadzą? – zafrasował się Kozak.

Naraz przyszła mu pewna myśl do głowy. Pochylił się ku Tomkowi i zawołał:

– Wasze wysokobłagorodje idzie na bal.. Ech, nie śmiem prosić...

– Czy chcesz, abym wręczył list sztabskapitanowi Gołosowowowi? – zapytał Tomek. – Nie krępuj się, to drobnostka. Mogę to dla ciebie zrobić.

Kozak ucieszył się, lecz zapewne ogarnęły go wątpliwości, czy postępuje zgodnie z rozkazem, gdyż rzekł usprawiedliwiająco:

– Przecież barin Pawłow mówił, że pismo dotyczy waszego przyjaciela, więc przekazuję go w najpewniejsze ręce. Pawłow chyba pochwali. No, a jeśli nie, to czort z nim! – Mówiąc to, jeszcze bardziej pochylił się ku Tomkowi i mruknął: – Nie lubię... szpicli!

– Najlepiej uczynisz nie wspominając, że listu nie wręczyłeś osobiście. Nie obawiaj się, nie zdradzę cię przed Pawłowem – uspokoił go Tomek. – Spiesz się, pociąg zaraz odjeżdża!

Właśnie rozbrzmiały dwa uderzenia dzwonu. Konduktorzy zaczęli zamykać drzwi wagonów. Kozak machnął dłonią, zerwał z głowy papachę, wydobyl z niej kopertę i wręczając ją Tomkowi, powiedział:

– Oto pismo, wasze wysokobłagorodje. Uniżenie dziękuję za łaskę. Nim mój urlop minie, Gołosowow zapomni, kto mu je oddał!

– Jeszcze dzisiaj otrzyma pismo – odpowiedział młodzieniec, niedbałym ruchem chowając kopertę do kieszeni.

Uścisnęli sobie dłonie. Kozak pobiegł ku wyjściu. Wskoczył do wagonu, gdy rozbrzmiały trzy uderzenia dzwonu. Konduktor zatrzasnął za nim drzwi. Pociąg wolno ruszył z miejsca. Tomek stał przy oknie, dopóki peron nie opustoszał, po czym rozejrzał się po sali bufetowej. Był jedynym gościem, więc zaszył się przy stoliku w samym kącie. Zamówił herbatę.

“W jakiej sprawie agent Pawłow pisze do sztabskapitana żandarmerii? – zastanawiał

się, niecierpliwie czekając na podanie samowara. – Czy powiedział prawdę temu żołnierzowi?”

W końcu bufetowa przyczłapała z samowarem. Ustawiła go na stoliku przed Tomkiem i znikła za ladą. Tomek nalał wrzątku w szklankę. Ostrożnie rozejrzał się wokoło. Wydobył z kieszeni kopertę. Odczytał adres:

*Do rąk własnych Pana Sztabskapitana Mikołaja Aleksiejewicza Gołosowowa – POUFNE.*

Kilkakrotnie przesunął kopertę nad parą unoszącą się ze szklanki z herbatą. Następnie ostrzem scyzoryka podważył brzeg. Wyjął list...

*Kochany Mikołaju Aleksiejewiczu!*

Bardzo proszę o załatwienie dla mnie pilnej sprawy służbowej. Należy natychmiast sprawdzić w aktach polskiego zesłańca politycznego, o ile dobrze pamiętam imię – Zbigniewa Karskiego, do kogo to w Anglii usiłował przemyścić list z Nerczyńska. Na pewno dobrze pamiętacie tę sprawę, gdyż ów list przyłapany przeze mnie sprawił Wam wiele satysfakcji. Jeśli tylko nie zwodzi mnie intuicja, to trzymam w sieci niezwykle drapieżne ryby. Żadaną wiadomość jak najszybciej prześlijcie przez umyślnego gońca, który pod jakimś zręcznym pozorem niech przybędzie do...

Dalej Pawłow dokładnie określał położenie obozu łowców dzikich zwierząt.

Krople potu zaperliły się na czole Tomka. Jeszcze raz odczytał list... A więc ten wykpiwany przez bosmana agent przeniknął ich tajemnicę! Wszyscy uczestnicy wyprawy znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie... Cóż za okrutną niespodziankę spletałby im Pawłow, gdyby nie to całkowicie przypadkowe spotkanie na dworcu z “umyślnym” posłańcem.

Tomek schował list do kieszeni. Przerażony fatalnym zbiegiem okoliczności, z wielką trudnością starał się zapanować nad ogarniającą go paniką. Dopiero po jakimś czasie uspokoił się na tyle, by myśleć logicznie. Jeśli teraz nie odda listu sztabskapitanowi, zyskają kilka cennych dni czasu. Oczywiście muszą z bosmanem i Smugą natychmiast wracać do ojca, zwinąć obóz i uciekać z Syberii, zanim Pawłow, nie doczekawszy się odpowiedzi na swój list, nie wyśle drugiego posłańca. Przede wszystkim jednak należy bez zwłoki powiadomić o groźnej sytuacji Smugę i bosmana.

Przywołał bufetową i zapłacił za herbatę. Wyszedł przed dworzec. Już zapadał zmrok... Głęboko odetchnął świeżym powietrzem. Szybkim krokiem skierował się ku okazałemu domostwu Naszkina.

## POJEDYNEK

Tomek pełen najczarniejszych myśli niemal biegł w stronę pałacu, którego okna w przedwieczornym mroku gorzały jasnym światłem. Czy będzie miał możliwość natychmiast porozumieć się z przyjaciółmi? Przecież nieoczekiwane spotkanie z posłańcem Pawłowa znacznie przedłużyło jego pobyt na dworcu! Drzemka stangretów kilkunastu powozów stojących przed okazałą rezydencją Naszkin świadczyła, że przyjęcie już się rozpoczęło. Teraz wywabienie Smugi i bosmana na ubocze mogło się okazać niemożliwe. Obawy Tomka wkrótce sprawdziły się całkowicie. Zaledwie bowiem wkroczył do hallu, służba zaraz go poinformowała, że goście zasiedli do stołu.

Poprzedzany przez lokaja szedł zdumiony przepychem pałacu, który nawet w stolicy Rosji, Petersburgu[111], nie znalazłby wiele równych sobie. Na pokrytych drogimi tapetami ścianach salonów wisiały obrazy najbardziej znanych w Europie malarzy. W jednej z sal Tomek ujrzał największe wówczas na świecie zwierciadło, zakupione przez Butina na paryskiej wystawie w roku 1878, przewiezione morzem do portu w Mikołajewsku, a potem Amurem do Nerczyńska na specjalnie w tym celu zbudowanym statku. W lśniących posadzkach odbijały się kryształowe kandelabry oraz marmurowe rzeźby, a w zacisznych gabinetach wzorzyste perskie dywany tłumili kroki. Jedwabne portiery, oryginalne stylowe meble i egzotyczne palmy stanowiły wymowny dowód bogactwa właściciela tej wspaniałej siedziby.

Na przyjęciach u syberyjskich bogaczy gromadzili się zazwyczaj najwybitniejsi obywatele miasteczka. Tak więc i tego wieczoru wśród biesiadników nie brakło dwóch właścicieli prywatnych kopalń złota położonych w okręgu nerczyńskim, zamożniejszych kupców, dygnitarzy wojskowych i cywilnych, jak i reprezentantów tego prowincjonalnego światka kulturalnego. Gdy lokaj wprowadził do jadalni nowego gościa, przycichły na krótką chwilę rozmowy przy długim stole. Naszkin, jako gospodarz, powstał na powitanie Tomka, ogólnie przedstawił go całemu towarzystwu i zaprowadził ku wyznaczonemu dla niego miejscu.

Tomek, zaledwie usiadł, niecierpliwym wzrokiem szukał swoich przyjaciół, chcąc ściągnąć ich uwagę i gdy tylko nadarzy się sprzyjający moment, powiadomić o nie znanym nowym niebezpieczeństwie. Najpierw spostrzegł olbrzymiego bosmana. Rubaszny przyjaciel niefrasobliwie mrugnął do niego okiem i zaraz odwrócił się ku dwóm wpatrzonym w niego damom, z którymi wiódł wesołą rozmowę. W czarnym żakiecie [112] oraz sztywnej białej koszuli wyglądał bardzo szykownie, lecz zapewne w wizytowym stroju nie czuł się zbyt swobodnie, gdyż co chwilę mimo woli poprawiał krawat. W przeciwieństwie do niego Smuga od razu zauważył niezwykle podniecenie Tomka. Początkowo sądził, że huczne przyjęcie w tchnącym przepychem pałacu wprawia go w zakłopotanie, ale wkrótce porzucił tę myśl, Tomek bowiem wcale nie zwracał uwagi na swe otoczenie przy stole. Toteż gdy młodzieniec w końcu wypatrzył Smugę usadowionego między jakąś damą i oficerem, napotkał jego karcący wzrok.

Nieme upomnienie podziało na Tomka jak zimny prysznic. Zacerwienił się i pomyślał zmieszany: "Widocznie przestrach pozbawił mnie rozsądku, muszę cierpliwie



poczekać, dopóki nie wstaniemy od stołu.”

Naszkin właśnie wznosił toast za zdrowie gości z dalekich krain, więc Tomek, pragnąc opanować własne wzburzenie, uniósł kielich napełniony szampanem i wychylił go do dna. Z wysiłkiem odetchnął, gdyż dzięki wzorowym zasadom wpojonym przez ojca nie używał napojów wysokowych. Po chwili poczuł pewną ulgę. Teraz zerknął na swe sąsiadki.

Dama z prawej strony, pochylona ku siedzącemu tuż obok niej oficerowi, rozmawiała z nim półszepem. Natomiast młoda, znacznie skromniej ubrana dziewczyna z drugiej strony Tomka, przymrużywszy oczy uważnie mu się przyglądała. Była to szczupła, błękitnooka blondynka o bardzo regularnych rysach twarzy. Tomek zaczerwienił się pod jej badawczym, poważnym spojrzeniem.

“Do licha, pewno spostrzegła moje głupie zachowanie” – pomyślał.

Chcąc w jakiś sposób zatuszować niezręczność, podsunął sąsiadce paterę z kawiozem. Jakby tylko czekała na okazję do rozmowy, uśmiechnęła się i zagadnęła po rosyjsku:

– Spóźnił się pan, już myślałam, że stracił pan ochotę do zabawy z syberyjskimi dzikusami!

– Załatwiałem po drodze drobny sprawunek – usprawiedliwił się Tomek. – Proszę wybaczyć moje roztargnienie. Trochę oszołomił mnie przepych pałacu. Nie spodziewałem się ujrzeć takich wspaniałości w głębi Syberii.

– Kraj kontrastów, dorobkiewiczze dzięki katorżniczej pracy zesłańców pławią się w szampanie, tubylcy natomiast przymierają głodem, zżerani jeszcze za życia przez robactwo – ironicznie odparła dziewczyna.

Tomek uważniej spojrzał na nią. Czyżby prowokowała go do jakichś nieostrożnych wypowiedzi? Nie, nie sprawiała takiego wrażenia. Dużymi, jasnymi oczyma poważnie wpatrywała się w niego. Zagadkowy uśmiech czaił się w kącikach jej ust.

– Mniej tu kontrastów niż na przykład w Indiach – powiedział Tomek. – Gościliśmy niedawno u maharadży Alwaru. Jego pałac mógłby olśnić nawet królów państw europejskich, a przecież większość Indusów żyje w nędzy i często ginie śmiercią głodową. Mój przyjaciel, król Bugandy w Afryce, również inaczej żyje niż jego poddani.

– Przez grzeczność lub... z innych względów usiłuje pan usprawiedliwić gwałt, jaki dzieje się prawowitym mieszkańcom Syberii. Nie dziwię się, przecież to ja tylko znam pana, podczas gdy pan nic o mnie nie wie.

– Czy to ma znaczyć, że gdybym więcej wiedział o pani, to zmieniłbym zdanie o takich czy innych sprawach? – ostrożnie zapytał Tomek.

Ktoś wznosił toast na cześć gospodarza. Intrygująca rozmowa urwała się, wszyscy powstali z kielichami w dłoniach. Tomek teraz ledwo dotknął ustami kieliszka. Usiedli. Dziewczyna pochylona się ku niemu i szepnęła:

– Nazywam się Natasza Władimirowna Bestużewa. Nerczyńsk jest moim więzieniem, przybyłam tutaj z wyroku sądu jako zesłaniec polityczny.

– Nie przypuszczałem, że zesłańcy mogą uczestniczyć w przyjęciach u syberyjskich bogaczy – zauważył Tomek, nieufnie mierząc ją wzrokiem. – Nie taki więc diabeł straszny, jak go malują!

– To tylko dzięki wpływom wszechwładnego tutaj Naszkina. On jest spokrewniony z moją matką. Na wieść o aresztowaniu wyjednał, by zesłano mnie do Nerczyńska. Pracuję w jego przedsiębiorstwie.

– Hm, jeśli tak, to naprawdę przyzwoicie postąpił – powiedział Tomek. – Czy on zatrudnia również innych zesłańców?

– Tak, przecież to przeważnie inteligentni ludzie. Na Syberii brak umiejących czytać i pisać. Ja studiowałam w Moskwie medycynę.

– Ciekawe, słyszałem, że są trudności w przyjmowaniu zesłańców do pracy.

– Naszkin dorobił się fortuny, nawet gubernator mile widzi go u siebie. Carska administracja na Syberii pławi się w wódce, a na to przecież trzeba pieniędzy. Kto ma czym płacić, może sobie na wiele pozwolić.

Niespodziewane wyznanie młodej dziewczyny dało Tomkowi wiele do myślenia. Zamilkł i zaczął obserwować biesiadników siedzących przy stole. Niebawem zwrócił uwagę na wysokiego, barczystego oficera, który uparcie wpatrywał się w jego towarzyszkę.

Tomek pochylił się ku niej i szepnął:

– Ktoś pilnie panią obserwuje!

– Czy ma pan na myśli tego oficera w żandarmskim mundurze? – zapytała.

Tomek potwierdził, a wtedy rzekła:

– To sztabskapitan żandarmerii Mikołaj Aleksiejewicz Gołosowow. Twierdzi, że zakochał się we mnie. Niech pan się go wystrzeż, to niebezpieczny człowiek. Postarałam się o to, aby wyznaczono panu miejsce obok mnie. Pragnęłam ostrzec pana.

Tomek zdumiony oparł się ciężko o poręcz krzesła. Co miały oznaczać słowa tej dziwnej, tajemniczej dziewczyny? Czego ona od niego chciała? Zdezorientowany zerknął ku Smudze. Na krótką chwilę spotkały się ich spojrzenia. Tomek odetchnął głęboko i odzyskał spokój. Znow pochylił się ku Nataszy.

– Dziękuję za... radę, lecz nie znam żandarma Gołosowowa i nie wiem, dlaczego miałbym się go obawiać. Jestem łowcą zwierząt, a nie więźniem politycznym[113]. Czy jednak nie będzie pani miała przykrości za tę rozmowę z cudzoziemcem?

– Być może, lecz to nie ma znaczenia w tej chwili. Niecierpliwie czekałam tego wieczoru – odparła dwuznacznie spoglądając na młodzieńca.

– Nie rozumiem pani... – zdumiał się Tomek.

– Kilka dni temu sotnik Tucholski powiadomił Naszkina o ujęciu bandy chunchuzów i panów cennej pomocy. Zaledwie usłyszałam wasze nazwiska, od razu, domyśliłam się, w

jakim celu przybył pan do Nerczyńska. Niestety, spóźnił się pan! Parę miesięcy temu Zbyszka wywieźli do Ałdanu...

Widelec wysunął się ze zmartwiałej dłoni Tomka i z brzękiem upadł na talerz. Na szczęście czujny Smuga, choć nie mógł odgadnąć, co się dzieje z Tomkiem, spostrzegł jego przerażenie i niemal w tej samej chwili nożem zastukał w talerz, dając tym sposobem znać, że pragnie przemówić. Tym sprytnym manewrem skupił na sobie uwagę wszystkich biesiadników. W grzecznych słowach podziękował gospodarzowi za miłą gościnę. Zanim skończył, Tomek zdążył nieco ochłonąć. Jeszcze tylko trochę drżącym głosem zapytał:

– Czy Zbyszek pani powiedział...?

– Pan jeszcze nie wie, że Zbyszek pisał do pana do Anglii. Czytałam ten fatalny list, zanim wpadł w ręce policji – potwierdziła. – Wszystko wiem o panu i pana ojcu. Zbyszek wierzy w pana jak w nikogo na świecie. Żal mi go było, bo nie sądziłam, żeby ktokolwiek mógł teraz pokusić się o uprowadzenie zesłańca z serca Syberii.

Tomek wydobyl chusteczkę. Wytarł czoło z potu. Dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy. Cicho zapytał:

– Co on pisał w tym liście?

– Prosił o pomoc w zorganizowaniu ucieczki. List miał być wysłany nielegalnie. Jednemu z naszych wspólnych znajomych skończyła się kara zesłania. Wracał do Moskwy, stamtąd zamierzał przemyścić list za granicę.

– Czy on zdradził?

– Och, nie! To agent Pawłow wykrył naszą tajemnicę i podstępnie odebrał list.

– Byliście nieostrożni... Dlaczego tu śledzono Zbyszka? Czy tak postępuje się również z innymi więźniami?

– Wszyscy zesłańcy podlegają tutaj Gołosowowowi. To prawdziwa kanalia, lecz Zbyszka szczególnie nienawidził. Mścił się za to, że Zbyszek darzył mnie sympatią. Teraz już wie pan wszystko.

Tomek zamyślił się. Natasza na pewno mówiła prawdę. Informacje jej nie tylko pokrywały się ze znanymi mu faktami, lecz nawet logicznie uzupełniały. Natomiast ona nie była świadoma, że Pawłow znów schwycił nić spisku w swoje drapieżne ręce. Po krótkim namyśle powiedział jej o liście do sztabskapitana żandarmerii. Po raz pierwszy podczas całej rozmowy dziewczyna pobladła. Tomkowi zdawało się, że zemdleje. Jednakże zapanowała nad sobą. Marszcząc gniewnie brwi, powiedziała:

– Gdybym była mężczyzną, wyzwalałabym go pod jakimkolwiek pretekstem na pojedynek i w uczciwej walce usunęłabym z waszej drogi. Niestety, jestem tylko dziewczyną-zesłańcem, więc zastrzelę go po prostu jak wściekłego psa!

Tomek, przestraszony nie na żarty, milczał dłuższą chwilę. Nie mógł się zdobyć na słowa. Rozejrzał się ostrożnie; na szczęście najbliżsi sąsiedzi, zajęci sobą, prowadzili ożywione rozmowy.

Nachylił się bardziej ku dziewczynie i siłąc się na spokój rzekł:

– Cóż z tego, że zginie Gołosowow? Przecież oprócz niego istnieje jeszcze Pawłow.

– Zabiję Gołosowowa! Musicie uwolnić Zbyszka! On jest ciężko chory, załamał się, rozumiesz? Umrze na pewno, jeśli dłużej tu zostanie.

– Głupstwa pleciesz? Zastanów się, co by uczynił Zbyszek, gdybyś przez niego zginęła na szubienicy?!

Łzy zalśniły w oczach dziewczyny, usta jej drżały. Tomek przeraził się, że Gołosowow lub ktoś inny z gości zauważy wzburzenie Nataszy, przerwał więc rozmowę i pośpiesznie nakładał jej na talerz zakąski. Gdy po chwili ochłonęła, Tomek nie powracał już do przerwanej rozmowy. Uczta ożywiała się w miarę spełnianych toastów. Gdzieś z głębi pałacu dobiegały dźwięki orkiestry... Biesiadnicy zaczęli wstawać od stołu. Tomek ujął dziewczynę pod ramię i poprowadził do sali balowej. Na galerii tworzącej półkole, obok instrumentu przypominającego kościelne organy, stało kilku muzykantów. Grali walce. Tomek otoczył Nataszę ramieniem, zaczęli tańczyć.

– Zachowuj się rozsądnie – szepnął, gdy znaleźli się z dala od innych par. – Pozostaw nam całą sprawę, jakoś damy sobie radę. Nie zrezygnujemy z uwolnienia Zbyszka. Możesz być pewna.

– Pawłow jest mniej groźny, to zwykły policyjny szpicel – odparła. – Gołosowow natomiast nawet i bez jego pomocy może się domyślić prawdy. Czy ty nie rozumiesz, że on już interesuje się wami jedynie dlatego, że jesteście cudzoziemcami? Muszę go unieszkodliwić za wszelką cenę!

Tomek zasepił się, przecież doskonale rozumiał, że w tej chwili największe niebezpieczeństwo groziło im ze strony sztabskapitana żandarmerii. Spojrzał w zdeterminowaną twarz Nataszy i nagle wprost szaleńczy pomysł przyszedł mu do głowy.

– Czy chcesz mi pomóc? – szepnął.

– Wszystko uczynię dla ratowania Zbyszka...

– A więc uważaj...!

Orkiestra właśnie kończyła walca. Już od dłuższej chwili Tomek widział Gołosowowa. Stał na uboczu sali. Wściekłym wzrokiem śledził tańczącą Nataszę. Tomek zręcznym manewrem zbliżył się do niego. Zawirował tuż przed nim. Natasza nie zdawała sobie nawet sprawy, jak zderzyli się z żandarmem. Zaskoczony Gołosowow odruchowo odepchnął dziewczynę, gdy na moment utraciła równowagę i oparła się plecami o jego pierś. Tomek natychmiast podtrzymał Nataszę.

Zasłaniając ją sobą, zawołał:

– Uderzył pan kobietę! To nikczemne!

Sztabskapitan osłupiał. Przez chwilę stał zdumiony; zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Tomek dodał:

– Tylko tchórz i podleć tak postępuje!

Twarz sztabkapitana pokryła się purpurą. Zamachnął się prawą ręką i uderzył przeciwnika w twarz. Tomek pobladł, przysunął się ku Gołosowowowi, lecz nie oddał policzka.

– Zapłaci mi pan za tę obelgę! – powiedział złowrogo.

Kilku innych gości spostrzegło przykre zajście. Otoczyli poważnionych. Smuga był między innymi.

– Co się stało, Tomku? – zapytał po rosyjsku, niespokojnym wzrokiem mierząc przyjaciela i dziewczynę stojącą u jego boku.

– Co tu się dzieje? – basem zahuczał bosman, wyrósłszy jak spod ziemi.

Tomek umyślnie zwlekał z wyjaśnieniem, gdyż spostrzegł Tucholskiego przepychającego się ku nim. Sotnik był już w mundurze esauła[114]. Nie minął go awans za “rozgromienie” bandy chunchuzów.

– Ten pan najpierw uderzył kobietę będącą w moim towarzystwie, a potem mnie spoliczkował – powiedział Tomek, gdy Tucholski zbliżył się do niego. – Żądam satysfakcji!

– Wot, skatina! [115]Upił się pewno, na uczastok [116]go wziąć, to wytrzeźwieje – syknął Gołosowow.

– Zachował się pan jak na śledztwie – zawołała Natasza. – Na szczęście ten pan nie jest więźniem!

Smuga odwrócił się do Gołosowowa, zmierzył go ostrym wzrokiem i rzekł głośno:

– Powściągnij swój język, sztabkapitanie, żebym nie musiał ci go przyciąć bez żądania zadośćuczynienia.

– Pozwól pan, porozmawiam z tym... – odezwał się bosman, wyciągając łapsko ku żandarmowi.

– Przepraszam, to moja sprawa, mnie tu obrażono – wtrącił Tomek.

– Chwileczkę, panowie, nie zakłócajmy wszystkim zabawy. Przejdźmy porozmawiać w ustronne miejsce – zaproponował Tucholski. – Proszę panów za mną.

Trzej przyjaciele i Gołosowow w ślad za esaułem Tucholskim opuścili salę balową.

– Oszalałeś! Coś ty zrobił najlepszego?! – szepnął Smuga do Tomka.

– Później wyjaśnię... Grozi nam niebezpieczeństwo... Specjalnie go sprowokowałem... – odszepnął Tomek.

Weszli do gabinetu. Esauł Tucholski rzekł oschłym tonem:

– Sztabkapitanie Gołosowow, ci panowie wyświadczyli władzom wojskowym dużą przysługę. Jego ekscelencja gubernator interesuje się nimi. Jest pan zobowiązany dać im satysfakcję!

Gołosowow ze złością spojrział na Tucholskiego. Był to oficer do specjalnych poruczeń i zarazem ulubieniec gubernatora. Jego opinia mogła zaważyć na dalszej karierze, toteż Gołosowow powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo i tłumiąc wściekłość mruknął:

– Nie miałem złego zamiaru, sam przyczepił się, czegoż chcecie ode mnie?

W tej chwili do gabinetu wbiegł Naszkin.

– Gospodi[117], taka nieprzyjemność spotkała panów w moim domu – zawołał. – Przepróż, sztabskapitanie, naszego miłego gościa, bo pomyśli, że znajduje się wśród bradiagów!

– Pospiesz się pan, bo ręka mnie diabelnie świerzbi! – dodał bosman postępując ku żandarmowi.

Smuga natychmiast zagroził mu drogę, nie spuszczając czujnego wzroku z Tomka.

Gołosowow drżał z gniewu, lecz czuł własną bezsilność. Skoro zausznik gubernatora i potentat syberyjski byli przeciwko niemu, nierozsądnie byłoby przeciwstawiać się im.

Tomek obawiał się, że bosman lub Smuga mogą lada chwila przeszkodzić mu w jego zamiarach, podszedł więc do Naszkinia i rzekł stanowczym tonem:

– Przykro mi, że to... zdarzyło się tutaj, wszakże wśród ludzi honoru za policzek nie płaci się zwykłym przeproszeniem. Żądam satysfakcji z bronią w rękę.

– Cóż, ma pan słuszność, ale proszę wziąć pod uwagę, że pojedynki są zakazane – zafrasował się Naszkin. – Co pan na to, esaule?

Tucholski, do którego były zwrócone ostatnie słowa, ze złośliwym błyskiem w oczach spojrział na oficera żandarmerii. Wielu wojskowych nie lubiło policji politycznej.

– Zakaz zakazem, a honor honorem, zwłaszcza... oficera! – odparł. – Przy zachowaniu dyskrecji można by to jakoś urządzić.

– A co będzie, jeśli tego pana spotka dalsza nieprzyjemność podczas pojedynku? – zapytał Gołosowow.

– O ile nie brak panu odwagi, to o mnie proszę się nie troszczyć – wtrącił Tomek.

– Dość tego, proszę o sekundantów – warknął Gołosowow.

– Ejże, nie wytrzymam, jak mi Bóg miły – rozgniewał się bosman.

– Panowie, panowie, proszę o chwilę cierpliwości – pojednawczo zawołał Naszkin. – Najlepiej niech sekundanci omówią to między sobą. Ja proponuję wymianę strzałów. W ten sposób wilk będzie syty i owca cała.

Bosman pochylił się do Smugi.

– Zwariował chłopak czy co? – zaoponował. – Po jakiego diabła ma się strzelać z tym żandarmem?! Jeśli nie mógł oddać mu policzka, zaraz zrobię to za niego i sprawa załatwiona!



– Już za późno, bosmanie – odszepnął Smuga, powstrzymując krewkiego marynarza za ramię. – Tomek powiedział, że umyślnie go sprowokował. Grozi nam jakieś poważne niebezpieczeństwo...

– Czyżby coś wyniuchał?

– Prawdopodobnie. Milcz teraz...

Smuga z niepokojeni śledził Tomka. Jednocześnie gubił się w domysłach, co mogło skłonić zazwyczaj rozsądnego młodzieńca do tak nierozważnego kroku. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że Tomek zazwyczaj unikał walki z bronią w rękę, a pojedynki uważał za warcholską farsę. Do czego wobec tego zmierzał i z jakiego powodu? Proponowana przez Naszkiną wymiana strzałów nie przedstawiała dla walczących zbyt dużego ryzyka. W starciu na takich warunkach, przeciwnicy przeważnie strzelali w powietrze, nie mierząc do siebie.

Cóż jednak za cel mógł mieć Tomek, chcąc doprowadzić do parodii pojedynku?

Smuga nie miał czasu na rozważanie sytuacji, bowiem Tomek uklonił się Naszkinowi i rzekł:

– Słuszna uwaga, proszę pana. Niech sekundanci ustalą warunki spotkania. Czy pan Smuga i pan Brol zechcą występować w moim imieniu?

– Oczywiście, proszę bardzo – odparł Smuga. – Kto będzie reprezentował pana Gołosowowa?

Oficer żandarmerii z drwiącym uśmiechem zwrócił się z prośbą do Tucholskiego i Naszkiną. Nie odmówili. Sztabskapitan zadowolony mierzył przeciwnika lekceważącym spojrzeniem. W swojej karierze wojskowej odbył już przecież kilka pojedynków i z wszystkich wyszedł bez szwanku. Zabroniona rozprawa orężna, której patronowali tacy dwaj wpływowi ludzie jak Tucholski i Naszkin, nie groziła mu przykrymi następstwami, nawet gdyby zabił przeciwnika.

Zgodnie z przepisami kodeksu honorowego [118] obydwie strony udały się do oddzielnych pokoi w celu omówienia sprawy, potem zaś już tylko sami sekundanci mieli ustalić warunki spotkania.

Zaledwie trzech przyjaciele znaleźli się w zacisznym gabinecie, bosman wybuchnął:

– Jak amen w pacierzu wściekły rekin ugryzł cię w zadek i... oszalałeś! Cóżżeś zrobił najlepszego?!

– Milcz, bosmanie! – zgromił go Smuga. – Zaraz dowiemy się, dlaczego to uczynił.

Młodzieniec, nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni list Pawłowa do Gołosowowa i podał go przyjaciołom.

– A więc Pawłow odgadł prawdę – odezwał się Smuga, na głos przeczytawszy pismo.

– Nie posądzałem tej gadziny o taką przebiegłość – zdumiał się bosman. – Ukręcę mu łeb po powrocie do obozu!

– To jeszcze nie wszystko – dodał Tomek i poinformował towarzyszy o swej rozmowie z Nataszą.

Słuchali z napięciem, a gdy wyjaśnił, w jaki sposób doprowadził do zajścia z Gołosowowem, bosman pochwalił:

– Gracko spisałeś się, brachu! Do licha, mdli mnie w dołku na myśl, że masz się nadstawić pod lufę temu żandarmowi! Panie Smuga, czy nie ma żadnych możliwości, żebym stanął do pojedynku zamiast Tomka?!

– Od samego początku awantury szukam jakiegoś sposobu, by móc to uczynić – z namysłem odpowiedział Smuga. – Hm... Tomek jest niepełnoletni... Opiekun miałby prawo za niego wystąpić.

– Jak amen w pacierzu to przednia myśl! – radował się bosman.

– Naszkin i Tucholski wyglądają na przyzwoitych ludzi, na pewno zgodzą się, abym go zastąpił.

– Nic z tego, szanowny panie! – porywczo zaprotestował marynarz. – Mnie ojciec Tomka zlecił opiekę, więc ja nadstawię karku. Rany boskie, w oczy nie mógłbym spojrzeć ani Wilmowskiemu, ani Sally, gdyby jemu się coś stało!

– Bosmanie! Wiem, że ty za każdego z nas bez namysłu skoczyłbyś w ogień, lecz ja tu jestem dowódcą i ja decyduję. Przyrzekliście bezwzględne posłuszeństwo. Sam stanę do pojedynku, byle tylko sekundanci i Gołosowow nie robili trudności. Musimy unieszkodliwić Gołosowowa...

– Skoro powołujesz się pan na dyscyplinę, to muszę ustąpić, lecz gdyby ci się nie poszczęściło, bez pojedynkowych ceregieli rozprawię się z Gołosowowem.

– Głupstwa pleciesz! Gdyby mnie spotkało coś złego, rozkazuję ci umykać z Tomkiem do ojca i ostrzec o niebezpieczeństwie. Gołosowow już wie zbyt wiele.

– Ech, co tu gadać, przecież zdmuchniesz go pan za jednym pociągnięciem cyngla! A tobie co, do licha? – naraz zdumiał się bosman.

Tomek, blady jak płótno, wbił pałający wzrok w twarze przyjaciół i ciężko oddychał.

– Tomku, co tobie? – zawołał przestraszony Smuga.

Szukając wyjścia z trudnej sytuacji, zapomnieli o Tomku. Ten zaś, wzburzony do głębi duszy, nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa. Dopiero po długiej chwili nieco się opanował i drżącym głosem rzekł:

– Więc wy... chcecie zrobić ze mnie... tchórza! Boicie się, że... on mnie... zastrzeli. Co wszyscy o mnie pomyślą?! I Natasza... i Zbyszek! Jeśli zabronicie mi pojedynku, zabiję się ze wstydu... przysięgam!

Łzy pojawiły się w jego oczach. Bosman poderwał się z fotela:

– Brachu kochany, nie przyszło mi to do łepetyny! Święta racja! Cóż jednak

powiedzielibyśmy ojcu?

– Co powiedzielibyście ojcu? A to, co ja bym musiał powiedzieć, gdyby któremuś z was przytrafiło się nieszczęście! – odparł Tomek, wycierając oczy chustką. – Wiem, że chcecie to zrobić przez wzgląd na moje bezpieczeństwo, ale to ja wyzwałem sztabskapitana...

Smuga siedział nieruchomy, wpatrzony w ciemne okno. Gdy odwrócił się do przyjaciół, był już jak zwykle opanowany.

– Ano, bosmanie, zapomnieliśmy, że Tomek mimo młodego wieku jest naprawdę dzielnym mężczyzną – powiedział poważnie. – Podczas wszystkich wypraw na równi z nami spogląda w oczy niebezpieczeństwu. O prawdziwej dojrzałości człowieka nie tyle świadczy wiek, ile jego postępowanie. Staniesz do pojedynku z Gołosowowem.

– Serce mi się kraje na samą myśl... ale widzę, że nie może być inaczej – powiedział bosman ciężko wzdychając. – Teraz zbierz się do kupy, kochany brachu, i posłuchaj dobrej rady. Strzał z pistoletu nigdy nie jest dość pewny, mierz nisko, prosto w brzuch, wtedy położysz go na pewno!

– Czas nagli, mówmy o sprawie – odezwał się Smuga, gdy znów usiedli naprzeciw siebie. – Powiedz, jaki jest twój plan, Tomku?

– Chcę unieszkodliwić sztabskapitana – odparł. – Jeśli szczęście będzie mi sprzyjać, Gołosowow przez kilkanaście dni nie będzie mógł nam szkodzić. My tymczasem dotrzemy do obozu, uwięzimy Pawłowa i przemkniemy do Ałdanu.

– Nie ulega wątpliwości, że przez pozbycie się Gołosowowa zyskalibyśmy na czasie – potwierdził Smuga. – Tym samym nie możemy się zgodzić jedynie na wymianę strzałów, która by nic nie dała. Bosmanie, idziemy do sekundantów Gołosowowa. Tomku, czy nie zadrzy ci dłoń, gdy będziesz mierzył do człowieka? Pamiętaj, że to gra o życie nas wszystkich!

– Niech pan się o to nie obawia – zapewnił Tomek.

Wyszli. Tomek pozostał sam. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką wziął na swoje barki. “Mierz nisko, prosto w brzuch...” – wspomniiał słowa bosmana. Zadrzał na myśl o zabójstwie... Wprawdzie Gołosowow w nadgorliwości prześladował zesłańców i szkodził im, jak tylko mógł, jednak we własnym mniemaniu mógł sądzić, że wypełnia swój obowiązek.

“Czy wolno zabić go tylko dlatego, że nam zagraża?” – rozmyślał Tomek. Zdawało mu się, że wyrasta przed nim postać ojca. Widział jego poważną, skupioną twarz. Nie, nie, ojciec byłby przeciwny zabójstwu żandarma! Na pewno powiedziałby, że taki postępek jest nikczemnością i tchórzostwem!

Ojciec na pewno nie pochwali ich za krwawą rozprawę z chunchuzami. Tomek usprawiedliwiał się we własnych myślach, że byli to źli, okrutni ludzie, którzy wyrządzili wiele krzywd spokojnym mieszkańcom. Mimo to nie mógł zagłuszyć wyrzutów sumienia.

“Nie, nie mogę zabić Gołosowowa – postanowił. – Jeśli pokonam własny lęk, na

pewno uda mi się go tylko unieszkodliwić.”

Chcąc rozproszyć napływający strach, pobiegł myślą do Sally. Ile to już czasu jej nie widział? Co porabia, czy myśli o nim, czy tęskni jak on za nią? Ciepły uśmiech z wolna pojawił się na jego twarzy. Wspominał wspólnie z nią przeżyte przygody w Australii, Arizonie, a potem spacer i rozmowy w Londynie.

“Tak długo jej nie widziałem – szepnął. – To mój prawdziwy przyjaciel!”

Myśl jednak wracała uporczywie do tego wieczoru. Natasza... To ona chciała zabić Gołosowowa, by umożliwić uprowadzenie Zbyszka. Ona również podsunęła myśl wyzwania wroga na pojedynek!

“A więc tacy są rewolucjoniści: nieustraszeni i zdecydowani na wszystko. Jeśli pokochała Zbyszka, to i on teraz musi być również nie mniej wspaniałym chłopcem!”

Zamyślenie Tomka przerwało wejście przyjaciół. Byli poważni, z trudem kryli niepokój.

– Ustaliliśmy warunki, Gołosowow zgodził się na pistolety[119]. Obydwaj macie prawo do jednego wystrzału – poinformował Smuga. – Odległość dwanaście kroków. Pojedynek ma się odbyć natychmiast. Służba już uprząta salę bilardową.

– Więc pojedynek odbędzie się w nocy?! Pierwszy raz słyszę o czymś podobnym – zdumiał się Tomek.

– Ano, Gołosowow czuje się bardzo pewny siebie – powiedział bosman. – Oświadczył sekundantom, że nie ma zamiaru dla byle głupstwa psuć sobie zabawy. Dlatego pojedynek zaraz lub wcale.

– Przypuszczał zapewne, że odstraszy to nas niecodziennością starcia – dodał Smuga.

– Skoro tak, dobrze, jestem gotów! – oświadczył Tomek powstając z fotela.

– Mamy kilkanaście minut, doktor posłał po narzędzia i opatrunki – powstrzymał go Smuga. – Słuchaj, Tomku, bądź rozważny. Pamiętaj, że strzał z pistoletu nie jest zbyt celny. Lufanie gwintowana... Najpewniej jest mierzyć nisko i mocno trzymać rękojeść. Wtedy nie poderwie dłoni do góry!

– Pamiętam o tym, proszę pana – odparł Tomek. – Pan bosman kupił mi kiedyś na urodziny parę pistoletów, z których często strzelałem dla wprawy.

– Na sześć kroków gasi świecę – chępliwie zapewnił marynarz. – Moja szkoła, szanowny panie.

– Słuchaj, Tomku, esauł Tucholski szepnął mi, abyśmy nie lekceważyli przeciwnika – odezwał się Smuga. – Podobno jest wprawnym strzelcem.

– Jak to się będzie odbywało? – zapytał Tomek.

– Staniecie w odległości dwunastu kroków plecami do siebie. Na hasło “gotów” odwracacie się i każdy strzela, kiedy tylko zechce. Masz pewną rękę i celne oko. Radzę strzelać natychmiast, gdy tylko się odwrócisz.

– Dobrze, proszę pana – rzekł Tomek nadrabiając miną, niepokój bowiem podstępnie wkraadał się do jego serca.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że teraz od niego zależą dalsze losy wyprawy. Wiedział również, że obydwaj przyjaciele skrzętnie ukrywają przed nim swoje obawy. Co chwila spostrzegał ich ukradkowe zatroskane spojrzenia.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Tucholski.

– Wszystko przygotowane – krótko oświadczył.

– A więc chodźmy, jesteśmy gotowi – odparł Smuga.

Ujął Tomka pod ramię.

Wkrótce znaleźli się w sali bilardowej. Tomek poczuł wiele mówiący uścisk dłoni przyjaciela.

– Będę ostrożny, przyrzekam... – szepnął.

Minęła dłuższa chwila, zanim oswoił się z jaskrawym światłem, rzucanym przez trzy duże żyrandole i kilkanaście świeczników. Na stoliku umieszczonym na uboczu lekarz w białym kitlu rozkładał narzędzia i opatrunki. Sztabskapitan Gołosowow pojawił się w towarzystwie Naszkin. Obydwie strony złożyły ceremonialne ukłony.

– Jako sekundant i... gospodarz, poczuwam się do obowiązku jeszcze raz zaproponować panom polubowne załatwienie sprawy – odezwał się Naszkin. – Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi... Bez ujmy na honorze pana Wilmowskiego można by spór zakończyć przeprosinami...

– Warunki pojedynku zostały już ustalone, jestem gotów – stanowczo odrzekł Tomek.

– Służę panu – uprzejmie powiedział Gołosowow. – Proszę jednak o dopełnienie pewnej... formalności. Jest pan cudzoziemcem, w razie wypadku mogą zaistnieć kłopoty. Napiszmy oświadczenie, że staję do pojedynku na wyraźne pańskie żądanie, a ja z kolei stwierdzę, że nie roszczę pretensji, jeśli spotka mnie coś złego. Wszyscy obecni przy rozprawie złożą swoje podpisy.

Esauł Tucholski pytająco spojrział na trójkę przyjaciół.

– Nie mamy nic przeciwko temu, ze swej strony proszę o taki sam egzemplarz pisma dla nas – odpowiedział Smuga.

Wkrótce wszyscy podpisali oświadczenie. Tucholski podał pudło z długimi pistoletami, po czym razem z bosmanem nabili broń. Sztabskapitan skłonił się przed Tomkiem mówiąc:

– Panu, jako obrażonemu, przysługuje wybór broni.

Tomek ujął rękojeść ciężkiego pistoletu; po nim to samo uczynił Gołosowow. Tucholski odliczył kroki, Smuga zaś ustawił przeciwników na wyznaczonych miejscach.

– Możemy zaczynać – rzekł, spojrzeniem dodając Tomkowi otuchy. Gołosowow

niedbałym ruchem, wolno, uniósł ciężki pistolet na wysokość głowy, kierując lufę ku sufitowi. Tomek mocno zacisnął dłoń na rękojeści opuszczonego w dół pistoletu i zajął pozycję.

Bosman uważnie śledził każdy ruch młodego przyjaciela. Odetchnął z ulgą widząc zacięty wyraz jego twarzy.

“Dobra nasza, chłopak wziął się w garść” – pomyślał.

– W tył zwrot – zakomenderował Tucholski. – Liczę do trzech, na “gotów” proszę odwrócić się do siebie i... strzelać. Uprzedzam, że bez względu na wynik mają panowie prawo oddać tylko po jednym strzale.

Tomek w skupieniu nasłuchiwał komendy.

– Raz, dwa, trzy... gotów!

Tomek wykonał szybki jak mgnienie oka obrót. Błyskawicznym ruchem uniósł broń do góry mierząc w pistolet, którym Gołosowow jeszcze osłaniał swoją głowę. Nacisnął spust... Huknął strzał! Obłok dymu na krótki moment przesłonił Tomkowi przeciwnika. Mimo woli przymknął powieki i czekał...

– Doktorze!

Tomek nie mógł zdać sobie sprawy, kto to krzyknął. Otworzył oczy. Sztabskapitan słańiał się na nogach. Pochylony do przodu, dłońmi zakrywał twarz. Pistolet leżał u jego stóp. Sekundanci podbiegli do niego razem z lekarzem. Podprowadzili go do kanapy. Tomek zbliżył się tam akurat wtedy, gdy doktor odsunął dłonie rannego od twarzy.

– Narzędzia i opatrunki – zawołał lekarz.

Tomek zbladł straszliwie. Odwrócił się, by nie patrzeć na zalane krwią usta przeciwnika.

Esauł Tucholski podszedł do Tomka z pistoletem Gołosowowa.

– Cóż za osobliwy przypadek – powiedział. – Trafił pan w zamek pistoletu, który z kolei wybity z oprawy uderzył Gołosowowa prosto w usta.

– Czy on żyje? – zapytał Tomek, nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu.

– O, wylize się z tego.

Tomek usiadł na uboczu. Po jakimś czasie bosman, który razem ze Smugą pomagał doktorowi, przybliżył się do niego.

– Zamek pistoletu wybił mu zęby, poranił usta i język – informował zafrasowany. – Medyk właśnie kończy rozpoczęte przez ciebie dzieło. Usuwa połamane zęby.

– Czy nic nie zagraża jego życiu? – upewniał się Tomek.

– Ano, jego pistolet ocalił mu łepetynę, ale nieprędko będzie mógł znów broić. Rana diabelnie bolesna. Co chwila mdleje.



– Dzięki Bogu – szepnął Tomek.

– Ejże, brachu, czyżbyś żałował tego... żandarma?! Mówisz, jakbyś przed chwilą nie zamierzał wyprawić go na tamten świat!

– Nie chciałem go zabić, mierzyłem w pistolet... – szczerze przyznał się Tomek.

– O, do stu zdechłych rekinów! A jakby mu się nic nie stało?

Do sali weszło kilku służących. Na rękach wynieśli jęczącego Gołosowowa. Smuga, Naszkin i Tucholski podeszli do Tomka.

– Powinszować, Gołosowow otrzymał bolesną pamiątkę – mówił zakłopotany Naszkin.

– Poleży ze dwa, trzy tygodnie. Naznaczył go pan na całe życie.

– Chciałem panom udzielić przyjacielskiej rady – zaczął Tucholski. – Tak czy inaczej pojedynki są zakazane. Na wszelki wypadek dobrze by było, aby panowie możliwie szybko opuścili Nerczyńsk. Jutro sprawa będzie głośna, zacznie się śledztwo. Nieobecnych nie można przesłuchiwać. Pokażę jego ekscelencji gubernatorowi oświadczenie podpisane przez poszkodowanego i sprawie ukręci się łeb.

– Rada słuszna i dobra – przyznał bosman. – Kiedy odchodzi najbliższy pociąg?

– Dopiero jutro w południe... – wyjaśnił Tucholski.

– Każę zaraz przygotować mój powóz – zaproponował Naszkin. – Do południa ujadą panowie ładny szmat drogi. Kilka stacji dalej spokojnie wsiądziecie do pociągu. Wyświadczyli mi panowie przysługę, przyczyniając się do schwytania bandy chunchuzów. Nie chciałbym, abyście mieli kłopoty.

– Bardzo dziękujemy, natychmiast wracamy do hotelu Klemensowicza – powiedział Smuga. – Najdalej za pół godziny będziemy gotowi do drogi.

– Pożegnam panów, pójdę do gości, zaintrygowanych zapewne naszą długą nieobecnością – rzekł Naszkin. – Tańce, jak zwykle, przeciągną się do rana, a potem wszyscy mogą gadać, ile dusza zapragnie! Gołosowowa sam będę troskliwie pielęgnował... w moim domu.

Tucholski w zastępstwie gospodarza wyprowadził ich wyjściem wiodącym do ogrodu. W ten sposób uniknęli niepożądanego obecnie spotkania z innymi gośćmi. Jednak mimo tych ostrożności ktoś spostrzegł wychodzących. Mijali właśnie wspaniałą oranżerię, gdy wiotka dziewczęca postać zabiegła im drogę. Była to Natasza.

– A co pani tu robi? – zdziwił się esauł Tucholski.

– Nie mogłam nie podziękować panu Wilmowskiemu za tak rycerską obronę – odparła.

– Ha, wobec tego nie przeszkadzajmy – roześmiał się esauł, pociągając za sobą Smugę i bosmana.

Zaledwie zostali sami, Natasza szepnęła:

– Jest pan niezwykłym mężczyzną... Gdyby nie Zbyszek, mogłabym się w panu zakochać... Do widzenia!

Wspięła się na palce i pocałowała Tomka. Zanim zorientował się co uczyniła, zniknęła w drzwiach oranżerii.

## PAWŁÓW

Pawłów z trudem nadążał za idącymi przed nim bosmanem i Tomkiem. Przyspieszał kroku i ocierając chustką spoconą twarz, nieznacznie zerkał na milczących towarzyszy. Szczególny niepokój wzbudzał w nim Brol, ten rosły, o szerokich barach gorliwy pogromca zwierząt.

Pawłów od dawna odczuwał obawę przed na pozór ociężałymi, dobrodusznymi olbrzymami. Przed kilkunastoma laty właśnie taki człowiek zwichnął w samym zaraniu jego dobrze zapowiadającą się karierę w carskiej ochronie[120] i nawet omal nie pozbawił go życia. Stało się to w Warszawie, dokąd został wówczas odkomenderowany z Petersburga w celu wykrywania polskich rewolucjonistów.

Zaledwie przybył do Warszawy, nowy zwierzchnik powierzył mu do rozwikłania sprawę potajemnego kolportażu nielegalnej prasy rewolucyjnej. Ambitny młody agent przystąpił do pracy z niezwykłą pasją. Szczęście mu sprzyjało. W niedługim czasie, wiedziony wrodzonym instynktem policyjnym, wykrył ogniwo rozpowszechniające zakazane pisma. Nie chciał z nikim dzielić się sukcesem, zachował więc w tajemnicy wyniki śledztwa i samodzielnie przygotowywał pułapkę, w którą mieli wpaść spiskowcy.

Jak zdołał ustalić, kierownikiem tajnej komórki kolportażu był nauczyciel geografii, a jego stałym łącznikiem młody olbrzym, terminator ślusarski, zatrudniony w warsztatach kolei warszawsko-wiedeńskiej. Agent długo snuł wokół nich swą zdradliwą pajęczą sieć. W końcu wiedział już, w jakie dni i o jakiej porze prasa była przynoszona nauczycielowi. Cierpliwość agenta została uwieńczona sukcesem. Uzbrojony w rewolwer przydybał obydwóch spiskowców w chwili przekazywania pokaźnej paczki zakazanych pism.

Na swoje nieszczęście nie wziął pod uwagę determinacji oraz odwagi młodych rewolucjonistów. Rosły i pozornie ociężały uczeń ślusarski nieoczekiwanie zwinnym skokiem przypadł do niego, a następnie błyskawicznym uderzeniem pięści w głowę pozbawił przytomności. Wprawdzie Pawłów w ostatniej chwili nacisnął cyngiel, lecz rewolwer, podbity w górę, wypalił w sufit, nie wyrządzając nikomu szkody.

Traf zrządził, że w tym samym domu zamieszkiwał pracownik kancelarii generał-gubernatora Warszawy. Zaalarmowany strzałem, telefonicznie wezwał policję, która znalazła ogłuszonego agenta ochrony. Obydwaj spiskowcy zdążyli się ulotnić z kawalerskiego pokoiku wraz z nielegalną prasą i bronią Pawłowa.

Sprawa niefortunnego agenta nabrała rozgłosu. Jego zwierzchnik, oburzony zatajeniem przed nim wyników śledztwa, skorzystał z okazji i odesłał nielojalnego współpracownika do Rosji, wystawiając mu jednocześnie niepochlebną opinię. Fakt ten poważnie odbił się na dalszej karierze Pawłowa. W kilka miesięcy później przeniesiono go służbowo do Nerczyńska na Syberii.

Mijały lata... Zdolny w swoim fachu agent otrzymał w końcu tak upragniony awans. Został przeznaczony do specjalnych poruczeń przy kancelarii gubernatora. Z czasem zapomniał o dawnym niepowodzeniu.

Pewnego dnia gubernator polecił mu towarzyszyć wyprawie łowców dzikich zwierząt, która udawała się do Kraju Nadamurskiego. Pawłow przyjął rozkaz bez zbytniego entuzjazmu. W dziewiczej tajdze, pełnej drapieżnego zwierza, nie było bezpiecznie. Ponadto grasowały tam bandy bradiagów i chunchuzów. Zaledwie jednak poznał uczestników wyprawy, zapomniał o wszelkich obawach. Nieomylny dotąd instynkt agenta wzbudził w nim podejrzenie, że poszczególni łowcy nie byli w rzeczywistości tymi ludźmi, za których pragnęli uchodzić. Toteż dzień po dniu obserwował ich coraz uważniej...

Masywny i rubaszny Niemiec Brol oraz Anglik Brown szczególnie wywoływali w jego umyśle jakieś mgliste wspomnienia. Sposób poruszania się Broła bardziej przypominał chód marynarza niż łowcy zwierząt. Jak na Niemca zbyt często wyrwały mu się polskie słowa, które wymawiał tak charakterystyczną gwarą nadwiślańską. Opanowany i małomówny Anglik Brown otaczał młodego uczestnika wyprawy, Tomasza Wilmowskiego, niemal ojcowską troskliwością. Indus Udadżalaka, nawet w cywilnym ubraniu, sprawiał wrażenie służbistego żołnierza. Kierownik wyprawy, Smuga, trzymał swych podwładnych żelazną ręką. Jego zimne, jakby ostrzegawcze spojrzenia, zamykały usta nawet gadatliwemu Brołowi.

Po kilku tygodniach stałego obcowania z tajemniczymi łowcami Pawłow nabrał przekonania, że chwytanie dzikich zwierząt nie jest jedynym celem włóczenia się po tajdze. Przez cały czas bezskutecznie wysiłał umysł, by odgadnąć prawdę, aż w końcu dziwny przypadek nasunął mu konkretne podejrzenie. Stało się to wtedy, gdy Udadżalaka przybył do obozu z wiadomością, że podczas polowania na irbisa na drugim brzegu Amuru małą ekspedycję napadła banda chunchuzów. Gdy tylko Pawłow usłyszał, że trzech członków wyprawy udało się do Nerczyńska do szpitala, natychmiast sobie przypomniał pewną sprawę, którą prowadził w tamtym mieście. Mianowicie przechwycił list pisany przez polskiego zesłańca do kogoś przebywającego w Anglii, w którym prosił o pomoc w zorganizowaniu ucieczki z Syberii. Jeśli go pamięć nie zwodziła, odbiorcą listu miał być właśnie ktoś o nazwisku Wilmowski.

Zaledwie myśl ta zakiełkowała mu w głowie, uchwycił się jej kurczowo, albowiem nazwisko młodego łowcy od dawna wydawało mu się dziwnie znajome. Pawłow nie tracił czasu. Korzystając z okazji, natychmiast wysłał list do swego przyjaciela, sztabskapitana żandarmerii w Nerczyńsku, który mógł dostarczyć koniecznych informacji.

Pawłow w wielkim napięciu oczekiwał wiadomości od Gołosowowa. Wykrycie tak niebezpiecznego dla państwa spisku na pewno otworzyłoby mu drogę do dalszej kariery. Jakież byłby to wspaniałe odwet za warszawską klęskę!

Minęło kilka dni, a Gołosowow wciąż nie nadsyłał tak niecierpliwie przez Pawłowa oczekiwanych wiadomości. Agent już zaczął przemyśliwać, kogo by wysłać z drugim ponaglającym listem, gdy naraz Smuga, bosman i Tomek powrócili z Nerczyńska do obozu. Pawłow wprost pożerał ich wzrokiem. Przecież jeśli jego podejrzenia miały okazać się słuszne, to ryzykowny wypad do Nerczyńska nie mógł przynieść pozytywnych wyników. Podejrzany o zamiar ucieczki zesłaniec, właśnie na jego wniosek, został parę miesięcy temu przetransportowany do Jakucji.

Ku swemu niezadowoleniu Pawłow nie mógł dopatrzeć się w twarzach trzech śmiałków wyrazu jakiegokolwiek konsternacji. Byli trochę znużeni forsowną jazdą, lecz serdecznie witali wszystkich, a bosman i Tomek niemal prześcigali się w opowiadaniu mandżurskich przygód. Dopiero gdy zasiedli do posiłku, Smuga stuknął się dłonią w czoło i lakonicznie oznajmił:

– Do licha, zapomniałem o czymś! Panie Pawłowie, oficer żandarmerii w Nerczyńsku prosił mnie o przekazanie panu pewnej wiadomości. Otóż jutro ma pan oczekiwać na przystani zaopatrującej statki w opał na umyślnego posłańca, który tam przybędzie.

Następnego ranka Pawłow zerwał się z posłania już o świcie. Trawiony ciekawością nawet nie zaproponował, gdy Smuga polecił bosmanowi towarzyszyć mu dla bezpieczeństwa w drodze przez tajgę do przystani.

Tego jednak dnia nie doczekali się przybycia posłańca od Gołosowowa. Dwa statki kolejno przybijały do brzegu, by uzupełnić zapas drzewa, lecz nikt z pasażerów nie opuścił pokładu. Bosman poufale poklepywał po ramieniu zaaferowanego Pawłowa, pocieszając go, że posłaniec na pewno zjawi się nazajutrz.

Pawłow spędził bezsennie noc w szalasie chińskich kulisów. Bosman zaś zagadywał do niego co chwila i nie oddalał się ani na krok. Na umorzenie frasunku wciąż podsuwał mu swą ulubioną jamajkę.

Nastał ranek. Znów statek zawinął do przystani i po nabraniu drzewa popłynął dalej. Posłańca na nim nie było. Nagle około południa przybył Tomek z wiadomością, że dwie godziny temu do obozu przyjechał konny goniec z listem do Pawłowa od sztabskapitana Gołosowowa i czeka tam na niego. Natychmiast wyruszyli w powrotną drogę.

Szybkim krokiem szli teraz przez tajgę, a Pawłow wciąż gubił się w domysłach, jaką to wiadomość przywiózł mu posłaniec Gołosowowa. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego ominął przystań, która leżała przy szlaku wiodącym w kierunku obozu. Dlaczego rozmowny i przyjacielski jeszcze przed godziną olbrzymi Broł zamilkł nagle i idąc z Tomkiem na przedzie, tylko przez ramię od czasu do czasu obrzucał go drwiącymi spojrzeniami? Jakież złe przeczucia zaczynały ogarniać Rosjanina. To potężne Niemczysko coraz bardziej zdawało mu się znajome. Gdzie i kiedy on już go spotkał?

Wreszcie doszli na skraj znajomej nadrzecznej polany. Pawłow stanął jak wryty. Obozowisko zniknęło. Nie było namiotów, wozów, klatek ze zwierzętami ani Goldów. Przy kilku objuczonych i przygotowanych do jazdy wierzchem koniach krzątali się tylko Smuga i Brown.

Bezgraniczne zdumienie agenta wkrótce przerodziło się w niepohamowaną wściekłość. Na chwilę zapomniał o przezorności. Podbiegł do Smugi i krzyknął:

– Gdzie jest posłaniec? Co to wszystko znaczy?! Zaraz zdać mi sprawę, bo...

Prawą dłonią sięgnął do kieszeni po rewolwer. Smuga nie wykonał najmniejszego ruchu, tylko głową wskazał Pawłowa komuś stojącemu za jego plecami. Agent mimo wzburzenia spostrzegł ten niemy rozkaz. Uskoczył w bok, wyszarpując broń z kieszeni. Był

jednak zbyt powolny, bosman bowiem, zwinnie niczym kot, przypadł do niego i potężny kułak wznosił się nad jego głową. Pawłow uchylił się, pięść trafiła go w ramię, wytrącając z dłoni broń.

– Dosyć, zostaw go! – krótko rzucił Smuga.

Marynarz nogą odtrącił rewolwer. Tymczasem Pawłow skulony cofał się krok za krokiem, nie mogąc oderwać wzroku od olbrzyma. Teraz już wiedział, dlaczego jego twarz wydawała mu się tak dziwnie znajoma! Ten drapieżny, błyskawiczny skok i pięść jak ukuta z żelaza pomogły mu rozpoznać w domniemanym Niemcu dawnego terminatora ślusarskiego z Warszawy, który już raz w podobnej sytuacji stanął na jego drodze. Jeśli to on znalazł się tutaj w tajdze pod przybranym nazwiskiem, to Anglik Brown, tak doskonale znający geografę, na pewno był owym nauczycielem, kierownikiem komórki kolportującej nielegalne pisma...

Jakby w nagłym olśnieniu Pawłow spojrzał na Wilmowskiego, potem na bosmana i nareszcie rozpoznał swych starych wrogów. Teraz wszakże był już na tyle doświadczonym agentem tajnej policji, że pojął śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Jeżeli oni również go poznają, zginie niezawodnie!

Opanował wzburzenie. Wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy. Przecież od tamtych wydarzeń w Warszawie upłynęło kilkanaście lat. Wszyscy zmienili się przez ten czas. On sam, tylko dzięki zbiegowi okoliczności, rozpoznał spiskowców dopiero teraz, mimo że wówczas śledził ich przez parę tygodni. Mało było prawdopodobne, aby oni przypomnieli sobie jego twarz, widzianą wtedy zaledwie przez kilka chwil.

Pawłow, by zyskać na czasie, pocierał bolące ramię i uśmiechał się wymuszenie. Nieznacznie obserwując przeciwników, dostrzegł wyraz ulgi na twarzy domniemanego geografa.

“No, nie jest tak źle! – pomyślał. – Ten jest zadowolony, że jeszcze żyję, a więc nie mają zamiaru zaraz mnie zabić”.

Podczas długich łowów w tajdze Pawłow doskonale podpatrzył usposobienia i charakteru uczestników wyprawy. Od Smugi i dawnego terminatora nie mógł spodziewać się pobjazania, natomiast pozostali dwaj zawsze unikali gwałtu. W nich też obecnie pokładał Pawłow całą swoją nadzieję.

– Gdzie wreszcie jest posłaniec sztabskapitana? – ponowił pytanie już tylko trochę karcącym tonem.

Smuga przez cały czas obserwował go bacznie. Widząc nagłą zmianę w zachowaniu, przystąpił do niego i rzekł:

– Najlepiej zagrajmy w otwarte karty, panie Pawłow. To chyba wiele panu wyjaśni!

Pawłow pobladł ujrawszy w ręku Smugi swój list pisany do Gołosowowa. A więc jednak nie mylił się! Oni naprawdę przybyli na Syberię z zamiarem uprowadzenia tamtego zesłańca! Ponieważ nie znaleźli go w Nerczyńsku, teraz zapewne chcą przekraść się do



Ałdanu. Dlatego zlikwidowali obóz, który byłby im jedynie zawadą, dlatego też pozbyli się Goldów.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi agenta. Za wszelką cenę musiał zyskać na czasie. Każde nieopatrzne słowo mogło ściągnąć na niego śmierć, natomiast gdyby udało mu się wyrwać z rąk spiskowców, zapłaciliby im jednym zamachem za swoje niepowodzenie w Warszawie i tutaj!

Smuga, jakby czytał w jego myśli, rozkazał:

– Brol, opróżnij kieszenie pana Pawłowa!

– Nie macie prawa, to gwałt na osobie urzędowej – zaprotestował agent. – Ciężko za to odpowiecie przed władzami!

– Lepiej módl się pan, panie Pawłow, żeby nie stracił cierpliwości – powiedział bosman. – Gwiżdżę na twoje władze! Gdyby to ode mnie zależało, już byśgnił w ziemi!

Bezceremonialnie zaczął rewidować agenta. Zabrał mu scyzoryk, notes, ołówek, drugi rewolwer i dokumenty.

Smuga bardzo uważnie przejrzał dokumenty, po czym podał je Wilmowskiemu mówiąc:

– Zapamiętaj to sobie dobrze, panie Pawłow: od tej chwili pan Brown jest agentem do specjalnych poruczeń przy kancelarii gubernatora. Zastąpi cię godnie, możesz się nie obawiać.

– Nie zapominajcie, że znajdujecie się w głębi Syberii należącej do cara rosyjskiego – odparł Pawłow nie mogąc opanować gniewu. – Możecie jeszcze gorzko żałować swego postępu.

– Nie groź – zgromił go Smuga. – Zlecam panu Brołowi opiekę nad tobą. Za najmniejszą próbę ucieczki lub zdradzenia nas otrzymasz pchnięcie nożem. Zapewniam cię, że panu Brołowi nie zadrży ręka i niezawodnie trafi prosto w serce!

## W KRAJU JAKUTÓW

Gromadka jeźdźców cichaczem przemykała się przez pagórkowatą dziewiczą tajgę. Za pomocą kompasu Smuga i Wilmowski wiedli ją ukosem od Amuru na północny zachód ku rzece Urkan, prawemu dopływowi Zei. W ten sposób omijali leżącą około sto kilometrów na południowy zachód stację kolejową Newer[121], skąd wprost na północ wybiegał stary trakt do Ałdanu, prowadzący stamtąd dalej aż do Jakucka, stolicy kraju Jakutów. Według planu Smugi, wyprawa powinna dotrzeć do szlaku w okolicy zachodniego podnóża gór Tukuringra[122]. Byłaby to połowa drogi od stacji Newer do Gór Stanowych, za którymi znajdował się Płaskowyż Ałdański, obramowany na północy górnym biegiem rzeki Ałdan, na zachodzie rzeką Olekma, a na wschodzie Uczurem. Od Gór Stanowych do miasta Ałdan dzieliłoby ich jeszcze tylko około dwustu osiemdziesięciu kilometrów. Oczywiście uczestnicy wyprawy zdawali sobie sprawę, że jest to droga uciążliwa, pełna wielu nieoczekiwanych niebezpieczeństw. Od chwili wzięcia Pawłowa do niewoli każde zetknięcie się z oficjalnymi władzami cywilnymi bądź wojskowymi mogło grozić uwięzieniem. Legalna dotąd wyprawa łowiecka przemieniła się w grupę dywersyjną, której działalność wymierzona była przeciwko ustrojowi carskiego państwa.

Toteż szczególnie Smuga i bosman często mierzyli Pawłowa zasepionym wzrokiem. Z jego powodu nastąpiło przedwczesne zdemaskowanie skrzętnie ukrywanego celu wyprawy, co według pierwotnego planu mogło ewentualnie nastąpić dopiero po uprowadzeniu zesłańca. Mimo to Wilmowski kategorycznie sprzeciwił się zabiciu agenta. Podczas burzliwej narady uratował mu życie, oświadczając, iż zgładzenie Pawłowa uniemożliwi mu dalszą przyjaźń z nimi. Pod takim naciskiem Smuga i bosman musieli ustąpić.

Tomek z mocno bijącym sercem w milczeniu słuchał żarliwej obrony wroga. Od chwili opuszczenia Nerczyńska sama myśl o konieczności zabicia Pawłowa napawała go zgrozą. Nie odważył się jednak przeciwstawić starszym, bardziej doświadczonej przyjaciołom, którzy ponosili odpowiedzialność za pomyślny przebieg wyprawy.

Wilmowski wszakże nie zważał na nic, ocalił Pawłowa, bo tak nakazywała mu prawość i szlachetność. Tomek z uwielbieniem wpatrywał się w ojca i odetchnął z ulgą, gdy obydwa przyjaciele podporządkowali się jego woli.

Oszczędzenie Pawłowa jeszcze bardziej powikłało niebezpieczną sytuację uczestników wyprawy. Według dawnego planu zamierzali przewieźć zesłańca w klatce, przebranego za tygrysa, do Władywostoku i tam razem z nim wsiąść na statek. W obecnej sytuacji stało się to zupełnie niemożliwe. Wystąpili przeciw prawu i tym samym zamknęli sobie wstęp do jakiegokolwiek dużego miasta portowego, rojącego się od policji i wojska. O nieoczekiwanym pokrzyżowaniu uprzednich planów należało jak najszybciej powiadomić przebywającego na statku Pandita Davasarmana. Toteż Smuga wyprawiał Pawłowa z obozu pod pretekstem, że na przystani ma oczekiwać posłańca od Gołosowowa i podczas jego nieobecności poczynił niezbędne przygotowania. Przede wszystkim część niepotrzebnego już sprzętu obozowego, jak wozy, klatki ze zwierzętami, a także Udadżalakę oraz Goldów załadował na statek płynący w dół Amuru od Chabarowska. Tam Udadżalaka miał rozstać

się z tropicielami i dalej pojechać pociągiem do Kraju Ussuryjskiego.

Instrukcje przesłane przez Udadżalakę dla Pandita Davasarmana zalecały mu spieszne opuszczenie Władywostoku. Smuga doradzał kilkusetkilometrowy rejs do japońskiego portu Otaru na zachodnim wybrzeżu wyspy Hokkaido[123], skąd po dwóch miesiącach od chwili opuszczenia obozu nad Amurem przez Udadżalakę, powinien wyruszyć w kierunku zatoki Tierniej na wybrzeżu Kraju Ussuryjskiego. Tam bowiem Smuga zamierzał doprowadzić wyprawę po uwolnieniu zesłańca.

W myśl dalszej instrukcji Davasarman powinien w ustalone dni dwa razy w tygodniu przybliżać się w nocy do brzegu, wygaszając światła na statku. Znaki ogniowe nadawane z lądu sposobem indiańskim miały oznaczać, że łódź ze statku może przybyć po członków wyprawy.

Cały plan uprowadzenia zesłańca, szczegółowo opracowany przez Smugę, wymagał od wszystkich członków wyprawy jak najdokładniejszego wykonania. Ekspedycja operująca na lądzie musiała ściśle współdziałać z Davasarmanem czuwającym na statku na morzu. Najmniejsze niedopatrzenie mogło spowodować nieobliczalne w skutkach następstwa, toteż Smuga, zmuszony przez Wilmowskiego do trzymania Pawłowa w niewoli, nakazał bosmanowi strzec go jak oka w głowie.

Pawłów tymczasem, upewniwszy się, że życiu jego nic na razie nie zagraża, udawał przestraszonego i potulnego. Wiedział, dokąd dąży wyprawa. Miał więc kilka tygodni czasu, by przy nadarzającej się okazji pomyśleć o odwecie. Teraz dopiero mógł w pełni ocenić olbrzymie doświadczenie podróżnicze spiskowców, jak w myślach nazywał uczestników wyprawy. W obcym kraju, posługując się jedynie niezbyt dokładną mapą i kompasem, szybko zdążali ku celowi, unikając osiedli. Oszczędzali koni, zapasów żywności, zacierali ślady po wieczornych biwakach, wykorzystywali leśne mokradła i grunt o skalistym podłożu, by mylić tropy.

Wyprawa przeszła w bród rzekę Urkan, po czym, posuwając się wokół podnóża gór Tukaringra, ominęła leżące na południu przy szlaku dwie osady. Po ponownej przeprawie przez zakole Urkanu Smuga wyprowadził kawalkadę na stary szlak. Wierzchowce ponaglone ruszyły z kopyta. Teraz w ciągu jednego dnia przebyli długi odcinek drogi, zaledwie czterokrotnie napotykając małe karawany krajowców.

Smuga nie obawiał się takich przygodnych spotkań z ludnością tubylczą. W tych okolicach Syberii Wschodniej, rozciągającej się z zachodu na wschód na przestrzeni trzech tysięcy kilometrów, a z południa na północ mierzącej ponad dwa tysiące pięćset kilometrów[124], dość rzadko spotykało się znienawidzonych przez krajowców przedstawicieli carskiej administracji. Uczestnicy wyprawy, ubrani w półkożuszki baranie, futrzane czapki oraz w buty filcowe, nie zwracali na siebie zbytnio uwagi, w razie konieczności Wilmowski, posługując się dokumentami Pawłowa, mógł udawać agenta do specjalnych poruczeń gubernatorskich.

Tuż przed wieczorem podróżnicy dostrzegli na horyzoncie dymy unoszące się z kominów. Było to już ostatnie osiedle na szlaku przed Górami Stanowymi. Wkrótce też

Smuga sprowadził wyprawę z traktu. Zanim zapadła noc, rozłożyli się obozem w lęgowym lasku topolowym nad brzegiem jednego z dopływów Zei. Tutaj również popasali przez cały dzień następny. Konie musiały wypocząć przed forsowną przeprawą przez Góry Stanowe, które mieli przejść pomiędzy źródłami rzek Ałdan i Gonam, wypływającymi z tego łańcucha górskiego.

Następne dni były bardzo nużące tak dla jeźdźców, jak i wierzchowców. Szlak wspinał się na kamieniste górskie zbocza, to opadał po osypiskach w dzikie wąwozy, wiódł przez wartkie strumienie po chybotliwych balach bądź zmuszał do przeprawy przez usiane głazami brody. Smuga teraz wciąż ponaglał wszystkich do pośpiechu. Miał nadzieję, że w Jakucji uda się im wymienić zmęczone wierzchowce lub nabyć inne. Przecież Jakuci, szczególnie osiadli wzdłuż wędrownego szlaku, oprócz bydła rogatego i owiec hodowali konie, znane z odporności na trudy.

Bosman, który nie lubił górskich wędrówek, jak zwykle utyskiwał na wyboistym, trudnym szlaku. Nie odchodząc ani na krok od Pawłowa, nie mógł swobodnie rozmawiać z Tomkiem ani przekomarzać się z nim. Toteż odetchnął z niezmierną ulgą, gdy w końcu ujrzeli przed sobą rozległą panoramę Płaskowyżu Ałdańskiego.

Wilmowski powstrzymał wierzchowca, a w ślad za nim uczynili to inni. Oto przybyli do wrót Wschodniej Syberii, mało wówczas znanej i w większości bezludnej, tajemniczej krainy.

Była ona prawdziwym królestwem tajgi i najsroźszej na świecie zimy. Gdyby człowiek mógł lotem ptaka wznieść się wysoko ponad nią, ujrzałby w pełni krótkiego tutaj lata bezkresny leśny kobierzec ciemnej zieleni, okolony na południowym krańcu żółtozielonym pasem stepów, ścielących się przeważnie na zboczach gór, a na północnych rubieżach oddzielony od Oceanu Lodowatego około trzystukilometrową brudno-zieloną tundrą. Wśród tego leśnego oceanu, niby lądy i potężne wyspy, wznosiły się grzbiety pasm górskich, pokryte rdzawego koloru porostami i bladożółtym chrobotkiem reniferowym bądź też zupełnie nagie: czarne, szare, żółte i czerwone skały. Długie niebieskie wstęgi szeroko rozgałęzionych rzek i na wyżynach połyskujące niezliczone jeziora urozmaicały krajobraz.

Podczas zimy rozległa kraina jakby zapadała w letarg. Już we wrześniu ziemia zaczynała stygnąć i podmarzać; w październiku przyoblekała się w zimowy biały kożuch śniegu. Wszystkie rzeki i jeziora pokrywały się lodem. Noce stawały się coraz dłuższe. Życiodajne słońce na krótko tylko rozświetlało bezmierne przestrzenie. Gdy zachodziło, znikwały ptaki, wszelki zwierz krył się w norach. Nawet wiatry cichły, gdy całe życie zamierało w okowach srogiej zimy. Tylko od czasu do czasu słychać było w tajdze trzask drzew pękających od mrozu.

Gdyby istniał Demon Zimy, to chyba tę właśnie krainę obrałby za królestwo. Bo tutaj zima właściwie nigdy się nie kończyła. Jedynie od kwietnia do sierpnia cofała się podstępnie w głąb skutej wiecznym mrozem ziemi, przyczajala się na szczytach Gór Sajańskich, Wierchojańskich i Czerskiego [\[125\]](#), gdzie nawet latem bielily się czapy nigdy nie topniejącego śniegu. Nieraz też, nawet w lecie po upalnym dniu, ziemię pokrywał w

nocy biały szron bądź szalały gradowe nawałnice. Tutaj właśnie, we Wschodniej Syberii, w Kotlinie Ojmiakońskiej, pomiędzy wschodnim krańcem łańcucha Gór Wierchojańskich a Górami Czerskiego, znajdował się biegun zimna [126] półkuli północnej.

Smuga z uwagą przysłuchiwał się wyjaśnieniom Wilmowskiego na temat geograficznego położenia kraju i panujących tam warunków atmosferycznych. Zbliżała się połowa sierpnia. Przelotne deszcze oznaczały, że krótka w tych okolicach jesień jest już za pasem i najdalej za cztery lub pięć tygodni nastanie trwająca około siedmiu miesięcy surowa, sucha zima. Spoglądając ze wzniesienia, Smuga wypatrzył u stóp gór rozległą dolinę. Kilka pasemek dymu wolno płynącego ku niebu wskazywało na bliskość sadyb ludzkich.

– W drogę! – zawołał, uderzając arkanem wierzchowca.

Ruszyli w dół zbocza wprost do widocznej jak na dłoni doliny. Smuga jadący obok Wilmowskiego po cichu dzielił się z nim uwagami. Był już najwyższy czas na wymianę koni zmęczonych długą drogą. Według przypuszczeń Smugi, przed nimi mogło znajdować się letnie osiedle jakuckie. Spotkanie z krajowcami w tej bezludnej okolicy nie mogło mieć niebezpiecznych następstw dla wyprawy. Nie było również podstaw od obaw, że ktokolwiek może tutaj rozpoznać Pawłowa. Jego urzędowa działalność ograniczała się tylko do południowej części Syberii, między Irkuckiem i Chabarowskiem.

Po uzgodnieniu z Wilmowskim, jaką taktykę należy zastosować przy spotkaniu z krajowcami, Smuga wysunął się na czoło kawalkady. W gardzieli kotliny stało kilka malowniczych, białosrebrnych uras, w jakich pasterze jakuccy zazwyczaj mieszkali w lecie przy swoich stadach. Urasa od najdawniejszych czasów stanowiła rodzimą formę jakuckiego domku. Budowano ją z cienkich, długich żerdzi ustawionych w kształcie ostrosłupa i obkładano na zewnątrz białą korą brzożową.

Jednakowej wielkości płyty kory układano jak dachówki i starannie zszywano włosiem. Urasa nie posiadała okien; nieduży otwór drzwiowy zakrywano bydłą lub końską skórą. Nieco światła przenikało do wnętrza budowli jedynie przez dymnik w daszku.

Urasy, kształtem swoim, jak i pokryciem z białosrebrnej kory o pięknych, misternych, naturalnych deseniach, przywiodły Tomkowi na myśl indiańskie tipi. Nie miał jednak czasu na podziwianie ich przyjemnych dla oka kształtów, kilku mężczyzn bowiem już zbliżało się ku nim.

Byli to Jakuci. Łatwo można było ich rozpoznać po bardzo śniadej cerze, zbliżonej do barwy mosiądzu, oraz po oczach mniej skośnych niż u Mongołów i Tunguzów. Ich twarze, pozbawione zarostu, ożywiające się jedynie w przystępie wielkiego wzruszenia lub gniewu, sprawiały wrażenie wykutych z kamienia. Niektórzy mieli na głowach sukienne czapki, inni zaś przytrzymywali swe twarde, czarne włosy kolorowymi chustkami bądź też po prostu przewiązwanymi przez czoło rzemykami. Ubranie ich składało się z welwetowych sonów, to jest rodzaju kaftana sięgającego kolan i podbitego sukieną podszewką, oraz nałożonych na nogi długich sztylp, zwanych suturuo. Starsi nosili wokół talii skórzane pasy, za którymi tkwiły zatknięte: z lewej strony nóż w pochwie, a z prawej krzesiwo i



woreczek z hubką. Zza miękkich cholew ostronosych butów z końskiej skóry wystawała fajeczka i kapciuch na tytoń.

Jak się później Tomek przekonał, Jakuci pod sony zakładali na gołe ciało koszule i krótkie, obcisłe spodenki skórzane, zwane syali. Do ich nogawek, posiadających na końcu metalowe kółka, przymocowywali sztylpy. Owych syali nie zdejmowali nawet na noc do spania.

Jakuci otoczyli podróżników półkolem. Smuga zsiadł z konia, po czym pozdrowił ich w języku rosyjskim.

– Witajcie! – odparł łamaną ruszczyzną jeden z Jakutów. – Czy jesteście Nucza?

Smuga nie zrozumiał pytania, albowiem mianem Nucza [127] Jakuci określali białych ludzi z południa, w potocznej zaś mowie Rosjan. Toteż pytająco spojrział na Wilmowskiego. Ten jednak również nie mógł odgadnąć, o co Jakutowi chodziło. Naraz Pawłow zeskoczył z konia i zanim bosman mógł go zatrzymać, stanął u boku Smugi.

– On nie jest Nucza, to Bielak! – zawołał.

W tej chwili Pawłow poczuł na swoim ramieniu ciężką, twardą dłoń bosmana. Obejrzał się, a napotkawszy groźny wzrok marynarza, zaraz usłużnie wytłumaczył po rosyjsku:

– Oni Rosjan nazywają Nucza, zaś Bielak oznacza Polaka... To nic złego!

– Dziękuję za... pomoc, lecz odzywaj się pan tylko wtedy, gdy cię o to poproszę – dwuznacznie ostrzegł Smuga.

Agent umilkł, uśmiechając się złośliwie. Polacy przeważnie byli znani Jakutom jako więźniowie, gdyż surowa, odludna Wschodnia Syberia stanowiła dla rządu carskiego główny ośrodek zesłań dla szczególnie niebezpiecznych przestępców politycznych. Tutaj większość z nich umierała z wycieńczenia. Niektórzy zesłańcy przydzielani byli przez władze administracyjne poszczególnym gminom jakuckim, które musiały utrzymywać ich na swój koszt. Oczywiście na tym tle nieraz powstawały ostre zatargi, powodujące niechęć do zesłańców.

Tym wszakże razem zamierzona złośliwość agenta chybiła celu, Jakuci bowiem życzliwiej spojrzeli na Smugę.

– Był tu już jeden taki – znów odezwał się Jakut. – Wszystko umiał, uczył nas. Bielak dobry... Witajcie! Opowiadajcie!

Po tym zwyczajowym u Jakutów powitaniu Smuga z Wilmowskim zaczęli wyjaśniać pół po rosyjsku, pół na migi cel swego przybycia do osady. Po dłuższych pertraktacjach zdolali osiągnąć porozumienie. Jakuci zgodzili się za pewną opłatą wypożyczyć świeże konie, zatrzymując w zastaw zmęczone wierzchowce podróżników. W drodze powrotnej z Ałdanu miała nastąpić powtórna wymiana i w ten sposób wierzchowce ostatecznie powracały do swych pierwotnych właścicieli. Była to więc transakcja korzystna dla obydwóch stron.

Zaledwie dobili targu, posiadacz tabunu koni zaprosił podróżników do swej urasy na



posiłek. Jego synowie tymczasem udali się po nowe wierzchowce na pastwisko. Weszli do urasy. Światło dzienne wpadające przez dymnik nabierało charakterystycznego odbłasku, załamując się w górze na jasnożółtych ścianach brzoźowych. W dole jednak panował półmrok rozpraszany przez małe ognisko, płonące w obramowanym kamieniami wgłębieniu w ziemi. Ponad nim, na drewnianych hakach, zwisał buchający parą kocioł i czajnik do herbaty, a na rożnie piekł się kawał mięsa, wydzielając miły dla zgłodniałych zapach.

Z wejściem podróżników do urasy kobiety wstydliwie ukryły się w kącie, tylko ukradkiem obrzucając ich ciekawymi spojrzeniami. Na uboczu przy ognisku, w oryginalnej kołysce leżało niemowlę, nakryte futrzaną kołderką przysnurowaną do drewnianych boków. Duże kudłate psisko przysiadło na dwóch łapach obok kołyski, szorstkim ozorem zlizywało lepki tłuszcz połyskujący na okrągłej twarzyczce niemowlęcia. Nikt nie odpędzał kundla, a niemowlę nie okazywało niezadowolenia z powodu tej nadmiernej poufałości. Twarze innych domowników także były błyszczące, albowiem niska temperatura panująca we wszystkich porach roku w mieszkaniach jakuckich nie sprzyjała kąpieli, smarowanie zaś ciała tłuszczem należało do miejscowych nawyków. Wokół ścian znajdowały się niskie posłania, nakryte z wierzchu skórami, które w dzień służyły za ławy do siedzenia, a w nocy zastępowały łóżka. Każdy domownik, jak i gość, zależnie od swego stanowiska, miał z góry wyznaczone na nich miejsce. Tuż u wejścia z lewej strony siadywali mniej znaczni goście i żebracy. Na wprost ognia sadzało się znamienitych gości lub krewnych; przed tą ławą stał mały stolik, a nad nią wisiała półeczka z obrazkami świętych; dalej znajdowała się ława gospodarzy, a dopiero za nią siadała młodzież i najemni robotnicy.

Gospodarz wskazał podróżnikom miejsce na ławie honorowej. Musiał być zamożniejszym człowiekiem, gdyż starsza niewiasta postawiła przed nim polewkę z mąki zwaną butugas, miskę z pieczoną na rożnie wołowiną, szpik goleniowy oraz ozór, uchodzący tu za przysmak. Nie brakło również herbaty cegiełkowej i dzbana kumysu, który w sposób naturalny ułatwiał trawienie po tłustym posiłku.

Domownicy podsuwali gościom przysmaki, nalewali kumysu i zachęcali wszystkich obecnych w urasie do jedzenia. Jakuci uważali pokarm za własność ogółu, stąd też nigdy nie zabierali w drogę zapasów żywności, gdyż powszechnie panujący wśród nich stary zwyczaj zobowiązywał do bezpłatnego goszczenia podróżnych.

Tomek, zgłodniały, co chwila sięgał po kawałek mięsa, choć było ono na pół surowe. Jednocześnie z niepokojem obserwował Jakutów, jak obsiadłszy wiszącą na rożnie ćwiartkę wołowiny, nadkrawali tylko odpowiedni kęs poddymionego mięsiwa i chwytając go zębami ucinali nożem tuż przy samych wargach. Za każdym pociągnięciem ostrza Tomkowi zdawało się, że poodrzynają sobie nosy. Jednak nic podobnego nie nastąpiło.

Gospodarz zaspokoiwszy głód przysiadł się do gości, przepił do nich kumysem. Oznaczało to zawarcie przyjaźni. Dla dopełnienia ceremoniału podarował Smudze, jako kierownikowi wyprawy, swój bysach – nóż o rękojeści z kła mamuta [\[128\]](#), w zamian otrzymał od podróżnika indyjski sztylet.

Zadowolony, przysunął do stolika simir – skórzany worek z kumysem, po czym znów napełnił dzban świeżym, z lekka syczącym napojem.

Syn gospodarza zaczął cicho przygrywać na chamysie. Był to jedyny znany Jakutom instrument muzyczny. Grający wkładał go w usta, by językiem i zębami regulować tony sprężynki drgającej w metalowej ramce.

Jakuci bardzo lubią gawędy, toteż gospodarz, aczkolwiek niewiele rozumiał po rosyjsku, wciąż nagabywał gości o nowiny z szerokiego świata. Wyraz niedowierzania pojawił się na jego twarzy, gdy rozmowny bosman wspomniał o podróżach po wielu morzach. Smuga i Wilmowski różnymi sposobami hamowali krasomówstwo przyjaciela widząc, jak Pawłow pilnie nadstawia uszu. Aby zaspokoić ciekawość Jakutów, Smuga niby mimochodem wyjaśnił, że udają się do Ałdanu w celu zakupienia partii futer. Na szczęście niebawem synowie gospodarza przywiedli konie z pastwiska i wszyscy wylegli przed urasę na oględziny.

Tomek od razu zauważył, że jakuckie konie różnią się wyraźnie od zabajkalskich. Były niższe, o krótszych tułowiach, większych wydłużonych głowach, szerokich pyskach i garbatych nosach, maści białawej lub szarej. Choć wyglądały bardzo niepozornie i niezgrabnie, wyróżniały się cennymi zaletami. Potrafiły stępa przebywać długie odcinki drogi, obciążone jeźdźcem, jukami i pościelą, którą tutaj każdy woził ze sobą. Ponadto na popasach zadawały się zeschłymi trawami oraz karłowatymi wiklinami, wygrzebywanymi w zimie spod śniegu.

Takich właśnie wierzchowców potrzebowali uczestnicy niebezpiecznej wyprawy, toteż bez dalszych targów uścili umówioną zapłatę.

Wieczór był już bliski. Uczynny gospodarz doradzał podróżnikom, by zatrzymali się u niego na nocleg. Zaoszczędziłoby to im kłopotu z rozkładaniem obozu, gdyż w najbliższej okolicy nie było zajazdu. Smuga wahał się, przecież w ciasnej urasie mieszkała cała rodzina Jakuta. Gdy usłyszał, że w odległości około dwóch kilometrów, blisko szlaku, znajduje się nie zamieszкана zimowa jurta gospodarza, skwapliwie zdecydował się z niej skorzystać.

Przy pomocy Jakutów osiodłali świeże konie. Po pożegnaniu, poprzedzani przez młodego chłopca, ruszyli w drogę.

Zimowa jurta, potocznie zwana bałaganem, miała kształt piramidy o nisko ściętym wierzchołku. Boczne jej ściany, nachylone ku dwuspadowemu dachowi pod kątem ostrym, tworzyły wewnątrz rodzaj nisz na szerokie ławy do siedzenia i spania. Całą jurte, zbudowaną z okrągłaków, pokrywała polepa z gliny i nawozu, a do poziomu małych okienek obrzucono ją ziemią. Dach, pokryty korą modrzewiową, także przysypany był gliną i ziemią. Tak zbudowana zimowa jurta bardziej przypominała ziemiankę niż dom drewniany. Dwa okna w ścianach zalepiano w lecie zasłoną z pęcherzy, w zimie zaś zamuroywano je taflami lodu. Do jurty prowadziły drzwi z desek obitych skórą.

Podróżnicy rozsiedlali konie, umieścili je w pobliskiej zagrodzie, po czym rozgościli się w jurcie. Wnętrze jej było zbliżone do wnętrza urasy, z tą jednak różnicą, że od paleniska

biegł ukosem ku dachowi komin, który po przeciwnej stronie od drzwi posiadał duży otwór z rodzajem okapu, dzięki temu ciepło płynęło wprost w głąb jurty.

Komin ten, o kształcie wielkiej rury, zbudowany był z żerdzi powiązanych wikliną, wewnątrz jego zaś wylepione było gliną.

W jurcie panował mrok i chłód, więc młody Jakut przyniósł drewna i rozpałił ogień w kominie. Wkrótce też pożegnał gości; chciał jeszcze przed nocą powrócić od urasy.

Utrudzeni podróżnicy naprędce rozpakowali juki z pościelą. Na ławach urządzili sobie wygodne posłania. Zamierzali wyruszyć dalej zaraz o wschodzie słońca. Od dawna już nie nocowali pod dachem domu.

Bosman na biwakach przed ułożeniem się do snu skuwał Pawłowowi nogi jego własnymi kajdankami. Ostrożność ta konieczna była w gąszczy tajgi, gdzie istniały sprzyjające warunki do ucieczki. Wszakże olbrzymi dobroduszny marynarz nie był mściwy. Gdy minął mu pierwszy gniew na agenta, stał się nawet dla niego dość uprzejmy.

Tego wieczoru Pawłow był bardzo wyczerpany nużącą dla niego konną jazdą. Bosman, jak zwykle, wydobył kajdanki, lecz jakoś nie spieszył się z krępowaniem więźnia. W końcu podszedł do Smugi i szepnął:

– Słuchaj pan, jeśli nie możemy agenciakowi ukręcić łeptyny, to warto by mu dać dzisiaj lepiej wypocząć. Kipnie na koniu, jak amen w pacierzu! Ledwo się trzyma na nogach.

– Więc niech się kładzie spać – odparł Smuga, nie rozumiejąc, o co chodzi bosmanowi.  
– Zresztą wszyscy musimy wypocząć przed świtem.

– Święta racja – powtórzył marynarz. – Kiepsko jednak śpi się z żelazkami na nogach...

– Słuchaj, bosmanie, wiesz dobrze, ile trudu kosztowało nas przekonanie Wilmowskiego i Tomka, iż ostrożność ta jest niezbędną dla naszego bezpieczeństwa.

– Pewno, że wiem, a jakże! Sam przecież za tym gardłowałem. Wszakże nie mogę zasnąć, gdy facet obok mnie pobrzękuje łańcuchami niby galernik.

Smudze również obca była myśl o znęcaniu się nad pokonanym przeciwnikiem, więc choć zdawało mu się, że nie postępuje zbyt rozsądnie, mruknął:

– Do licha, rób co chcesz, ale pamiętaj, że głową odpowiadasz za niego.

– Nic się pan nie bój, przecież kimam czujnie niczym zając pod miedzą – szepnął bosman, po czym nie nakładając agentowi więzów, polecił mu kłaść się spać.

Wilmowski i Tomek przyjęli ten gest z zadowoleniem.

@Bosman, zanim ułożył się do snu, zamknął od wewnątrz drzwi drewnianą zasuwą. Nie zmrużył jednak oka, czuwał niemal do świtu. Obawa, że Pawłow mógłby umknąć, spędzała mu sen z powiek.

Pawłow z niemalą radością przyjął zmianę w zachowaniu swego groźnego dozorca. W

pierwszej chwili błysnęła mu nawet myśl ucieczki, lecz zaraz uzmysłowił sobie, iż może to być umyślnie zastawiona pułapka.

“Ustawiczne pilnowanie sprawia mu kłopot – monologował w myśli. – Jeśli spróbuję ucieczki, na co on tylko w skrytości czeka, to zginę nie mogąc już liczyć na niczyją pomoc. Droga jeszcze daleka, na pewno zdarzy się lepsza okazja”.

Doszedłszy do takiego wniosku, zasnął kamiennym snem.

Tymczasem oprócz litościwego bosmana, jego trzech przyjaciele również czuwali całą noc. Każdy z nich na równi z marynarzem czuł się odpowiedzialny za pomyślny przebieg wyprawy.

W ten sposób jedynie Pawłowi wstał o świcie wyspany i wypoczęty.

## CIEŻKA PRÓBA

Mijał dzień za dniem... Stary szlak wiódł dolinami i wąwozami w kierunku północno-wschodnim. Podróżnicy nie zaniebdywali okazji, by jak najdokładniej poznać kraj. Zorientowanie się w jego topografii mogło oddać im nieocenione usługi w drodze powrotnej, po uprowadzeniu zesłańca. Pilnie zatem przepatrywali mijane okolice. Często zjeżdżali z utartego szlaku, szukając dogodniejszych kryjówek, w których mogliby się chronić przed ewentualnym pościgiem. Już samo urzeźbienie terenu stwarzało ku temu korzystne warunki.

Przeciętna wysokość mocno rozczłonkowanego Płaskowyżu Ałdańskiego waha się od 700 do 1000 metrów. Liczne wyodrębnione szczyty i grupy górskie, o wysokościach nie przekraczających 2200 metrów, nigdzie prawie nie łączyły się w wyraźnie zaznaczone łańcuchy. Przeważały łagodne, zaokrąglone wyniosłości z kopulastymi, masywnymi nagimi wierzchołkami, często całkowicie pokrytymi skalnymi rumowiskami. Rzeki burzliwie przedzierały się poprzez liczne progi, lecz w szerokich, płaskich kotlinach, o rozciągłości równoleżnikowej, płynęły już spokojnie krętymi korytami.

W kotlinach oraz na łagodniejszych zboczach królowała typowa tajga jakucka, która, według wyjaśnień Wilmowskiego, w kierunku północnym nie przekraczała łańcucha Gór Wierchojańskich. Przeważały w niej sosna oraz świerk, a bardziej na południu także limba. Modrzew rósł prawie wszędzie na miejscach suchych, wyniosłych i pozbawionych bagien. Z powodu surowości klimatu był to las rzadko rosnących drzew, gęstniejący jedynie w wąskich pasach nadrzecznych.

Duże mrozy i gwałtowne wichury wycisnęły na tajdze charakterystyczne piętno: większość drzew posiadała krzywe, jakby garbate pnie i pousychane wierzchołki. Na ubogie podszycie składały się: karłowata olcha, bagno zwyczajne [129] i porzecznica wschodnio-syberyjska, nieco niżej – borówka, rzadkie runo zielne i chrobotek reniferowy.

Życie świata zwierzęcego skupiało się przeważnie w pobliżu rzek, leśnych jezior i polan. Natomiast w głębi dziewiczej tajgi, z dala od utartych przelotowych szlaków, nie spotykało się nawet wędrownego ptactwa. Panowała tam głucha, grobowa cisza.

Miejsca nawiedzane przez zwierzynę nęciły do polowania. Nie brakło niedźwiedzi, wilków, lisów, rosomaków, wyder, soboli, borsuków, a czasem nawet i rysiów. W stanie dzikim żyły stadka reniferów i łosi. Po nagich, skalistych szczytach przemykały koziorożce, na które tak namiętnie polowali Tunguzi. Mniejsza zwierzyna, jak: susły, bunduruki, wiewiórki i zające bielaki – pojawiała się wszędzie w dużych ilościach.

W miarę jak podróżnicy coraz bardziej oddalali się od granic Kraju Nadamurskiego, coraz mniej unikali spotkań z rdzenną ludnością Syberii. Omijali jedynie większe osiedla, gdzie mogli rezydować rosyjscy przedstawiciele administracji. Umożliwiło im to dokładniejsze poznanie życia Jakutów należących do narodów tureckich [130], jak i znacznie mniej licznych Ewenków, czyli Tunguzów, pod względem fizycznym przynależnych do rasy mongolskiej z domieszką krwi staroazjatyckiej, lecz tworzących językowo oddzielną grupę [131].

Jakuci należeli niegdyś do narodu, który rządził całą Wschodnią Syberią między Leną a krainą Czukczów. Część z nich posługiwała się narzeczem tureckim, podczas gdy inni mówili po tungusku. Kozacy, pierwsi rosyjscy zdobywcy tych ziem, łącząc się na przemian to z Jakutami, to znów z walecznymi Tunguzami, z łatwością podporządkowali sobie obydwie narody, wielokrotnie przewyższające ich liczebnością.

Pod carskimi rządami krajowcom nie wiodło się najlepiej. Jakuci, zmuszeni do przyjęcia prawosławia, po cichu uprawiali dawny szamanizm. Trudnili się przeważnie hodowlą bydła rogatego, owiec i koni. Większość prowadziła osiadły tryb życia. Białosrebrne urasy stanowiły letnie mieszkania zamożniejszych gospodarzy. Biedacy nie mogli sobie pozwolić na kosztowne wygotowywanie kory brzozej w mleku, dopasowywanie odpowiednich płatów i misterne zszywanie ich, toteż podobne kształtem kałymany, lecz kryte tylko darniną, budowane dalej na północy kraju, z wolna wypierały malownicze urasy. Na zimę Jakuci zazwyczaj przenosili się do jurt.

Tunguzi, myśliwi i hodowcy renów, byli koczownikami. Mieszkali w jurtach. W lecie chronili swe stada przed dokuczliwością meszek wyprowadzając je na szczyty gór lub w przewiewne wąwozy. Jeździli na renach jak na koniach bądź zaprzęgali je do sań, żywili się ich mięsem, mleka używali jako domieszki do herbaty, ze skór zaś sporządzali odzienie. Byli doskonałymi przewodnikami, wspaniałymi tropicielami i myśliwymi. Poza tymi zaletami mieli wesołe i pogodne usposobienie.

Dokładniejsze poznawanie mieszkańców, a także flory i fauny kraju sprawiało, że podróżnicy coraz pewniej się w nim czuli. Tomek teraz z jeszcze większym podziwem wspominał odwagę polskich badaczy Syberii. Jako więźniowie-wygnańcy nie wahali się nawet poświęcić życia dla zbierania cennych materiałów naukowych o tym bezkresnym, surowym kraju. Niejeden z nich zyskał sobie przez owe badania rozgłos w świecie naukowym, a niekiedy wcześniejsze uwolnienie z zesłania.

Pierwszego wiernego opisu Syberii na podstawie własnych podróży w latach 1831-1834 dokonał Polak, Kobylecki, który zwrócił uwagę na gospodarcze możliwości Syberii. Niemalże zasługi naukowe zdobył przez swoje podróże po Syberii i Mongolii zesłaniec, filareta wileński, a później profesor uniwersytetu w Kazaniu i w Warszawie, Józef Kowalewski. Jako eksploratorzy na wielką skalę zasłynęli: Aleksander Czekanowski, badacz przyrody okolic Irkucka, kraju nad dolną Tunguską, a zwłaszcza nad dolną Leną i Oleniokiem; Jan Czerski wślawił swoje nazwisko badaniami geologicznymi. Ogromne uznanie zdobył Benedykt Dybowski dzięki studiom nad fauną Bajkału oraz badaniom przyrodniczym w Kraju Zabajkalskim, Nadamurskim, na Kamczatce i Wyspach Komandorskich. Dwaj inni Polacy zesłani za działalność rewolucyjną, Wacław Sieroszewski i Bronisław Piłsudski, zwrócili na siebie uwagę pracami naukowymi i literackimi. Pierwszy z nich opisał w sposób znakomity życie Jakutów, drugi, jak nikt przed nim, życie i język Ajnów, Gilaków i Oroczonów na Sachalinie. Oprócz zesłańców politycznych wielu uczonych polskich, między innymi Talko-Hryniewicz, Karol Bohdanowicz i Morozewicz, samorzutnie prowadziło naukowe badania przyrodnicze i językowe.



Poznawanie kraju i jego mieszkańców, a także ciekawe rozmowy podczas wieczornych biwaków urozmaicały grupce spiskowców niebezpieczną podróż. Po ośmiu dniach wędrówki przybliżyli się do Ałdanu. Smuga i Wilmowski głowili się, w jaki sposób w osadzie odnaleźć zesłańca. Ukazanie się w Ałdanie całej wyprawy niezawodnie wzbudziłoby podejrzenia. Każdy cudzoziemiec po przybyciu do jakiegokolwiek miejscowości zobowiązany był przesłać swój paszport do policji. Tymczasem wyprawa łowiecka nie miała zezwolenia na przebywanie w Jakucji. Wobec tego tylko jeden z jej uczestników mógł potajemnie odszukać więźnia i nawiązać z nim kontakt, podczas gdy inni oczekiwali na niego ukryci w pobliskiej tajdze.

Smuga chciał wziąć na siebie tę najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą część zadania. Niebawem jednak przypadek skłonił go do zmiany planów.

Tego dnia właśnie zamierzali zjechać z traktu w tajgę, by wyszukać odpowiednią kryjówkę do rozbicia obozu. Do Ałdanu mieli już tylko kilkanaście kilometrów. Osada leżała w dolinie wielkiego zakola utworzonego przez rzekę Ałdan, nieco na południe od jej brzegów. Smuga proponował zaszyć się w tajgę na wschód od osady. Omawiał to właśnie po cichu z Wilmowskim. Naraz, zupełnie nieoczekiwanie, z bocznej drogi wypadło na szlak kilku konnych Kozaków.

Tomek pierwszy spostrzegł jeźdźców. Już z dala było widać, że są umundurowani i uzbrojeni. Oni zaś, zaledwie wyjechali na szlak, również zauważyli podróżników. Jeden z nich coś zawołał. Przystanęli szeregiem na skraju traktu.

– Uciekajmy, Kozacy! – ostrzegawczo krzyknął Tomek. Ściągnął konie cugłami.

Smuga błyskawicznym spojrzeniem ocenił sytuację.

– Stój, za późno! Będą nas ścigali – zgromił młodzieńca.

– Nie uciekać, jedźmy dalej – dodał Wilmowski, z niepokojem mierząc zbrojny oddział żołnierzy.

– Andrzej, nie mamy wyjścia, przedstaw się im jako agent tajnej policji – szepnęła Smuga, nieznacznie przygotowując rewolwer.

– Dobrze, pokażę papiery Pawłowa – odszepnęła Wilmowski.

– Uwaga, rozmawia tylko Brown – cicho rozkazał Smuga. – Rewolwery trzymać w kieszeniach w pogotowiu! Bosmanie, pilnuj jeńca, jeśli nawet tylko mrugnie okiem, zastrzel go natychmiast. Potem dopiero mierz do Kozaków.

– Słyszaleś?! – syknął bosman. – Buzia na kłódkę lub zabiję!

Pawłow pobladł. Zrozumiał, że pierwszy zginie, jeśli wydadzą się Kozakom podejrzeni. Oczywiście pragnął zemsty na spiskowcach, lecz nie za cenę własnego życia! Tymczasem starcie zdawało się być nieuniknione. Dowódca Kozaków przez chwilę uważnie przyglądał się nadjeżdżającym z naprzeciwka, a zauważywszy karabiny zwisające z łęków siodeł, ponownie rzucił krótki rozkaz. Kilku żołnierzy zdjęło z pleców berdanki. Agent ujrzał, jak jego towarzysze wsuwają do kieszeni rewolwery przygotowane do strzału. Naraz przysła

mu do głowy zbawcza myśl.

– Panie Brown! – zawołał pospiesznie. – Posiadasz moje dokumenty! Nie odważą się robić trudności, jeśli powiesz, że jedziesz służbowo do urjadnika w Ałdanie! My zaś jesteśmy twoją eskortą!

Podróżnicy, zaskoczeni propozycją, niedowierzająco spojrzeli na Pawłowa. Przerazenie widoczne na jego twarzy wyjaśniło im, w jakim celu pragnął dopomóc swoim wrogom. Po prostu drżał o własną skórę.

– Ano, dobrze, spróbujemy... – odparł Smuga, nieznacznie mrugając do Wilmowskiego. Przecież bez jego rady mieli zamiar legitymować się dokumentami agenta. On podsunął jedynie sposób, w jaki mogli upozorować jazdę do Ałdanu.

Od Kozaków dzieliło ich tylko kilkanaście metrów. Wilmowski widząc, że oficer wyjeżdża im na spotkanie, również wysunął się do przodu.

– Strzelać tylko na mój rozkaz! – cicho ostrzegł Smuga, zerkając ku bosmanowi i Tomkowi.

– Kto wy?! – ostro zawołał oficer.

– Zdrawstwujcie, my swoi, urzędowe osoby – spokojnie odparł Wilmowski.

– Jak to urzędowe osoby? – już nieco grzeczniej indagował oficer.

– A ot, takie...! – odrzekł Wilmowski, powolnym ruchem wyjmując z kieszeni dokumenty.

Niedbale podał je dowódcy, ten zaś, ujrawszy nominację podpisaną przez gubernatora, ręką machnął do Kozaków, by zaniechali ostrożności. Z powrotem zarzucili karabiny na plecy.

– Dokąd to służba prowadzi? – zagadnął Wilmowskiego, zwracając mu dokumenty.

– Do Ałdanu... z wizytą do urjadnika.

– A podróżna jest?[\[132\]](#) – spytał oficer.

Wilmowski spojrzął z góry na Kozaka. Wzruszywszy ramionami, odparł oziębło:

– Od wydawania podróżnej to my jesteśmy, a nie pan, panie oficerze! Skąd wy i czego tu szukacie?

Smuga nie znał tak dobrze jak Wilmowski stosunków panujących w carskiej Rosji, toteż usłyszawszy dość natarczywe pytanie Kozaka, położył wskazujący palec na spuście rewolweru, nie wyjmując go z kieszeni. Wilmowski wszakże doskonale orientował się, jak olbrzymią władzę posiadała wówczas policja.

Każdy cudzoziemiec musiał uzyskać jej zezwolenie tak na przyjazd, jak i na wyjazd z kraju, poza tym zobowiązany był meldować o każdej zmianie zamieszkania, na pobyt dłuższy niż sześć miesięcy powinien otrzymać specjalne zezwolenie. Nie mniejsze rygory obowiązywały rdzenną ludność Syberii. Włóścianin bez zezwolenia policji nie mógł

oddalać się od domu w promieniu ponad 30 wiorst. Świadom tego Wilmowski gniewnie zmarszczył brwi i mierzył Kozaka surowym spojrzeniem.

Taktyka jego nie zawiodła, oficer bowiem pomyślał, że ów agent do specjalnych poruczeń gubernatorskich musi być nie lada szyszką, skoro tak śmiało sobie poczyną. Toteż zaraz “zapomniał” o podróźnej. Salutując uprzejmie, usprawiedliwił się:

– Wasze wysokobłagorodje wybaczy, w cywilnych ubraniach trudno rozpoznać godność urzędową, a spotkanie tutaj na drodze uzbrojonych ludzi często nie wróży nic dobrego. My z eskorty kopalni złota znad Ałdanu. Myszkowaliśmy po okolicy dla bezpieczeństwa. Banda bradiagów włóczy się po tajdze.

– Dobrze, już dobrze, przezorność godna pochwały – powiedział Wilmowski protekcyjnym tonem. – Złożę odpowiedni raport jego ekscelencji gubernatorowi. Jak nazwisko?

– Aleksander Siergiejewicz Natkowsky z sotni kozackiej, stacjonowanej w Jakucku, odkomenderowany do ochrony kopalni “Ałdanka” – wyrecytował oficer. – Czy może wasze wysokobłagorodje życzy sobie, abyśmy eskortowali do Ałdanu?

– Dziękuję, mam swoich ludzi. No, do widzenia!

– Z drogi! – zakomenderował oficer.

Kozacy sprawnie zjechali na skraj szlaku. Ustawili się dwójkami w kierunku na południe. Oficer uprzejmie zasalutował. Obydwie grupy zaczęły się oddalać w przeciwne strony.

Zaledwie Kozacy zniknęli za zakrętem, bosman odsapnął głośno i rzekł:

– No, panie Pawłow, nareszcie chociaż raz przydałeś się nam na coś!

– Dureń, nawet nie wiedział, jak blisko był prawdziwej nagrody... lub kuli! – odparł Pawłow ze złością, aczkolwiek sam również odetchnął lżej po takim zakończeniu nieoczekiwanego spotkania.

Smuga wzrokiem uciszył bosmana.

Po kilkunastu minutach zjechali ze szlaku. Do wieczora, klucząc wąwozami, zataczali szerokie półkole wokół Ałdanu i zamiast wprost z południa, przybliżyli się doń od wschodu. Według obliczeń Wilmowskiego od miasteczka dzieliło ich około ośmiu lub dziesięciu kilometrów. Rozbili obóz w małym wąwozie, zagubionym wśród rumowisk skalnych. Nigdzie nie było widać żadnych śladów ludzkiej bytności, zające bielaki prawie nie uciekały na ich widok.

Po zachodzie słońca bosman umieścił Pawłowa w namiocie, gdyż widać było po nim, że jest wyczerpany. Niebezpieczna sytuacja zapewne zmniejszyła jego odporność fizyczną. Bosman spętał mu nogi kajdankami, a następnie opuścił namiot i przysiadł się do przyjaciół.

Smuga, jakby tylko na to czekał, zaraz dał znak dłonią, aby pochylili się ku niemu.

– Nie możemy tutaj zbyt długo popasać. Osada blisko, ktoś przypadkiem mógłby nas tu znaleźć – powiedział.

– Masz rację, musimy natychmiast przystąpić do działania – potwierdził Wilmowski.

– Mówiłeś pan w drodze, że obmyśliłeś już jakiś plan działania – zauważył bosman.

– A jakże! Zamierzałem cichaczem wyprawić się na zwiady – powiedział Smuga. – Zbyszek widział mnie w Warszawie, gdy zabierałem Tomka. Na pewno by mnie poznał.

– Przecież ja znam Zbyszka lepiej... – wtrącił Tomek.

– Nie, mój drogi, zbyt wiele was łączy... Wzruszenie, oczywiście bardzo zrozumiałe w tym wypadku, mogłoby nam wszystkim oddać niedźwiedzią przysługę – przerwał mu w pół zdania Smuga. – Tobie nie mogę powierzyć tego zadania.

– Święta racja – przytaknął bosman. – A gdybym ja poszedł na zwiady...?

– To również niemożliwe, bosmanie, za bardzo zwracasz na siebie uwagę – rzekł Smuga. – Jak więc powiedziałem, do dzisiaj byłem zdecydowany sam zasięgnąć języka, lecz po spotkaniu z Kozakami przyszedł mi do głowy inny pomysł.

– Prawdopodobnie obydwaj jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym – odezwał się Wilmowski. – Czy sądzisz, że urjadnik dałby się wprowadzić w błąd tak samo jak oficer Kozaków?

– W takiej zapadłej dziurze nie należy spodziewać się wybitnego tuza na tym stanowisku. Jeśli tylko nie zna osobiście Pawłowa, to powinno się udać.

– I ja tak myślę. Nie przypuszczałem, że tak dobrze zagram rolę agenta tajnej policji – powiedział Wilmowski. – W takim jednak razie mnie musisz powierzyć to zadanie, bo najlepiej mówię po rosyjsku i... doskonale znam obyczaje carskich sług.

– Wspaniale się spisałeś z Kozakami! Niestety w Ałdanie będziesz mógł liczyć tylko na własne siły – zafrasował się Smuga. – Musisz mocno trzymać się w karbach!

– Wiem, przecież to gra o nasze życie. Zastanówmy się teraz, w jakim celu mógłbym przybyć do Ałdanu jako agent policji?

– Nie wolno nam za bardzo komplikować sprawy. Im więcej kłamstw, tym łatwiej zabrnąć w ślepy zaułek. Moim zdaniem agent policji śledczej może tu przyjechać w sprawie przesłuchania zesłańca. Pamiętajmy, że Pawłow jest agentem do specjalnych poruczeń!

– A jeśli urjadnik zapyta o pisemne polecenie? Oficer Kozaków również o to pytał – dodał bosman.

– No to co z tego? Spytał i przestał pytać – odparł Smuga. – Przesłuchiwanie zesłańca przez agenta tajnej policji nie jest czymś niezwykłym. Poza tym potrząsniesz kiesą...

– To by najlepiej poskutkowało, ale pod jakim pretekstem mógłbym zaproponować mu wzięcie pieniędzy?

– Czy nie można by powiedzieć, że gubernator przysłał nagrodę, której wypłacenie uzależnił od wyniku inspekcji? – wtrącił Tomek.

– Dobra myśl, synu – pochwalił Wilmowski.

– Gdy Tomek ruszy łepetyną, to zawsze coś mądrego z niej wyleci – zawtórował bosman.

– Nigdy źle nie wyszliśmy na jego radach – potwierdził Smuga. – Wiesz, Tomku, jak bardzo cenię twój spryt. Co sądzisz o naszym planie?

– Według mnie ryba połknie haczyk, tylko że ja na miejscu ojca zacząłbym od nagrody i protekcyjnych pochwał, a potem dopiero mówiłbym o przesłuchaniu zesłańca.

– Jak amen w pacierzu, Tomek dobrze radzi – poparł go marynarz.

– Owszem, to słuszne – powiedział Smuga. – A więc skoro pierwsza trudność została pokonana, omówmy z kolei drugą. Chodzi mianowicie o ucieczkę Zbyszka z Ałdanu.

– Już przemyślałem tę sprawę – wyjaśnił Wilmowski. – Zesłani administracyjnie na Syberię, tak jak on właśnie, przebywają na wolnej stopie, jedynie co jakiś czas muszą meldować się w policji. Wobec tego ustalę z nim dzień uciezki, a on w nocy wymknie się z domu i przyjdzie w umówione miejsce, gdzie będę na niego czekał. Potem obydwaj pospieszymy do was.

– Co zrobimy z Pawłowem? – zapytał Smuga.

– Zabierzemy go ze sobą – stanowczo odrzekł Wilmowski.

– Nie ma innej rady – markotnie zauważył bosman. – Nijak by teraz było ukreć mu łepetynę jak kurczakowi! Człowiek to dziwne stworzenie, do wszystkiego może się przyzwyczaić. Jeden mój kumpel z braci marynarskiej tak zżył się z bolącym wrzodem na pośladku, że za nic w świecie nie chciał dać go sobie przeciąć.

– A więc postanowione, Andrzeju. Wyruszasz jutro o świcie – zakończył Smuga.

## POGRZEB ZESŁAŃCA

Padął drobny deszcz, gdy Wilmowski samotnie wjeżdżał do Ałdanu[133]. Była to wówczas mała, brudna miejscina o kilku niebrukowanych ulicach. Tylko gdzieś przed drewnianymi domkami ułożono chodniki z ociosanych okrągłaków. Jedynym murowanym budynkiem była mała cerkiew z zielonymi kopułami. Więzienie etapowe, jak we wszystkich osadach na szlaku, mieściło się na uboczu. Składało się ono z kilku nędznych baraków ustawionych na prostokątnym placu otoczonym mocnym ostrokołowym parkanem, z którego sterczały na czterech rogach wieżyczki strażnicze. Przed zamkniętą bramą stali wartownicy z bronią na ramieniu. Wokół nich kręciło się kilka kobiet z koszami z prowiantem. Codziennie sprzedawały więźniom chleb, zimne mięso, jaja i mleko. Obecnie zapewne oczekiwały na wpuszczenie w obręb więziennego podwórka.

Na głównej uliczce Wilmowski zatrzymał się przed zajazdem, nad którego wejściem wisiał szyld z szumną nazwą: "Jewropejskaja Gostinica"[134]. Zaspany gospodarz otworzył mu drzwi. Wilmowski wszedł do ogólnej izby. Oprócz brudnego bufetu znajdowały się w niej cztery drewniane stoliki nakryte papierem. Podczas gdy Wilmowski lokował się w małym alkierzu, wyrostek jakucki odprowadził jego konia do stajni.

Pora była jeszcze bardzo wczesna. Wilmowski bowiem, po źle przespanej nocy, opuścił obóz o świcie. Postanowił złożyć oficjalną wizytę urjadnikowi w jego prywatnym domu jeszcze przed rozpoczęciem "urzędowania". Zdawało mu się, że w ten sposób będzie mógł uniknąć wielu formalnych wyjaśnień. Toteż zaraz szybko oczyścił ubranie, umył się i rozpytawszy wciąż zaspanego gospodarza o policyjnego dostojnika, zaraz wyszedł na miasto.

Bez trudności odnalazł sadybę urjadnika. Za budynkiem mieszkalnym widać było warzywny ogród, a w nim łaźnię. Takie właśnie domostwa spotykało się na Syberii w osadach zamożniejszych kolonistów rosyjskich, zwanych powszechnie Sybirakami. Drewniany dom zbudowany z cedrowego drzewa stał na podmurowaniu kryjącym piwnicę. Pośrodku frontowej ściany znajdował się ganek ocieniony daszkiem. Poręcze ganku, jak i okap dachu zdobiły rzeźby przypominające styl zakopiański. Duże okna, zastawione od wewnątrz doniczkami z pelargoniami, posiadały masywne okiennice.

Wilmowski wszedł na ganek po schodach posypanych żółtym piaskiem. Zastukał kołatką do drzwi. Otworzyła je puciołowata dziewczyna. Zarumieniła się ujrawszy starannie ubranego, przystojnego mężczyznę.

– Zdrawstwujcie, czy zastałem w domu urjadnika Mikołaja Iwanowicza Bułgakowa? – zapytał Wilmowski uchylając futrzanej czapki.

– Zaraz, zaraz, wasze wysokobłagorodje – odparła i pobiegła w głąb dużej sieni wysłanej zgrzebnym płótnem. Zniknęła w izbie czeladnej w tyle domostwa, wołając: – Olga, Olga, przyszedł jakiś znatnyj czelawiek! [135]

Wilmowski przystanął w progu. Rozglądał się po sieni. Po obydwóch stronach



frontowej ściany mieściły się gościnne pokoje, czyli gornice. Naprzeciwko izby czeladnej znajdowały się drzwi do spiżarni i schodki wiodące na poddasze. W sieni rozchodziły się przyjemne zapachy przygotowywanego posiłku.

Po chwili do sieni weszła młoda, urodziwa Sybiraczka. Zarumieniła się na widok przybysza, lecz zaraz zawołała lekko śpiewnym głosem:

– Pan do Mikołaja Iwanowicza Bułgakowa? Proszę, proszę do pokoju, mąż właśnie się ubiera!

Wilmowski skłonił się, wszedł do górnicy. Czapkę i półkożuszek powiesił na wieszaku. Czuł na sobie ciekawe spojrzenie gospodyni. Przystanął więc przed ikoną[136], którą oświetlała zwisająca z sufitu czerwona lampka. Pochylił głowę i nakreślił dłonią trójznak krzyża.

Gospodyni poprosiła go, aby usiadł, a następnie wybiegła z pokoju. Wilmowski całą siłą woli starał się zapanować nad własnym niepokojem. Czy uda mu się wyprowadzić urjadnika w pole? Całe powodzenie wyprawy mogło zależeć od decydującej krótkiej rozmowy. Na szczęście urjadnik nie przedłużał jego niepewności. Pojawił się po kilku minutach, jeszcze zapinając guziki surduta.

– Witam, witam, czym mogę służyć? – odezwał się, mierząc gościa badawczym spojrzeniem.

Wilmowski powstał. Przybrał znudzony wyraz twarzy.

– Witam pana, i przepraszam za tak wczesne najście – powiedział. – Jestem Pawłow... do specjalnych poruczeń jego ekscelencji gubernatora. W służbowej drodze do Jakucka zatrzymałem się, żeby załatwić z panem pewną sprawę.

Protekcjonalny ton oraz niedbały ruch, jakim gość podsunął mu pod nos dokumenty, opatrzone pieczęcią i zamaszystym podpisem gubernatora, wywarły na urjadniku niemałe wrażenie. Toteż nerwowym ruchem zatknął na nos binokle. Zaledwie przeczytał: “Do moich specjalnych poruczeń”, już pośpiesznie giął się w unizonych pokłonach.

Wilmowski doznał pewnej ulgi. Nabral pewności siebie. Rozsiadł się wygodnie na podsuniętym krześle. Cedząc wyraz po wyrazie, powiedział:

– Gubernator, wysyłając mnie w poufnej misji do Jakucka, zlecił mi również złożenie meldunku o porządkach panujących w pana okręgu. Zależnie od wyniku inspekcji zostałem upoważniony do ewentualnego przekazania panu pewnej nagrody pieniężnej. Niewielka to sumka, ale przed świętami... i to dobre!

Urjadnik zarumienił się po uszy. Nerwowym ruchem zatarł dłonie. Kłaniając się, mówił szybko:

– Nie wiem, czy pan będzie łaskaw, ale dla mnie jest pan miłym gościem. Pan pewnie jeszcze bez śniadania, żona zaraz nakryje do stołu. Przepraszam na chwilę, przepraszam...

Wybiegł do sieni. Wilmowski skorzystał z okazji, by wysuszyć chustką czoło z potu. Jak do tej pory wszystko szło pomyślnie... Teraz rozejrzał się po pokoju. Zza półodsłoniętych

kolorowych kotar wyglądało łoże, piętrzące się wysoko zasłanymi pierzynami i poduchami. Między dużymi oknami we frontowej ścianie, na wprost stołu, stała długa, pluszowa kanapa z wysokim oparciem. W głębi pokoju, za półścianką, mieścił się duży piec do pieczenia chleba, a przed wejściem do tego jakby korytarzyka czerniała się duża, drewniana, lakierowana skrzynia ze złożonymi narożnikami i zamkiem. Był to zapewne podróży kufer urjadnika. W porównaniu z brudnymi zajazdami i jurtami jakuckimi wnętrze domu urzędника policji świeciło wzorową czystością.

Wilmowski posmutniał. Od wielu lat wiódł koczownicze życie. Dom zastępowały mu namioty, leśne szałas, a rzadziej nieprzytulne hotele bądź pokoje “do wynajęcia”. Takie oto ognisko domowe zgotował własnemu synowi, ciągnąc go za sobą po bezdrożach dzikich krain. Przypomnił sobie dawne własne mieszkanie w Warszawie, żonę... Westchnął ciężko... Naraz targnął nim gniew. Jego prześladowcy zażywali spokojnie ciepła domowego, byli szczęśliwi i zadowoleni, podczas gdy on wraz z synem skazany był przez nich na poniewierkę. Uczucie roztkliwienia zniknęło natychmiast. Niemal wrogim wzrokiem obrzucił urjadnika, który akurat w tej chwili pojawił się ze swoją małżonką.

Urjadnik z policyjną spostrzegawczością zauważył zachmurzoną twarz gościa. Zmieszany przedstawił mu żonę. Wilmowski uprzejmie przywitał się z nią, chwając wzorowy porządek panujący w domu.

– O, to wyjątkowa kobieta, Sybiraczka – wtrącił urjadnik. – Wyszła za mnie, choć, jak panu wiadomo, Sybiracy na ogół nie lubią carskich urzędników z rdzennej Rosji.

– Wy znów po swojemu, Mikołaju Iwanowiczu – zgromiła go żona. – Proszę do stołu na skromne śniadanie.

Na białym obrusie pojawiły się półmiski ze świeżymi naleśnikami, zwanymi blinami, miseczka zrumienionego topionego masła do ich polewania, kawior, twaróg ze śmietaną i pieczony drób na zimno. Na samym końcu dziewczyna wniosła duży, dymiący parą samowar, a urjadnik wyciągnął z szafki butelkę nikołajewki i drugą likieru.

– Proszę do stołu – mówił, wciąż kłaniając się gościowi; nagroda gubernatora nie schodziła mu z myśli.

– Zanim usiadziemy do śniadania, załatwimy formalności – powiedział Wilmowski, powolnym ruchem wydobyl portfel z kieszeni. – Stwierdziłem, że w podległym panu okręgu panuje porządek i bezpieczeństwo. Toteż ze spokojnym sumieniem przekazuję nagrodę, a w raporcie dla ekscelencji gubernatora zamieszczę odpowiednio przychylną uwagę.

Wyliczył na róg stołu sto papierkowych rubli. Była to znaczna na owe czasy suma. Urjadnik zgarnął ją w dłonie i dziękował.

– Dla porządku proszę o odręczne pokwitowanie – dodał Wilmowski.

– Słusznie, słusznie, porządek musi być przestrzegany – przytaknął urjadnik. – Olga, przynieś papier, pióro i atrament!

Po chwili Wilmowski schował kwit. Usiedli do śniadania. Butelka nikołajewki szybko była opróżniona do połowy. Wilmowski zaledwie dotykał ustami kieliszka, za to urjadnik ochoczo spełniał toast za toastem. Poranny posiłek trwał około dwóch godzin. Urjadnik szeroko opowiadał o warunkach panujących w jego okręgu. Klął na Jakutów, którzy, przyjmawszy pozornie prawosławie, ukrywali w swoich jurtach szamanów i nienawidzili carskich urzędników. Narzekał na kłopoty z zesłańcami pracującymi w kopalni złota oraz zarzucał władzom wojskowym opieszałość w wykonywaniu obowiązków. W końcu Wilmowski spojrzął na zegarek.

– Późno się zrobiło, a eskorta moja czeka na mnie w obozie w pobliżu miasta. Dziś jeszcze lub jutro z rana wyruszam w dalszą drogę. Chcę wrócić na południe, zanim spadną pierwsze śniegi – odezwał się, ucinając gadatliwość podchmielonego policjanta.

– Rozumiem, rozumiem, już wczoraj w nocy mieliśmy ostry przymrozek – zauważył urjadnik.

– Będąc tu przejazdem, chciałbym przy okazji załatwić pewną sprawę służbową – powiedział Wilmowski. – W Ałdanie przybywa zesłaniec, którego powinienem dodatkowo przesłuchać.

– Ach, tak! – zdziwił się urjadnik. – A o kogóż to chodzi?

– O jednego Polaczka przysłanego tu z Nerczyńska. Podobno pracuje w faktorii Naszkina.

– Jak nazwisko?

– Zbigniew Karski – krótko odparł Wilmowski.

Urjadnik zmarszczył czoło, jakby sobie coś przypominał.

– Zaraz, zaraz, czy to ten, który przemyślał o ucieczce? – zapytał po chwili.

– A jakże, o niego mi chodzi – potwierdził Wilmowski. – To ja przecież unicestwiłem jego zamiary...

– Tak, tak, pamiętam, osobiście czytałem wasz raport przesłany tu wraz z papierami więźnia. Podkreśliliście czerwonym ołówkiem: Niebezpieczny, wzywać do meldowania co trzeci dzień.

– Dobrą ma pan pamięć – ostrożnie pochwalił Wilmowski. – Władze cenią to; jak widzę, słusznie należała się nagroda...

Urjadnik zadowolony, naraz okazał niepokój.

– Czy to miało być jakieś ważne przesłuchanie? – zagadnął.

– Może ważne, a może nie. Sprawa dotyczy kogoś innego.

– Nie wiem, czy zdążyliście na czas – zafrasował się urjadnik. – On wprawdzie jest tutaj, ale to już chyba jego ostatnie chwile... Cyrulik [137] puszczał mu krew, podobno po cichu szaman jakucki go kurował, ale ani jedno, ani drugie nie na wiele się zdało. Umiera,

a może nawet już umarł tej nocy. Kilka dni temu Naszkin przysłał tu kogoś do uporządkowania spraw faktorii.

Wilmowski mocno oparł łokcie na stole, aby ukryć drżenie rąk. Słowa nie chciały mu się precyzyjnie przeczławić przez zdławioną krtań. Była to druzgocąca wiadomość. Na szczęście urjadnik akurat nalewał do kieliszków likieru i dzięki temu nie spostrzegł bladości, jaka pokryła twarz jego rozmówcy.

Wilmowski ujął kieliszek i jednym haustem opróżnił go do dna.

– Cóż, mniej będzie miało państwo kłopotów – mruknął.

– Zaraz pošlę po odpowiedniego człowieka do cyrkułu[138] – wtrącił urjadnik. – Sprawdźmy, czy przesłuchanie będzie mogło się odbyć.

– Gdzie mieszka zesłaniec? – zapytał Wilmowski.

– Tuż pod miastem, kwadrans drogi najwyżej.

– Jeśli tak, to sam pójdę do niego z waszym człowiekiem.

– Będę panu towarzyszył – zaproponował urjadnik.

– Nie, nie, i tak zająłem wam wiele cennego czasu pracy – zaproponował Wilmowski. – Wstąpię potem do cyrkułu i poinformuję pana, co zaszło.

– Jak sobie pan życzy! Wobec tego spotkamy się w cyrkule, a później przyjdziemy do mnie na obiad. Proszę nie oponować, zaszczyt to i wielka przyjemność dla nas. Olgo, Olgo! Niech Mariusza biegnie do cyrkułu, żeby Sasza zaraz tu przyszedł.

Wilmowski siedział jak na rozżarzonych węglach. Udawał, że z uwagą przysłuchuje się paplaninie urjadnika, który pod wpływem alkoholu rozpiął surdut i stał się bardzo wylewny. Tymczasem myśli Wilmowskiego uparcie wybiegały ku umierającemu zesłańcowi. Jakże los był dla niego okrutny! Tyle trudów, poświęceń na nic się zdało. Zbyszek konał... Teraz Wilmowski pragnął tylko ujrzeć go choć na krótką chwilę, pocieszyć, uścisnąć. Jakże samotny musiał się czuć i opuszczony w tym na poły dzikim, bezludnym kraju.

Sasza, rosłe brodate chłopisko, zastukał w sieni buciorami. Wilmowski wdział kozuszek. Urjadnik przekazał policjanta do dyspozycji wpływowego "kolegi", zobowiązał do przyjęcia zaproszenia na obiad i nareszcie Wilmowski znalazł się na ulicy. Policjant z karabinem przewieszonym przez ramię poprowadził go na przedmieście, gdzie z dala od innych domów stała mała chatka. Pobielone wapnem belki, nie przylegające ściśle jedna do drugiej, tworzyły szczeliny nie utkane mchem. Małe okienko, oszklone skrawkami szyb, od wewnątrz osłaniała chusta.

– To tutaj – odezwał się policjant. – Wejdę pierwszy, wasze wysokobłagorodje! Proszę ostrożnie, pułap niski.

Pchnął zbite z desek drzwi. Znaleźli się w ciemnej sionce. Zastukał do następnych drzwi. Nie czekając na zaproszenie, otworzył je szeroko. Wilmowskiemu serce waliło jak

młot. W maleńkiej, mrocznej izdebce pierwszym rzutem oka dojrzał w kącie pryczę zbitą z desek. Na niej leżał jakiś człowiek. Obok niego, na skraju pryczy, siedziała młoda dziewczyna. Stojący na małym stoliku łożowy kaganek, sporządzony ze starej blaszanki, błyskając żółtawoczerwonym nierównym światłem dopalał się i skwierczeniem knota przerywał pełną beznadziei ciszę.

Policjant pochylił się, by nie zawadzić głową o framugę drzwi. Za nim wsunął się do izby Wilmowski.

– Kak wasze zdrowje?[139] – zagadnął Sasza. – Ha, i krasiwaja dziewczeczka [140]znów tutaj jest!

– Cicho! On umiera... – powiedziała dziewczyna, przykładając palec do ust.

– Taka wola Boża – mruknął policjant. – Cóż począć? A ja przyprowadziłem wam gościa, służbowego gościa...

– Dziękuję, zrobiliście swoje, wracajcie do cyrkułu – rzekł ściszym głosem Wilmowski. – Powiedzcie urjadnikowi, że wkrótce tam przyjdę.

Policjant przyłożył otwartą dłoń do daszka czapki, stuknął głośno obcasami i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wilmowski dłuższą chwilę stał w milczeniu. Z wolna wzrok jego przyzwyczajał się do półmroku. Zesłaniec leżał z przymkniętymi oczami. Długie, czarne rzęsy opadały na pociągłą, wybladłą twarz. Ręce złożone na piersiach jak do modlitwy były nieruchome. Pod łachmanem kołdry rysowały się kontury wychudłego ciała. Wilmowski milczał. Fala głębokiego wzruszenia chwyciła go za gardło, nie mógł wymówić ani słowa.

Nie wiedział przecież, kim jest dziewczyna czuwająca u łoża konającego chłopca, a obawiał się okazać, jak bardzo go obchodzi jego los.

Dziewczyna mierzyła Wilmowskiego podejrzliwym wzrokiem. Powstała w końcu i zapytała:

– Kim pan jest i czego tutaj szuka? Moglibyście dać mu chociaż umrzeć w spokoju...

Oschły głos dziewczyny otrzeźwił Wilmowskiego. Odetchnął głęboko i cicho zagadnął:

– Czy naprawdę nie ma już ani cienia nadziei?

– Widzisz pan przecież...

– Czy on... jest przytomny? Czy może mówić?

– Czego pan chce od niego?

– Jestem urzędnikiem policji śledczej do specjalnych poruczeń gubernatora. Muszę pomówić z nim na osobności. Czy może pani zostawić nas samych? Moje nazwisko... Pawłow.

Dziewczyna postąpiła ku niemu. Rozszerzonymi ze zdumienia oczami zajrzała Wilmowskiemu prosto w twarz, potem cofnęła się aż pod ścianę, przyciskając kurczowo

dłonie do piersi. Wewnętrzne łkanie wstrząsnęło jej drobnymi ramionami. Z oczu popłynęły łzy. Powstrzymując szloch, zaczęła szeptać:

– Zbyszku, Zbyszku, spojrzij na niego... spojrzij!

Zesłaniec uchylił powiek. Natężonym wzrokiem szukał twarzy przybysza. Wilmowski krok za krokiem przybliżał się do pryczy. Przystanął przy niej, po czym wolnym ruchem ściągnął z głowy futrzaną czapkę. Nieszczęsny zesłaniec zatopił w nim oczy. Jak w półśnie uniósł się na łokciach, z wysiłkiem usiadł na posłaniu. Naraz krzyknął zdławionym głosem:

– Wujek...!

Płacząc jak dziecko, rzucił się Wilmowskiemu na szyję, kurczowo objął ramionami. Wilmowski w milczeniu tulił chłopca. Po jego męskiej, surowej twarzy spływały łzy. Natasza serdecznie objęła uściskiem obydwu mężczyzn.

– Widzisz, Zbyszku, nie chciałeś wierzyć... a oni mimo wszystko przedarli się tutaj do ciebie – szepnęła.

Wilmowski delikatnie oswobodził się z ich uścisku.

– Dzięki Bogu, że żyjesz, nie mamy czasu do stracenia – odezwał się cicho. – Kładź się, chłopcze, a ty, panienko, powiedz mi, kim jesteś.

– Wujku drogi, to jest Natasza Władimirowna Bestużewa! Moja narzeczona – gorączkowo mówił Zbyszek, jakby obawiał się, aby mu nie przerwano. – To ją spotkał Tomek w Nerczyńsku! To ona pomogła mu sprowokować Gołosowowa do pojedynku. Tomek powiedział jej, że nie opuści mnie, że przyjedzie tutaj po mnie, więc wyjednała u Naszki, aby wysłał ją do Ałdanu w sprawach faktorii.

– Więc to pani! – przerwał mu Wilmowski, uśmiechając się do Nataszy. Już nie płakała. Opanowana, dodała rzeczowo:

– Postanowiłam ułatwić wam uprowadzenie Zbyszka. On jest naprawdę chory, ale daleko mu do śmierci. Gdyby jednak wszyscy uwierzyli, że umarł, nikt by się nim więcej nie interesował.

– A więc to pani zawdzięczam ten przestrach, że przybyliśmy za późno! – powiedział Wilmowski. – Urjadnik istotnie jest przekonany, że on umrze lada chwila.

– Dobrze! Skoro już tu jesteście, to umrze dziś jeszcze przed wieczorem. W trumnę nakładziemy kamieni i jutro o świcie pogrzeb! Przygotowaliśmy kryjówkę, w której poczeka na pana...

– Powoli, powoli, omówmy spokojnie sprawę – przerwał jej Wilmowski. – Ciekawi mnie jedna rzecz. Mianowicie, gdy wymieniłem nazwisko agenta, pod którego podszyłem się u urjadnika, pani odezwała się do Zbyszka i kazała mu na mnie spojrzeć.

– Właśnie wtedy się zorientowałam, że to jakiś podstęp, gdyż ja i Zbyszek doskonale znamy agenta Pawłowa. Przecież to on prześladował nas w Nerczyńsku.



– Ach, więc to tak! Sprytna z pani dziewczyna. Ale jakim cudem ty, Zbyszku, poznałeś mnie od razu?

– Natasza jest wprost cudowna, wujku! Gdyby nie ona, byłoby ze mną bardzo źle. Tylko na jej prośby Naszkin wstawił się za mną, gdy Pawłowi przyłapał list napisany przeze mnie do Tomka. A ciebie poznałem, bo przecież dopiero w Nerczyńsku spaliłem waszą fotografię, którą Tomek przysłał mi z podróży do Afryki.

Wilmowski wydobył chustkę. Obtarł zroszone potem czoło. Entuzjastyczne słowa Zbyszka o Nataszy nasunęły mu przypuszczenie, że sprawa uprowadzenia może się skomplikować.

– Według pani planu, Zbyszek umrze dzisiaj. Nietrudno będzie mi upewnić o tym urjadnika – odezwał się na głos. – Wobec tego jutro zaraz po pogrzebie możemy wyruszyć w drogę. Uprzedziłem urjadnika, iż jadę do Jakucka. Gdzie pani zamierza ukryć Zbyszka?

– Upatrzyłam kryjówkę w gąszczu przy drodze za miastem – odparła Natasza. – Gdzie oczekują pana towarzysze?

Wilmowski wydobył z kieszeni skrawek papieru. Ołówkiem nakreślił prowizoryczny szkic okolicy.

– Dobrze się składa – zawołała Natasza przestudiowawszy plan. – Musi pan przejeżdżać obok jego kryjówki. O, to tutaj...

Sprawnie uzupełniła szkic.

– Już będę wiedział. Zresztą chyba razem będziemy na “pogrzebie”?

– Oczywiście, muszę pilnować, aby komuś nie przyszła ochota zajrzeć do trumny z rzekomym nieboszczykiem – potwierdziła Natasza.

– A co pani ma zamiar uczynić później? – zapytał Wilmowski, bacznie przyglądając się dziewczynie.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Zbyszek natomiast poderwał się z posłania.

– Wujku! Ja bez niej... nie ucieknę! Ona także jest zesłańcem! To rewolucjonistka, a ja... ja ją Kocham!

Wilmowski skinął przyzwalająco głową. Więc jego przewidywania szybko się sprawdziły! Rozważał sytuację. Zabranie Nataszy jeszcze bardziej wikłało ryzykowną ucieczkę. Czy jednak postąpiłby uczciwie pragnąc rozdzielić tych dwoje młodych? Ba, gdyby mógł uprowadziłby z Syberii wszystkich carskich więźniów.

– Czy decyduje się pani towarzyszyć Zbyszkowi? – zapytał krótko. Kurczowo chwyciła jego rękę w swoje delikatne dłonie.

– Czy... czy zabierze mnie pan? – zapytała nieśmiało.

– Zabiorę, lecz muszę uprzedzić, że droga do wolności daleka i najeżona niebezpieczeństwami. Kto wie, czy zdołamy wynieść cało nasze głowy!

– Pójdę z wami i zginę bez słowa skargi – zapewniła.

– A więc dobrze! Zabierzemy panią, Nataszo. Czy zaraz będą tu pani szukali?

– Nie, o to nie ma obawy. Przyjechałam pod pretekstem uporządkowania interesów faktorii. Jeszcze dzisiaj oznajmię policji, że wracam do Nerczyńska. Przepadnę jak kamień w wodę.

– Świetnie ułożyła pani to wszystko – przyznał Wilmowski. – Po pogrzebie przemknie się pani do kryjówki Zbyszka. Ja tymczasem pożegnam urjadnika i pospieszę do was. Jutro po południu będziemy już daleko od Ałdanu.

– Proszę wracać do urjadnika – oświadczyła Natasza. – Niech mu pan powie, że zesłaniec umarł w pana obecności. Resztę biorę na siebie. Zbyszek zasłoni twarz prześcieradłem, gdyby nas ktoś odwiedził. Jakuci boją się zmarłych, policja zaś nie będzie zbyt ciekawa. Przygotowani są na jego śmierć. Zaraz zamówię trumnę. Pogrzeb wczesnym rankiem...

– Podejmuje się pani trudnego i... nieprzyjemnego zadania.

– Dam sobie radę, wszystko już obmyśliłam.

Dopiero koło południa Wilmowski opuścił samotną chatę zesłańca. Już znów opanowany udał się do cyrkułu na spotkanie z urjadnikiem.

## GNIIEW BOGA OGNI A BŁYSKAWIC

Pawłow pochylony siedział na głazie. Ponurym wzrokiem wodził za olbrzymim bosmanem. Nie miał najmniejszych wątpliwości: spiskowcy szykowali się do drogi.

Poprzedniego dnia o świcie zbudziła go krzątająca się w obozie. Przez dziurkę w płachcie namiotowej widział pożegnanie, a potem samotny odjazd rzekomego Browna, którego niegdyś w Warszawie śledził jako nauczyciela geografii kolportującego nielegalne pisma. Gorączkowe pożegnania oraz cicho udzielane przestrogi dały mu wiele do myślenia. Brown zaopatrzony w jego dokumenty zapewne udał się na przespługi do Ałdanu! Potem wieczorem Smuga oddalił się z obozu. Powrócił prawie po północy i długo wiedli narady. Pawłow przypuszczał, że Smuga spotkał się gdzieś potajemnie z Brownem. Jakże mógł przywieźć wiadomości?

Od wschodu słońca Pawłow, z trudem kryjąc niepokój, nieznacznie śledził spiskowców. Zwinęli namioty, przepakowali juki. Najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz zapasy żywności podzielili na sześć części; każdą z nich zapakowaną w juki przytroczyli do siodeł. W ten sposób uwolnili dwa juczne konie od ładunku.

Pawłow gubił się w domysłach. Do drogi powrotnej przygotowali o dwa konie więcej do jazdy wierzchem. Czyżby oprócz Karskiego mieli zamiar uprowadzić jeszcze kogoś? Agent siedział na głazie na pozór spokojny, lecz w sercu jego szalała burza wściekłości. Trudno było wątpić w pomysły dla spiskowców obrót sprawy. Po wyjeździe Browna z satysfakcją obserwował ich niepokój, ale po nocnym wypadzie Smugi nabrał pewności, że udało się im nawiązać kontakt z zesłańcem. Świadczyły o tym pełne wymowy radosne spojrzenia, ukradkowe narady i jawne przygotowania od powrotnej drogi.

Pawłow drżał z gniewu i... strachu. Jaki los zamierzali mu zgotować?! Znów będą go wlekli ze sobą po głuszach tajgi, a potem... Nie, nie chcieli go chyba pozbawić życia, bo przecież mogli to uczynić już przedtem. Pawłowowi jednak nie tylko chodziło o życie. Ta sromotna powtórna porażka mogła przynieść mu niesławny koniec kariery. Cóż powie gubernatorowi? Czy będzie mógł przyznać się do tego, że miał w swym ręku groźnych spiskowców i pozwolił im umknąć bezkarnie? Na domiar złego jego dokumenty służbowe pomogły w spisku przeciwko carskiej Rosji.

W niemej wściekłości zgrzytał zębami, a tymczasem sękaty olbrzym siodłał wierzchowce. Pozostali dwaj spiskowcy wymknęli się w pełnym uzbrojeniu z obozu. Być może przepatrywali okolicę, chcąc zapewnić sobie bezpieczny odwrót. Osiodławszy konie, olbrzym zaczął przeglądać broń. Nabiał dwa rewolwery i włożył je do olster przy siodle jednego z koni, potem przysiadł na ziemi. Niczym wytrawny rusznikarz sprawdzał działanie zaników karabinów, ładował w nie naboje. Pochłonięty własnymi myślami, jakby zapomniał o Pawłowie.

Agent nie spuszczał oka ze swego prześladowcy. Olbrzym naprawdę nie zwracał na niego uwagi. Jakiś pomysł musiał rodzić się w umyśle agenta, gdyż zerkał to ku wierzchowcom, to znów na olbrzyma. Czerwone wypieki pojawiły się na jego szarej twarzy. Co chwila zaciskał spieczoną wargę. Ostrożnie powstał z głazu. Brol siedział do

niego półbokiem, wciąż zajęty karabinami. Pawłow posunął się o mały krok ku wierzchowcom. Nie odrywał wzroku od olbrzyma, uczynił jeszcze jeden mały krok, a potem większy.

Rzenie przestraszonego wierzchowca przywołało bosmana do rzeczywistości. Wyraz zaskoczenia i gniewu odmalował się na jego twarzy.

– Precz od koni! – krzyknął, zrywając się na równe nogi.

Trzymał w ręku karabin, mógł zastrzelić Pawłowa, lecz obawiał się, że huk strzału ściągnie im na kark kogoś nieproszonego. Odrzucił więc broń i skoczył ku agentowi. Pawłow bał się bosmana jak ognia, toteż paniczny strach jakby dodał mu skrzydeł. Dopadł konia, szarpnął za pas zamykający olstrę zawieszoną u siodła. Wydobył rewolwer. Wypalił prosto w twarz nadbiegającego. Bosman tylko zwinął się w skoku, rozkrzyżował dłonie i waląc się z rozmachem na ziemię, wyrznął agenta głową w piersi.

Pawłowowi pociemniało w oczach. Okoliczne pagórki jakby się rozplynęły... Zemdlał. Gdy odzyskał przytomność, ujrzał powalonego bosmana. Leżał twarzą do ziemi z odrzuconymi w bok rękami. Pawłow stękając podniósł się na nogi. W ustach czuł słonawy smak krwi.

Okropny ból rozsadał mu piersi. Z nienawiścią i prawie zabobonnym strachem spoglądał na olbrzyma.

Wolno cofał się tyłem. Podniósł z ziemi rewolwer. Dopiero teraz odwrócił się ku wierzchowcom. Chwycił jednego z nich za uzdę. Z wysiłkiem wspiał się na siodło. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Smuga i Tomek mogli przybiec lada chwila zwabieni hukiem wystrzału. Pawłow pochylił się w siodle. Pognał w tym samym kierunku, w którym poprzedniego ranka oddalił się Brown. Wkrótce wyjechał na wąską, kamienistą drogę. Zawrócił wierzchowca w kierunku Ałdanu.

Pawłow wypluwał krew napływającą mu do ust. Ból w piersiach był coraz dotkliwszy. Gdyby teraz znów stracił przytomność, zginąłby niechybnie. Obawa przed pościgiem dodawała mu sił. Popędzał konia, nerwowo spoglądając za siebie. Drżał na myśl, że Smuga mógłby go dogonić. Ten nie dałby się wyprowadzić w pole i na pewno już by go nie oszczędził...

Nareszcie ujrzał w dali dachy domostw. Pochylił się, uderzył wierzchowca piętami w boki. Jakucki koń ruszył nierównym galopem. Pawłow zacisnął dłonie na łąku siodła. Głuchy tętent niósł się po drodze. Ałdan był coraz bliższy, oto już pierwsze domki na przedmieściu. Jakby na odgłos tętentu konia z małej chatki wybiegła ubrana w krótki kozuszek dziewczyna. Ujrzała jeźdźca gnającego galopem w stronę miasta. Przystanęła na skraju drogi. Rozpędzony wierzchowiec omal jej nie stratował, lecz ona na to nie zważała. Przez moment mignęła trupio blada twarz jeźdźca. Krzyknęła przerażona, po czym pobięła co sił w ślad za nim.

Wilmowski pakował swe podrózne drobiazgi do torby. Uśmiech zadowolenia błąkał się po jego twarzy. Na pozór fantastyczny plan Nataszy okazał się bardzo prosty i nie wzbudził

niczych podejrzeń. Urządnik bez zdziwienia przyjął wiadomość o śmierci zesłańca. W obecności Wilmowskiego sporządził odpowiedni raport dla władz zwierzchnich, a potem następnego ranka razem z Wilmowskim był na pogrzebie. Oświadczenie “agenta” do specjalnych poruczeń gubernatorskich, iż więzień skonał w jego obecności, całkowicie wystarczyło urządnikowi. Jako rzecz naturalną przyjął obecność Bestużewej na pogrzebie. Przecież przybyła do Ałdanu w celu uporządkowania spraw faktorii, w której zmarły był zatrudniony.

Właśnie Wilmowski powrócił z pogrzebu. Przed chwilą powiadomił gospodarza “Jewropejskiej Gostinicy”, że opuszcza hotel. Najdalej za godzinę razem ze Zbyszkiem i Nataszą będą w drodze do kryjówki wyprawy. Poprzedniej nocy Wilmowski spotkał się ze Smugą w umówionym miejscu pod miastem. W ten sposób towarzysze już wiedzieli o pomyślnym przebiegu akcji i byli przygotowani do ucieczki.

Wilmowski zapiął podrózną torbę. Przewiesił ją na pasie przez ramię, włożył nabity rewolwer do kieszeni kożuszka. Nagle z ulicy doszedł go tętent. Ucichł tuż przed zajazdem. Wilmowski pomyślał, że przybył jakiś nowy gość. Chcąc uniknąć zbędnych rozmów, zaraz wyszedł do ogólnej izby. Wręczał gospodarzowi należność, który uniżenie dziękował za suty napiwek, gdy pchnięte drzwi wejściowe stanęły otworem. Rozległ się tupot szybkich kroków i ktoś zawołał:

– Gdzie cyrkuł?

Wilmowski drgnął zaskoczony, usłyszawszy znajomy głos. Odwrócił się natychmiast. Ujrzał Pawłowa! Przygarbiony, lewą dłonią przyciskał pierś, w prawej zaś trzymał rewolwer. Zmierzwiony włos na głowie, krew na brodzie i koszuli oraz grymas bólu malujący się na jego twarzy wprost przeraziły Wilmowskiego. Pojął natychmiast, że w obozie nieoczekiwanie musiało zdarzyć się coś strasznego.

Pawłow również poznał Wilmowskiego. Bez chwili namysłu skierował w niego lufę rewolweru:

– Ręce do góry! – syknął złowrogo.

Wilmowski wolno uniósł dłonie. Wyraz triumfu przewinał się w przekrwionych oczach Pawłowa. Jeden ze spiskowców już leżał martwy w obozie, a teraz los znów się do niego uśmiechnął. Oto przed nim stał bezbronny drugi jego wróg! Jakiż to był wspaniały odwet za wszystkie niepowodzenia! Mimo niezwykłego podniecenia spostrzegł, że Wilmowski trochę opuścił dłonie.

– Ręce do góry... lub strzelam! – ostrzegł. – Aresztuję cię pod zarzutem zorganizowania spisku w celu uprowadzenia więźnia... za gwałt na przedstawicielu prawa i... przyjrzyj mi się dobrze, ty... skatino.[\[141\]](#)

Myśli jak błyskawice krzyżowały się w głowie Wilmowskiego. W jaki sposób agent zdołał zbiec? Co się stało z jego towarzyszami w obozie? Ani przez chwilę nie miał zamiaru dać się wziąć żywcem! Ręce uniósł do góry, by nieco zyskać na czasie.

Pawłow wyglądał strasznie. Krwawa piana wystąpiła mu na usta. Widać było, że stoczył

okropną walkę, że nie wyszedł z niej bez szwanku. Przybliżył się do Wilmowskiego i rzucił mu prosto w twarz:

– Uciekłeś mi w... Warszawie! Pamiętasz?! Teraz nareszcie mam cię! Zapłacisz za wszystko, zawieszysz na szubienicy! Twój współnik leży martwy w obozie!

Twarz Wilmowskiego najpierw pobladła, potem pojawił się na niej krwawy rumieniec gniewu. Już wiedział, dlaczego ten agent wydawał mu się tak dziwnie znajomy! To był bezpośredni sprawca całej jego tragedii! On pozbawił gożony i domu!

– Nareszcie spotkaliśmy się... – odrzekł Wilmowski urywanym głosem. – Tak, to ty, carski szpiclu! A więc dobrze, życie za życie...

– Zginiesz! – wrzasnął agent widząc, że przeciwnik opuszcza dłoń.

Wilmowski nie zważał na groźby, już wyciągał ręce, by schwytać Pawłowa... W tej właśnie dramatycznej chwili ktoś wbiegł do zajazdu. Wilmowski zamarł w połowie ruchu. Pawłow spostrzegł zdumienie w jego oczach, przez ramię błyskawicznie zerknął za siebie.

W progu stała młoda dziewczyna, ta sama, której omal nie stratował koniem. Teraz ją poznał. To była zesłanka z Nerczyńska. To ona przyjaźniła się z zesłańcem, jakby na przekór zakochanemu w niej Golosowowowi. W tym krótkim momencie Pawłow zrozumiał, dla kogo to przeznaczyli spiskowcy drugiego wierzchowca.

Wilmowski skoczył ku agentowi. Ten jednak spostrzegł to w porę, uskoczył w bok, szarpnął spustem rewolweru. Dym osmalił Wilmowskiemu twarz. Agent strzelił po raz drugi. Chybił... Natasza wyrwała z kieszeni kożuszka mały rewolwer. Pięć razy pociągnęła za cyngiel i ochłonęła dopiero wtedy, gdy za szóstym pociągnięciem rozległo się tylko metaliczne uderzenie kurka. Wystrzelała wszystkie naboje.

Po każdym strzale Pawłow pochylał się coraz bardziej, aż w końcu runął bezwładnie na podłogę.

– Uciekajmy, już pewnie alarmują policję! – zawołała Natasza.

Wilmowski rozognionym wzrokiem wpatrywał się w leżącego bez ruchu agenta. Nie zważając na ostrzeżenia Nataszy, wolno przyklęknął przy nim. Odwrócił go twarzą do góry. Pawłow nie żył.

– Karczmarz umknął tylnym wyjściem – ponagliła Natasza. – Lada chwila odetną nam odwrót!

Wilmowski schował do kieszeni rewolwer Pawłowa.

– Chodźmy stąd – rzekł krótko.

Podniósł z podłogi swoją torbę podróżną. Zarzucił ją na lewe ramię, prawą dłoń wsunął w kieszeń kożucha i zacisnął ją na zimnej rękojeści rewolweru.

– Chodźmy! – powtórzył.

Wypadli przed zajazd. Obok wierzchowca Wilmowskiego stał koń Pawłowa.



– Czy umiesz jeździć konno? – zapytał Wilmowski.

– Tak!

– Wsiadaj! Prędeż, dogonię cię!

Nie tracąc czasu Natasza wskoczyła na wierzchowca. Strzały zwróciły uwagę okolicznych mieszkańców. Niektórzy wyglądali przez okna. Słysząc było nawoływania. Zrozumiała, że Wilmowski chce opóźnić pościg. Pognała ku wylotowi ulicy. Dopiero po dłuższej chwili Wilmowski dosiadł swego konia. Nie spiesząc się, podążył za Nataszą. Wkrótce był na rogatkach. Przed nim na drodze snuł się obłok kurzawy.

Wilmowski smagnął konia. Ruszył galopem. Z wolna doganiał dziewczynę. Już razem zanurzyli się w tajgę. Przedzierając się powoli wśród drzew, dali umówiony sygnał Zbyszkowi.

Natychmiast wybiegł im na spotkanie. Przystanęli na moment, by zdążyć wskoczyć na konia za Nataszą. Znów pomknęli dalej. Wilmowski wciąż ponaglał do pośpiechu. Sekundy zdawały mu się godzinami. Drżał z obawy, co zastanie w obozie. Ucieczka Pawłowa wróżyła najgorsze.

Rzedniejący las wywiódł ich na skraj na pół skalistych wzgórz. Wilmowski uniósł się w strzemionach, niecierpliwie wypatrując kryjówki. Naraz kamień spadł mu z serca. Z załomów skalnych wyłoniły się znane mu sylwetki jeźdźców. Dwaj z nich prowadzili osiodłane wierzchowce, trzeci jucznego konia. A więc Pawłow skłamał! Bo oto olbrzymi bosman i Tomek wysforowali się do przodu z końmi dla dwojga uciekinierów. Bosman wprawdzie miał głowę obandażowaną, ale rażno wymachiwał dłonią do nadjeżdżających.

Zatrzymali konie tuż przed przyjaciółmi. Krótkie powitanie Tomka ze Zbyszkciem wycisnęło wszystkim z oczu łzy wzruszenia. Trwało to zaledwie moment, gdyż Smuga przywrócił ich groźnej rzeczywistości, informując krótko Wilmowskiego:

– Andrzej, Pawłow umknął! Musimy natychmiast ruszać w drogę, jeśli...

– Pawłow już nigdy nikomu nie zaszkodzi – przerwał mu Wilmowski, marszcząc brwi.

– Ale pościg i tak może deptać nam po piętach!

Bosman przeciągle gwizdnął przez zęby.

– Ojczy, co się stało w Ałdanie? Czyś ty ranny? – zawołał Tomek.

– Nie czas na gadaninę! Wszyscy na koń! Tomku, prowadź wytyczoną trasę – ostro rozkazał Smuga, wydobywając torbę z opatrunkami.

Czoło wyprawy oddaliło się o kilkaset metrów, zanim Smuga skończył bandażowanie rany Wilmowskiego.

– Kula drasnęła mięsień! Masz szczęście – rzekł z ulgą. – Teraz jak najprędzej dokońmy naszych!

Dosiedli koni. Dopiero w kilka godzin później zatrzymali się na krótki odpoczynek. Zluźnili wierzchowcom popręgi u siodła i puścili je na popas, bosman zaś wydzielił racje

suchego prowiantu. Po posiłku Smuga odezwał się:

– Andrzeju, zdaj relację z wypadków w Ałdanie! Najwyższy czas, abyśmy rozważyli sytuację.

Wilmowski krótko opowiedział przebieg wydarzeń. Bosman nieco rozchmurzył się, słysząc, w jakim stanie Pawłowi przybył do zajazdu. Mimo woli przesunął dłonią po zabandażowanej głowie.

– Źle się stało, że Pawłowi udało umknąć – rzekł Smuga, wysłuchawszy relacji. – Nie docenialiśmy jego przebiegłości! To był szczwany lis!

– Baty mi się należą – markotnie powiedział bosman. – Dałem mu się podejść i obydwóm nam pozostawił pamiątkę...

– Nie wiesz nawet, że Pawłowi w ten sposób chciał załatwić z nami dwoma stare porachunki – wtrącił Wilmowski.

– Jak to? – zdumiał się bosman.

– To on właśnie wytropił nas wtedy w Warszawie!

– Czy to możliwe?

– Sam mi to powiedział!

Bosman umilkł zaskoczony nieoczekiwaną wiadomością. W końcu splunął zamasyście i rzekł:

– A więc to dlatego jego gęba wciąż wydawała mi się skądś znajoma!

– Ano tak! On nas poznał. Śledził mnie i ciebie wówczas przez dłuższy czas, podczas gdy my widzieliśmy go tylko przez krótką chwilę.

Bosman zafrasowany mruknął:

– Zuch z Nataszy, szkoda jednak, że mnie wyręczyła. Ba, żeby nie ona, to i dzisiaj wszystko uszłoby na sucho draniowi!

Wilmowski opuścił głowę. Wstyd mu było przyznać się, że podczas tragicznego zajścia z Pawłowem byłby go tym razem zabił bez skrępowań.

– Gdy Pawłowi rzucił mi prosto w twarz mściwe słowa, nareszcie go poznałem – odezwał się cicho. – Wspomnienie okrutnego losu mojej żony i naszej ponieważ sprawiło, że zapomniałem o miłosierdziu. Chciałem zabić Pawłowa. Natasza ocaliła mi życie, bo miał nade mną przewagę.

Tomek z wdzięcznością spojrzął na dziewczynę.

Po godzinnym wypoczynku wyruszyli w dalszą drogę. Smuga nie zaniechał ostrożności, aczkolwiek wydawało mu się, że jedynie przypadek mógłby naprowadzić pościg na ich ślad w tym skalistym pustkowiu. Przede wszystkim uformował karawanę w ubezpieczony sztyk: sam wysunął się do przodu na czoło, o kilkadziesiąt metrów za nim jechał Wilmowski z Nataszą i Zbyszkiem, a w pewnej odległości za nimi jako tylna straż podążali bosman i

Tomek. Olbrzymie doświadczenie Smugi i opanowanie w niebezpieczeństwie uwidaczniały się obecnie niemal na każdym kroku. W rozległym bezdrożnym kraju instynktownie obierał właściwy kierunek. Wiódł karawanę skalistymi wąwozami, by kopyta końskie jak najmniej pozostawiały śladów, nakazywał wszystkim ustawiczną czujność. Minęły dwa dni. Już spory szmat drogi dzielił ich od Ałdanu. Dotąd Smuga prowadził karawanę w kierunku wschodnim. Według jego rachuby, ewentualny pościg powinien był udać się utartym szlakiem na południe. W ten sposób podążali w odwrotne strony i odległość pomiędzy nimi a pogonią wciąż się powiększała. Dopiero drugiego dnia, gdy słońce stanęło w zenicie, Smuga zaczął zbaczać ku południowemu zachodowi. Jeśli ścigający jechali traktem, to dzięki jego manewrowi karawana znajdowała się obecnie na ich tyłach. Zwolnili więc tempo jazdy i pozwalali koniom na częstsze wypoczynki. Przecież należało zachować siły wierzchowców na najgorsze chwile.

Późnym popołudniem zagłębiali się w głuchy las. Pod lekkim podmuchem wiatru złote brzoźki obficie sypały przejrzystymi listkami. Krzewy głógów i dzikie czarne porzeczki poczerwieniały od nocnych chłódów. Był to nieomylny znak, że jesień już nadchodzi wielkimi krokami.

Smuga jak zwykle jechał na przedzie, rozglądając się po tajdze. Nagle pochylił się do przodu, wyteżył wzrok. Po chwili upewnił się – pod drzewem siedział pochylony, samotny człowiek. Smuga ostrzegawczo uniósł dłoń, wstrzymał wierzchowca. Niemymi rozkazami polecił towarzyszom otoczyć obcego człowieka. Wkrótce cała grupa przystanąła pod drzewem.

– Do stu beczek zjełczałego tranu, toż to nieboszczyk – zawołał bosman.

– Do licha, nie mylisz się bosmanie – potwierdził Smuga. – Ptaki wydziobały mu oczy...

– To pewno Tunguz – wtrącił Wilmowski. – Oni w ten sposób chowają umarłych.

Wysuszony trup siedział oparty o drzewo i czarnymi oczodołami spoglądał na wschód. Na jego kolanach leżał łuk oraz siekierka o złamanym trzonku. Nie opodal stały nieco przysypane ziemią sanie, a obok nich wały się kości reniferów i uprząż.

Wilmowski wyjaśnił, iż Tunguzi pozostawiają przy zmarłych przedmioty, które służyły im do osobistego użytku, lecz łamią noże oraz trzonki siekier, aby nieboszczyk nie mógł szkodzić żywym ludziom. Zbyszek, świadom niektórych zwyczajów krajowców, dodał, że Jakuci dawniej chowali zmarłych na drzewach, na specjalnych platformach zwanych arakas[142]. Teraz grzebali w ten sposób jeszcze tylko szamanów.

Jechali, rozmawiając cicho o dziwnych zwyczajach tubylców. Po jakimś czasie znaleźli się nad brzegiem leśnego jeziora. Smuga znów zatrzymał towarzyszy. Nie dalej jak o kilkaset kroków od nich stała jurta. Strużka dymu sączyła się z komina. W drzwiach ukazała się ludzka postać. Zaledwie spostrzegła karawanę, natychmiast cofnęła się w głąb domu. Podróżnicy pomknęli za Smugą ku sadybie. Skoro zostali zauważeni, musieli się upewnić, kim są jej mieszkańcy. Nędzna jurta chyliła się ku upadkowi. Gliniana polepa poodpadała w wielu miejscach ze ścian, jedyne okienko było zapchane darnią. Przed

domem leżała porzucona sieć na ryby, a nad jeziorem, na wpół wyciągnięta na brzeg, widniała łódź wypalona w drzewnym pniu.

Smuga zeskoczył z konia, by wejść do jurty. Wtem w progu pojawiły się dwie ludzkie postacie. Podróżnik cofnął się zaskoczony strasznym widokiem. Twarze krajowców pokrywały rany i strupy.

Jeden z nich wyciągnął dłoń pozbawioną palców.

Natasza krzyknęła przerażona.

– Niech pan się nie zbliża do nich, to trędowaci[143] – zawołał Zbyszek.

Podróżnicy w popłochu cofnęli się. Jeden z nieszczęsnych krajowców zagadał coś bezwargimi ustami. Wyszczерzone poźółkłe zęby sprawiały niesamowite wrażenie.

– Zbyszku, czy rozumiesz, co on mówi? – zapytał Smuga, z trudem opanowując odrazę.

– Prosi o jedzenie, głodny – wyjaśnił młodzieniec.

Smuga wydobyl z juków trochę sucharów i pudełko konserw, złożył te dary na ziemi.

– Zapytaj go, czy wie, w którym kierunku znajduje się trakt do Ałdanu – powiedział.

Zbyszek sformułował pytanie, pomagając sobie gestami rąk. Trędowaty wyciągnął kikut ku zachodowi. W tym też kierunku pospiesznie podążyli.

Jakuci, jak i Tunguzi zmuszali chorych na trąd do zamieszkiwania z dala od osiedli. Gmina od czasu do czasu dawała nieszczęśnikom trochę żywności czy też jakiś łachman do ubrania, lecz za to chorzy nie mieli prawa zbliżyć się do sadyb zdrowych ludzi. Podróżnicy długo nie mogli zapomnieć widoku krajowców dotkniętych tą straszną, nieuleczalną chorobą. Ponaglali konie, chcąc jak najprędzej wydostać się z lasu, w którym królowali zmarli oraz pogrzebani za życia – trędowaci. Dopiero po zapadnięciu zmierzchu Smuga zatrzymał karawanę w małej skalistej kotlinie. W myśl jego obliczeń, byli już w pobliżu głównego szlaku. Choć ciemność nocy zabezpieczała ich przed pościgiem, nie rozpalili ogniska ani nie rozbili namiotu. Jedynie dla Nataszy zbudowali z gałęzi tak zwany przez krajowców elbelen lub hałtam. Był to szałas o jednej tylko pochylonej ścianie, która trochę osłaniała przed deszczem i wiatrem. Posilili się suchym prowiantem oraz wodą ze strumienia, po czym w śpiworach ułożyli się na spoczynek. Z wyjątkiem Zbyszka reszta mężczyzn na zmianę pełniła straż.

Gwiazdzista, chłodna noc minęła spokojnie. O wschodzie słońca dosiedli koni. Późnym rankiem dotarli na skraj rozległej łąki. Kilka stogów siana wskazywało na bliskość jakuckich zimowych domostw. Smuga zatrzymał się. Przez lunetę penetrował pagórkowatą okolicę.

W dali rysowały się ciemne kontury jurt. Z kominów ich nie unosił się dym. Zapewne krajowcy jeszcze przebywali w swych letnich urasach. Zdrożone konie podróżników wyciągały łby w kierunku stogów. Po krótkiej naradzie Smuga postanowił zatrzymać się na popas. Według miejscowych zwyczajów każdemu było wolno nakarmić wierzchowca sianem ze stogu.

Podczas gdy konie z rozluźnionymi popręgami u siodeł skubały siano, jeźdźcy zaspokoiли głód z własnych zapasów. Po jakimś czasie zaczęli się przygotowywać do drogi. Smuga znów jechał na przedzie. Teraz wspinał się na łagodny pagórek, skąd zamierzał rozejrzeć się po okolicy. Wkrótce był na szczycie. Zeskoczył z konia. Spojrzał na wąski pas równiny. Nie dalej jak o kilkaset metrów znajdował się szlak. Gromada jeźdźców ciągnęła nim z południa na północ. Smuga wydobyl lunetę. Zobaczył spory oddział żołnierzy, składający się z Jakutów i kilku Kozaków. Nie tracąc czasu, szybko poprowadził wierzchowca z powrotem w dół zbocza. W tej właśnie chwili karawana dążyła na przełaj przez łąkę i mogła być widoczna na szlaku. Zaledwie zbocze zasłoniło Smugę, wskoczył na konia. Rękoma dawał swoim ostrzegawcze znaki.

Naraz za wzgórzem rozbrzmiało kilka strzałów.

A więc zostali zauważeni przez żołnierzy! Na odgłos palby tylna straż wyprawy szybko dołączyła do głównej grupy. Podążyli ku wschodowi, gdzie czerniło się pasmo lasu. Smuga przepuścił do przodu Wilmowskiego z dwojgiem zesańców i jucznym koniem.

Oddział żołnierzy wyłonił się zza pagórka. Był to zapewne pościg, który po dwudniowych bezskutecznych poszukiwaniach powracał do Aldanu. Świadczyły o tym okrzyki i strzały, jakimi żołnierze usiłowali zatrzymać przed nimi gromadkę jeźdźców.

– Niech ich tajfun porwie! Mogą nas dogonić – zauważył bosman oglądając się.

Smuga spojrzal za siebie. Uważnie mierzył wzrokiem odległość.

– Dościgną nas – potwierdził. – Musimy ich powstrzymać!

Ściągnął konia cuglami. Bosman i Tomek uczynili to samo. Odwrócili się przodem do pościgu.

– Mierzyć w konie! – rozkazał Smuga.

Wypalili. Strzały były niecelne, ponieważ wierzchowce przestraszone hukiem omal nie pozrzucały jeźdźców z siodeł. Żołnierze natychmiast rozsypali się w tyralierę. Trójka uciekinierów znów pociągnęła za cynkle. Tym razem strzały były celniejsze. Dwóch jeźdźców z wierzchowcami zważyło się na ziemię. Następna salwa zmusiła pościg do większej ostrożności. Żołnierze zwolnili tempo pogoni, jeszcze bardziej rozciągnęli tyralierę.

Smuga spojrzal na czołówkę karawany. Wilmowski już dojeżdżał do lasu.

– Umykajmy – rozkazał.

Ruszyli z kopyta pochyliwszy się w siodłach. Za nimi rozbrzmiały przeciągłe okrzyki.

Tomek zerknął za siebie.

– Skrzydła pościgu wysuwają się do przodu! – krzyknął ostrzegawczo.

– Chcą nas okrążyć – odkrzyknął bosman.

Ponaglili wierzchowce, które w morderczym galopie brzuchami prawie dotykały ziemi.

Karłowaty las był już bardzo blisko. Naraz za uciekającymi posypały się kule. Właśnie wpadli między drzewa. Nagle koń Tomka zarżał boleśnie, rzucił się w bok, a następnie w pełnym pędzie runął na ziemię. Tomek na szczęście zdążył wysunąć nogi ze strzemion, zanim wyleciał z siodła. W powietrzu wywinął kozła i padł na plecy na miękki mech. Przez chwilę leżał oszołomiony.

Obydwaj jego towarzysze z trudem osadzili rozpędzone konie. Triumfalny wrzask pogoni rozniósł się szerokim echem. Tomek postępując dźwignął się szybko na nogi, zanim doń przybiegli przestraszeni Smuga i bosman.

– Nic mi nie jest... Trafili konia – uspokoił ich.

– Właż na szkapę! – krzyknął bosman. Podsadził przyjaciela jak piórko i usadowił go na swoim wierzchowcu.

– Tomku, pędź i zatrzymaj ojca – polecił Smuga, podnosząc karabin młodzieńca. – Walka nieunikniona... Spiesz się! Sami nie powstrzymamy pościgu!

Tomek zagryzł wargi. Za moment oddalił się galopem.

Smuga ukryty za drzewem spokojnie przyłożył karabin do ramienia. Mierzył krótko. Najbliższy jeździec szeroko rozkrzyżowując ramiona spadł z konia. Karabin Smugi pluł ogniem raz za razem. Bosman tymczasem zdjął siodło z zabitego konia Tomka. Tracenie skromnego ekwipunku osobistego w tym surowym kraju groziło niemal śmiercią. Zarzucił siodło na wierzchowca Smugi. Przystanął za rozłożystą brzozą i razem z przyjacielem zaczął razić pościg kulami.

Skrzydła pogoni już docierały do lasu. Smuga i bosman, by uniknąć odcięcia od czoła karawany, rozpoczęli szybki odwrót, ostrzeliwując się.

Okrzyki żołnierzy oraz ostra palba karabinowa pozwoliły Wilmowskiemu zorientować się, że jego towarzysze są w niebezpieczeństwie. Zamiast uciekać dalej, wraz z Nataszą i Zbyskiem zawrócił ku nim. Niebawem spotkali Tomka. Razem pospieszyli na pomoc dwóm śmiałkom.

Wilmowski jednym spojrzeniem ocenił krytyczną sytuację, w jakiej się znaleźli. Żołnierze z pościgu straciwszy kilku ludzi zeskakiwali z koni; kryjąc się za drzewami zataczali półkole. Widać było, że zamierzają otoczyć uciekinierów.

– Zbyszek i Natasza! Pilnować koni – krzyknął Wilmowski.

Obaj z Tomkiem włączyli się do walki. Wzmocniony celny ogień trochę ostudził zapał pościgu. Żołnierze ostrożnie przesuwali się od drzewa do drzewa. Kilku Kozaków okrzykami zachęcało Jakutów do szarży, lecz ci nie okazywali zapału do otwartego natarcia.

Smuga pragnął uniknąć walki wręcz, która przy liczebnej przewadze wroga musiałaby się skończyć sromotną klęską. Dlatego też, powstrzymując pogoń strzałami, z wolna wycofywał się z karawaną coraz głębiej w las.

Zaniepokojony obserwował żołnierzy formujących bardziej zwarty szyk.

– Panie Smuga, źle z nami – naraz zawołał bosman.

– Do diabła, oni szykują się do ataku! – dodał Smuga.

– A jakże, przyparli nas do bagniska. Zerknij pan za siebie, a zrozumiesz ich taktykę.

Teren obniżał się ku wschodowi. Pomiedzy drzewami przeświecały bajorka porośłe żółto-zielonymi kępami.

– Andrzej, prowadź nas w moczary – rozkazał Smuga.

– Ugrzęźniemy w bagnisku – zaproponował Wilmowski.

– Lepiej się utopić, niż pójść w niewolę – powiedział Smuga. – Lada chwila uderzą na nas, nie wytrzymamy...

Żołnierze wzmogli ogień. Zapewne wiedzieli, że bagienne rozlewiska odcinają przeciwnikowi odwrót. Kozacy zaczęli wysforowywać się do natarcia. Jakuci zachęceni przykładem szli za nimi.

Uciekinierzy wycofywali się w bagna. Wilmowski, Natasza i Zbyszek za uzdy prowadzili wierzchowce, które siłą zmuszali do desperackiej przeprawy przez coraz głębsze bajora. Smuga, bosman i Tomek osłaniali ich ogniem karabinowym. Konie zapadały w wodę już niemal po brzuchy, rżały przestraszone widmem śmierci w groźnej, bezmiernej topieli.

Kozacy i Jakuci czuli się teraz pewni zwycięstwa. Chrapliwymi okrzykami dodawali sobie odwagi do otwartego ataku. Zwartym półkolem przyparli uciekinierów do zdradliwego bagna.

Bosman pierwszy zrezygnował z beznadziejnej ucieczki. Przyklęknął na kępie za pnem drzewa. Z karabinu słał wrogom kulę za kulą. Smuga i Tomek również zrozumieli, że nadeszła ich ostatnia godzina. Postanowili drogo sprzedać swe życie. Ukryci za drzewami wspomagali bosmana. Pogoń tymczasem zacieśniła półkole. Żołnierze ruszyli ławą, by otoczyć walczącą gromadkę straceńców. W tej właśnie chwili Wilmowski z Nataszą i Zbyskiem przypadli do swych przyjaciół. Ucieczka przez bagna okazała się niemożliwa, postanowili więc zginąć razem z nimi. Triumfalny wrzask pogoni rozniósł się po tajdze...

Bosman ujął karabin za lufę jak maczugę, wyskoczył zza drzewa. Smuga ruszył w jego ślady z rewolwerem w dłoniach. Tomek, Wilmowski, Natasza i Zbyszek zdeterminowani pobiegli za nimi. Już dopadli wrogów. Wtem rozległ się przeciągły świst, potężniejszy z każdą sekundą. Jakuci zatrwożeni stanęli jak wrośnięci w ziemię. Zapomniawszy o walce, z zadartymi do góry głowami wpatrywali się w niebo. Bosman z rozpędem wpadł między nich. Jednego grzmotnął kolbą karabinu, drugiego wywrócił uderzeniem pięści, a potem zwarł się z kozackim dowódcą. Była to jednak krótka i samotna walka, gdyż wszyscy inni przerażeni patrzyli w górę na niezwykle zjawisko. Po nieboskłonie mknęła z południa na północ oślepiająca kula ognista, wlokąc za sobą długi, czarny ogon... Niebawem zniknęła za drzewami gdzieś w tajdze. Potężny, głuchy grzmot wstrząsnął ziemią... Niebo rozżarzyło się do białości, potem stało się żółtoczerwone, a w końcu poszarzało w półmroku. Gorący wiatr powiał z huraganową mocą. Kładł drzewa, wywracał konie i ludzi.



W szeregach Jakutów wszczął się popłoch.

– Ogda! Ogda! – rozbrzmiewały przerażone głosy.

Jakuci porzucili karabiny, chwyтали konie, gromadnie uciekali z upiornego lasu. Panika ich udzieliła się i Kozakom. Zaczęli umykać.

Przeraźliwe okrzyki strachu oddalały się coraz bardziej. Po jakimś czasie wichura ucichła, choć niebo wciąż jeszcze pogrążone było w półmroku.

Oszołomieni podróżnicy spoglądali na siebie wylękłym, niedowierzającym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

– Czyżby to był koniec świata?! – zawołał bosman, niepewnie rozglądając się dokoła.

– Jakiś niezwykle kataklizm dotknął ziemi[144] – drżącym głosem odparł Wilmowski.

– Jakuci wołali, że to znak Ogdy, czyli boga ognia i błyskawic – wtrącił Zbyszek, który zdążył nieco poznać mowę krajowców.

– Do licha z przesadami! Chwytać konie i w drogę! – krzyknął Smuga.

## NIEOCZEKIWANA POMOC

**Bosman i Tomek już od pięciu dni czuwali na wybrzeżu Amuru. Zaszyci w nadrzeczne krzewy czaili się na wysokiej skarpie stromo opadającej ku wodzie. Marynarz legł na brzuchu. Oparty na łokciach trzymał w dłoniach lunetę. Od czasu do czasu spoglądał przez nią w górę rzeki, to znów wodził wzrokiem po przeciwległym rosyjskim brzegu. Tomek zaś zwracał uwagę na wierzchowce ukryte w zaroślach okalających wysuniętą w rzekę skarpe i milczał zadumany.**

**Prawie dwa tygodnie minęły od bitwy z pościgiem, która omal nie zakończyła się tragicznie dla uczestników tajemniczej wyprawy. Jedynie dzięki niezwykle, przerażającemu wydarzeniu udało im się ująć z życiem. Potem przez długie, pełne napięcia dni i noce przedzierali się przez kamieniste wzgórza oraz tajgę, aż w końcu dobrnęli do Amuru. Podczas nocnej przeprawy na mandzurski brzeg ponieśli dotkliwą stratę: przepływając rzekę w potajemnie zabranej rybakom łodzi, ciągnęli za nią wierzchowce uwiązane na arkanach. Niestety, trzy z nich zatoneły. Przeciążona ludźmi chybotliwa łódź i ciemność uniemożliwiały jakikolwiek ratunek. Wyczerpani ledwo dotarli do fanzy Fu Czau, gdzie przezorny Smuga pozostawił po bitwie z chunchuzami trochę różnych zapasów. Stary Chińczyk przyjął ich niezwykle gościnnie. O nic nie pytał.**

**Zagubiona u podnóża gór fanza stanowiła dla nich nadzwyczaj dogodne schronienie. Wszyscy łaknęli wypoczynku, a wynędzniały Zbyszek i nieprzywykła do nużących konnych jazd Natasza wprost nie byli zdolni do natychmiastowego wyruszenia w dalszą drogę, najeżoną niewiadomymi**

przeszkodami.

Smuga długo głowił się nad ustaleniem marszruty w kierunku morza. Po utracie trzech wierzchowców część uczestników wyprawy musiałaby iść pieszo. Wykluczało to możliwość przybycia na wybrzeże morskie w terminie ustalonym z Panditem Davasarmanem. Cóż by się stało, gdyby odplynął bez nich, nie mogąc zbytnio przedłużyć oczekiwania? Smuga chodził zasepiony. Często po cichu naradzał się z przyjaciółmi. Poprzednio zamierzał szybkimi etapami przekraść się przez Mandzurię do rzeki Ussuri, a potem przeprowić się przez nią i brzegiem Imanu, jej dopływu, dotrzeć w pobliże zatoki Tierniej. Utrata części koni oraz osłabienie dwojga zesłańców udaremniały taki plan.

Podczas jednej z narad bosman podsunął pewną myśl. Mianowicie przypomniał pożegnanie z kapitanem "Sungaszy", Niekrasowem. Powiedział on wtedy bosmanowi, że zanim Amur zamarźnie, odbędzie jeszcze kilka rejsów w górę rzeki. Obiecał również, iż chętnie z powrotem przewiezie wyprawę do Chabarowska. Sygnałem dla zatrzymania holownika miały być cztery wystrzały. Wszyscy byli zdania, że Niekrasowowi można by zaufać. Przecież był dawnym zesłańcem politycznym, nienawidził carskich rządów tak jak i oni. Nawet ostrzegał ich przed Pawłowem. Czy jednak teraz nie zawaha się pomóc uciekinierom poszukiwanym przez władze? Czy zaryzykuje życie?

Zbyt duża zwłoka groziła katastrofalnymi następstwami. Toteż Smuga wyprawiał Tomka z bosmanem na brzeg rzeki, aby próbowali szczęścia.

Mijał piąty dzień od opuszczenia fanzy. W tym czasie przepłynęły tylko trzy statki: jeden w górę, a dwa w dół rzeki. Według polecenia Smugi wypad nad Amur nie mógł przekroczyć tygodnia. Gdyby w tym terminie nie napotkali "Sungaszy", zdecydowany był rozpocząć marsz ku wschodowi. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę z nikłości szans "polowania" na "Sungaszę". Przede wszystkim mogli w ogóle nie doczekać się holownika, gdyby zaś płynął w górę Amuru, nie mieli czasu czekać na jego powrót. Poza tym kapitan Niekrasow mógł nie zgodzić się na potajemny przewóz wyjętych spod prawa uczestników wyprawy. Smuga niewiele liczył na szczęśliwy przypadek. Wysłał bosmana i Tomka, gdyż niecierpliwili się oczekując beczynninie, a Zbyszek i Natasza potrzebowali jeszcze wypoczynku.

Tymczasem dwaj kompani czuwali bez wytchnienia. Obawiali się, aby "Sungasza" nie minęła ich nocą. Przecież wtedy mogliby jej nie rozpoznać. Trochę przesądny bosman wierzył niezłomnie w szczęśliwą gwiazdę Tomka. Ile to razy jego intuicja i pomysły pomagały im wyjść cało z różnych opresji! Toteż co chwila oddawał Tomkowi lunetę, mówiąc:

– Zerknij, brachu! Zadawałeś się z różnymi szamanami, to może uda ci się wyczarować "Sungaszę"!

**Tomek niezmordowanie spełniał jego prośby, lecz holownik nie pojawiał się na horyzoncie. Piątego dnia po południu Tomek właśnie przygotowywał kolację, gdy bosman lustrujący Amur nagle zawołał:**

**– Jakaś krypa wali w dół rzeki!**

**Tomek zapomniał o jedzeniu. Spojrzał na zachód. W dali wąska smuga dymu snuła się ku niebu. Po jakimś czasie zaczerniły się kontury statku.**

**– Niech mnie rekin połknie, jeśli to nie jakiś holownik typu “Sungaszy”! – znów zawołał marynarz.**

**Tomek porwał lunetę. Długo przyglądał się statkowi, a potem podniecony wyrzucił z siebie jednym tchem:**

**– Nie myli się pan, to holownik! Ciągnie za sobą dwie barki!**

**– To już dawno spostrzegłem gołym okiem – z cieniem zarozumiałości rzekł bosman, dumny ze swego sokolego wzroku, co niejednokrotnie z naciskiem podkreślał. – Myślałem, żeś odczytał nazwę!**

**– Niestety, dla mnie jeszcze za daleko, może pan zerknie przez lunetę?**

**– Iiii, patrz lepiej ty! – odparł bosman. – Zawsze padasz jak kot na cztery łapy, to może i tym razem ci się poszczęści...**

**Tomek znów uniósł lunetę. Patrzył skupiony... Nagle odwrócił się do przyjaciela.**

**– Bosmanie, to chyba... naprawdę “Sungasza”! Niech pan sprawdzi...**

**Marynarz porwał lunetę. Po chwili rzucił ją na ziemię i zaczął się rozbierać.**

**– Czy pan oszalał?! – zawołał Tomek. – Po jakie лихо ściąga pan spodnie?!**

**– W ubraniu źle się płynie – krótko odparł bosman. – To “Sungasza”!**

**– Nie myli się pan?! – Tomek nie dowierzał jeszcze.**

**– Wiedziałem, brachu, że ty ją wypatrzysz! Zrobiłeś swoje, teraz na mnie kolej. Złożę wizytę kapitanowi Niekrasowowi.**

**– Czyżby pan miał zamiar podpłynąć wpław do holownika?**

**– A jakże, brachu! Strzelanie nie jest tu dla nas bezpieczne, a poza tym może nawet nie zwróciłoby uwagi Niekrasowa. Przecież znajdujemy się na mandzurskim brzegu!**

**– Tak, lecz woda jest bardzo zimna...**

**– Nie kłopotz się, nie pierwszyczna to dla mnie!**

**– To płynimy razem!**

– Nic z tego brachu, trzymaj szkapy w pogotowiu. Migiem będę na krypie. Jedź równo z nią w dół rzeki, dopóki nie wrócę do ciebie. Kapujesz?

– Dobrze, bosmanie, niech pan uważa na siebie!

– Nie bój się, co ma wisieć, nie utonie...

Holownik znajdował się od nich zaledwie o jakieś trzysta metrów. Teraz nawet bez pomocy lunety Tomek odczytał jego nazwę. To była “Sungasza”.

Bosman wziął krótki rozbieg. Wprost ze skarpy skoczył do wody. Wypłynął na wierzch kilkanaście metrów od brzegu. Wartki nurt znosił go w dół rzeki. Bosman zaczął płynąć ukosem w kierunku środka koryta. Początkowo szybko oddalał się od wybrzeża. Czujnym wzrokiem spoglądał przed siebie, wypatrując wirów, to znów zerkał na “Sungaszę”, mierząc odległość dzielącą go od niej. Naraz ujrzał przed sobą szerokie, wirujące kolisko. Chciał je wyminąć, lecz gwałtowniejszy w tym miejscu nurt pchał go wprost w groźne wiry. Bosman odważnie poddał się prądowi. Był już zaledwie o kilka metrów przed wodną kipiela; zręcznym wyrzutem ciała skrył się pod powierzchnią wody. Potężnymi ruchami rąk i nóg nurkował ukosem, by przeciąć kolisko wiru jak najbliżej dna, a więc w miejscu, gdzie lej był najwęższy. Szarpnęło nim mocno, zakołowało, wciągało w dół. Krótkie, ostre wyrzuty rąk uwolniły go ze zdradliwej pułapki. Wkrótce, prychając, bosman wynurzył się z toni, równocześnie poczuł kłujący ból w lewej łydce. Przestał walczyć z prądem. “Sungasza” już go doganiała, a tymczasem skurcz stawał się coraz dokuczliwszy. Mimo iż szczykał zębami z zimna, krople potu pojawiły się na jego czole.

Gwałtownymi wyrzutami rąk zaczął płynąć w dół rzeki. Jeśli nie doścignie holownika, będzie zgubiony. Skurcz prawie wykręcał mu stopę, paraliżował nogę. Po kilku minutach ogromnego wysiłku bosman znalazł się zaledwie o kilka metrów od “Sungaszy”. Wymijała go, sypiąc z komina wielkimi iskrami ognia.

– Niekrasow! – krzyknął bosman.

Na krótką chwilę zniknął pod powierzchnią wody. Wynurzył się, walcząc z niemocą. Przed oczyma wirowały mu czarno-czerwone płaty. Ostatkiem sił woli krzyknął jeszcze raz:

– Niekrasow!

– Ahoy, kapitanie, człowiek za burta! – wrzasnął ktoś na holowniku. Koło ratunkowe upadło zaledwie o jedno wyciągnięcie ręki od bosmana. Przytrzymał je dłonią. Ciało jego naraz stało się lżejsze.

Przesunął ramię przez środek koła, wsparł się na nim. Maszyny na “Sungaszy” ucichły. Koło ratunkowe pociągane za linkę dotknęło burty. Opuszczono drabinkę. Silne dłonie marynarza uchwyciły bosmana za

ramiona, pomogły mu wspiąć się na pokład. Kolana ugięły się pod bosmanem. Runął na deski pokładu, wprost pod nogi swoich wybawców. Marynarze z “Sungaszy” przewrócili go na plecy, podtrzymali głowę.

– Kurcz mnie chwycił – szepnął z wysiłkiem. – W porę przyszłście z pomocą...

– Iwan, wódki! – krzyknął Niekrasow, patrząc nie dowierzającym wzrokiem w sinawą twarz topielca.

Bosman łyknął siwuchy. Iwan wprawnie masował jego zdętwiałe członki. Poczul znaczną ulgę. Siadł już o własnych siłach; odetchnął głęboko.

– Do licha, niedźwiedziu! Prędzej mógłbym się spodziewać, że znajde cię w brzuchach carskich szpicli niż w rzece – odezwał się Niekrasow. – A więc jednak nie schwytali was! Gdzie twoi towarzysze? Czy zesłaniec, którego chcieliście uprowadzić z Ałdanu, naprawdę żyje?!

Bosman zaniemówił ze zdumienia.

– Gdzie twoi towarzysze? Co z nimi?! – Niekrasow niecierpliwie ponowił pytania.

– Wszyscy żyją... – ostrożnie odparł bosman. Nie mógł pojąć, w jaki sposób kapitan “Sungaszy” dowiedział się o wyprawie do Ałdanu i zesłańcu.

Niekrasow przykucnął przy nim i spokojnie mówił.

– Słuchaj dobrze, niedźwiedziu! Wracam ze Streteńska. Tam wszyscy głośno rozprawiają o waszej szaleńczej wyprawie. Podobno poszukiwaliście jakiegoś zesłańca w Nerczyńsku. Nie zastawszy go tam, postrzeliliście w pojedynku oficera żandarmerii, uwięziliście agenta tajnej policji – domyślam się, że to był Pawłow – i przekradliście się do Ałdanu, gdzie przebywał ów zesłaniec. Jeden z was podszył się pod uwięzionego Pawłowa, pochował niby to zmarłego zesłańca i umknęlibyście z nim po cichu, gdyby nie tenże Pawłow. Uciekł wam i narobił galimatiasu. Mówią, że wasza współpracownica, zesłana za nieprawomyślność, zastrzeliła go, gdy próbował aresztować w Ałdanie tego, który przywłaszczył sobie jego dokumenty. Po waszej ucieczce z Ałdanu urjadnik, przeprowadził śledztwo. Rozkopał grób zesłańca. W trumnie były kamienie...

– Do stu beczek zjełczalego tranu, tegośmy się po nim nie spodziewali! A to cwaniak! – krzyknął bosman.

– Słuchaj dalej – ciągnął Niekrasow. – Urjadnik zaalarmował gubernatorów w Czycie i Chabarowsku, wysłał pogoń, która wróciła mocno poszczerbiona i wystraszona waszymi “czarami”. Podobno wezwaliście na pomoc piekielne moce... Patrole wojskowe poszukują was teraz na wszystkich traktach, a ludziska w Streteńsku robią zakłady, czy zostanieie

**schwytni, czy też nie!**

**– Ha, skoro wiesz pan niemal wszystko, tym lepiej – powiedział marynarz. – Przycupnęliśmy w kryjówce w mandzurskiej stronie Amuru. Utonęło nam kilka szkap podczas przeprawy przez rzekę i teraz...**

**– Chodź do mojej kajuty – przerwał Niekrasow. – Iwan, zakotwicz “Sungaszę” w pobliżu prawego brzegu. W razie czego, uszkodzenie w kotłowni, rozumiesz?**

**– Rozkaz, kapitanie! – odparł Iwan i mrugnął okiem. Weszli do kajuty.**

**– Czy nie jesteś pan zbyt pewny swoich zuchów! – zapytał bosman.**

**– Nie bój się, niedźwiedziu, sam doбираłem załogę – odparł Niekrasow. – Domyślam się, że teraz pilnie potrzebujecie pomocy.**

**– Lubię męskie słowa, więc powiem krótko: musimy dostać się do rzeki Iman w Kraju Ussuryjskim – wyjaśnił bosman. – Jeśli nie przybędziemy na czas w umówione miejsce nad morzem, utracimy łączność z naszym statkiem... i...**

**– I sznur szubienicy może zacisnąć się na waszych szyjach – dokończył Niekrasow.**

**– A jakże, to właśnie chciałem powiedzieć – przytaknął bosman.**

**Niekrasow podumał chwilę, po czym odezwał się:**

**– Płynę z ładunkiem kozuchów do Kamienia Rybołowa nad jeziorem Chanka[145], będę przepływał koło ujścia Imanu do Ussuri. Ilu was jest?**

**– Pięciu i jedna dziewczyna.**

**– Spotkacie “Sungaszę” o kilka kilometrów w dół rzeki od stacji zaopatrującej statki w opał, czyli stąd o jakieś sześć lub siedem kilometrów. Zarzucę kotwicę w pobliżu mandzurskiego brzegu. Czy zdążycie tam przed północą?**

**– Musimy zdążyć, szanowny panie! Słuchaj pan, w razie wpadki zadyndasz razem z nami na szubienicy – ostrzegł bosman.**

**Melancholijny uśmiech pojawił się na ustach Niekrasowa. Klepnął bosmana w plecy i odparł:**

**– Ha, to przynajmniej pohośćtam się w dobrym towarzystwie! Raz matka rodziła, raz tylko się umrze! Nie kłopotz się o mnie! Hej, Iwan!**

**Barczyste chłopisko zajrzało do kajuty.**

**– Podnieś kotwicę... i płyn jak najbliżej prawego brzegu – rozkazał Niekrasow.**

**Wkrótce “Sungasza” nieznacznie zaczęła się przybliżać do wybrzeża**

**mandzurskiego. Niekrasow wyjrzał przez iluminator.**

**– Czas na ciebie, niedźwiedziu – powiedział. – Zabierzcie tylko najniezbędniejsze przedmioty i uprząż. Konie na barce zwracałyby uwagę patroli wojskowych, które was poszukują.**

**Bosman kiwnął głową. Wyciągnął łapsko do Niekrasowa.**

**– Pamiętasz, gdzie mamy się spotkać? – zapytał Rosjanin, mocno ściskając dłoń bosmana.**

**– Trafie z zawiązanymi ślepiami...**

**Wyszli na pokład.**

**– Iwan, co na horyzoncie?! – krzyknął kapitan.**

**– Droga wolna! – odkrzyknął Iwan.**

**Bosman machnął im dłonią na pożegnanie, wspiał się na poręcz burty. Śmignął do wody. Wkrótce wyszedł na brzeg. Z dala wypatrzył Tomka nadjeżdżającego z końmi. Pobiegnął mu naprzeciw.**

**– Dawaj łachy, bo ciut zmarzłem – zawołał, gdy Tomek tuż przed nim osadził wierzchowce. – W te pędy musimy gnać po naszych, bo już kupiłem bilety na statek! Zaokrętuujemy się przed północą...**

**“Sungasza” płynęła w dół rzeki, prowadząc na bocznym holu dwie barki. Kapitan nie schodził z pomostu nawigacyjnego. Błagowieszceńsk był już blisko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w mieście tym skupiały się główne ogniwa pogoni rozesłanej za uciekinierami. Wyprawa rzekomych łowców dzikich zwierząt właśnie z Kraju Nadamurskiego przekradła się do Ałdanu w Jakucji i tą też drogą najdogodniej mogła umykać w kierunku wybrzeża morskiego lub granicy chińskiej. Należało się spodziewać, że Błagowieszceńsk, jako siedziba gubernatora Kraju Nadamurskiego, stanowi najostrzejszy punkt kontrolny. Przecież na wszystkich stacjach zaopatrujących statki w opał rozprawiano o licznych kontrolach wojskowych przebiegających kraj wzdłuż i wszerz.**

**Niekrasow zdawał sobie sprawę, że udzielając pomocy uciekinierom rozpoczął niebezpieczną grę, w której stawką było życie garstki nieustraszonych ludzi. Wiedział również, że w przypadku niepowodzenia podzieli ich los. Mimo to nie zawahał się ani przez chwilę. Podczas długich lat katorgi sam marzył o tym, na co porwali się ci szaleńcy. Czyż mógł teraz odmówić im pomocy? Wiedział już dlaczego policja carska prześladowała Wilmowskiego, bosmana oraz młodego zesłańca i Nataszę: oni również walczyli przeciwko caratowi.**

**Niekrasow ćmił fajkę. Spokojnym pozornie wzrokiem spoglądał na nadbudówkę, mieszczącą się na rufie barki. Pod jej podłogą znajdowała się**



**komora. Tam właśnie ukrył uciekinierów.**

**Chmurny, słotny dzień dobiegał końca. Niekrasow wychylił się z pomostu nawigacyjnego. Spojrzał w niebo. Najdalej za dwie godziny miał nadejść wieczór.**

**– Iwan, na stanowisko! – rozkazał. Potem polecił zwiększyć szybkość “Sungaszy”.**

**Iwan z zawiniątkiem pod pachą pobiegł do nadbudówki na barce. Na lewym brzegu już wyrastał Błagowieszczeńsk.**

**Niekrasow uniósł lornetkę do oczu. Na przystani na nabrzeżu przycumowany był jakiś statek. Na przednim pokładzie stali stłoczeni pasażerowie. Otaczała ich umundurowana policja. Na przystani widać było uzbrojonych żołnierzy. Zachmurzone niebo nie rokowało, aby statek mógł tego dnia jeszcze wyruszyć w dalszą drogę. Ciemna noc przerywała zazwyczaj żeglugę na Amurze.**

**Kapitan “Sungaszy” wsunął dłoń pod kurtkę. Dotknął rękojeści rewolweru. Upewniwszy się, że broń jest gotowa do strzału, zapalił wygasłą fajkę i rzucił krótki rozkaz:**

**– Przybijamy! Wszyscy na stanowiska!**

**“Sungasza” krótkim, urywanym gwizdem oznajmiła swe przybycie. Ostrożnie przyłgnęła lewym bokiem do statku zakotwiczonego przy pomoście. Naczelnik policji przybiegł do burty.**

**– Wszystkich ludzi zawołać na pokład! – zakomenderował.**

**Niekrasow znał policyjnego dostojnika. Pozdrowił go przyłożeniem ręki do daszka czapki i odparł:**

**– Jak pan sobie życzy, proszę jednak o zabranie z pokładu ciężko chorego!**

**– Cóż to za chory? – podejrzliwie zapytał naczelnik.**

**– Człowiek z załogi...**

**– Co mu jest?**

**– Nie jestem pewny, ale... obawiam się pozostawić go na statku.**

**– Zaraz się nim zajmiemy. Masz pan jakichś pasażerów?**

**– Nie. Hej, Milutin, zwołaj wszystkich na pokład!**

**Załoga “Sungaszy” zaczęła się grupować przy lewej burcie statku, gdzie leżał zwój lin. W nim ukryta była krótka broń. Jeden z palaczy trzymał w dłoni ciężki żelazny klucz, drugiemu zza pasa wystawała rękojeść noża. W tej chwili naczelnik policji wkroczył na pokład w asyście mundurowej i tajnej policji oraz kilku żołnierzy.**

– Nie widzę tu nikogo chorego – rzekł szorstko, mierząc wzrokiem milczącą załogę. – Gdzie on?

– W nadbudówce na barce – powiedział Niekrasow.

– Dlaczego tam? – podejrzliwie indagował naczelnik.

Niekrasow pochylił się ku niemu.

– Niech wasze wysokobłagorodje go obejrzy, a na pewno wszystko zrozumie...

– Przeszukać holownik! Ktokolwiek nie wyszedł na pokład, zakuć w dyby – rzucił rozkaz policjantom, po czym dodał: – Sześciu żołnierzy za mną!

Niekrasow przełaził przez burtę holownika na barkę. Naczelnik otoczony uzbrojonymi żołnierzami szedł za nim. Niekrasow otworzył drzwi nadbudówki.

– Dlaczego tu ciemno? – warknął policjant, mierząc kapitana podejrzliwym wzrokiem.

– Chory mówi, że razi go światło – odparł Niekrasow. – Zaraz uchylę zasłony.

Podniósł z pokładu tykę, wsunął ją do izdebki i trochę odchylił worek zaciemniający okienko. Naczelnik przekroczył próg nadbudówki. Za nim wszedł żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Obydwaj zatrzymali się na widok człowieka leżącego na drewnianej koi. Piers jego unosiła się w nierównym oddechu. Zewnętrzną stroną dłoni osłaniał oczy. Naczelnik pochylił się nad nim. Ręce i zarośnięta twarz chorego pokrywały czerwone plamy i czarne strupy. Policjant cofnął się gwałtownie do drzwi.

– Co mu jest? – zapytał zmienionym głosem.

– Wygląda na ospę[146] – cicho wyjaśnił Niekrasow. – Ale czort go wie, może prokaza[147], nie znam się na tym. Trzymam go tutaj, by nie zaraził reszty załogi... Każ, wasze wysokobłagorodje, zabrać go do szpitala.

Naczelnik szybko wycofał się na pokład.

– Chcesz pan zarazę roznieść po mieście? – rzekł wzburzony. – Precz z portu! Jaki transport wieziecie i dokąd?

– Kożuchy do Kamienia Rybołowa.

– Wylaż stamtąd! – krzyknął naczelnik do żołnierza, który omal nie rozbił sobie głowy o futrynę niskich drzwi, wybiegając z nadbudówki.

Niekrasow teraz dopiero nieznacznie wysunął dłoń spod kożucha. Zmarszczył brwi i powiedział:

– Ten człowiek powinien być zabrany ze statku. Nie mogę pozostać bez

**załogi.**

**– Z rozkazu jego ekscelencji gubernatora ma pan zaraz opuścić port!**

**– Nie mogę płynąć nocą – zaprotestował Niekrasow.**

**– To zakotwicz pan statek gdzieś na środku rzeki z dala od miasta. Eskorta! Zajrzeć do pak na barkach! Ścisła rewizja!**

**Naczelnik wycofał się na holownik wraz z dowódcą żołnierzy. Niekrasow zapalił fajkę i spod oka przyglądał się buszowaniu żołnierzy na barkach. Nikt już więcej nie zbliżył się do pomieszczenia, gdzie leżał chory. Po kilku minutach policjanci i żołnierz opuścili holownik, zaraz też odcumowano go od statku.**

**“Sungasza” wolno odpływała. Niekrasow stał na pomoście, dopóki domów Błagowieszczęńska nie zatarł mrok. Wtedy dopiero poszedł do nadbudówki na barce.**

**– Iwan, na wachtę, ale umyty – krzyknął w prog.**

**– Rozkaz, kapitanie... Strupy same podpadały, bo chleb wysechł...**

**Kapitan roześmiał się, po czym zapalił świecę. Otworzył klapę w podłodze.**

**– Ostre pogotowie odwołane! Proszę na holownik na kolację! – zawołał.**

**– Ha, zaczynam wierzyć, że wydostaniemy się z matni – odezwał się bosman, z trudem przeciskając swe cielsko przez mały otwór w podłodze. – Przedni pomysł z tą ospą...**

**– Tym lepiej... dla nich i dla nas – odparł Niekrasow. – No, teraz możecie odłożyć broń. Noc będziemy mieli spokojną.**

## **CZY DAVASARMAN NIE ZAWIEDZIE**

**Była to jedna z tych ciemnych, zimnych i wietrznych nocy w Kraju Ussuryjskim. W zatoce Tierniej, tuż powyżej ujścia rzeki Sica do Morza Japońskiego, co pewien czas rozbłyskiwało czerwonawe, nierówne światelko. Błyski sprawiały wrażenie umyślnych sygnałów, przesyłanych komuś znajdującemu się na otwartym morzu. To właśnie Smuga i jego towarzysze rozpaczliwie wzywali Pandita Davasarmana, by zabrał ich na swój statek.**

**Minęło pięć długich dni i nocy, odkąd przyczaili się wśród złomów skalnych zalegających strome wybrzeże. Nadawali umówione sygnały, a Pandit Davasarman wciąż nie przybywał. Smuga właśnie stał pochylony nad obudowanym kamieniami ogniskiem nakrytym z góry kocem. W równych odstępach czasu unosił koc, odsłaniając ognisko od strony morza. W nocy błysk ognia powinien być z dala widoczny.**

**– Osiedliśmy na mieliźnie – mruknął bosman. – Wygląda na to, że zamiast**

**Davasarmana prędzej zwabimy Kozaków...**

– A może Udadżalaka niezbyt dokładnie zapamiętał instrukcję? – martwił się Tomek.

– Przybyliśmy kilkanaście dni później, niż to było umówione – odezwał się Wilmowski. – Nie sądzę wszakże, aby Davasarman nie liczył się z tą możliwością...

Tomek starał się przeniknąć wzrokiem ciemność nocy. Z dali płynął monotony szum morskich fal. Przejmujący wiatr poświstywał wśród bloków skalnych... Tomek spojrział na Nataszę i Zbyszka. Siedzieli skuleni pod głazem. Oni najbardziej odczuwali przeszło dwutygodniowe przekradanie się przez Kraj Ussuryjski. Niekrasow bezpiecznie przewiózł ich na swej "Sungaszy" aż do ujścia Imanu do Ussuri. Tutaj musieli się rozstać. Obawiając się wszelkiego rozgłosu, nie mogli ryzykować nabycia koni. Toteż zaopatrzeni jedynie w skromne zapasy żywności i w śpiwory zagłębili się w tajgę ussuryjską. Smuga i Wilmowski nie lękali się zabłądzenia. Rzeka Iman, płynąca ze wschodu na zachód, była im niezawodnym drogowskazem. Niestety, siły obydwójga zesłańców rychło się wyczerpały. Tempo marszu słabło z dnia na dzień. Kilkakrotnie krótkie odcinki drogi w głębi kraju odważyli się przebyć w łodziach wynajętych od krajowców. Rzadko jednak zaglądali do chińskich fanz czy też jurt Udechejczyków czy Goldów. Wieść o pojawieniu się grupy uzbrojonych cudzoziemców mogła zbyt szybko dotrzeć do posterunków wojskowych. Samotni poszukiwacze cennego korzenia żeńszeń oraz myśliwi często brali ich za bandę chunchuzów i natychmiast umykali na ich widok.

Opóźnienie, z jakim dotarli do umówionego z Davasarmanem miejsca nad morzem, mogło się przyczynić do ich ostatecznej zguby. Wyczerpani, pozbawieni zapasów żywności, z ukrywaną rozpaczą oczekiwali na ratunek, który nie nadchodził.

Jeden Smuga nie upadał na duchu. Noc w noc uporczywie nadawał ogniowe sygnały. Zawsze krotochwilny bosman teraz tylko wobec znękanych przyjaciół udawał humor, by podtrzymać ich na duchu. Skrycie coraz mocniej zaciskał pasa, a głośno pokpiwał, że wkrótce smukłością dorówna Nataszy.

Tomek posepnie obserwował Smugę i bosmana, którzy często zmieniali się przy nadawaniu sygnałów.

– Co zrobimy, jeżeli Pandit Davasarman już odpłynął bez nas? – odezwał się, nie mogąc dłużej ukrywać obaw.

– Davasarman nie zawiedzie – odparł Smuga. – Zapewne nie może się zbyt często kręcić w pobliżu wybrzeża.

– Święta racja, Davasarman to cwaniak nad cwaniaki, wie, co robi – wtórował bosman, aczkolwiek nurtowały go obawy.

– Na szczęście od wczoraj księżyc skrył się za chmurami – zauważył Wilmowski. – Taka noc jak dzisiejsza powinna sprzyjać naszemu przyjacielowi.

– Czy pan naprawdę jeszcze w to wierzy? – szepnęła Natasza.

Olbrzymi bosman przykucnął przy dziewczynie. Sękatym łapskiem pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

– Głód nam gra marsza w kiszkach, to i nosy zwiesiliśmy na kwintę, ale nie w takich bywaliśmy tarapatach! Prawda, brachu?! – zwrócił się do Tomka.

– A jakże, różnie bywało...

– Taki sam nastrój jak dzisiaj mieliśmy, gdy Indianie porwali i uprowadzili naszą Sally do Meksyku. A jednak odnaleźliśmy ją...

– Jak to było? Niech pan opowie – prosił Zbyszek chcąc rozproszyć złe myśli Nataszy.

– Ano, wybraliśmy się z Tomkiem do Arizony na spotkanie z Sally...

– Cicho! – ostrzegł Smuga, nastawiając ucha.

Gdzieś za nimi potoczył się kamień. Smuga przy dusił ognisko kocem, porwał karabin. Bosman, Tomek, Wilmowski i Zbyszek przycupnęli obok Nataszy z bronią w ręku. Ktoś skradał się za ich plecami z kierunku przeciwnego do morza. Mógł to być tylko wróg...

Smuga usiłował wzrokiem przeniknąć ciemność. Nagle tuż nad nim zawołał ktoś po rosyjsku:

– Nie strzelać! Kto wy?!

Milczeli, ściskając broń w zgrabiałych z zimna dłoniach.

– Nie ruszać się, trzymam was na muszkach karabinów – znów ozwano się z ukrycia. – Kim jesteście?

Jakaś postać zsunęła się ze skały, zerwała koc tłumiący ognisko. Czerwonawy płomień ożył pod podmuchem wiatru. Ujrzeni mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, w kapturze. W ręku trzymał rewolwer. Za nim zamajaczyło w mroku kilka zakapturzonych postaci, z karabinami skierowanymi wprost na uciekinierów przyczajonych pod głazem.

– Sahibie, jesteście! – zabrzmiał spokojny, niezapomniany dla każdego, kto go choć raz w życiu słyszał, pełen ciepła głos.

– Pandicie! – krzyknął Smuga. Ten surowy i powściągliwy mężczyzna wyciągnął ku Indusowi rozwarte do uścisku ramiona.

Po chwili wszyscy ściskali dłoń Davasarmana, a on wzrokiem przebiegał od twarzy do twarzy.

– Bogowie czuwali nad wami... – rzekł wzruszony. – Nikogo nie brak...

– A jakże, jesteśmy nawet w nieco większym komplecie, niż się spodziewałeś – wyjaśnił bosman.

– Nie traćmy czasu, niedługo będzie świtało – powiedział Davasarman. – Łódź czeka o kilkaset metrów na południe...

Natasza zachwiała się na nogach. Bosman porwał ją na rękę.

– Prowadź pan, panie Davasarman, bo umieram z głodu i pragnienia – zawołał. – Poniosę tego dzieciaka, będzie prędzej!

Duża łódź pełna milczących postaci szybko oddalała się od brzegu. Wilmowski otoczył Tomka ramieniem. Przepelnieni radością w milczeniu wpatrywali się w ciemny kontur jachtu.

## NIEOCZEKIWANA POMOC

Bosman i Tomek już od pięciu dni czuwali na wybrzeżu Amuru. Zaszyci w nadrzeczne krzewy czaili się na wysokiej skarpie stromo opadającej ku wodzie. Marynarz legł na brzuchu. Oparty na łokciach trzymał w dłoniach lunetę. Od czasu do czasu spoglądał przez nią w górę rzeki, to znów wodził wzrokiem po przeciwległym rosyjskim brzegu. Tomek zaś zwracał uwagę na wierzchowce ukryte w zaroślach okalających wysuniętą w rzekę skarpe i milczał zadumany.

Prawie dwa tygodnie minęły od bitwy z pościgiem, która omal nie zakończyła się tragicznie dla uczestników tajemniczej wyprawy. Jedynie dzięki niezwykłemu, przerażającemu wydarzeniu udało im się ująć z życiem. Potem przez długie, pełne napięcia dni i noce przedzierali się przez kamieniste wzgórza oraz tajgę, aż w końcu dobrnęli do Amuru. Podczas nocnej przeprawy na mandzurski brzeg ponieśli dotkliwą stratę: przepływając rzekę w potajemnie zabranej rybakom łodzi, ciągnęli za nią wierzchowce uwiązane na arkanach. Niestety, trzy z nich zatoneły. Przeciążona ludźmi chybotliwa łódź i ciemność uniemożliwiały jakikolwiek ratunek. Wyczerpani ledwo dotarli do fanzy Fu Czau, gdzie przezorny Smuga pozostawił po bitwie z chunchuzami trochę różnych zapasów. Stary Chińczyk przyjął ich niezwykle gościnnie. O nic nie pytał.

Zagubiona u podnóża gór fanza stanowiła dla nich nadzwyczaj dogodne schronienie. Wszyscy łaknęli wypoczynku, a wynędzniały Zbyszek i nieprzywykła do nużących konnych jazd Natasza wprost nie byli zdolni do natychmiastowego wyruszenia w dalszą drogę, najezoną niewiadomymi przeszkodami.

Smuga długo głowił się nad ustaleniem marszruty w kierunku morza. Po utracie trzech wierzchowców część uczestników wyprawy musiałaby iść pieszo. Wykluczało to możliwość przybycia na wybrzeże morskie w terminie ustalonym z Panditem Davasarmanem. Cóż by się stało, gdyby odpłynął bez nich, nie mogąc zbyt długo przedłużyć oczekiwania? Smuga chodził zasepiony. Często po cichu naradzał się z przyjaciółmi. Poprzednio zamierzał szybkimi etapami przekraść się przez Mandzurię do rzeki Ussuri, a potem przeprowić się przez nią i brzegiem Imanu, jej dopływu, dotrzeć w pobliże zatoki Tierniej. Utrata części koni oraz osłabienie dwojga zesłańców udaremniały taki plan.

Podczas jednej z narad bosman podsunął pewną myśl. Mianowicie przypomniał pożegnanie z kapitanem "Sungaszy", Niekrasowem. Powiedział on wtedy bosmanowi, że zanim Amur zamarznie, odbędzie jeszcze kilka rejsów w górę rzeki. Obiecał również, iż chętnie z powrotem przewiezie wyprawę do Chabarowska. Sygnałem dla zatrzymania holownika miały być cztery wystrzały. Wszyscy byli zdania, że Niekrasowowi można by zaufać. Przecież był dawnym zesłańcem politycznym, nienawidził carskich rządów tak jak i oni. Nawet ostrzegał ich przed Pawłowem. Czy jednak teraz nie zawaha się pomóc uciekinierom poszukiwanym przez władze? Czy zaryzykuje życie?

Zbyt duża zwłoka groziła katastrofalnymi następstwami. Toteż Smuga wyprawił Tomka z bosmanem na brzeg rzeki, aby próbowali szczęścia.

Mijał piąty dzień od opuszczenia fanzy. W tym czasie przepłynęły tylko trzy statki:



jeden w górę, a dwa w dół rzeki. Według polecenia Smugi wypad nad Amur nie mógł przekroczyć tygodnia. Gdyby w tym terminie nie napotkali “Sungaszy”, zdecydowany był rozpocząć marsz ku wschodowi. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę z nikłości szans “polowania” na “Sungaszę”. Przede wszystkim mogli w ogóle nie doczekać się holownika, gdyby zaś płynął w górę Amuru, nie mieli czasu czekać na jego powrót. Poza tym kapitan Niekrasow mógł nie zgodzić się na potajemny przewóz wyjętych spod prawa uczestników wyprawy. Smuga niewiele liczył na szczęśliwy przypadek. Wysłał bosmana i Tomka, gdyż niecierpili się oczekując beczynnie, a Zbyszek i Natasza potrzebowali jeszcze wypoczynku.

Tymczasem dwaj kompani czuwali bez wytchnienia. Obawiali się, aby “Sungasza” nie minęła ich nocą. Przecież wtedy mogliby jej nie rozpoznać. Trochę przesądny bosman wierzył niezłomnie w szczęśliwą gwiazdę Tomka. Ile to razy jego intuicja i pomysły pomagały im wyjść cało z różnych opresji! Toteż co chwila oddawał Tomkowi lunetę, mówiąc:

– Zerknij, brachu! Zadawałeś się z różnymi szamanami, to może uda ci się wyczarować “Sungaszę”!

Tomek niezmiernie spełniał jego prośby, lecz holownik nie pojawiał się na horyzoncie. Piątego dnia po południu Tomek właśnie przygotowywał kolację, gdy bosman lustrujący Amur nagle zawołał:

– Jakaś krypa wali w dół rzeki!

Tomek zapomniał o jedzeniu. Spojrzał na zachód. W dali wąska smuga dymu snuła się ku niebu. Po jakimś czasie zaczerniły się kontury statku.

– Niech mnie rekin połknie, jeśli to nie jakiś holownik typu “Sungaszy”! – znów zawołał marynarz.

Tomek porwał lunetę. Długo przyglądał się statkowi, a potem podniecony wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Nie myli się pan, to holownik! Ciągnie za sobą dwie barki!

– To już dawno spostrzegłem gołym okiem – z cieniem zarozumiałości rzekł bosman, dumny ze swego sokolego wzroku, co niejednokrotnie z naciskiem podkreślał. – Myślałem, żeś odczytał nazwę!

– Niestety, dla mnie jeszcze za daleko, może pan zerknie przez lunetę?

– Iiii, patrz lepiej ty! – odparł bosman. – Zawsze padasz jak kot na cztery łapy, to może i tym razem ci się poszczęści...

Tomek znów uniósł lunetę. Patrzył skupiony... Nagle odwrócił się do przyjaciela.

– Bosmanie, to chyba... naprawdę “Sungasza”! Niech pan sprawdzi...

Marynarz porwał lunetę. Po chwili rzucił ją na ziemię i zaczął się rozbierać.

– Czy pan oszalał?! – zawołał Tomek. – Po jakie licho ściąga pan spodnie?!

– W ubraniu źle się płynie – krótko odparł bosman. – To “Sungasza”!

– Nie myli się pan?! – Tomek nie dowierzał jeszcze.

– Wiedziałem, brachu, że ty ją wypatrzysz! Zrobiłeś swoje, teraz na mnie kolej. Złożę wizytę kapitanowi Niekrasowowi.

– Czyżby pan miał zamiar podpłynąć wplaw do holownika?

– A jakże, brachu! Strzelanie nie jest tu dla nas bezpieczne, a poza tym może nawet nie zwróciłoby uwagi Niekrasowa. Przecież znajdujemy się na mandzurskim brzegu!

– Tak, lecz woda jest bardzo zimna...

– Nie kłopotz się, nie pierwszozna to dla mnie!

– To płynmy razem!

– Nic z tego brachu, trzymaj szkapy w pogotowiu. Migiem będę na krypie. Jedź równo z nią w dół rzeki, dopóki nie wrócę do ciebie. Kapujesz?

– Dobrze, bosmanie, niech pan uważa na siebie!

– Nie bój się, co ma wisieć, nie utonie...

Holownik znajdował się od nich zaledwie o jakieś trzysta metrów. Teraz nawet bez pomocy lunety Tomek odczytał jego nazwę. To była “Sungasza”.

Bosman wziął krótki rozbieg. Wprost ze skarpy skoczył do wody. Wypłynął na wierzch kilkanaście metrów od brzegu. Wartki nurt znosił go w dół rzeki. Bosman zaczął płynąć ukosem w kierunku środka koryta. Początkowo szybko oddalał się od wybrzeża. Czujnym wzrokiem spoglądał przed siebie, wypatrując wirów, to znów zerkał na “Sungaszę”, mierząc odległość dzielącą go od niej. Naraz ujrzał przed sobą szerokie, wirujące kolisko. Chciał je wyminąć, lecz gwałtowniejszy w tym miejscu nurt pchał go wprost w groźne wiry. Bosman odważnie poddał się prądowi. Był już zaledwie o kilka metrów przed wodną kipiela; zręcznym wyrzutem ciała skrył się pod powierzchnią wody. Potężnymi ruchami rąk i nóg nurkował ukosem, by przeciąć kolisko wiru jak najbliżej dna, a więc w miejscu, gdzie lej był najwęższy. Szarpnęło nim mocno, zakołowało, wciągało w dół. Krótkie, ostre wyrzuty rąk uwolniły go ze zdrażliwej pułapki. Wkrótce, prychając, bosman wynurzył się z toni, równocześnie poczuł kłujący ból w lewej łydce. Przestał walczyć z prądem. “Sungasza” już go doganiała, a tymczasem skurcz stawał się coraz dokuczliwszy. Mimo iż szcząkał zębami z zimna, krople potu pojawiły się na jego czole.

Gwałtownymi wyrzutami rąk zaczął płynąć w dół rzeki. Jeśli nie doścignie holownika, będzie zgubiony. Skurcz prawie wykręcał mu stopę, paraliżował nogę. Po kilku minutach ogromnego wysiłku bosman znalazł się zaledwie o kilka metrów od “Sungaszy”. Wymijała go, sypiąc z komina wielkimi iskrami ognia.

– Niekrasow! – krzyknął bosman.

Na krótką chwilę zniknął pod powierzchnią wody. Wynurzył się, walcząc z niemocą. Przed oczyma wirowały mu czarno-czerwone płyty. Ostatkiem sił woli krzyknął jeszcze

raz:

– Niekrasow!

– Ahoy, kapitanie, człowiek za burtą! – wrzasnął ktoś na holowniku. Koło ratunkowe upadło zaledwie o jedno wyciągnięcie ręki od bosmana. Przytrzymał je dłonią. Ciało jego naraz stało się lżejsze.

Przesunął ramię przez środek koła, wsparł się na nim. Maszyny na “Sungaszy” ucichły. Koło ratunkowe pociągane za linkę dotknęło burty. Opuszczono drabinkę. Silne dłonie marynarza uchwyciły bosmana za ramiona, pomogły mu wspiąć się na pokład. Kolana ugięły się pod bosmanem. Runął na deski pokładu, wprost pod nogi swoich wybawców. Marynarze z “Sungaszy” przewrócili go na plecy, podtrzymali głowę.

– Kurcz mnie chwycił – szepnął z wysiłkiem. – W porę przyszliście z pomocą...

– Iwan, wódki! – krzyknął Niekrasow, patrząc nie dowierzającym wzrokiem w sinawą twarz topielca.

Bosman łyknął siwuchy. Iwan wprawnie masował jego zdrętwiałe członki. Poczul znaczną ulgę. Siadł już o własnych siłach; odetchnął głęboko.

– Do licha, niedźwiedziu! Prędzej mógłbym się spodziewać, że znajdę cię w brzuchach carskich szpicli niż w rzece – odezwał się Niekrasow. – A więc jednak nie schwytali was! Gdzie twoi towarzysze? Czy zesłaniec, którego chcieliście uprowadzić z Ałdanu, naprawdę żyje?!

Bosman zaniemówił ze zdumienia.

– Gdzie twoi towarzysze? Co z nimi?! – Niekrasow niecierpliwie powtórzył pytania.

– Wszyscy żyją... – ostrożnie odparł bosman. Nie mógł pojąć, w jaki sposób kapitan “Sungaszy” dowiedział się o wyprawie do Ałdanu i zesłańcu.

Niekrasow przykucnął przy nim i spokojnie mówił.

– Słuchaj dobrze, niedźwiedziu! Wracam ze Streteńska. Tam wszyscy głośno rozprawiają o waszej szaleńczej wyprawie. Podobno poszukiwaliście jakiegoś zesłańca w Nerczyńsku. Nie zastawszy go tam, postrzeliliście w pojedynku oficera żandarmerii, uwięziliście agenta tajnej policji – domyślam się, że to był Pawłow – i przekradliście się do Ałdanu, gdzie przebywał ów zesłaniec. Jeden z was podszył się pod uwięzionego Pawłowa, pochował niby to zmarłego zesłańca i umknęlibyście z nim po cichu, gdyby nie tenże Pawłow. Uciekł wam i narobił galimatiasu. Mówią, że wasza współpracownica, zesłana za nieprawomyślność, zastrzeliła go, gdy próbował aresztować w Ałdanie tego, który przywłaszczył sobie jego dokumenty. Po waszej ucieczce z Ałdanu urjadnik, przeprowadził śledztwo. Rozkopał grób zesłańca. W trumnie były kamienie...

– Do stu beczek zjełczanego tranu, tegośmy się po nim nie spodziewali! A to cwaniak! – krzyknął bosman.

– Słuchaj dalej – ciągnął Niekrasow. – Urjadnik zaalarmował gubernatorów w Czycie i

Chabarowski, wysłał pogoń, która wróciła mocno poszczerbiona i wystraszona waszymi “czarami”. Podobno wezwaliście na pomoc piekielne moce... Patrole wojskowe poszukują was teraz na wszystkich traktach, a ludziska w Streteńsku robią zakłady, czy zostanieie schwytni, czy też nie!

– Ha, skoro wiesz pan niemal wszystko, tym lepiej – powiedział marynarz. – Przycupnęliśmy w kryjówce w mandzurskiej stronie Amuru. Utonęło nam kilka szkap podczas przeprawy przez rzekę i teraz...

– Chodź do mojej kajuty – przerwał Niekrasow. – Iwan, zakotwicz “Sungaszę” w pobliżu prawego brzegu. W razie czego, uszkodzenie w kotłowni, rozumiesz?

– Rozkaz, kapitanie! – odparł Iwan i mrugnął okiem. Weszli do kajuty.

– Czy nie jesteś pan zbyt pewny swoich zuchów! – zapytał bosman.

– Nie bój się, niedźwiedziu, sam dobierałem załogę – odparł Niekrasow. – Domyślam się, że teraz pilnie potrzebujecie pomocy.

– Lubię męskie słowa, więc powiem krótko: musimy dostać się do rzeki Iman w Kraju Ussuryjskim – wyjaśnił bosman. – Jeśli nie przybędziemy na czas w umówione miejsce nad morzem, utracimy łączność z naszym statkiem... i...

– I sznur szubienicy może zacisnąć się na waszych szyjach – dokończył Niekrasow.

– A jakże, to właśnie chciałem powiedzieć – przytaknął bosman.

Niekrasow podumał chwilę, po czym odezwał się:

– Płynę z ładunkiem kozuchów do Kamienia Rybołowa nad jeziorem Chanka[145], będę przepływał koło ujścia Imanu do Ussuri. Ilu was jest?

– Pięciu i jedna dziewczyna.

– Spotkacie “Sungaszę” o kilka kilometrów w dół rzeki od stacji zaopatrującej statki w opał, czyli stąd o jakieś sześć lub siedem kilometrów. Zrzucę kotwicę w pobliżu mandzurskiego brzegu. Czy zdążycie tam przed północą?

– Musimy zdążyć, szanowny panie! Słuchaj pan, w razie wpadki zadyndasz razem z nami na szubienicy – ostrzegł bosman.

Melancholijny uśmiech pojawił się na ustach Niekrasowa. Klepnął bosmana w plecy i odparł:

– Ha, to przynajmniej pohośćam się w dobrym towarzystwie! Raz matka rodziła, raz tylko się umrze! Nie kłopotz się o mnie! Hej, Iwan!

Barczyście chłopisko zajrzało do kajuty.

– Podnieś kotwicę... i płyn jak najbliżej prawego brzegu – rozkazał Niekrasow.

Wkrótce “Sungasza” nieznacznie zaczęła się przybliżać do wybrzeża mandzurskiego. Niekrasow wyjrzał przez iluminator.

– Czas na ciebie, niedźwiedziu – powiedział. – Zabierzcie tylko najniezbędniejsze przedmioty i uprząż. Konie na barce zwracałyby uwagę patroli wojskowych, które was poszukują.

Bosman kiwnął głową. Wyciągnął łapsko do Niekrasowa.

– Pamiętasz, gdzie mamy się spotkać? – zapytał Rosjanin, mocno ściskając dłoń bosmana.

– Trafię z zawiązanymi ślepiami...

Wyszli na pokład.

– Iwan, co na horyzoncie?! – krzyknął kapitan.

– Droga wolna! – odkrzyknął Iwan.

Bosman machnął im dłonią na pożegnanie, wspiał się na poręcz burty. Śmignął do wody. Wkrótce wyszedł na brzeg. Z dala wypatrzył Tomka nadjeżdżającego z końmi. Pobiegnął mu naprzeciw.

– Dawaj łachy, bo ciut zmarłem – zawołał, gdy Tomek tuż przed nim osadził wierzchowce. – W te pędy musimy gnać po naszych, bo już kupiłem bilety na statek! Zaokrętuujemy się przed północą...

“Sungasza” płynęła w dół rzeki, prowadząc na bocznym holu dwie barki. Kapitan nie schodził z pomostu nawigacyjnego. Błagowieszczeńsk był już blisko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w mieście tym skupiały się główne ogniwa pogoni rozesłanej za uciekinierami. Wyprawa rzekomych łowców dzikich zwierząt właśnie z Kraju Nadamurskiego przekradła się do Ałdanu w Jakucji i tą też drogą najdogodniej mogła umykać w kierunku wybrzeża morskiego lub granicy chińskiej. Należało się spodziewać, że Błagowieszczeńsk, jako siedziba gubernatora Kraju Nadamurskiego, stanowi najostrzejszy punkt kontrolny. Przecież na wszystkich stacjach zaopatrujących statki w opał rozprawiano o licznych kontrolach wojskowych przebiegających kraj wzdłuż i wszerz.

Niekrasow zdawał sobie sprawę, że udzielając pomocy uciekinierom rozpoczął niebezpieczną grę, w której stawką było życie garstki nieustraszonych ludzi. Wiedział również, że w przypadku niepowodzenia podzieli ich los. Mimo to nie zawahał się ani przez chwilę. Podczas długich lat katorgi sam marzył o tym, na co porwali się ci szaleńcy. Czyż mógł teraz odmówić im pomocy? Wiedział już dlaczego policja carska prześladowała Wilmowskiego, bosmana oraz młodego zesłańca i Nataszę: oni również walczyli przeciwko caratowi.

Niekrasow ćmił fajkę. Spokojnym pozornie wzrokiem spoglądał na nadbudówkę, mieszczącą się na rufie barki. Pod jej podłogą znajdowała się komora. Tam właśnie ukrył uciekinierów.

Chmurny, słotny dzień dobiegał końca. Niekrasow wychylił się z pomostu nawigacyjnego. Spojrzał w niebo. Najdalej za dwie godziny miał nadejść wieczór.

– Iwan, na stanowisko! – rozkazał. Potem polecił zwiększyć szybkość “Sungaszy”.

Iwan z zawiniątkiem pod pachą pobiegł do nadbudówki na barce. Na lewym brzegu już wyrastał Błagowieszczeńsk.

Niekrasow uniósł lornetkę do oczu. Na przystani na nabrzeżu przycumowany był jakiś statek. Na przednim pokładzie stali stłoczeni pasażerowie. Otaczała ich umundurowana policja. Na przystani widać było uzbrojonych żołnierzy. Zachmurzone niebo nie rokowało, aby statek mógł tego dnia jeszcze wyruszyć w dalszą drogę. Ciemna noc przerywała zazwyczaj żeglugę na Amurze.

Kapitan "Sungaszy" wsunął dłoń pod kurtkę. Dotknął rękojeści rewolweru. Upewniwszy się, że broń jest gotowa do strzału, zapalił wygasłą fajkę i rzucił krótki rozkaz:

– Przybijamy! Wszyscy na stanowiska!

"Sungasza" krótkim, urywanym gwizdem oznajmiła swe przybycie. Ostrożnie przyłgnęła lewym bokiem do statku zakotwiczonego przy pomoście. Naczelnik policji przybiegł do burty.

– Wszystkich ludzi zawołać na pokład! – zakomenderował.

Niekrasow znał policyjnego dostojnika. Pozdrowił go przyłożeniem ręki do daszka czapki i odparł:

– Jak pan sobie życzy, proszę jednak o zabranie z pokładu ciężko chorego!

– Cóż to za chory? – podejrzliwie zapytał naczelnik.

– Człowiek z załogi...

– Co mu jest?

– Nie jestem pewny, ale... obawiam się pozostawić go na statku.

– Zaraz się nim zajmiemy. Masz pan jakichś pasażerów?

– Nie. Hej, Milutin, zwołaj wszystkich na pokład!

Załoga "Sungaszy" zaczęła się grupować przy lewej burcie statku, gdzie leżał zwój lin. W nim ukryta była krótka broń. Jeden z palaczy trzymał w dłoni ciężki żelazny klucz, drugiemu z za pasa wystawała rękojeść noża. W tej chwili naczelnik policji wkroczył na pokład w asyście mundurowej i tajnej policji oraz kilku żołnierzy.

– Nie widzę tu nikogo chorego – rzekł szorstko, mierząc wzrokiem milczącą załogę. – Gdzie on?

– W nadbudówce na barce – powiedział Niekrasow.

– Dlaczego tam? – podejrzliwie indagował naczelnik.

Niekrasow pochylił się ku niemu.

– Niech wasze wysokobłagorodje go obejrzy, a na pewno wszystko zrozumie...

– Przeszukać holownik! Ktokolwiek nie wyszedł na pokład, zakuć w dyby – rzucił rozkaz policjantom, po czym dodał: – Sześciu żołnierzy za mną!

Niekrasow przelazi przez burte holownikana barke. Naczelnik otoczony uzbrojonymi zolnierzami szedl za nim. Niekrasow otworzyl drzwi nadbudowki.

– Dlaczego tu ciemno? – warknal policjant, mierzac kapitana podejrziwym wzrokiem.

– Chory mowi, ze razi go swiatlo – odparl Niekrasow. – Zaraz uchyle zaslony.

Podniosl z pokladu tyke, wsunal ja do izdebki i troche odchylil worek zaciemniajacy okienko. Naczelnik przekroczyl próg nadbudowki. Za nim wszedl zolnierz z karabinem gotowym do strzalu. Obydwaj zatrzymali sie na widok czlowieka lezacego na drewnianej koi. Pierś jego unosila sie w nierownym oddechu. Zewnetrzną stroną dłoni oslanial oczy. Naczelnik pochylil sie nad nim. Ręce i zarosnieta twarz chorego pokrywaly czerwone plamy i czarne strupy. Policjant cofnal sie gwałtownie do drzwi.

– Co mu jest? – zapytal zmienionym głosem.

– Wyglada na ospę[146] – cicho wyjasnil Niekrasow.– Ale czort go wie, moze prokaza[147], nie znam sie na tym. Trzymam go tutaj, by nie zarazil reszty zalogi... Kaz, wasze wysokoblagorodje, zabrac go do szpitala.

Naczelnik szybko wycofal sie na poklad.

– Chcesz pan zaraze rozniec po mieście? – rzekl wzburzony. – Precz z portu! Jaki transport wieziecie i dokad?

– Kozuchy do Kamienia Rybolowa.

– Wylaz stamtad! – krzyknal naczelnik do zolnierza, ktory omal nie rozbil sobie glowy o futryne niskich drzwi, wybiegajac z nadbudowki.

Niekrasow teraz dopiero nieznacznie wysunal dlon spod kozucha. Zmarszczyl brwi i powiedzial:

– Ten czlowiek powinien byc zabrany ze statku. Nie moze pozostac bez zalogi.

– Z rozkazu jego ekscelencji gubernatora ma pan zaraz opuscic port!

– Nie moze plynac nocą – zaprotestowal Niekrasow.

– To zakotwicz pan statek gdzieś na srodku rzeki z dala od miasta. Eskorta! Zajrzec do pak na barkach! Ścisla rewizja!

Naczelnik wycofal sie na holownik wraz z dowodca zolnierzy. Niekrasow zapalil fajke i spod oka przygladal sie buszowaniu zolnierzy na barkach. Nikt juz wiecej nie zblizil sie do pomieszczenia, gdzie lezal chory. Po kilku minutach policjanci i zolnierz opuścili holownik, zaraz tez odcumowano go od statku.

“Sungasza” wolno odplywala. Niekrasow stal na pomoście, dopoki domów Błagowieszceńska nie zatarl mrok. Wtedy dopiero poszedl do nadbudowki na barce.

– Iwan, na wachtę, ale umyty – krzyknal w prog.

– Rozkaz, kapitanie... Strupy same podpadaly, bo chleb wysechl...



Kapitan roześmiał się, po czym zapalił świecę. Otworzył klapę w podłodze.

– Ostre pogotowie odwołane! Proszę na holownik na kolację! – zawołał.

– Ha, zaczynam wierzyć, że wydostaniemy się z matni – odezwał się bosman, z trudem przeciskając swe cielsko przez mały otwór w podłodze. – Przedni pomysł z tą ospą...

– Tym lepiej... dla nich i dla nas – odparł Niekrasow. – No, teraz możecie odłożyć broń. Noc będziemy mieli spokojną.

## CZY DAVASARMAN NIE ZAWIEDZIE

Była to jedna z tych ciemnych, zimnych i wietrznych nocy w Kraju Ussuryjskim. W zatoce Tierniej, tuż powyżej ujścia rzeki Sica do Morza Japońskiego, co pewien czas rozbłyskiwało czerwonawe, nierówne światełko. Błyski sprawiały wrażenie umyślnych sygnałów, przesyłanych komuś znajdującemu się na otwartym morzu. To właśnie Smuga i jego towarzysze rozpaczliwie wzywali Pandita Davasarmana, by zabrał ich na swój statek.

Minęło pięć długich dni i nocy, odkąd przyczaili się wśród złomów skalnych zalegających strome wybrzeże. Nadawali umówione sygnały, a Pandit Davasarman wciąż nie przybywał. Smuga właśnie stał pochylony nad obudowanym kamieniami ogniskiem nakrytym z góry kocem. W równych odstępach czasu unosił koc, odsłaniając ognisko od strony morza. W nocy błysk ognia powinien być z dala widoczny.

– Osiedliśmy na mieliźnie – mruknął bosman. – Wygląda na to, że zamiast Davasarmana prędzej zwabimy Kozaków...

– A może Udadzałaka niezbyt dokładnie zapamiętał instrukcję? – martwił się Tomek.

– Przybyliśmy kilkanaście dni później, niż to było umówione – odezwał się Wilmowski. – Nie sądzę wszakże, aby Davasarman nie liczył się z tą możliwością...

Tomek starał się przeniknąć wzrokiem ciemność nocy. Z dali płynął monotony szum morskich fal. Przejmujący wiatr poświstywał wśród bloków skalnych... Tomek spojrzał na Nataszę i Zbyszka. Siedzieli skuleni pod głazem. Oni najbardziej odczuwali przeszło dwutygodniowe przekradanie się przez Kraj Ussuryjski. Niekrasow bezpiecznie przewiózł ich na swej "Sungaszy" aż do ujścia Imanu do Ussuri. Tutaj musieli się rozstać. Obawiając się wszelkiego rozgłosu, nie mogli ryzykować nabycia koni. Toteż zaopatrzeni jedynie w skromne zapasy żywności i w spiwory zagłębili się w tajgę ussuryjską. Smuga i Wilmowski nie lękali się zabłądzenia. Rzeka Iman, płynąca ze wschodu na zachód, była im niezawodnym drogowskazem. Niestety, siły obydwójga zesłańców rychło się wyczerpały. Tempo marszu słabło z dnia na dzień. Kilkakrotnie krótkie odcinki drogi w głębi kraju odważyli się przebyć w łodziach wynajętych od krajowców. Rzadko jednak zaglądali do chińskich fanz czy też jurt Udechejczyków czy Goldów. Wieść o pojawieniu się grupy uzbrojonych cudzoziemców mogła zbyt szybko dotrzeć do posterunków wojskowych. Samotni poszukiwacze cennego korzenia żeń-szeń oraz myśliwi często brali ich za bandę chunchuzów i natychmiast umykali na ich widok.

Opóźnienie, z jakim dotarli do umówionego z Davasarmanem miejsca nad morzem, mogło się przyczynić do ich ostatecznej zguby. Wyczerpani, pozbawieni zapasów żywności, z ukrywaną rozpaczą oczekiwali na ratunek, który nie nadchodził.

Jeden Smuga nie upadał na duchu. Noc w noc uporczywie nadawał ogniowe sygnały. Zawsze krotochwilny bosman teraz tylko wobec znękanych przyjaciół udawał humor, by podtrzymać ich na duchu. Skrycie coraz mocniej zaciskał pasa, a głośno pokpiwał, że wkrótce smukłością dorówna Nataszy.

Tomek posępnie obserwował Smugę i bosmana, którzy często zmieniali się przy

nadawaniu sygnałów.

– Co zrobimy, jeżeli Pandit Davasarman już odpłynął bez nas? – odezwał się, nie mogąc dłużej ukrywać obaw.

– Davasarman nie zawiedzie – odparł Smuga. – Zapewne nie może się zbyt często kręcić w pobliżu wybrzeża.

– Święta racja, Davasarman to cwaniak nad cwaniaki, wie, co robi – wtórował bosman, aczkolwiek nurtowały go obawy.

– Na szczęście od wczoraj księżyc skrył się za chmurami – zauważył Wilmowski. – Taka noc jak dzisiejsza powinna sprzyjać naszemu przyjacielowi.

– Czy pan naprawdę jeszcze w to wierzy? – szepnęła Natasza.

Olbrzymi bosman przykucnął przy dziewczynie. Sękatym łapskiem pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

– Głód nam gra marsza w kiszkach, to i nosy zwiesiliśmy na kwintę, ale nie w takich bywaliśmy tarapatach! Prawda, brachu?! – zwrócił się do Tomka.

– A jakże, różnie bywało...

– Taki sam nastrój jak dzisiaj mieliśmy, gdy Indianie porwali i uprowadzili naszą Sally do Meksyku. A jednak odnaleźliśmy ją...

– Jak to było? Niech pan opowie – prosił Zbyszek chcąc rozproszyć złe myśli Nataszy.

– Ano, wybraliśmy się z Tomkiem do Arizony na spotkanie z Sally...

– Cicho! – ostrzegł Smuga, nastawiając ucha.

Gdzieś za nimi potoczył się kamień. Smuga przy dusił ognisko kocem, porwał karabin. Bosman, Tomek, Wilmowski i Zbyszek przycupnęli obok Nataszy z bronią w ręku. Ktoś skradał się za ich plecami z kierunku przeciwnego do morza. Mógł to być tylko wróg...

Smuga usiłował wzrokiem przeniknąć ciemność. Nagle tuż nad nim zawołał ktoś po rosyjsku:

– Nie strzelać! Kto wy?!

Milczeli, ściskając broń w zgrabiących z zimna dłoniach.

– Nie ruszać się, trzymam was na muszkach karabinów – znów ozwano się z ukrycia. – Kim jesteście?

Jakaś postać zsunęła się ze skały, zerwała koc tłumiący ognisko. Czerwonawy płomień ożył pod podmuchem wiatru. Ujrzeli mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, w kapturze. W ręku trzymał rewolwer. Za nim zamajaczyło w mroku kilka zakapturzonych postaci, z karabinami skierowanymi wprost na uciekinierów przyczajonych pod gładem.

– Sahibie, jesteśmy! – zabrzmiał spokojny, niezapomniany dla każdego, kto go choć raz w życiu słyszał, pełen ciepła głos.

– Pandicie! – krzyknął Smuga. Ten surowy i powściągliwy mężczyzna wyciągnął ku Indusowi rozwarte do uścisku ramiona.

Po chwili wszyscy ściskali dłoń Davasarmana, a on wzrokiem przebiegał od twarzy do twarzy.

– Bogowie czuwali nad wami... – rzekł wzruszony. – Nikogo nie brak...

– A jakże, jesteśmy nawet w nieco większym komplecie, niż się spodziewałeś – wyjaśnił bosman.

– Nie traćmy czasu, niedługo będzie świtało – powiedział Davasarman. – Łódź czeka o kilkaset metrów na południe...

Natasza zachwiała się na nogach. Bosman porwał ją na ręce.

– Prowadź pan, panie Davasarman, bo umieram z głodu i pragnienia – zawołał. – Poniosę tego dzieciaka, będzie prędzej!

Duża łódź pełna milczących postaci szybko oddalała się od brzegu. Wilmowski otoczył Tomka ramieniem. Przepelnieni radością w milczeniu wpatrywali się w ciemny kontur jachtu.

## Przypisy

[1] Nazwą Dalekiego Wschodu obejmuje się kraje wschodnioazjatyckie przylegające do Pacyfiku: Chiny, Japonię, Koreę, Filipiny. W powieści mowa jest o radzieckiej części Dalekiego Wschodu, rozciągniętej stosunkowo wąskim pasem wzdłuż zachodnioazjatyckiego wybrzeża zewnętrznych mórz Pacyfiku. Naturalna jej granica przebiega wzdłuż rzeki Amur i Ussuri, działem wodnym pomiędzy dorzeczami Zei i Olekmy, na północ od pasma Gór Stanowych, wzdłuż zachodniego zbocza pasma Dżugdżur oraz wzdłuż południowej granicy Rowu Parapolskiego. Geograficznie radziecki Daleki Wschód wybitnie różni się od przyległej Syberii Wschodniej i dzieli się na trzy obszary: Amursko-Nadmorski, Dolno-Amursko-Ochocki z wyspą Sachalin i Kamczacko-Kurylski Obszar Wulkaniczny, natomiast jego administracyjno-polityczne jednostki to: Kraj Nadmorski, Kraj Chabarowski, Obwód Sachaliński i Obwód Amurski.

[2] Jakuckie - Leucobrephos middendorffii; podzwrotnikowe - Danais tytia i Papilio raddei.

[3] Rozległy obszar górski ciągnący się prawie południkowo i wznoszący się nad dwiema przyległymi doń równinami: Zejsko-Burejską na zachodzie i Dolnoamurską na wschodzie. Pasma na południu (na granicy radzieckiego Dalekiego Wschodu) przechodzi poza rzekę Amur i ciągnie się dalej na południe, w Mandżurii, pod nazwą Mały Chingan, często rozszerzaną także na Góry Burejskie.

[4] Monsun zimowy wieje z północnego zachodu i północy (z głębi lądu ku oceanowi) i przynosi powietrze chłodne, wyjątkowo suche, powodując pogodę chłodną i bezchmurną. Letni monsun, niezbyt gorący, wieje znad oceanu (z południowego wschodu i południa) i przynosi ciepłe, nasycone parą wodną powietrze. Z tego powodu lato na Dalekim Wschodzie jest zazwyczaj ciepłe i dżdżyste z częstymi mgłami.

[5] Berdanka - amerykański karabin systemu Berdana, odtylcowy, jednostrzałowy o gwintowanej lufie, wprowadzony w armii rosyjskiej w XIX wieku; również rosyjska strzelba myśliwska.

[6] Nuczi w języku Nanajów (Goldów) znaczy mały.

[7] Plemię Nanajów bądź Goldów zamieszkuje na Dalekim Wschodzie nad rzekami Amur i Ussuri.

[8] Amba - tygrys.

[9] Zesłanie było specjalnym rodzajem kary pozbawienia wolności polegającej na wywiezieniu, czyli tak zwanej deportacji, i przymusowym pobycie skazanego na odległym terytorium państwa lub w jego koloniach. Ten rodzaj kary, nigdy nie istniejący w prawie polskim, był bardzo szeroko stosowany w Rosji carskiej. Zesłaniec mógł być skazany na pobyt pod nadzorem policji w ściśle wyznaczonej miejscowości bądź też na katorgę, to jest ciężkie roboty. Olbrzymia, słabo jeszcze wówczas zbadana Syberia stanowiła główne miejsce zesłań. Rząd carski przede wszystkim skazywał na długoterminowe lub bezterminowe zesłanie więźniów politycznych, a u schyłku XIX i na początku XX w.

szczególnie działaczy rewolucyjnych. Tysiące bohaterskich rewolucjonistów rosyjskich, jak i patriotów z narodów podbitych przez carską Rosję było wielokrotnie więzionych na Syberii. Pierwszych Polaków wywieziono na Sybir jako jeńców wojennych po wojnach Stefana Batorego z Moskwą. Powtarza się to w XVII w., kiedy starcia polski z Rosją stają się częstsze. W XVIII w. nastąpiły zesłania Polaków w związku z konfederacją barską i wojnami kościuszkowskimi. Rząd carski rozporządzeniem z 29 V 1768 r. rozkazał wziętych do niewoli konfederatów zesłać na Syberię i wcielić do miejscowych garnizonów. Dziesiątki tysięcy Polaków zesłano tam po powstaniach w latach 1831 i 1863. U schyłku XIX w. na Syberię znów zaczęli napływać polscy skazańcy za swą pracę społeczną i wolnościową w kraju, a w czasie I wojny światowej polscy jeńcy wojenni.

[10] Mowa o rewolucji 1905 r. Po petersburskiej Krwawej Niedzieli (22 stycznia), w Królestwie Polskim rewolucyjna partia robotnicza SDKPiL (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy) oraz PPS (Polska Partia Socjalistyczna) wezwały robotników do powszechnego strajku, który objął okręgi: warszawski, łódzki i Zagłębie Dąbrowskie. Na demonstrację zorganizowaną przez SDKPiL w Warszawie w dniu 1 V 1905 r. uderzyli Kozacy. Padli zabici i ranni. W okresie rewolucji w latach 1905-1907 młodzież, na znak solidarności z polskim i rosyjskim proletariatem, urządzała demonstracje i strajki szkolne. Jednocześnie trwał bojkot uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie. Strajk szkolny, jako żywiołowy protest przeciw rusyfikacji i carskim metodom wychowawczym, stanowił wielki wkład młodzieży polskiej w walkę o narodowe wyzwolenie. Tak w Rosji, jak i na ziemiach polskich silniejszy wówczas carat zdławił rewolucję. Nastąpiły krwawe represje, a rosyjskie władze administracyjne, często bez śledztwa i wyroku sądowego, skazywały podejrzanych o "nieprawomyślność" na zesłanie na Sybir (zsyłka administracyjna). Mimo stłumienia rewolucji Polacy zdobyli pewne swobody narodowe, a więc: prawo zakładania szkół prywatnych z polskim językiem wykładowym, organizowania polskich stowarzyszeń kulturalnych oraz poprawę warunków pracy proletariatu.

[11] Alwar - miasteczko, a zarazem stolica państwa o tej samej nazwie, leżące w północno-zachodnich Indiach.

[12] Władywostok - największy port ZSRR nad Oceanem Spokojnym, a zarazem końcowy punkt kolei trans-syberyjskiej i stolica Kraju Nadmorskiego. Miasto leży na skraju wąskiego i długiego półwyspu oddzielającego od siebie zatoki Amurską i Ussuryjską, w miejscu, gdzie w wysoki brzeg wrzyna się kręta zatoka portowa Złoty Róg, nadająca się wyśmienicie do postoju statków.

[13] Przez długie wieki podróż przez Syberię odbywała się tzw. traktem. Przejazd z Moskwy do wybrzeża Oceanu Spokojnego trwał około 2 miesięcy. Dopiero w latach 1891-1906 przecięto południową Syberię linią kolejową łączącą Moskwę z Władywostokiem. W późniejszych latach linia kolei transsyberyjskiej została rozbudowana i cała jej trasa znajdowała się wyłącznie już na terytorium należącym do Rosji. Mianowicie zbudowano odcinek: Czyta, Ruchłowo, Błagowieszczeńsk, Chabarowsk skąd do Władywostoku był już tor zbudowany w 1894 r. Odcinnek trasy Ruchłowo (obecnie Skoworodino) - Chabarowsk w Kraju Nadamurskim został ukończony w latach 1915-1917, a więc w czasie trwania akcji

niniejszej powieści znajdował się dopiero w budowie.

[14] Isprawnik - funkcjonariusz policji carskiej zarządzający kilkoma okręgami podległy bezpośrednio gubernatorowi. Na Syberii funkcje naczelników poszczególnych okręgów pełnili zasiedatiele, którym z kolei podlegali urjadnicy wyznaczani na stany, czy i stacje obejmujące jeden okręg. Urjadnicy mieli do pomocy, wybieranych przez włościan, sotskich i diesiatników. Cała policja carska podlegała ministrowi spraw wewnętrznych.

[15] Tomek uzyskał zaszczytne przyjęcie do szczepu Indian Apaczów podczas niezwykłych przygód w Arizonie, kiedy to pomógł uciec z niewoli wodzowi, zwanemu Czarną Błyskawicą (Tomek na wojennej ścieżce).

[16] Meszki, czyli mustyki (*Simuliidae*), również zwane "gnus" przez krajowców.

[17] Naczalstwo - władza, kierownictwo.

[18] Jakuci (nazwa własna Sacha) - lud zamieszkujący dorzecze Leny po Morze Ochockie i brzegi Jeniseju. Od 1922 r. Jakucka ASRR.

[19] Bunduruk (*Eutamias sibiricus*) - gryzoń wielkości ogromnej myszy, zwierzątko futerkowe podobne do wiewiórki. Ciemne pasy na futerku przypominają wzór tygrysiej skóry. Gromadzi zapasy żywności, które przenosi w woreczkach policzkowych. Czyni poważne szkody na polach.

[20] Aralia (dzięglawa) - drzewo, krzew lub roślina zielna rosnąca w Azji, Ameryce Północnej i Australii. Posiada pędy z kolcami, liście zwykle pierzaste i kwiaty w baldachogronach.

[21] Maral (*Cervus canadensis sibiricus*) żyje w południowych okolicach Kraju Ussuryjskiego, w dolinie rzeki Ussuri i jej dopływów, nie przekraczając jednak granicy iglastych lasów Sichote-Aliń. Na pobrzeżu można spotkać go aż do Przylądka Olimpiady.

[22] Łoś (*Alces alces*) należy do największych okazów rodziny pełnorogich. Niezgrabny, o krótkiej szyi, wysokich nogach, ma poroża łopatomato rozszerzone i chrapy zwisające.

[23] Ren, czyli renifer (*Rangifer tarandus*), w przeciwieństwie do wszystkich innych jeleni posiada nieregularnie rozłożone poroża tak u samców, jak i u samic. Szerokie racice umożliwiają mu utrzymywanie się na śniegu, lodzie i firnie (skryształizowanym, gruboziarnistym śniegu, tworzącym powyżej linii wiecznego śniegu pola firnowe). W lasach i tundrach pomocnych okolic Starego i Nowego Świata żyje około 14 gatunków tego jelenia.

[24] Jeleń Dybowskiego (*Cervus nippon hortulorum*) - odkryty przez wybitnego polskiego przyrodnika Benedykta Dybowskiego, urodzonego w Adamczynie 30 IV 1833 r., a zmarłego we Lwowie w 1930 r. Po powstaniu styczniowym Dybowski został skazany na karę śmierci z zamianą na 12 lat katorgi na Syberii. Pracował ciężko przy osuszaniu błot i wyрубie lasu w Kraju Zabajkalskim, a jednocześnie badał faunę Bajkału i rzeki Amur. Ciekawe odkrycia dały mu światową sławę i przyniosły zamianę katorgi na osiedlenie. W



latach 1873-1874 razem z Wiktoorem Godlewskim badał faunę rzeki Ussuri. W 1877 r. powrócił do Polski, lecz wkrótce dobrowolnie znów udał się na Syberię. 4 lata badał Kamczatkę, Wyspy Kurylskie i Komandorskie, gromadził cenne zbiory przyrodnicze i studiował języki: Ajnów, Kamczadalów i Koriaków. Imieniem Dybowskiego nazwano przeszło 50 gatunków zwierząt. W 1883 r. wrócił do Polski. Objął katedrę zoologii na Uniwersytecie Lwowskim. Opublikował 175 prac naukowych.

[25] Piżmowiec (*Moschus moschiferus*), również zwany kabargą, jest zwinny, bezrogim jeleniem lesistych górskich terenów Azji Środkowej. W lecie rzadko opuszcza się poniżej 2500 m. Z powodu braku poroża nie należy do rodziny pełnorogich i tworzy odrębną podrodzinę, lecz poza tym ściśle łączy się ze zwierzętami jeleniowatymi. Wysokość piżmowca waha się około 70 cm, długość tułowia około 1 m; jest wyższy z tyłu niż z przodu, o krótkiej szyi i smukłych nogach. Dzięki możliwości rozstawiania szeroko palców doskonale ześlizguje się po gładkich zboczach, pewnie chodzi po torfowiskach, śniegu i lodowcach. W zimie żywi się głównie pędami drzew, w lecie soczystymi roślinami górskimi. Chadza zawsze utartymi ścieżkami, więc łatwo wpada w pułapki. Samce posiadają na środku podbrzusza woreczek wydzielający piżmo, które w stanie świeżym jest kleistą masą, a wysuszone stanowi proszek o bardzo miłym, przejmującym zapachu. Jeden woreczek zawiera około 30 g piżma, bardzo poszukiwanego przez myśliwych.

[26] Batuszka Amur - Ojciec Amur.

[27] Równiny południowe, jako ośrodki rolnicze, stanowią najważniejszą część Dalekiego Wschodu; główne z nich to: Zejsko-Burejska w Kraju Nadamurskim, na lewym brzegu Amuru między Zeją i Bureją, oraz Nadchanskaja w Kraju Nadmorskim, koło jeziora Chanka.

[28] Świetliki (*Lampyrus noctiluca* i inne gatunki) - owady należące do rzędu chrząszczy (*Coleoptera*). Obie pici świetlików, a niekiedy już nawet jaja, larwy i poczwarki posiadają zdolność świecenia. Pozostaje ona w związku z szybkimi przemianami chemicznymi pewnych substancji, znajdujących się w ciele tych chrząszczy. Przypuszczalnie zresztą świecenie chrząszczy dorosłych ma właśnie znaczenie przy wzajemnym odszukiwaniu się płci przeciwnych.

[29] Puchacz (*Bubo bubo*) - najpospolitszy i najlepiej znany przedstawiciel sów. Osiąga długość do 75 cm, charakteryzują go więc pokaźne rozmiary; ma wydłużone piórka na przedzie głowy, tzw. uszy, i krótkie skrzydła. Upierzenie ma gęste, z wierzchu ciemne, rdzawożółte, na gardzieli żółtobiałe, na spodzie rdzawożółte, uszy ciemne. Gnieździ się w skałach lub gęstych gałęziach, szczególnie drzew iglastych, a czasem wprost na ziemi przy drzewie lub pniaku. Łowi cietrzewie, guszce i inne leśne ptaki, zające, szczury, wiewiórki, żaby i większe żuki, a często bije młode sarny. Żyje na całej północy Starego Świata. Lubi błotniste, ciemne ostępy, gdzie poluje nocami.

[30] Celny strzał.

[31] Przestępca do więzienia!

[32] Cicho jedziesz, dalej dojedziesz.

[33] Wiewiórki syberyjskie (*Sciurus vulgaris sibiricd*), w przeciwieństwie do wiewiórek europejskich, dostarczają ładnego i poszukiwanego futra. Wprawdzie europejskie wiewiórki również pokrywają się na zimę gęstym, siwym włosem na bokach ciała, lecz grzbiet zawsze pozostaje rdzawoczerwony, natomiast futerko gatunku syberyjskiego na jesień i zimę przybiera jednolity szary kolor bez śladu czerwonego nalotu. Skórki tych wiewiórek, zwane bielinkami, są bardzo cenione na rynku futrzarskim. W ZSRR około 30-40% całorocznej sprzedaży futer stanowią właśnie "bielki".

[34] Synogarlice (*Streptopelia risoria*), - gatunek gołębi pokrewny turkawkom (*Streptopelia turtur*). Mają piękny płowy kolor z czarną obrączką na szyi. Wyróżniają się głosem złożonym z wyraźnie brzmiących zgłosek: ku-kru-nu. Pochodzą z Afryki i Azji południowej.

[35] Zając bielak (*Lepus timidus*) odznacza się przede wszystkim tym, że zimą zmienia ubarwienie na całkowicie białe, latem zaś jest rudawobrunatny. Zmiana barwy zachodzi u tych zwierząt wskutek wypadania starych włosów i narastania nowych o innym kolorze. Sopy ma pokryte dość długą twardą sierścią, co stanowi przystosowanie do biegania po śniegu. Bielaki zamieszkują północne okolice Starego Świata. Liczne podgatunki spotyka się w Szwecji, Rosji północnej, Irlandii i w całej północnej Azji.

[36] Niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*) - w zależności od rejonu zamieszkiwania, zmianom ulega jego uwłosienie, ubarwienie i budowa czaszki. Żyje od Hiszpanii po Kamczatkę i od Laponii po Liban i zachodnie Himalaje.

[37] Jarząbek (*Tetrastes bonasid*) - kurak leśny. Żyje na obszarze od Pirenejów do Oceanu Spokojnego w obszernych, spokojnych lasach, a przede wszystkim w pierwotnych puszczech, tak równinnych, jak i górzystych. Prowadzi skryty tryb życia, tokuje w porze godowej. Samiec dochodzi do 45 cm długości, odróżnia się od samicy czarną gardzielą. Jarząbki żywią się końcami liści, pączkami i jagodami, a w zimie głównie baziarnymi oraz kotkami brzoź, leszczyny, olszyny oraz pędami czarnych jagód.

[38] Riabczyk - po rosyjsku jarząbek.

[39] Iziubr - rosyjska nazwa dalekowschodniego jelenia.

[40] Wacław Sieroszewski (pseudonim: Sirko i K. Bagrynowski) urodził się w Wólce Kozłowskiej koło Warszawy w 1858 r., a zmarł w r. 1945. Za udział w organizacji socjalistycznej L. Waryńskiego był zesłany na Sybir, gdzie przybywał 15 lat, z czego 12 w Jakucji. Badał tam kraj oraz zwyczaje mieszkańców i napisał dzieło 12 lat w Kraju Jakutów, wydane w Warszawie w 1900 r., za które otrzymał złoty medal Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego i pozwolenie na powrót do kraju. Z ramienia tego Towarzystwa w latach 1902-3 badał ludy Wschodniej Syberii, szczególnie Ajnów zamieszkujących Sachalin oraz północną Japonię. Z wyprawy tej powrócił do Polski jadąc przez Koreę, Chiny, Indie i Egipt. Brał udział w rewolucji 1905 r. Później podróżował po Europie i Ameryce, wykorzystując swoje przeżycia i spostrzeżenia w utworach literackich. Napisał około dwudziestu powieści i zbiory nowel.

[41] Ludwik Waryński urodził się w 1856 r. pod Kijowem. Kształcił się w Instytucie

Technologicznym w Petersburgu, a potem w Instytucie Rolniczym w Puławach. Uczestnik rewolucyjnego ruchu studenckiego w Rosji. Najwybitniejszy przedstawiciel pierwszego pokolenia socjalistów polskich, współzałożyciel i jeden z przywódców kółek socjalistycznych w Królestwie Polskim. Za działalność rewolucyjną w Galicji był głównym oskarżonym w procesie socjalistów w Krakowie. Uwolniony, wyjechał do Genewy, gdzie współredagował czasopismo "Równość". Współtwórca tzw. "brukselskiego programu socjalizmu polskiego". Jako założyciel i przywódca pierwszej partii klasy robotniczej (I Proletariatu), został aresztowany i sądzony w procesie 29 działaczy partii. Wyrok śmierci złagodził później warszawski generał-gubernator Hurko na 16 lat katorgi na Syberii. Waryński zmarł w więzieniu w Szlisselburgu w 1889 r.

[42] Amur powstaje z połączenia rzek Szylka i Arguń. Liczy około 4510 km długości wraz z Szylką i Ononem, a powierzchnia jego dorzecza wynosi 1843 tyś. km, 10smda około 200 dopływów; najważniejsze z nich to: Zeja, Bureja, Amguń, Sungari i t Insuri. Wpada do Cieśniny Tatarskiej. Amur na przestrzeni około 3000 km stanowi granicę państwową między ZSRR i Chińską Republiką Ludową. Jest ważną drogą " >.lni\$. Nazwa Amur prawdopodobnie pochodzi od słowa Mamu - wróżbiarskiego /i k i^ciu Goldów, którym nadrzeczni mieszkańcy przywitali pierwszych Kozaków. Chinczycy zwą go Wu-lung-ciang, czyli Rzeką Fok, lub Hejlung-ciang tj. Rzcką C/nrnego Smoka; u Mongołów zwie się Kara Mureń, a u Mandżurów Szań Chaljan, co w obydwu wypadkach oznacza "Czarna Rzeka".

[43] Dla porównania można przypomnieć, że w rzekach dorzecza Wołgi żyje 75 gatunków ryb.

[44] Bambuza (*Elopichthys bambusa*), kosatka (*Pseudobagrus fluviodraco*); węzogłów (*Op-hicephalus*).

[45] Jesiotr amurski (*Acipenser schrenki*) i kaługa (*Huso dawicuś*), zastępująca w Amurze nie spotykaną na Syberii biehigę, są gatunkami jesiotrowymi endemicznymi, czyli występującymi tylko na ograniczonym terenie.

[46] Połowy łososi pacyficznych (keta, gorbusza, kizucz i czawycza) stanowią podstawę rybołówstwa amurskiego.

[47] Katorżnik - więzień skazany na katorgę, czyli ciężkie roboty.

[48] W 1873 r. niedaleko kopalń nerczyńskich władze carskie zbudowały nowe więzienie na brzegu rzeki Kara w guberni czytyńskiej, gdzie znajdowały się kopalnie złota i srebra, będące prywatną własnością domu carskiego. Przez 17 lat więzienie w Karze było miejscem zesłania na ciężkie roboty dla przestępców politycznych, których liczba rosła w tych latach ogromnego nasilenia propagandy rewolucyjnej i rodzących się ruchów proletariackich. W Karze więzieni byli przedstawiciele wszystkich narodowości. Jako pierwsi Polacy, skazani za działalność socjalistyczną, przebywali w Karze Proletariat-czycy: Feliks Koń i Tadeusz Rechniewski - obydwaj studenci prawa, Mieczysław Mańkowski - stolarz i Henryk Dulęba - mydlarz. Wraz z nimi przybył, również Proletariatczyk, Rosjanin Mikołaj Lury, kapitan - inżynier wojskowy. Kara jako więzienie polityczne została zlikwidowana w 1889 r. po samobójstwie 6 więźniów.

[49] Mesa - pomieszczenie na statku przeznaczone do wspólnego wypoczynku, zajęć i zebrań załogi, jak również jadalnia załogi.

[50] Car Mikołaj II Aleksandrowicz, z dynastii Romanowów, panował w Rosji od 1894 r. W marcu 1917 r. został zmuszony przez rewolucję do zrzeczenia się tronu. Stracono go w Jekaterynburgu (obecnie Swierdłowski) w lipcu 1918 r. na mocy uchwały Uralskiej Rady Obwodowej.

[51] Gra polegała na tym, że jeden uczestnik wysuwał zaciśniętą pięść, szybko rozprostowywał dowolną liczbę palców i natychmiast znów je zaciskał, a drugi musiał bezbłędnie odpowiedzieć, ile pokazał palców. Jeśli dobrze zauważył, rozprostowujący wypijał tyle kieliszków, ile pokazał palców. Jeśli zaś odgadujący się pomylił, zobowiązany był sam je wypić.

[52] Słowa "pieśni proszalnej" zapisał i zamieścił w swojej książce pt. Siberia and the Exile System (Syberia i system wygnania) Jerzy Kennan, korespondent dziennika amerykańskiego, który w drugiej połowie XIX w. dwukrotnie podróżował po Syberii w towarzystwie malarza A. Prosta w celu zbadania warunków życia więźniów politycznych. Książkę Kennana przełożył na język polski Florian Bohdanowicz, zesłaniec syberyjski.

[53] Z polskich pieśni w rosyjskim tłumaczeniu śpiewano: Boże coś Polskę (doskonały przekład), Wiatr szumiąc wionął, a po polsku: Z dymem pożarów, Co to za gwar, Gdy naród do boju wystąpił z orężem i inne.

[54] Bałałajka - instrument strunowy szarpany o trójkątnym pudle rezonansowym i trzech strunach; popularny rosyjski instrument ludowy.

[55] Maurycy August Beniowski urodził się w 1746 r. w Werbowie na Słowacyzynie, należącej wtedy do Węgier, jako syn Samuela, generała kawalerii austriackiej, i baronowej Róży de Ravay. Jako młodzieniec służył w wojsku austriackim, potem przebywał niedługi czas w Polsce u swego stryja, starosty. Po powrocie na Węgry wyruszył kolejno do Gdańska, Amsterdamu i Plymouth, gdzie zaznajomił się ze sztuką żeglarską. W wyjeździe do Indii Wschodnich przeszkodziło mu wezwanie z Polski, aby przyłączył się do konfederacji barskiej. W walkach koło Lanckorony i Krakowa otrzymał nominację na generała kwatermistrza. W jednej z bitew pod Krakowem rosyjski generał de Brinken wziął go do niewoli 19 maja 1769 r. Wywieziony do Kazania na Kamczatkę, skąd szczęśliwie uciekł. Zginął na Madagaskarze zastrzelony zdradziecko przez Francuzów, niechętnych jego sukcesom na wyspie. Porywający pamiętnik Beniowskiego został przetłumaczony i wydany w kilkunastu językach, a ponadto posłużył wielu poetom oraz pisarzom naszym i obcym do opiewania czynów Beniowskiego w dramatach, operach i powieściach.

[56] Mowa o buncie marynarzy floty czarnomorskiej w 1905 r. na rosyjskim pancerniku Potiomkin stojącym wówczas niedaleko Odessy. W odpowiedzi na rozkaz rozstrzelania 30 ludzi z załogi marynarze zabili znienawidzonych oficerów, wyrzucili ich za burtę i wywiesili na maszcie czerwony sztandar. Załoga pancernika zmuszona była do ucieczki do Rumunii i poddała się tamtejszym władzom. Bunt na Potiomkinie dodał



odwagi robotnikom, którzy się przekonali, że flota i armia zaczynają przechodzić na stronę rewolucji.

[57] Harbin jest w Chińskiej Republice Ludowej stolicą prowincji Hejlungciang. Po powstaniu Chińskiej Republiki Ludowej rząd ZSRR przekazał Chinom cały swój udział w kolei Wschodnio-Chińskiej, która teraz zwie się Chińską Koleją Czańczuńską. Liczy ona 1500 km długości od stacji Mandżuria do Pogranicznaja; posiada również odgałęzienie przez Mukden do Portu Artura, długości około 1000 km.

[58] Karcer - cela karna pozbawiona okien i pryczy.

[59] Aigun - miasto w Mandżurii nad Amurem w odległości około 36 km od Błagowiesz-czeńska. Znane z traktatu podpisanego tam w r. 1858, na mocy którego Chiny oddały Rosji lewy brzeg Amuru, od rzeki Argun, oraz prawy od Ussuri do ujścia.

[60] Taheiho (Ta heiho) lub Chejcho od japońskiej oficjalnej nazwy Heiho. Chińskie miasteczko o 14 km na północ od Aigunu.

[61] Władze carskie często stosowały karę chłosty.

[62] Kastet - metalowy przyrząd, przeważnie w kształcie połączonych czterech pierścieni, zakładany na palce dla wzmocnienia ciosu pięści.

[63] Bradiaga - włóczęga zbiegły z katorgi. Niektórzy przestępcy pospolici i zbrodniarze zsyłani na Syberię przeważnie z Rosji europejskiej, próbowali szczęścia w ucieczce, by wrócić do domu lub trochę użyć swobody na włóczędze. Często zbierali się w bandy grasujące w tajdze. Dopiero nadejście surowej zimy zmuszało ich do wychodzenia z lasu w celu znalezienia żywności i wtedy zazwyczaj byli wychwytywani przez policję.

[64] Nikołaj Michajłowicz Przewalski (1839-1888) - generał, najwybitniejszy rosyjski odkrywca i badacz Azji. W latach 1868-1869 badał Kraj Ussuryjski między dolnym Amurem a Morzem Japońskim. Od 1870 r. podczas czterech wypraw prowadził badania północnej części Azji Środkowej, zapoczątkowane przez Siemionowa-Tiań-szańskiego. Bliższe informacje o tych podróżnikach znajdzie czytelnik w Tomku na tropach Yeti.

[65] Chunchuzi (z chin. - czerwonobrodzi lub miedzianobrodzi) - grabieżcze bandy grasujące wówczas na terenie Chin, a głównie w Mandżurii.

[66] Fanza - dom chiński.

[67] Tak zwana śnieżna pantera, czyli irbis (Felis uncia) osiąga wzrost pantery, lecz żyje w zimniejszych okolicach. Ojczyzną irbisa są góry Azji Środkowej, poczynając od Turkiestanu aż po Amur. W Himalajach żyje częściej po stronie tybetańskiej niż indyjskiej, gdzie podczas lata przebywa na bardzo dużych wysokościach, w zimie zaś schodzi poniżej 3000 m.

[68] W nowszych czasach Mandżuria została zamieniona w urodzajny i doskonale zagospodarowany obszar uprawy pszenicy, prosa i soi. Klimat ma tu jeszcze charakter monsunowy, a więc panują susze, ubogie w śniegi zimy i upalne lata obfitujące w silne burze pyłowe rozpoczynające się opadami deszczu. Większość ludności stanowią

Chińczycy. Ważniejsze miasta: Harbin, Czangczun i Mukden. Ten rozległy kraj, liczący około 1 miliona km, wchodzi w skład Chińskiej Republiki Ludowej.

[69] Kany buduje się z cegły lub kamienia i ogrzewa się je za pomocą umieszczonych wewnątrz kanałów, łączących piec z kominem.

[70] Nożów kukri używają plemiona Gurkhów, zamieszkujące Nepal i zachodni Bengal, z których właśnie wywodzi się Udadżalaka.

[71] Ryś (*Lynx lynx*) należy do rodziny kotów. Charakteryzują go: miernej wielkości głowa, ostre uszy zakończone pęczkami włosów, duże bokobrody, zapadłe boki, lecz mimo to silny tułów, wysokie kończyny i bardzo krótki ogon. Długość ciała rysia dochodzi do 1,3 m, a wysokość do 75 cm. Żyje także w Tyrolu, Styrii i Szwajcarii oraz w północnej i wschodniej Europie. Z Rosji przywędrował ryś do Azji, gdzie zamieszkuje górzyste i zalesione obszary na północy.

[72] Soból (*Martes zibellina*) od kuny leśnej i domowej różni się stożkowatą głową, wysokimi, mocnymi nogami, połyskującą, jedwabistą sierścią i dużą pomarańczową plamą na gardzieli. Dawniej obszar jego zamieszkania obejmował całą północ Starego i Nowego Świata, od Rosji po Kamczatkę. Nieustannie tępiony, obecnie żyje tylko w najdzikszych lasach górskich północno-wschodniej Azji.

[73] Tarantas - powóz podróżny, osadzony na drągach przytwierdzonych do przedniej i tylnej osi, tworzących rodzaj resorów. Pudło wozu w kształcie łodzi bez siedzeń nakryte jest skórzaną budą, chroniącą przed niepogodą.

[74] Hołoble (z ukraińskiego) - podwójne dyszle połączone kabłąkiem nad chomątem przytwierdzonym do dyszli; charakterystyczne przede wszystkim dla terenów wschodnich i Europy północno-wschodniej. Używane są w podlaskim zaprzęgu jednokonnym i rosyjskim trójkowym.

[75] Jezioro Bajkał zajmuje powierzchnię 31 500 km, leży 453 m nad poziomem morza. Średnia długość wynosi 636 km, szerokość 48 km, a głębokość do 1714 m. Do Bajkału wpada około 330 rzek, podczas gdy tylko jedna, Angara, bierze w nim początek. Jezioro posiada bogatą i swoistą faunę, w wielu przypadkach nie spotykaną gdzie indziej. W badaniach Bajkału wyróżnili się między innymi także polscy uczeni, zesłańcy polityczni: geolog Aleksander Piotr Czekanowski, którego zasługi odkrywcze dla Syberii upamiętniają nazwane jego imieniem: pasmo gór w pobliżu ujścia Leny, jeden z grzbietów Gór Daurkich, osada nad górną Chatangą oraz liczne skamieliny; Jan Czerski (Góry Czerskiego, najwyższy masyw Wschodniej Syberii) oraz przyrodnik Benedykt Dybowski - jego rewelacyjne odkrycia w dziedzinie fauny Bajkału i Amuru dały mu światowy rozgłos; około 50 gatunków zwierząt nazwano jego imieniem.

[76] Czy zdrowe wasze bydło?

[77] Bydło zdrowe, co porabiacie?

[78] Żupan - staropolski ubiór męski wywodzący się od sukmany, sfałdowany w tyle, zapinany na haftki, guzy lub szamerowany, ze stojącym kołnierzykiem i wąskimi

rękawami.

[79] Ułus - dawna jednostka mongolskiej organizacji rodowo-plemiennej, a także terytorium zajęte przez jedno plemię. Z czasem ułusy przekształciły się w organizacje sędowo-administracyjne i wojskowe.

[80] Bogdo (po buriacku) - święty.

[81] Szamanizm - forma religii większości pierwotnych ludów świata, występowała głównie wśród mieszkańców północnej i północno-wschodniej Syberii. Szamani pełnili rolę kapłanów, magów oraz znachorów i wywierali duży wpływ na życie swoich wyznawców.

[82] Patrz Tomek na Czarnym Łądzie.

[83] Cegielkowa herbata - herbata prasowana w kształcie cegielki.

[84] Nikołajewka - rosyjska czysta żytniówka.

[85] Władza rządu carskiego była ciężkim brzemieniem dla ujarzmionych narodów Syberii. Wielokrotne powstania tubylców były okrutnie tłumione przez carskie wojsko. Dopiero po zwycięstwie Rewolucji Październikowej narody Syberii uzyskały autonomię. Wtedy powstał również Buriacko-Mongolski Okręg Autonomiczny, przekształcony następnie w Buriacko-Mongolską ASRR, a w r. 1958 w Buriacką ASRR.

[86] Kapsztad (Capetown) - stolica oraz główny port Kraju Przylądkowego (Rep. Południowej Afryki), leżący u stóp Góry Stołowej.

[87] Dacan - klasztor.

[88] Angaszi - zawodowy myśliwy.

[89] Pop - nazwa duchownego w kościele prawosławnym i greckokatolickim.

[90] Sybirszy wieśniacy nazywali Buriatów brackimi.

[91] Mungum - pieniądze.

[92] Żeń-szeń (Panax ginseng, po chińsku ginseng) - bylina z rodziny araliowatych. Rośnie we wschodniej Azji, zwłaszcza w północnych Chinach i Korei. Obecnie prowadzi się specjalne plantacje: w Związku Radzieckim, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych Ameryki Płn., Japonii. Część zielna żeń-szenia osiąga około 70 cm wysokości, ma szarzielone, pięciopalczaste liście, kwiaty drobne i późnym latem wydaje jasnoczerwone albo czarno-czerwone jagody. Korzeń tej rośliny używany w lecznictwie wywiera szczególnie dobroczynny wpływ na korę mózgową, system nerwowy i jako środek wzmacniający rekonwalescentów.

[93] Ui - pradawna nazwa obecnego Tybetu. Lhasa była pierwotną nazwą świątyni zbudowanej w VII wieku n.e. Lha - po tybetańsku bóg, są - ziemia.

[94] Rosyjski etnolog G.I. Potanin w pracy pt. Saga o Salomonie (Mit o Salomonie), wydanej w Tomsku w 1912 r., analizuje źródła legendy o budowie świątyni, która w



różnych odmianach rozpowszechniona jest wśród wielu ludów Azji i Europy. Potanin podważa dawne teorie, że legenda powstała w Indiach. Według niego ojczyzną mitu o budowie świątyni jest Mongolia, skąd przeniknął on do innych odległych ludów.

[95] Sotnia - konny pododdział Kozaków odpowiadający szwadronowi. Sotnik - odpowiednik kapitana.

[96] Zabajkale wraz z Przybajkalem i terenami przyległymi na północy stanowią swoisty, wyraźnie wyodrębniony obszar geograficzny. Na północy i na zachodzie opada on wysoką, stromą skarpą ku Wyżowi Środkowsyberyjskiemu, na południowym zachodzie oddziela go od Sajanu Wschodniego wąski i głęboki tunkiński rów tektoniczny, a na południu i południowym wschodzie obszar ten rozpościera się do granicy państwowej z Mongolią i Chinami. Jedynie na wschodzie granica jest nie tak wyraźnie określona; przebiega tam wzdłuż dziań wodnego pomiędzy Olekmą i Zeją. Administracyjnie Zabajkale i Przybajkale należą do Buriackiej ASRR, obwodów Czytyńskiego i Irkuckiego oraz do Jakuckiej ASRR.

[97] W 1866 r. pod Miszychą na południowym brzegu Bajkału polscy zesłańcy pod dowództwem Gustawa Szramowicza stoczyli nierówną walkę z wojskiem rosyjskim. Na zbiorowej mogile poległych polskich powstańców władze rosyjskie umieściły krzyż z napisem: Zdzieś pogrieblieny wzbuntowawszyjesia Polskije Miatieźniki ubityje wo wriemia pieriestrielki 28 ijunja 1866 goda (Tutaj pochowani są polscy więźniowie, zabici w czasie potyczki 28 czerwca 1866 r.).

[98] Komuna Paryska - pierwszy w historii rząd klasy robotniczej, utworzony w Paryżu w marcu 1871 r. przez powstanie ludowe przeciwko rządowi Thlersa. Pod przewagą wojsk francuskiej burżuazji Komuna Paryska upadła po dwóch miesiącach. Po stronie Komuny walczyło wielu Polaków z generałami Jarosławem Dąbrowskim oraz Walerym Wróblewskim na czele.

[99] Zagibałow, Jermołow, Iszutin i inni.

[100] Plan oderwania Syberii od Rosji w latach 1848 i 1861 podobno znajdował poparcie ówczesnego generał-gubernatora Wschodniej Syberii, Mikołaja Murawiewa Amurskiego. W 1864 r. w Irkucku rozlepiano odezwy, które zaczynały się od słów: "Niech żyją Zjednoczone Sybirskie Stany!" Autorem tej odezwy był profesor irkuckiego gimnazjum, Szczukin.

[101] Droga miała okrążyć jezioro na linii: Murin, Śnieżna, Muszynka, Lichanowa, Posolsk.

[102] Fragment wiersza: Na zgon rozstrzelanych w Irkucku, napisanego przez Kornela Ujejskiego, autora patriotycznych utworów, który żył w latach 1823-1897.

[103] Z pracy Władysława Jewsiewickiego: Na syberyjskim zesłaniu, PWN 1959. J Padlec - podlec. Nerczyńsk leży nad rzeką Nercza w południowo-wschodniej części Syberii (Agiński Buriacki Okręg Narodowy), znany z rynku futrzarskiego, herbacianego i bydłęcego.

[104] Założony jako fort w 1658 r., stanowił przez dwa wieki najdalej wysunięty na Dalekim Wschodzie posterunek rosyjski.

[105] Najbardziej charakterystyczne na Zabajkalu stepy wyspowe to: Nerczyński, Jerawiń-ski, Barguziński i Olchoński.

[106] Dzień dobry, jaśnie panie.

[107] Sobaka - pies.

[108] Barin - pan.

[109] Sztabskapitan (ros. sztabs-kapitan) - w Rosji carskiej stopień wojskowy pośredni między stopniem porucznika i kapitana w piechocie, artylerii, wojskach saperskich oraz w żandarmerii pieszej.

[110] Polityczne przestępstwa - przestępcy polityczni.

[111] Petersburg - do 1914 r. Sankt-Petersburg, potem do 1924 r. Piotrogród, a po śmierci Lenina przemianowany na Leningrad - jest miastem i portem leżącym u ujścia Newy, założonym przez cara Piotra Wielkiego w 1703 r. Od 1713 do 1918 był stolicą carskiej Rosji. Obecnie drugi po Moskwie ośrodek kulturalno-naukowo-przemysłowy w ZSRR. Posiada liczne zabytki architektury. Miasto ma bogate tradycje rewolucyjne: w 1825 r. przeżyło powstanie dekabrystów, w 1905 r. Krwawą Niedzielę, która zapoczątkowała rewolucję 1905-7, w 1917 r. zbrojne powstanie w Piotrogradzie, początek Rewolucji Październikowej, a w czasie II wojny światowej mieszkańcy Leningradu bohatercko przetrzymali 29-miesięczne oblężenie przez Niemców.

[112] Żakiet - rodzaj męskiej długiej marynarki z zaokrąglonymi połami, noszonej do stroju wizytowego na przełomie XIX i XX w.

[113] Żandarmeria była w Rosji policją do spraw politycznych.

[114] Esaul - stopień oficerski w przedrewolucyjnych pułkach kozackich.

[115] A to bydle.

[116] Uczastok - komisariat.

[117] Boże drogi!

[118] Kodeks honorowy- zbiór przepisów ustalających postępowanie w sprawach naruszających poczucie honoru.

[119] Pistolet (z wł. pistolese, prawdopodobnie od nazwy miasta Pistoia) - krótka ręczna jednostrzałowa broń palna, nabijana przez lufę, będąca w użyciu od XVI w.

[120] Ochrana - tajna policja w carskiej Rosji.

[121] Newer bądź Bolszoj Newer.

[122] Tukuringra - góry o rozciągłości równoleżnikowej w paśmie Jukan-Tukuring-ra-Dżagdy na obszarze Amursko-Nadmorskim, w odległości ok. 200 km na południe od Gór Stanowych, tworzących pasmo w Syberii Wschodniej od pomocnej części Gór

Jabłonowych po wybrzeże Morza Ochockiego. Najwyższym szczytem Gór Stanowych jest Golecz Skalisty (2412 m n.p.m.)

[123] Hokkaido, dawniej zwana Jezo - jedna z czterech wielkich wysp japońskich położona najbardziej na północy, oddzielona od Kraju Ussuryjskiego Morzem Japońskim. Przeważnie górzysta, w większości porośnięta lasami iglastymi i liściastymi wyspa posiada węgiel, ropę naftową, rudy żelaza i innych metali oraz stocznie. Na wyspie tej, na polecenie Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, Wacław Sieroszewski prowadził w latach 1902-3 badania nad życiem zamieszkujących tam Ajnów.

[124] Syberia Wschodnia zajmuje olbrzymie terytorium od działu wodnego Obu i Jeniseju na zachodzie, aż do grzbietów górskich wzdłuż Oceanu Spokojnego na wschodzie; na południu granica jej przebiega wzdłuż państwowej granicy ZSRR z Mongolską Republiką Ludową i Mandżurią, a na północy dotyka Morza Arktycznego.

[125] Jan Czerski - polski badacz Syberii Wschodniej. Urodzony w 1845 r. w guberni witebskiej. W wieku lat 17 został zesłany po powstaniu styczniowym 1863 r. na Syberię, gdzie wcielono go przymusowo do oddziału wojskowego stacjonującego w Omsku. Zwolniony ze służby w roku 1869, studiował w Omsku anatomię porównawczą, a potem osiadł w Irkucku i poświęcił się badaniom geologii i geografii Wschodniej Syberii. Podczas szeregu wypraw prowadził badania w Kraju Zabajkalskim, w Górach Sajańskich oraz na dalekiej północy w Górach Wierchojańskich, w dorzeczu Indygirki i Kołomy. Po uwolnieniu z zesłania przez 5 lat przebywał w Petersburgu, pracując w Akademii Nauk. Latem 1891 r. Czerski z żoną i 12-letnim synem wyruszył z Irkucka konno do Wierchnie-Kołymska poprzez łańcuchy Gór Wierchojańskich i grzbiety równoległych do nich gór, które później nazwano Górami Czerskiego. Spędzona w niedostatku zima w Wierchnie-Kołymsku mocno osłabiła stan zdrowia Czerskiego. Mimo to wypłynął statkiem w dalszą drogę. Zmarł w 1892 r. nad Kołymą i został pochowany przy ujściu rzeki Omołon. Przed śmiercią zobowiązał żonę do prowadzenia wyprawy do Niżnie-Kołymska. Czerski jest autorem wielu cennych prac badawczych. Oprócz masywu górskiego w północno-wschodniej Syberii nazwę Góry Czerskiego nadano jednemu z pasm górskich Zabajkala, równoległemu do rzeki Ingoda i dalej na wschód do Czyty.

[126] Biegun zimna - miejsce na Ziemi, w którym temperatura powietrza jest najniższa. Do niedawna za biegun zimna na półkuli północnej uważano okolice Wierchojańska, gdzie temperatura spada do  $-60^{\circ}\text{C}$ , lecz później badania ustaliły, że biegun zimna znajduje się nieco dalej na północy, w Kotlinie Ojmiakońskiej, gdzie zanotowano przeszło  $-70^{\circ}\text{C}$ . Na półkuli południowej biegun zimna leży na Antarktydzie. Zanotowano tam  $-83^{\circ}\text{C}$ .

[127] Nucza pochodzi od tunguskiego łucza, czyli straszydło.

[128] Dzięki niskim temperaturom w obrębie wiecznego zamarznięcia ziemi zachowane są w niej, bez rozkładu, jak w chłodni, ciała zwierząt epok minionych, jak na przykład mamuta lub nosorożca włochatego, które zapewne żyły we wschodniej Syberii w pradawnych czasach przed oziębieniem się klimatu. Kość mamutową, stanowiącą bogactwo kopalne, znajduje się tam szczególnie w namulach rzecznych, a wybrzeża

Oceanu Lodowatego zawierają nieprzebrane jej pokłady. Na Wyspach Nowosybirskich fale morskie stale wyrzucają na wybrzeże kły i kości przedpotopowych słoni.

[129] Ledum palustre.

[130] Do narodów tureckich zaliczamy wszystkie narody posługujące się narzeczami tureckimi. Język turecki rozbrzmiewa od Oceanu Lodowatego do Tybetu i od Kaukazu po Morze Śródziemne. Do tych ludów należą między innymi Jakuci i Mongołowie, których podgrupę stanowią Buriaci.

[131] Tunguzi, rozproszeni po tajdze od Jeniseju do Oceanu Spokojnego, dzielą się na północno-środkowych i nadmorskich. Południowych Tunguzów od północnych dzieli Amur. Goldowie i Daurowie zaliczani są także do południowej grupy Tunguzów. Mandżurowie, obecnie częściowo zasymilowani z Chińczykami, pod względem językowym i fizycznym należą do grupy tunguskiej. Niegdyś słynęli jako wojowniczy naród, który niejednokrotnie napadał Chiny, a nawet stworzył tam ostatnią dynastię królewską.

[132] Podróżna - zezwolenie na podróżowanie wydane przez policję, które równocześnie uprawniało do wypożyczania koni na stacjach.

[133] Ałdan - miasto w południowo-wschodniej części Jakuckiej ASRR, położone w dolinie rzeki Ałdan i na głównym szlaku biegnącym z południa na północ od kolei transsyberyjskiej do Jakucka. W pobliżu znajdują się kopalnie złota.

[134] Hotel Europejski.

[135] Znamienity człowiek, dostojny gość.

[136] Prawosławny obraz religijny.

[137] Cyrulik - dawniej felczer, golibroda.

[138] Cyrkuł - komisariat policji.

[139] Jak się czujecie?

[140] Piękna dziewczyna.

[141] Skatina - bydłę.

[142] Jakuci nie lękali się naturalnej śmierci. Dawniej panował wśród nich zwyczaj, że starzy lub chorujący rodzice zwracali się z prośbą do najbardziej ulubionego syna, aby zabił ich własną ręką. Syn miał obowiązek wyprawić pożegnalną ucztę, ugaszczał proszącego o śmierć przez trzy dni, potem szedł z nim do lasu i zakopywał żywcem w dole razem z jego osobistymi sprzętami.

[143] Trąd - przewlekła choroba zakaźna, w której przebiegu powstają rozpadające się nacieki na skórze, prowadzące do zniszczenia tkanek, zniekształceń, wreszcie do śmierci.

[144] 30 czerwca 1908 r. na Syberię, w tunguską tajgę w okolicach factorii Wanawara, spadł tak zwany meteoryt tunguski. Na skutek silnej eksplozji w powietrzu powstał olbrzymi słup dymu podobny do grzyba atomowego. Wybuch odczuto w promieniu 800

km. Potężny podmuch przewracał drzewa w tajdze, zrywał dachy, obalał płoty, ludzi i zwierzęta jeszcze o 160 km od miejsca eksplozji. Obserwatoria sejsmograficzne na Syberii, w Taszkencie i Jenie zanotowały trzęsienie ziemi. Podmuch powietrza obiegnął dwukrotnie kulę ziemską i zarejestrowany został przez barografy w Londynie. Upadek meteorytu na Ziemię posłużył radzieckiemu pisarzowi książek fantastyczno-naukowych do wysunięcia tezy, że eksplozja była spowodowana przez wybuch statku międzyplanetarnego gości z kosmosu. Najnowsze badania radzieckich uczonych w okolicach upadku meteorytu tunguskiego przyniosły rozwiązanie tajemniczego wydarzenia. Według opinii uczonych, nad Syberią eksplodowała w 1908 r. niewielka kometa. Różnica między meteorem a kometą polega między innymi na rozmiarach. Średnica meteorytów nie przekracza 1 km. Większe ciała astronomowie zaliczają do asteroidów, czyli planetek. Komety wielkością przypominają małe asteroidy, lecz w odróżnieniu od nich i meteorów mają jeszcze świecąca gazowo-płynną otoczkę, tak zwaną głowę, oraz warkocz gazowy.

[145] Jezioro Chanka znajduje się na pograniczu pomiędzy Mandżurią i Obszarem Amursko-Nadmorskim, na północ od Władywostoku, 3/4 jeziora leży na terytorium ZSRR. Jego długość wynosi 95 km, szerokość 40-85 km, największa głębokość zaledwie do 10 m, toteż nie nadaje się do żeglugi dla większych statków. Wody ma słodkie i mętne, żyją w nich karpie i kaługi. Wschodnie, północne i południowe jego brzegi - nizinne, zajęte są przez pola orne, łąki i grzęzawiska, natomiast zachodnie są wyższe i zalesione. Odpływem Chanki jest rzeka Sungacza, dopływ Ussuri. Osada Kamień Rybołów leży na południowo-zachodnim wybrzeżu.

[146] Ospa - ciężka epidemiczna choroba zakaźna objawiająca się gorączką, ogólnym zatruciem organizmu oraz wysypką, która pozostawia charakterystyczne blizny. Przed wprowadzeniem szczepień ochronnych ospa była jedną z najcięższych plag ludzkości.

[147] Prokaza (ros.) - trąd.